

2





Digitized by the Internet Archive
in 2025

<https://archive.org/details/popioly0000stef>

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie trzecie. 1923.

BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.

BICZE Z PIASKU. (Foczątek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyna i Zamoyszczyna. Nowa Warszawa). 1925.

DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.

DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.

DUMA O HETMANIE. Wydanie piąte. 1923.

DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.

ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.

INTER ARMA. Warszawa 1920.

LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.

MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.

MOGIŁA. Warszawa. 1923.

OPOWIADANIA. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.

O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.

ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.

POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.

POMYŁKI. Warszawa. 1923.

PONAĐ ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.

POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.

POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie trzecie 1923.

PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.

PROMIĘŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.

PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.

ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.

RÓZA. Dramat nesceniczny. Wydanie czwarte. 1923.

SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.

SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.

SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.

SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie nowe. 1920.

SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.

SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.

SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie szóste 1924.

TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.

UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECKA... Komedia. Wydanie II. Warszawa 1925.

URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.

UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu — Tabu. — Cenie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.

WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.

WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.

WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.

WCZORAJ I DZIŚ. Serja Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktor Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.

WCZORAJ I DZIŚ. Serja Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu). 1925.

WIATR OD MCRZA. Wydanie drugie. Warszawa. 1922.

WIERNIA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.

WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.

WSZYSTKO I NIC. Wydanie drugie. Warszawa 1923.

ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

POWIEŚCI HISTORYCZNE



WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM TRZECI

WYDANIE SZÓSTE



WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Printed in Poland

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty five

3853 *

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

SZLAK CESARSKI.

Dywizya generała Zajączka, czyli tak zwana legia północna, podzielona została na trzy brygady. Pierwsza z nich, pod dowództwem generała Fiszera, składała się z regimentu piechoty, zapożyczonego z dywizji trzeciej, z pierwszego regimentu kawalerii krakowskiej i czterech sztuk armat sześciofuntowych. Część tej siły, pod bezpośrednią komendą generała Fiszera, udała się była w lutym na pomoc generałowi Dąbrowskiemu i wzięła udział w wyprawie na Tczew, później w marcu przeszła Wisłę i wróciła do swej komendy. Druga brygada legii północnej słuchała rozkazu generała Izydora Krasińskiego, poprzednio komendanta wszystkiej jazdy rycerstwa. Składały ją: regiment trzeci piechoty i pułk kawalerii krakowskiej z dwiema armatami czterofuntowymi. Brygadą trzecią dowodził generał Wołodkiewicz, a miał pod sobą regiment czwarty piechoty, drugi kawalerii i dwa działa czterofuntowe. Wszystka ogółem artyleria tej dywizji zostawała pod dowództwem i sprawą szefa szwadronu Chopina.

Krzysztof Cedro nie wyszedł ze swego szeregu.

Po zaprowadzeniu nowej organizacji znalazł się w drugiej brygadzie, generała Krasińskiego. Pułki te stały w Toruniu do 28 lutego 1807 roku. Wyruszywszy stamtąd, przeszły Wisłę i pociągnęły w marsz na Pokrzywno (Engelsburg) i Niborg (Neydenburg), gdzie generał Zajaczek pozostał aż do dnia 26 maja, nieznaczny biorąc udział w akcji. W okolicy Niborga stały naokół wysunięte bataliony piechoty i kompanie jazdy. W Maldze stał batalion piechoty, 50 koni kawaleryjskich i jedna armata heska; Dębowca strzegł drugi batalion piechoty i 4c koni; w miejscowości zwanej Kot było 50 koni i druga armata heska; w Przysowie 20 koni, w Omulcu 10, wreszcie dwanaście koni rozmieszczonego między Omulcem a Orłowem. Siła kawaleryjska tworzyła łańcuch, zakrywający posterunek główny i osłaniała wszystkie drogi.

Skoro tylko rozlokowano wojsko po chatach, budowlach i wogóle pod dachem, a dla koni urządzone w stodołach i wozowniach gródzie, zaczęły się napaści lotnej konnicy nieprzyjaciela, oraz podjazdowania odwetowe ze strony polskiej. Krzysztof Cedro znalazł się w Kocie na początku marca. Gajkoś wyszykował tu dla konia dobre pomieszczenie a niezły siennik na pryczy w alkierzu wieśniaka. Zrazu wszystko szło po dawnemu: musztry, egzercerunki, ćwiczenia gimnastyczne. Ale już po upływie dwu tygodni zaczęły się czasy niespokojne. Konnica nieprzyjacielska wpadała do wsi w nocy, nad ranem, pod wieczór, w południe i przy śniadaniu, z wrzaskiem i gwizdaniem mknęła ulicami i gubila się w zimowej szarudze. Gajkoś szczególnie lubił zabawy z tymi wojakami.

W dniu 25 marca, o zmierzchu, zdarzył się właśnie jeden z takich napadów. Co najmniej cztery szesiny jeźdźców nieprzyjacielskich wpadły do wsi i usiłowały ją podpalić z czterech rogów. Podpułkownik Skalski kazał trąbić gwałtownie »na konia«, w mgnieniu oka cała siła posterunku rzuciła się na napastników. Atak był odparty równie szybko, jak się zaczął. Krzysztof pędził za innymi w mroku padającego wieczora, widział nawet przed sobą konnego brodacza, ale pomimo całej siły konia dopaść go nie mógł. Po zebraniu się sił obronnych uradziła starszyna wykonać niezwłocznie podjazd. Okrzyknięto w szeregach, że kto na ochotnika chce do wyprawy należeć, ma się zgłosić do pułku Dąbrowskiego. Gajkoś z Cedrą poszli wraz na ochotnika. Dowodził pułkownik Sienkiewicz. Szli podzieleni na partye, ciemną nocą, polami, w nieznanym zgoła kierunku. Zdala pod leśnem wzgórzem ujrzały ognie, to też obeszli je całe w promieniu kilkuwiorstowym, weretrem a moczarem. Napadli z boku z północnej strony. Oddziałem, w którym się Krzysztof znajdował, dowodził rotmistrz Zaborowski. Byli tu w kawalerii krakowskiej porucznicy: Gontkiewicz, Wychliński, Szymański i Rzeciszewski. Cedro znał ich wszystkich jeszcze z Siewierza. Jechali w głuchem milczeniu aż do chwili stanowczej. Krzysztof nie mógł zrozumieć nic a nic z całej tej wyprawy. Najbardziej był zdumiony, kiedy porucznik Wychliński spiął nagle konia i rzucił się naprzód z takim wrzaskiem, zażywaniem pałasza i mocnych słów komendy, jakby go wściekły pies napadł. Natychmiast wszyscy uczynili to samo, nie wiedząc, o co chodzi. Jazda ochotnicza rzuciła się

naprzód z lancami i wpadła między tlejące ogniska na ludzi rozespanych, którzy się zrywali z ziemi i siadali na koni wśród wrzasków, przekleństw i strzałów. Zwycięstwo nad ową półsenną zgrają nie przyszło jednak z łatwością. Z głębokiego mroku wypadli sformowani w lotne oddziały. Wszczęła się walka na lance i pik, starcia mokrych koni i czarnych ludzi, bitwa w ciemności. Tam i sam, wśród ognisk gonili się jeźdzy na oko i z wrzaskiem wysadzali z siodeł. Tam to oficer Zaleski, dowodzący kompanią jazdy kaliskiej, w oczach żołnierzy od razu salwował się ucieczką i tak dalece zdecydowaną, że Gajkoś wstrzymał konia. Splunął za nim w ciemność raz, splunął drugi raz jeszcze dalej, i tego nie było mu dosyć. Trzeci raz splunął w garść, chwycił nią jedlca szabli i dopiero! W trakcie utarczki świt nastął. W błękitnym mroku zimowym rozległ się szybki szczek i trzask lanc, wzmogły się śmiertelne krzyki, stękanie koni i tężent skoków ich po żelaznej grudzie. Podjazd został panem obozowiska, kilkunastu koni, czterech trupów i siedmiu rannych jeńców. Tamci, odrębując się i strzelając, ustąpili z pola i znikli za lasem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od tego wypadku kiedy dywizja przeżyła nowe wzruszenie wojenne. Bardzki, szef szwadronu jazdy kalisko-sieradzko-wieluńskiej, stojącej na drodze ku Szymanowu, odebrał od marszałka Masseny nagły rozkaz maszerowania bez zwłoki, w kłus, pod Szczytno. Słyszać było stamtąd strzały i łoskot bitwy. Szwadron, uszykowany *en bataille*, ruszył z kopyta i zaraz, ustawiony obok dragonii francuskiej, rozwinał kolumnę i atakował z lewego.

Utarczki trwały przez całą noc bez odpoczynku, wycchnienia i popasu koni. Z rana, o godzinie siódmej, szef Bardzki atakował konnicę nieprzyjacielską dla zakrycia rejterady dywizji francuskiej ze Szczytna. Przed południem nieprzyjaciel w sile blisko trzech tysięcy jazdy uderzył forsownie na Kalisz. Cugi pierzchnęły od razu i szwadron o mało nie był oskrzydłony. Dowódcą dywizji przysłał rozkaz rejterowania się, co też wykonano z szybkością, precyzażą i, jak to mówią, z chwałą, a pod osłoną lasu i kilkudziesięciu piechurów francuskich w nim ukrytych. Wielu oficerów i żołnierzy w tej sprawie dzielnie się spisało. Kapral Kwiatkowski dostał postrzał w bok, sam sobie kulę kozikiem z pomiędzy żeber wydłubał, ranę opatrzył, a z pola bitwy nie zeszedł. To też zaraz następnego dnia fortugowany został na sierżanta. Kapitan Ostrowski świetnie odznaczył się zarówno w chwili awansowania w akcyi, jak i podczas rejterady, która poszła z chwałą. Porucznicy Zasłocki i Krasuski byli ciężko ranieni.

W tydzień później, stosownie do planu wypracowanego przez generała Fiszera, wykonano atak na obozy zimowe nieprzyjacielskie pod wodzą generałów Fiszera, Krasińskiego i Męcińskiego. W tej sprawie miała udział kawaleria krakowska i kaliska, Poznańczycy i Mazury. Pułkownik Godebski uprzątał niebezpieczeństwa z boków postępującej konnicy i niepokoił nieprzyjaciela w sposób drażniący wysuwaniem oraz cofaniem jazdy. Skoro się przeciwnik rzucał gwałtownie do pościgu, Godebski usiłował okrążyć go piechotą. Kapitanowie Krzyżewski i Kreczmer przedarli się lasami aż pod Burdingen, a kiedy jazda polska wywabiła nieprzy-

jaciela i, świadomie umykając, skłoniła go, że się zapuścił za daleko, rozwinęły linię i rzucili się do walki na bagnety. Kapitanowie piechoty, Dobrogoyski i Tatarowicz, torowali drogę pod Czarnym Piecem, zmagaając się bagnetem z nieprzyjacielem, który zagrażał dostęp do Jedwabny. Natarcie było silne i śmiałe, z trzech stron. Cedro pierwszy raz w biały dzień widział nieprzyjaciół. Rwał w szeregu z nastawioną lancą i jeden z pierwszych wpadł w uliczkę wiejską. Podpułkownik Skalski, dowodzący siłą, zdążającą od strony Kota, widział Krakowian, jak szli w ogień z kopyta, a strzelców, wdzierających się z nastawionym bagnetem pod konie nieprzyjacielskiej jazdy. Spotkał ich też wkrótce wielki zaszczyt: zostali przeznaczeni do kompanii wyborowych, które formował właśnie z jazdy krakowskiej i z piechurów generał Izydor Krasinski. Cedro dostał szlufy powszechnie ze srebrnymi brzegami i o jeden grosz więcej gaży na dzień, oraz obowiązek pozostawania zawsze w służbie sztabu generała. Wybrani zostali do kompanii wyborowej konnej za wzięcie Jedwabny kaprale — Gajkoś, Malczewski i Myśliński, żołnierze, prócz Cedry — Suryn, Modliński, Karpiński, dwaj bracia stryjeczni Kuleszyńscy, Krasuski, Błeszyński, Leśniewski, Grabowski i Stefan Szynka. Furyer Zwierkowski za okazane męstwo otrzymał, prócz wyboru, zapewnienie pierwszego awansu, jaki się okaże.

Aż do dwunastego maja dywizja nie otrzymała żadnego alarmującego rozkazu. To też żywot jej zewnętrznny ograniczał się drobnymi utarczkami i małymi podjazdami.

Dwunastego maja rozbiegła się po posterunkach

wieść-piorun, że pod Malgą załoga została w pień wyjęta. Ludzie zerwali się do oręza, jak jeden, ale rozkaz trzymał ich w pętaczce na miejscu. Przyszła wreszcie dokładna wiadomość z oddziałem generała Fiszera, który chodził napadniętym na odsiecz. Okazało się tedy, że na młynek pod Malgą, gdzie konsystował oddziałek złożony ze trzydziestu piechoty, napadła znaczna wataha nieprzyjacielskiej konnicy. Podpułkownik Krukowiecki, komenderujący w samej Maldze, ruszył tamtym na pomoc z oddziałem 140 piechoty. Podchodzącego już do młynka nieprzyjaciel obskoczył ze wszech stron, w sile dwu tysięcy. Krukowiecki ścisał swoją kolumnę, sformował czworobok, utworzył front z mniejszych żołnierzy na wszystkie strony i zaciekle począł się bronić. Na wszelkie ataki i propozycye poddania się odpowiadał salwami wystrzałów i bagnetem. Walczył tym porządkiem przez półtrzeciej godziny.

Z rozpaczliwego położenia wybawił go generał Fiszer, którego konnica uderzyła na nieprzyjaciół i rozegeała.

Krukowiecki miał 25 żołnierzy poległych i 16 ciężko ranionych. Nieprzyjaciel utracił pułkownika, dwóch oficerów i około stu ludzi zabitych. Prawdziwem męstwem, wytrwałością i rozsądkiem odznaczyli się młodzi oficerowie: kapitanowie Gras i Fontana, porucznik Cybulski; podporucznik Braun du Laurans, Jakóbowski i Zalewski. Kapral Werbechowski i woltyżer Mamiński, obskoczeni przez tłum jeźdźców, wyrwali trzem z rąk piki i bronili się bagnetem ze stałością godną najstarszych i najdoświadczelińszych wojaków.

Chodziła w szeregach zazdrość i gorycz budząca wieść, że legia trzecia pod Giełgudem, który nią dowodził w zastępstwie wodza ranionego na rynku tczewskim, odznacza się świetnie pod Gdańskiem, że piechota pierwszego regimentu poszła aż nad morze pod Kołobrzeg... Wreszcie 26 maja przeczytano legii wiadomość o poddaniu Gdańskiego i o marszu, który legia Dąbrowskiego ma wykonać na wschód, w stronę Niemna, dla połączenia się z cesarzem.

Nareszcie i legia północna ruszyła się ze swego miejsca. Dziesiątego czerwca stała kwaterą w Ostradzie, stoczyła potyczkę pod Rudą i Wałami czyli Wallendorfem; następnego dnia ruszyła do Loken, 18 przeszła do Dobrego Miasta (Gutstadt). Tutaj w marszu, między Gutstadtem a Oelsee odebrano od ministra wojny, majora wielkiej armii, księcia de Neufchâtel, jakąś niezwyczajną wiadomość. Dzień to był upalny. Z kurzawy drożnej wynurzył się, pędząc naprzeciwko kolumn, oficer francuski z pocztowym. Obadwaj na nikogo nie zwracali uwagi. Szli wprost na generała dywizji i jemu dopiero zwierzyli sekretny papier.

Chwilę tylko jednak trwała tajemniczość. Wnet starsi oficerowie wjechali między szeregi i czytali depeszę o wielkim zwycięstwie frydlandzkim. Wojska stały w milczeniu, jakoby zmartwiałe! Krzysztof Cedro słuchał tej wieści, nikiej baśni. Łudziło mu się, że słyszy na jawie opowiadanie starego żołnierza, Ojrzyńskiego Mieczyka. Tak wszystko, jak tamten zapowiedział prostą swą mową. Wszystko się spełniło co do jedy. Zwierzył się z tem wrażeniem Gajkosiowi, a ten tylko wąsiska rozgarnął:

— A no i jakże! Toby żołnierz żołnierza nie rozumiał... Kapral by nie rozumiał cesarza! Każdy go tak samo rozumie, jak własną duszę. Nasze go ręce pchają i niosą tam przecie, dokąd chcą, a jego dusza to nasza dusza.

Nadeszły wnet i ustne wieści. Głośiły o śmiałych czynach dywizyi trzeciej, o zdobyciu przez nią dwu armat, o brawurze konnicy i zimnej krwi piechoty, o tem wreszcie, że »general porucznik« znowu na polu frydlandzkiem odniósł ranę.

Teraz dywizya Zajączka ruszyła forsownym krokiem do Rastenburga dla pościgu za nieprzyjacielem i połączenia się z legią trzecią. Niedawna kawalerya krakowska i poznańska była nieustannie na linii strzałków nieprzyjacielskich, w polu, w awangardzie. Krzysztof Cedro znalazł się w końcu czerwca w Olecku, 13 lipca stanął w Hołynce około Sopoćkiń, w pobliżu już Grodna. Tu z woli cesarza Francuzów, Męciński, dowódca siły zbrojnej krakowskiej, mianowany został pułkownikiem czwartego pułku jazdy, a powstanie krakowskie przyłączono do tegoż czwartego pułku. Około 10 lipca przeczytano wojskom wieść o pokoju tylżyckim. Dywizya Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania ku Warszawie. Stanęła tam 15 sierpnia. Tegoż dnia wyszedł rozkaz generała dywizyi, oświadczający, że wszystka siła idzie na stały i długotrwały pobyt do Kalisza.

Pokój tedy i koniec awantury...

Tak myślał młody Cedro. Miał stanąć, a raczej zamieszkać w owym Kaliszu, jako żołnierz, czy wreszcie oficer bałaguła w czasie pokoju. Przewidywał, że

dni upływać mu będą na grze w karcia, bilard czy domino, na próżniactwie, rozpuście i nudach w jakiejś resursie Pescarego, w towarzystwie kolegów, których widział tylu. Nie nęciło go to życie.

Dla takiego ideału porzucić starego ojca? Dla tego podeptać jego nadzieję i ułudy? Dla tego przeżyć ów dzień grudniowy? Nie, nigdy! Więc wrócić do domu? Wrócić, jako rycerz, który wąchał już proch, ale bardzo z daleka? który odbył konno dość szeroko zakreślona wycieczkę po kraju?... I to już niemożliwe.

Widział on już zdala wojnę, i wrósła weń, jak drzewo wrasta w ziemię niezmiernymi korzeniami, paszą do wielkiego a mocnego czynu. Wrócić do cichych, rolniczych prac z Trepką, do pracowitego snycerstwa wzorów kultury w twardym klocu kamiennym, kiedy tuż obok, za lasami sąsiedniego powiatu tworzą się dzieje, łamią i roztrzaskując kamienne tablice praw pisanych, spychają z przyciesi owe budynki i nowych plany misterne, z szatańskim sprytem wysnute ze zdzieckiego mózgu urzędników, które był w wiedeńskich poznał przedpokojach?

Z Warszawy, która za tych dni była jak pełny ul, gdy weń wyrojone pszczoły na pracę wracają, gdzie wszystkie siły ludu preżyły się, niby moc człowieka w jednej rozpiętanej prawicy, w posępnym i gorzkim nastroju ducha wyruszył do Kalisza. Ciepłe były, łagodne, podjesienne noce. Gdy kolumny cicho i bezpiecznie ciągnęły od zmierzchu do rana gościńcem, a wyborowa kompania jazdy krakowskiej szła w tropy swego wodza, stary wachmistrz Gajkoś, dowodzący tą kompanią, wnet szlusował do młodego i mamrotał mu do ucha:

— Pokój podaję na wieczny czas — i tyla.

— A no przecie czytali.

— Będziemy to w onym Kaliszu stoić?

— Taki rozkaz.

— Śliczności my wojsnę zwojowali, ani słowa!

— Da Pan Bóg doczekać... Jeszcze, jeszcze... Dopieroć zuchelczek tyli, jak gniazdo skowronkowe.

— Do stu par dyabłów! To ja na musztrę mam jeździć pod Grodno? Ja musztry nauczny. Lepiej chyba Żydom gnój z pod kóz wyrzucać... Abo babę pojąć, żeby człowiekowi znaki obdarła i kopyścią go po łbie praskała.

— Cichajcie, wachmistrz!

— Paniczu! Widział ja się we Warszawie z jednym.

— No?

— To samo z pod Kniaziewicza jeszcze. Oba my z Neapolu przyśli, ino ja wcześniej, bom głupszy i na śmierć mię dockliwiło, a tamto szelma — jeden mur. Na Śląsko przyśli. Świderski ich przyprowadził gros-major.

— Cóż to za broń?

— Z nadwiślańskiej legii. Kamraty jeszcze — chy — gdzie! Z pod starego jeszcze kochanka. Gdzie takie nie bywały! Wszystkie boje z Austryakiem, Hohenlinden, wielka droga bez Szwajcary ze Sokolnickim. A potem w służbach cyzalpińskich. Oni ta wreszcie pod króla Józefa pośli, a ja się do ziemie wydał.

— No, a teraz cóż z nim?

— Pada mi ten kamrat: naszą starą neapolitańską legię od nowa sztyftują. Jakisi książę Hieronim w nich się pokochał.

— Co za książę Hieronim?

— A dyabeł go ta rozezna, co on za jeden! Książę Hieronim, powiedział, i tyla wiem. Pewnie cesarski abo brat, abo zgoła szwagier.

— A za cóż to ich tak sobie ulubił ten Hieronim?

— Zaco? A zato, co powiem. Wszystko mi kamrat porządkiem opowiedział, to i ja teraz paniczowi tym samym porządkiem wyłożę. Idą oni z ziemi Włoskiej moje ułany, do Polski i przysili na Śląsk ojczysty, do Lignicy. Idą se traktem w sześćset koni nocnemi porami, w maju... Dopiero im po tyłu leciech zapachnie ziemia... Była, powiadał ten kamrat, góra znaczna w tych miejscowościach, to stamtąd pierwszy raz dojrzeli daleki kraj. Aże chłop gadać nie mógł, jak se wspomniał, choć ta i twardy w sobie na potęgę! No, dobrze. Jadą oni, jadą gościńcem, nogą za nogą, cicha noc, a ma się na święto. Szedł na szpicu kapitana Fijałkowskiego oddział. Aliści traktem pędzi wprost na nich jakisi oficer wysoki ze sztabem. Wleciał obces między szeregi, patrzy po twarzach wielkimi oczyma, gorąco od niego bije.— Cościc są za jedni ludzie?— pyta się— skądeście się tu zjawili?

Kapitan Fijałkowski mówi mu spokojnie: tak i tak, że są, powiada, jeździe polskie, że idą wprost z Neapolu do Lignicy. Dopiero ten generał odkrywa mu się i powiada, że nie jest kto inny, tylko sam Lefebvre-Desnouettes.— Przez Wszechmocnego Boga jesteście mi, powiada, na ratunek zesłani. Ja przecie z Prusakami bitwę pod Kunt toczę. Samego mię tu, mówi, zostawili z Sasami, z Bawarami. Sasy mię podle zdradziły, nie chcą się bić z Prusakami, a Bawary, choć się i bronią,

ale iady dać nie mogą. A tu, powiada, Wrocławia mogą dobywać, a we Wrocławiu księże Hieronim ma kwatery. Brońcie się, Polacy! Fijałkowski mu rzecze na to: Dobra! Prusaków łupać—o jej!

Pułk już się był rozkwaterował w Lignicy, więc iu skoczą, zatrąbią wsiadanego:— Na koń! Wiara myślała, że w mieście gore, czy ki dyabeł, bo o nieprzyjaciołach nie słyszać było w tej stronie. Ale w siedm minut pułk stanął w strzemionach, jak mocny, stary las dębowy. Wyszli w kłus traktem ku miejscu tak nazwanemu Jauer, a stamtąd na rozstajne drogi od Wrocławia i Lignice. Akuratnie nadciągną Prusacy do tego miejsca pościgiem, a w wielkiej sile. Mieli okrągle pięć tysięcy doborowej piechoty, mieli armat sztuk dwanaście, a prócz tego huzarów swoich tabaczkowych szwadron, a prócz tego bośniackich pikinierów konnych to samo szwadron.

Dzień się robił. Generał Lefebvre stanął, w pierwszym szeregu ułańskim. Szedł przed nim kapitan Fortunat Skarżyński, a prócz tego byli tam starzy znajomi: był Hupet, był Szulc młodszy, a z poruczników—Rybaltowski, Błoński, Dziurkiewicz, Ledóchowski, był brat wachmistrz, stary wyga, Pruski i drugi Skarżyński. Pierwszy i trzeci szwadron polski skrócił cugle. Broń do ataku! Runą w Prusactwo z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach. Lancami psubratów—durch! Ich tam generał wystawił na pagórkiku dwanaście swoich armat i dawajże w drugi a czwarty szwadron, co im z boku, polem, zachodziły...

Ale gadki! W jednym momencie konnica pruska, dragony, huzary, bośniaki na łeb, na szyję, w drzazgi!

Wgnietli toto impetem jedno w drugie, że ich własne kouie stłamsiły, skłuli piechotę lancami, wyłupali, jak oko, dwanaście armat ze środka szyku i odstawili w tył, poza swoją linię, dwanaście wozów kiesonowych to samo, cztery tysiące piechurów w niewołę i wszystkie, jakie ino były, bagaże. Dowódcą tych Prusaków, jakisi ta Anhalt, na koniu w te pędy uciok. Dwóch pacierzyby nie zmówił, już ci było po całej batalii. Broń piechurów w kozły złożona, jeźdzcy na ziemi, łapy po boku. Niem się dzień wysoki podniosi, już ułani siadali na koń, żeby do Lignicy iść spać. Dopiero jak ze wszech piersiów buchnie nasza pieśń! Za to wszystko ich ten Hierouim tak pokochał. Pójdą tera gościńcami...

— Dokąd?

— Gościńcami, za cesarzem.

— Ale dokąd?

— Bić się i tyla.

— Gajkość! Toć tu...

— E, minie tu śmierdzi między onymi, z przeproszeniem, kapitanami, porucznikami, a choćby też i pułkownikami. Panie odpuść! Pułkowniki... Nic ino pułkownik na pułkowniku, a za nim parobcy od gnoju. Widziałem przecie na własne oczy jednego, jak wziął spychać kurek karabinowy garścią, z góry, a tak szczerze, aż go i urwał. Pyta go się starszy delikatnie, czemu nie strzyla: A jakże, pada tamten, bede strzył, kiej mi się kureoba urwała? Dopiero mu w batalii pokazują, że nie trza kureoby z góry pchać, ino za cyngiel leciuško pociągnąć, to samo strzeli galanto. To się przecie tak zdziwił i zamartwił, że mu aże gęba otworem stanęła. Takie to chytre wojsko.

— Nie obmawiaj, nie obmawiaj, stary włoczykiju!

— No, ja ta idę do wiary, do swoich. Co mi tu za niewola ziewać z nudów! Z nas każdemu sto bitew stoi w pamięci. Taki se Pawlikowski! W trzeciej jeich kompanii służy pod Fijałkowskim. Sam, jucha, na syn-gieltona wziął w niewolę 57 szwabów piechotnych. To przecie wojska się zadziwiły i od kraju do kraju trzęsły ze śmiechu. Chciał go Moreau generał dowodzący natychmiast oficerem na placu mianować. Natychmiast powiada mu, wdzewaj szlufy, przypasuj szablę oficerską. A na to Pawlikowski jeno ramionami wzruszył i powiada: *Ne se lir, ne se krir, ne pe ofisie...* Nagradzaj-że go! To mu dopiero karabin jakisi frymuśny przysłali z okuciami ze srebra i z napisami długimi we figlasach, jako że jest rycerz nad rycerze... A bo to jeden jedyny? Kużden widział na cczy świat szeroki, ziemię Włoską, ziemię Francuską, Niemce, góry, morza, wielkich bohatyrów i straszne dzieła wojenne. Cóż mnie po tem, żeby mi miał bele fąfel przewodzić, co jeszcze od smrodu prochowego poczciwie nie kichnął!

— Taka to subordynacyja!

— Jak jeno do Kalisza przyjdzię, zaraz idę do szefa i wykładam. Tam i oni w tym Kaliszku mieli mieć swoje depot. Dopóki my instruktorami — a no to uczeń toto ciaciastwo dzień dnia. A tera pokój! Wyborowa kompania — śmiech! Jabym im pokazał wyborową kompanią, toby się w mysie dziury zmieściли ze wstydu. Niechże ich ta uczy, kto umie. A ja nie dyrektor. My są rycerze. Ja bez wojaczkii, jak siodło bez konia. Jeszczebym się rozpił, albo, czego Boże zachowaj, obabił...

Po chwili szeptał jeszcze ciszej:

— Paniczu! chodźwa se oba... Z was będąc rycerz. Przeciem widział waszą jazdę i złożenie. Od maleńkości woma nogą stawała w strzemię. Zmarnują waju te guwernery.

— Niema strachu.

— Jakem spojrzał na ubiór tamtego kamratka, na moderunek, na pałasz — Marya!

— No?

— Takie same mają barwy, jakie my jeszcze w 1802 roku we Vigevano dostali, granat z żółtem. Czapka na głowie wysoka, granatowa, sukienna, pikowana. Przy niej białe kordony. Kita! Tyla! Na fronce ma półsłońce z orłem.

— Z jakim?

— A dyabli go ta wiedzą z jakim!

— Z francuskim, bo to przecie nie polski pułk.

— Juści pewno, że z francuskim, bo ze skarbu cesarskiego będą dzień dnia dziesięć su lenunu brali. Orzeł, mówię, a nad nim dwie lance skrzyżowane. Ten jeszcze mój komiliton był z kompanii grenadyerskiej, to miał przy czapie kitę czerwoną, jak ogień. Kurka na nim granatowa, Panie święty, jak ulał, a wyłogi, rabaty, wypustki i lampasy na paradnych spodniach precz wokół żółte. Guzików ma u kurty dziewięć okrągłych a wypukłych. Huzarskie im tera guziki dali, odmienne od naszych dawniejszych. Spodnie paradne ma do samych kostek, na buty wykładane z dwoma lampasami żółtymi, a na codzień ma ci znowu szare rajtuzy z jednym lampasem granatowym. Codzienne rajtuzy wdziewamy, powiada, zimowym czasem, na tamte paradne, a zapinają się z boku nogi na ośmnaście gu-

zików. W deszcz, w plutę jedziesz jak w futerale zapięty. Nie przemokniesz, choćbyś i chciał. Oficer ma płaszcz granatowy, okrągły z białym kołnierzem, a żołnierz ma płaszcz biały, obfity, bez rękawów. Róg prawy zadasz na lewe ramię, toś jak w kołdrę zawinięty. Trzy doby możesz na ulewnym deszczu stoić! Strasznie to piękny strój... Żołnierz ma ci akselbanty z lewego ramienia, żeby mu w robocie lancę nie przeszkadzały, oficer ma je z prawego ramienia. Pendenty z białej skóry, klamry żółte. Na pendent ma jeszcze pas niciany w pregi białe z granatowem. Oficerski strój tenby dopiero paniczowi śpiłował! Na paradę ma oficer szarfy srebrne, ładownicę przez piersi. Czapraki na siodłach mają ostro ścinane, z huzarska, granatowego koloru. Wypustki na nich żółte, a galony znowu srebrne. Na tylnych rogach cesarzowa litera z koroną.

— Gadaj-no: a lance jakież?

— Lance mają niewysokie. Nie włócznie ci to nie dzida, nie pika, nie kopią husarska, ino broń ściągała, przedka, do dloni, do prawicy wraz. Letka! pięć łokci będzie miała. Jak rosły chłop stanie w czapie, tylec na ziemi postawi u nogi, to ma chorągiewkę tej lancy nad samem denkiem czapy. Chorągiewki mają jako i my, gładkie, białe z czerwonem. Od tylca ma lanca piękne okucie. Pośrodku ma temlak z białego rzemienia do zakładania na przedramię. Przy obu strzemiątach stoi otworem i czeka na tylec lancy tulejka, trokami do puśnika przymocowana. Bije się w pałasze, to lancę rzuci w lewą tulejkę. A pałasze mają sieczne, z żółtemi jedlcami. Temlaki przy nich z białej skóry... Paniczu, waby pasował okropnie ten lansyerski strój!

— Próżno mi pochlebiasz.

— Po sprawiedliwości mówię... Abom to nie wiǳiał? Na koniu siedzi, jakby go mutrami przykręcił sam towarzysza obrządzi, rozsiodła i okulbaczy, jak rataj, i jeszcze dotychczas nawet nie sierżant, jako że jes niedbający. Są w naszych szeregach takie niedbające chłopy. Nie małom ich widział. Rije się na śmierć, kużden trud śmiertelny zniesie, zginie bez jednego słowa. Choroba wie, co to za ludzie są takie! Nie jednegom już, mówię, napotkał we włoskich legiach, a dotychczas nie wiem, skąd się biera.

A są i inne. Będzie ci jechał na szkapie, jak Żyd z obwarzankami, nie wie na żywy Bóg, co zganić, a co pochwalić w glicie, ale od razu z niego kapitan, bo ma folwark w tej samej parafii, co grosmajor. A my między obcym narodem szewrony brali. Dopiero jakieś czterem, pięci nacyom pokazał sarmackie mestwo, a najstarszych wiarusów zdumiał, że japy rozdziawiali i szmer szedł między pułkami, dopiero jakieś dobre imię a honor całego legionu podwyższył walnym uczynkiem, dopiero ci ten galonik naszyć kazali. Nasze sztaboficerzy z prostej wiary wyrosły. Paniczu, chodźwa w lansery!

— Cicho!

— Co náma! Abo nam to potrza złota-pieniądzy? Za ten grosz miedziany lenungu wszędzie kupi torbę obroku, wiązeczkę siana, skibę chleba. Wszędzie wedle białych gościńców studnię napotka. A nieraz, prosty jeździec cesarski takie wina pijesz dzbanem jakich królowie skąpią królom na ucztach...

— Ale dokądże to chcesz iść, stary waryacie?

— Dopokąd on, paniczu, świata jak się patrzy

nie oporządzi, wara nama ze strzomienia nogę wywłóczyć! Gdzie on, tam i my. On zażywa wczasu-spokoju — i nasza wiara śpi. A skoro on na koń siada, będziemyż to spać? Tak starzy powiadali. Nie bele kto, paniczu! Tacy, co już padli w krwawym boju twarzą na ziemię, a teraz w obcych ziemiach bez krzyża — pamięci i bez imienia leżą. Abory to mogło tak być, żeby w tem żadnej sprawiedliwości nie było? Po obcych piachach one trupy rozwlecone na darmo? Abo my to nie przyśli do swych strzech, w te lasy, gdzie ino trza? Z końca świata my przyśli, bo słowem wodzowem poprzysiągły. Obejdziemy ziemię het — precz, porządek zrobimy i dopiero znowuj do ziemie, ale już wtedy ostatni raz na dobre. Tak starzy powiadali...

Natarczywe podszepty starego wachmistrza były dla Cedry ową wagą śrócciny, która czuła szalę przechyla. Niezwyciężony wstręt do oblüdy życia wiedeńskiego, gdzie zmiażdżona duma szarpała duszę na strzępy — popychał do kraju prostackich marzeń żołnierza.

W Kaliszu obadwaj z Gajkosiem podali się o uwolnienie z rycerstwa i prosili o translokację do lansyerów. Długo ich odwodzono od tego kroku, wynikły różne korowody służbowe, ale koniec końców w październiku przedostali się do twierdzy w Koźlu, gdzie się szwadron lansyerów, złożony ze starych legionowych wiarusów, znajdował. Był to tłum wąsalów, ogorzałych wyjadaczów, mocarzów, cyników i poszukiwaczy wszelkiego rodzaju awantur. Cedro musiał się tego wkupić do głitu i najeść rozmaitych szykan, nim go przyjęto. Stare wygi niechętnie widziały między sobą młokosów, a osobliwie »cnotliwych«, entuzystów. Za

to dla Gajkosia znalazło się miejsce otwarte i nadzieję przedkiego awansu.

W początkach zimy przyszedł rozkaz wyruszenia ze Śląska i maszerowania do Osnabrücku, gdzie była kwatery pułkownika tego regimentu — Jana Konopki. Stamtąd wymaszerowano do Westfalii. W Erfurcie kompanie, z różnych stron przybywające, otrzymały jednostajne umundurowanie i wszystkie w tem mieście przepędziły zimę. Znaleźli się tam oficerowie wyżsi i niżsi, zgromadzeni z pod różnych znaków, starsi i młodsi, wywodzący się z dawnej kawalerii, a nawet i z piechoty. Przybyli tedy — Ignacy Ferdynand Stokowski, Jaraczewski, Klicki, Telesfor Koścanecki, Routier, Pruszak, Prendowski, Wincenty Konopka, Augustyn Przyszchowski, Adam Hupet, Wincenty Walewski, Szulc, Kajetan Stokowski, późniejszy płatnik pułkowy Gnatoński, Linkiewicz, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Skarżyński, Porycki, Fijałkowski, Oyrzanowski, Trzebuchowski, Górecki, Niezabitowski, późniejszy adjutant pułku Moszyński, Leszczyński, Piotr Doliński, książę Woroniczki, Jagumiński, Kajetan Woyciechowski, Józef Beguławski, Luzignan, Jan Nestorowicz, Topolczani, Jagielski, Szarski Antoni, Dziurkiewicz, Karłowicz, Ledochowski, Ulewicz, Ambroży Borakowski, Rostkowski, Wojciech Dobiecki, Stawiarski, Korytowski i inni. Między prostymi żołnierzami wielu było posesyonatów i szlachty zagonowej. Między innymi zabłąkali się tutaj, idący w tropie Gajkosia i Cedry, dwaj Kuleszyńscy.

Na wiosnę roku 1808 zorganizowany pułk wyruszył w wielki marsz — aż do Bajenny. Szedł przez Gotha, Eisenach, Fuldę, Hanau, Moguncję na Méziers,

Charleville, Paryż, Mans, Alençon, Bordeaux, Dax... Po przebyciu w końcu kwietnia szerokich łąch Garonny pod Langon, minawszy obszary piasków ziemi Guienne i Gaskonii, lasy dębu korkowego pod Roquefort, a kasztanowe dąbrowy pod Mont de Marsan, weszli w departament des Landes, w smutne i usypyające piaszczyste pola. Piechota płynęła na łodziach i tratwach rzeką l'Adour, toczącą swe fale po lewej ręce odwiecznego traktu na Tartas i Dax. Konnica szła zwolna owym gościńcem. Była to droga ponura, nie rozweselona ani jednym widokiem łaskawszym.

Krzysztof Cedro w ciągu tych długich, kawaleryjskich pochodów, od brzegów Niemna do brzegów Garonny, ogorzał, rozrosł się, przytył i zcerstwiął na duchu. Zginął, jako osoba, w szorstkim i grubiańskim tłumie żołnierskim, zamknął się w sobie i umilkł. Był wciąż bez troski, wesół, dobrej myśli, zajęty żołnierskimi sprawami. Ale w istocie rzeczy jechał w naj zupełniejszej samotności. Pochody były nocne. Gdy przed zmierzchem rozlegało się trąbienie — »na koń« — gdy szwadrony ludzkie wrastały w kulbaki, a pułk się zbierał, formował w kolumnę i wolno puszczał w drogę, Krzysztof poczynał żyć. Oddziały, znużone za dnia czyszczeniem koni, rewizyami wachmistrzów, reparacyjami rynsztunku, kuciem koni — spały twardo na siodle. Spali ludzie, od chłodu nocy wiosennej zawinięci w swe płaszczce, i spały wędrujące konie. Noga za nogą szedł senny pułk topolowemi alejami »słodkiej« Francji. Szarc błękitne obszary pól zwolna, zwolna ginęły w łagodnym, kwietniowem zasięniu dnia, w uroczym zmierzchu. Odległe domostwa z szarego muru wieże kościelne, fermie i miasteczka, stare

zamki i lasy, chłonęła w siebie cicha, spływająca noc. Ziemia stawała się zwolna jakoby rzecz niebyła, jakoby lata przeżyte, jak sen oddegnany przez rzeczywistość. Jełyne przestwór, napełniony powietrzem przeźroczystem, tchnący jeszcze ledwo umilkłym śpiewem skowrończym, jasnością dopiero co zgasłą młodych rół — świadczył o tem, co było. Ostry i mokry wiatr polny, ciągnąc za sobą ku nozdrzom zwiewną i uśmiech nęczącą mgłę woni fijołków — nie dawał młodemu twardo zasypiać. Nieskończone aleje topoli, które już nowe na się listki oblekły i nowem zadrgały życiem — głosiły szelestnym szumem o wiecznej sławie. Szelest ten duszę przenikał. Zdawało się, że słyszać w nocy pogwary przedwiecznych, wędrujących hord, że to modlitwy wieczorne Gotów, idących w Ibery, słyszać o zmroku. Idą w pylnych polach Gaskonii na zachód, na zachód wiecznego słońca. Brną z ciemnych i wilgotnych puszczy, z ponurych płaszczyzn bez imienia, z za rzek tysiąca, z za góր Germanii w tę stronę, gdzie słońce z niebios w morze zstępue. Ku wiekuistem idą słońcu... Czyjże ich biecz wygnał z leśnych legowisk, które mocnemi barkami wydarli byli zwierzętom? Czy ich wróg, od wilków i żubrów mocniejszy, wygryzł z dziedziny. Któz przed nimi niesie buńczuk grabieży, hasło gwałtu, zbójccki miecz? Wstali z ciemności ziemskiej, jak wstaje ogromny bałwan na morzach, wydzwignęli się nad obszarem milczącymi na obraz chmur szarańczy, ciągną z szelestem, jako chorągiew nieprzemożona młodości i siły. Brną w piaskach, idą w bród przez rzeki, cieknią przez lasy. Zeżą owoce cudzego posiewu u brzegu mórz ciepłych i niebieskich, porwą żony i córki nieznanych plemion i zasiądą na wzgórzach wonnych cyprysa, mirtu i pomarańczy.

— Idziemy szlakiem Karłomana Wielkiego — marnył Krzysztof. — Od Niemna za Ren, z dziedzin niemieckich w ziemię Celtyberów. Szlakiem Cesarza...

Nigdy Krzysztof cesarza na oczy nie widział, lecz teraz w nocach wędrowania zdawało mu się, że go zna dawno. Ów wielki cesarz, jak w pieśni, co tysiąc lat przespała — bardzo był stary — dobiegł już kresu — liczy na pewno z górami lat dwieście. Po tylu krajobrazach włóczył już stopy, tyle swą tarczą odparł pocisków, tyle już królów przywiódł do nędzy... Kiedyż go znużały krwawe dzieła?...

— Przenigdy! — szepią młode usta, odpowiadając szumowi drzew.

— Aż się ludowa wypełni wiara i spełni swoje...

Oto minęły już seciny rzek, szumny i zgiełkowy Paryż, sto miast, wyszli w płaszczyzny gaskońskie. Gdy nastawał poranek, widzieli przed sobą zrazu w mglistem niebie, a później coraz oczywściej, jakoby odległe chmury.

Lecz chmur owych wiatr nie rozwiewał. Stały i stały. Złociste po nich snuły się szlaki, ciemne szły doły.

Senne zastępy żołnierzy wskazywały sobie nawzajem ów kraj daleki, wołając, że wreszcie widać Pireneje. Cedro wlepiął w dal oczy i szukał w górach swej drogi.

— Roncevralles! — szeptał, uśmiechając się do jasnych widziadeł pieśni owej, co uszła cało, gdy ludy wraz ze swymi dziejami zginęły. Błękitne widziadło góra było piękne, jak sama pieśń o Rolandzie. Stało zagnione i niepewne, jak ona. Oko skwapliwie chwytało

kształy, z trwogą śledząc, czy się nie rozchwieją i nie rozejdą między chmury. Z onych to góρ podniebieskich wylata gromowy głos rogu Rolanda:

— »Przyłożył Roland do ust róg złoty — potężnie z całej mocy uderzył. Zadrżały góry, trzęsą się skały, — dźwięki bojowe lecą wirchami. Z taką boleścią, z taką potęgą waleczny Roland zadął w róg złoty, że krew czerwona z ust mu buchnęła, że mózg rozsadził żyły na skroniach. Lecz huk przeleciał za góry, lasy...«

Serce drżało w Krzysztofie. Żądza czynów, czynów Rolanda i Turpina, które się śmiercią własną wyważa z nicości, czynów, co się w nich rozkochują pieśni wiecznotrwałe i piękne wiecznie, czynów, oplecionych przez bluszcze legend, a przez westchnienia pokoleń zmienionych w baśnie — płouęła w jego duszy. Jechał na koniu, śniąc na jawie. Śniły mu się słowa dawno zapomniane, z kraju niewiadomego płynące:

--- »Kiedy Karloman szuka Rolanda, widzi nające kwiatów kielichy, spercone w krople rosy czerwonej. Serca mu ściska boleść straszliwa, lecz łzy nie ujmą piersiom żałoby. Pod cień król sosny przyszedł zielonej, poduosi oczy, patrzy: na górze mieczem rąbane szczerby w marmurze. Wtem na murawie postrzega ciało! Serce królewskie z bolu truchleje. Biegnie i dłoimi, jak liść drżącemi głowę Rolanda podnosi z ziemi, a sam przy zmarłym bez zmysłów pada...«

Duma, w której mrokach knują się, kłębią i przewalają olbrzymie a jeszcze mgliste zamiary, wypełniła mu piersi. Uczucie męstwa przejęło i skrzepiło wszystkie niezwalczone żądze, duchowe porywy, podobnie, jak czyste i żyzne powietrze góρ umacnia ciało.

W pierwszych dniach maja konnica legii nadwiślańskiej stanęła w Bajonnie. Cesarz mieszkał tutaj w zamku Marrac i trzymał przy sobie królów hiszpańskich: Karola IV, oraz Ferdynanda VII. Masa tu było wojska, a kraj pusty. Zuchwałe Gaskony nawet pod okiem cesarza skąpiły dostaw. Osobliwie paszy dla koni nie było w okolicy, ani nad rzeką Nive, ani nad Adurem.

To też, gdy weszło do miasta blisko tysiąc koni lansyerów, które tu miały dłużej popasać, intendenci potracili głowy. Zaraz następnego rana wysłano kompanię ułańską dla furażowania i dostawy paszy aż za Saint-Jean de Luz, na podgórze, w departament des Basses Pyrénées, pod samą granicę hiszpańską. Miały tam już być bujne trawy. Krzysztof Cedro, jako żołnierz, władający doskonale językiem francuskim, przeznaczony został do tej dostawczej kompanii.

Wyszli, ledwo, ledwo z kurzu obmyci, nie obejrzawszy miasta. Ruszyli starą drogą w kierunku na Irun. Po prawej ręce mieli wciąż jeszcze diuny, wzgórze piasków, zasłaniające świat, posepne półokrągłe zwały i fale, które gdzieniegdzie słabo przesłaniała krzewina tamaryszku. Idącemu w znużeniu oddziałowi przypomniał się jałowiec rodzinny. Za Saint-Jean de Luz już łańcuchy górskie zabiegały z lewej strony, sięgając aż do Ustaritz. Zmierzch się zbliżała, gdy oddziałek wyjechał na pierwszy wyniosły zakręt drogi. Chłód bliskich gór powiał.

W blasku zorzy wieczornej ujrzały całkowity łańcuch śnieżnych Pirenejów. Stała przed nimi na południu niezmierzona ściana, stromemi przepaściami waląca

się w dół, jakby ją piorun na poły rozłupał. Na zachodzie wlokła się nieskończona linia gór Kantabryjskich, stawała się smugą, modrem zamigleniem błękitu nieba, jakoby snem patrzącego oka, aż wreszcie wymykała się z niego, ginąc w nicestwie oddalenia. Bliżej ciągnęły się ciemne, granatowe regle, niezmiernymi lasami sosny nadmorskiej okryte, kraju Guipuzcoa.

Przed oczyma sterczał na skalnym zboczu zamek i chropawe mury twierdzy Fuenterrabia. Ciemna, czerwonawa, okrągła wieża zamku porwała wzrok Krzysztofa. Była dziwnie straszna owa samotna wieża na wysokości. Stanął na miejscu i patrzył w nią, zaczarowany przez milczące jej dzieje, przez dziką a tak niewymownie piękną zuchwałosć. Słońce zachodu uwydatniało ją całą, starą twierdę, której mury krew tylko zbroczyła.

Krzysztof stał na koniu. Olśniony od majestatu gór, nie mógł się ruszyć. Przytukła go myśl-uczucie, myśl-cześć.

— Jakże wielkim, silnym i potężnym jest człowiek! — myślał namiętnie. — Ileż uczynił na ziemi! Te niezmierzone skrzydła gór, których przedkiem oczyma objąć nie sposób, wziął krótką ręką swoją w posiadanie, zamknął je w jedną ojczyznę. Nad niezagłębianą przepaścią i ponad najwyższym szczytem rozsiadła się jego wola. Fuenterrabia, rozparta w milczeniu na podścielisku gór, była, jak znak orła łomignata, czy sępa lwa, czy wilka, wykuty w niezmiernej tarczy herbowej.

— Ileż on znaczy! Ile w sobie mieści! Ibery... Celty... Gotowie... Rzymianie... Maury...

Niezmusły zachwyt wynosi z głębi duszy imię
ukochane: Viriates!

Mężowie, niewiasty i dzieci miasta zgładzonego
Numancyi, po którym nie masz nawet miejsca, nawet
okolicy, nic, prócz imienia i wiekuistej w ludzkich ple-
mionach sławy... Wielki, płomienny siłacz—Diaz Cam-
peador Cyd... Cristobal Kolumb... Ferdynand Kortez
i straszliwy Pizarro...

Zmierzch wolno padał na góry. Cedro spał ko-
nia ostrogami i popędził za oddziałem. Wyjechał zy-
gakiem na jedno jeszcze załamanie drogi. Stała tam
wioska, złożona z kilkudziesięciu murowanych domostw.
Żołnierze zsiedli już byli z koni i niecili ognisko, no-
sząc na nie ze wszech stron drwa i suchą mierzwę
ośłą. Krzysztof umieścił swego konia przy żłobie w ja-
kiejś pustej stajence i poszedł za wioskę, żeby się
jeszcze lepiej przypatrzyć. Zbliżył się do skał, ograni-
czających półko zasiane, i stanął nagle w zdumieniu.
Od jego piersi spadała pionowa ściana, a od jej pod-
nóża ciągnął się w nieskończoność—ocean.

Krwawy puklerz słońca zapadał prędko za wzdętą
i wyniosłą pregę. Tam daleko, tam nieskończanie, tam
za oczyma — to także ocean... Olbrzymie granatowe
lechy, poradlone szaremi skibami, słały się na całej
długości, ciągnęły się wszerz. Znikała szybko barwa
ciesząca oczy i pozostawał z falami jednolity zwiastun
nocy. Stamąd, gdzie tonęło słońce i płonęły jeszcze
jego krwawe zorze, szedł po wierzchu zebrania wód
białawy półbłysk o metalicznej, bez lśnienia, zimnej
i odpychającej barwie cyny. Fale, wynurzające się stam-
iąd, nie miały już cieniów i barw w sobie złamanych

Były ciężkie i jednoustajne, niby z jałowego metalu. Nurzały się w sobie coraz szybciej te skiby i brózdy wodne, jedne w drugie wchodziły i pożerały się wzajem, bez końca. W szerokiem ujściu rzeki pogranicznnej Bidassoa, zamkniętym między przylądkiem św. Anny, od skał najeżonym i ślizkim, a hiszpańskim już Cap du Figuier—zwolna wlewały się fale na ławice niskich piachów, dając bez ustanku a niepostrzeżenie aż pod same mury Fuenterrabii. W oczach żółte niziny i brzegi rzeźbione stawały się niczem, topniały i ginęły. Wnet przemieniły się w morze. Twierdza francuska Hendaye na tej stronie zatoki ukazała się na brzegu morza, kiedy niedawno stała wśród rozległej płaszczyzny ziemskiej. Nad zielonkowatym obrusem wodnym unosiły się teraz z piaskiem rybitwy. W skalnych zatokach, w żółtych ostojach, między wapiennymi nogami skał nadbrzeżnych, w przesmykach najeżonych wypróchniałymi zębami, rozszerzał się tuman nieruchomny. Nigdzie we całego żagla, ani trwożliwej pracy wioseł...

Skały tylko naokół trupio szare, złupione przez czas i plutę, wyssane przez wody, z dziurami, jak w zeszlej gąbce. W płowej ich masie, w chropawej odrażliwości lśniły się pod zorzą białe żyły marmuru, kryształu, czy soli, wypukłe, jakoby sieć splątana badyłów i kłączów dawno uschłych i zaginionych porostów morza. W szczelinach, przepęknięciach, dziurach i niedostępnych lochach dogorywała ostatnim połyskiem, barwna jeszcze od zorzy, a w rzeczy stęchła, gęsta i giąjąca woda, karmicielka mchów żółtych i szarych pnączów. Z daleka od brzegu i calca skały tkwiły w morzu odosobnione pnie kamienne, zębate szkopały i wy-

datne bryły. Zdało się w zmierzchu, że to chropawe skorupy olbrzymich żółwiów, że to krokodyle uśpine, że to kadłuby zabitych i zwalonych słoniów, hipopotamów, czy nosorożców z wyciągniętymi członki, ze skrębionymi zwojami trąb, łbów i karków. Bliżej lądu dźwigały się z brzegów jak gdyby zwalone baszty zamczysk, posępne ruiny kościołów, które zburzyło najście barbarzyńców. Stercały, zamierzając się na morze, śpiące urwiska i zręby rozwalone -- ni to siekiery, ni to młoty i piły poczwarne koczujących w zaraniu świata plemion ziemi, ni to groty spis, dłoła, widły, osęki...

Wypłynął z głębi gór biały, jasnośliczny, ostro zarysowany wietek księżyca na pierwocinach nowiu i brzask swój pylny, sypki a nikły z mroku począł wywijać i siać na topiele oceanu, na szerokowładne przestwory wodnej równiny. Wygasł powoli ostatni przebłysk dnia...

Ciemna schodziła noc. Niewidzialne w niej zgonne odmęty poczęły szumieć. Na rozłogi bez granic zstąpiło srebrzyste światło, tworząc jak gdyby szlak i drogę prostą do tajemniczej a niezaglöbionej ciemnicy oceanu. Poszła tą drogą za oczyma uniesiona myśl człowieczka, sama jak błędny, mistyczny pył blasku księżyca. Poszła w Śródmore, w samotnie zjednoczenia wód. Stanęła przerażona między otchłanią nieba a przepaścią chłonącą oceanu -- otoczy świata. Głębia pod nią wody, sześć wiiorów licząca od powierzchni do dna. Noc nad nią ciężka.

Lecz oto jedno słabe a pożądliwe lśnienie księżyca... Wzruszą się wtedy wody! Dźwignie się z ciszy powierzchniej, nieruchomo nad bezgruntem leżącej, ol

brzymi wał. Powstał z odwrotu żywego balwan. Skrzeli lami trzepie w topieliska, pluszcze ogonem. Łeb jego ostry uśmiecha się w pięknym blasku wiecznej Seleny. Schyla się gruby kark, a grzbiet kudłami pian porasta. Wydarł się z wód, wyciągnął w górę aż do granicy ostatniej, kiedy ciężar jego śliskiej bryły stał się równy sile ciągnącej nikłych promieni. Wówczas olbrzymie cielsko zachwiało się w swojej posadzie: potworne łapy, wielkie pletwy brzuchowe rzucają się naprzód i cały kadłub skoczy i popędzi w ślad za białym rogiem miesięcznym.

Powtórę, a stokroć głębiej, rozpadnie się na dwoje ciemne odcielisko na obraz klębu źródła, któryby było z gruntu mórz. Rozwali się płaszczyzna i wstanie z niej balwan. Wyciągnie posłusze barki w stronę słońca, co w morza Zachodu zstąpiło, a którego droga ku ziemi zeszła się teraz na nowiu, w jedno z drogą księżyca. Te dwa wełny morskie wychyną jeden za drugim: z otworzeliska przepaści, roztrząca płynne łożę swe i pociągną szereg następców nieprzeliczony. Staną się wszystkie, jako lotne wydmy i biegające pagórki; poczną ścigać się po okręgu ziemi, biegając ze wschodu na zachód za blaskiem zwiewnym księżyca. Z kolebki oceanu wypadną między szumne rozcieki mórz na północ i południe, na wschód i zachód. Popędzą w swoją drogę nad przepaściami, szybciej od zbieganych koni, gdy skoczą galopem, na przekór biegowi ziemi z zachodu na wschód: lot jej wieczny otamują i zwolnią zdyszanemi piersiami. Wyniosie czuby i grzebienie ich łbów, grzywy ich karków rozbiegną się po rozdrożach mórz i ocean stanie w pianach, siwy wszystek. Ten jest

dzień syzygiów na nowiu, doba wód zzieleniały. Dwakroć dziennie zalew wychodzi z ujść swych i nosi wody spienione, tłukąc się i kołacąc po brzegach ziemi suchej. Taka sama nastanie pora czasu pełni, gdy słońce i księżyc zjawią się na przeciwnie biegach i gdy pociągną nurty mórz we dwie strony, każde ku sobie. Trzykroć większy wstanie wał słońca, niż wał księżyca. Dwutygodniowa praca mórz skończy się wówczas, gdy rozejdą się drogi ciał niebieskich i księżyc zaświeci w kwadrze. Wtedy rozdzielają się wielkie ruchy fal, w różne się strony rozchodzą i cichnie żywioł. Fala, dźwignięta z oceanu przez księżyc, strącona zostaje ze swej podstawy i powściagniona w sile przez władzę kierowniczą słońca, stokroć możniejszą od księżycowej. Gdy nadjejdzie doba porównania dnia z nocą w porze wiosennej i druga w porze jesiennej — wzruszą się i zbełtają fale dwakroć wyżej. Zahuczą wełny, sieczone basiorami tego samego wichru, które ich skoki z nicości i ciszy wywiodły. Pienistym i głuchym szumem ubielą się skały. Ryczące prądy runą w wąwozy między nadbrzeżnymi wantami, rozszarpią piersi swe o kły samotnych szkopułów, po całych nocach szlifować będą opoki najeżdżające dno zatok. Pianą i jękiem napełnią się skalne pieczary. Powstaną wiry, zakręty wodne i prądy śmiertelne w kotłach skalistych między pionowymi łanicuchami zatopionych gór. Wyjdą wreszcie rzeki morskie najwyżej, stworzą sobie wyłomy, przez które wali się zdradziecka napaść odwiecznych sił i klęska. Rozszerzy się najwyżej szlak możnego morza, rozniesie ciemność, strach i jęki po krańcach portów i ujściach rzek.

Krzysztof Cedro stał sam jeden w ciemności i nie mógł odejść, zaczarowany przez gwałtowne sprawy morza. Widział z blizka fale wód żywych, o których śnił na jawie, rozuzdane i rozpasane z popręgów. Hucały przed nim, idąc z daleka. Coś, jakby szybki ryk grzmotu, dzwoniło w ich piersiach i trzewiach, gdy uderzyły o podwodne pnie. Oto bałwan jeszcze widoczny w zmierzchu nocy.

Grzbiet mu się w pałak wygiął i porasta sklebionymi kłakami, jakoby królewskiemu zwierzęciu, kiedy się w sobie do skoku zbiera. Leciał straszliwy i piękny, a wiekuście młody od nadmiaru sił. Skoczył przez krokodyle i słonie, przez hipopotamy i nosorożce, przez podobieństwa wielbłądów i żółwiów; ścigły podrzutem wtargnął aż na wysoki i cały ląd. Bryły wodne runęły w skalne czeluscie, ćpając w nich i miaszcząc. Zamieć wdzięcznych, śnieżnobiałych pian srebrnymi batami i nićmi wycięła w najwyższy kres, a za chwilę wydała przeciągły syk, musując się na obeschlanych stolnicach pochyłości, w wyssanych dziurach wapienia...

Im natarczywsza zstępowała ciemność, tem przestworniejszy stawał się głos mórz. Z dzikiego huku, ze zgiełkliwego chaosu, ze zbiorowiska krzyków rozeszarpanej fali, z szelestów i pluszczeń coraz wyżej wydobył się głos goły, ni to solo dalekie, ni to wieszczba o sprawach przyszłych, ni to pieńie o dziejach przeszłych. Otchłań wodna wznoсиła ten psalm w przyciemnej i szarej poświacie księżyca. Martwej twarzy której druga połowa nigdy się nie ukazała i nie ukaże ziemi, głosiła otchłań powieść, jak to w wie-

czności pracują fale. W tej pieśni-czynie była wiadomość, jak się co dnia wszystkie powierzchnie mórz ukazują z kolei przed martwemi oczyma Seleny. Jak posłusznie wstają z siedlisk okręgi oceanu, jak wędrują a biją w wysoki ląd, i znowu, zawróciwszy się na czołach swych, uciekają na głębie szeregiem opieszałych i martwiejących strumieni. Brzmiała wieść-sprawa, jak morze jedne skały wyniszcza, a inne przez wieki kształtuje i zdobi; jak jedne brzegi sępimi szpony rozdziera, a inne daleko tworzy i hoduje; jak pracowicie zamula istniejące porty, a do innych oskardami kuje wrota w rozszarpanej ziemi...

Wzmogła się pieśń. Grzmi w niej wieszczący głos o dziejach mórz i lądów. Cóż jest susza, na której człowiek rozpostarł swoje dziedzictwo i herb swojej potęgi wyrył?

W łonie się oceanu poczęła, jako płód i jednego dnia przez ocean może być zniszczoną. W łonie oceanu tworzył się jej piasek, zsiadała glina warstwami, rodziły się margle i głązy opok, gotowały wapienne skały, zrastał w tafle granit, leżący na szczytach Alp i Pirenejów. Ciałem swem okrywał ocean najwyższe wierzchołki gór. Przed zupełnością czasów wydał ze siebie ląd, jak rodzić wydaje na świat ojcowica. Rzuścił go nago pod słońce, księżyc i gwiazdy, wydał słabego na hodowanie powietrzu...

ZA GÓRAMI.

W końcu maja, po trzytygodniowym spoczynku w Bajonnie, pułk lansyerów Konopki sam ruszył w góry. Szedł nie drogą na Irun, lecz krótszą, prowadzącą wprost do Aragonii, prastarym szlakiem Karola Wielkiego, na wąwozy Ronsewalskie.

Tysiąc koni pod pułkownikiem Konopką, a pod szefami szwadronów: Kostaneckim, Klickim i Routier'em. Zaraz za Bajonną wziął się na lewo idącą doliną. Ciągnęli między dwoma łańcuchami regłów na południowy wschód, przez miejscowości zwaną Macaye aż do Jaxu. Tam spoczęli na noc.

Droga stamtąd zwracała się stromo i szła na zachód w górę do Saint-Jean Pied-de Port. Już następnego dnia weszli w zawrotne wyżyny kamiennych Pirenejów przez Valcarlos. Drogi były tak wązkie, spadziste, rano ślizkie od tających śniegów, że całe to przejście musieli odbyć piechotą, konie prowadząc u pysków.

Zimno było takie, że ułani powciągali na sieć wszelkie odzienie, co tylko kto miał. Więc każdy żołnierz

kładł codzienne ubranie na paradny strój, a jeszcze na to wciągał lejbik stajenny z drelichu, spodnie robocze, używane w czasie czyszczenia koni, i zapinał je na ośmnaście guzików z boku nogi. Na czapki ułańskie żołnierze powciągali czarne ceratowe futerały i, odwinąwszy ich klapy, zawiązywali je pod brodę, żeby osłonić uszy i szyje od wściekłych wiatrów i przeciągów górskich. Na wierzch dopiero kładli płaszcz i owijali się nimi. Oficerowie, którym moda i junactwo nie pozwalało nakładać na czapki żółtych futerałów z ceraty, marzli okropnie. To też często rozkładano ogniska.

Żołnierz szedł od strony przepaści i pchał do skały chrąpiącego bieguna z Mazowsza, który miotał się w ręku, drzął z zimna i przerażenia na widok otchlani. Kilka-kroć ukazali się na załamaniach górale aragońscy, uzbrojeni we ɻinty. Strzelali z daleka i, nie czekając starcia, ginęli w szczelinach czarnych, jak oni. Szef Ko-stanecki, idący ze swym szwadronem na czele, posyłał im salwę kul z karabinów, które oficerowie, podoficerowie i flankiery dostali byli w Bajonnie — i na tem kończyły się starcia.

Bardziej, niż te epizody, zajmował przybyszów z Północy sam świat górski. Piorunem spadające w przepaść boki krzesanic, strumienie, co się trzepią po nagich tarczach skał, jodły i pinie na zboczach niższych, wreszcie olbrzymimi zagajami rozrosły krzew dzikiego rozmarynu, który całe doliny jak gdyby kobiercem wyszciera, wszystko na cokolwiek zwrócił oczy, w zdumieniu ich wprawiało. Częstokroć nad rozległą doliną, w którą przybyli, przebywszy najwyższy przesmyk, ukazywał się orzeł i zakreślał olbrzymie koła lotem, któ-

rego szybkości oko pochwycić nie mogło. Otworzył się przed oczyma, gdy tylko wyszli ze stromych przejść, kraj garbaty od skał okrągłych, zbałwiony od gór, kraj pochyły, stargany, leśny, idący w stronę południową na przestrzeni blisko sześciu mil.

Cedro, peregrynujący obok swego konia, dzwonił zębami z zimna, ale zarazem palił się z zachwytu. Dawało mu szczęście to przeświadczenie, że mija wąwoz Roncevalles. Zdawało mu się, że w tej chwili zdobywa ostrogi rycerskie.

W ciągu dwóch kolejnych dni pułk lansyerów szedł leniwo i ostrożnie w dół drogami górsłymi. Mijali z rzadka leżące pasterskie siedliska, w których najczęściej drzwi były pozamykane, a obozy pustką stojące. Spoczeli dopiero w Pampelunie, fortecy, zajętej już przez garnizon francuski, zostający pod dowództwem generała Lefebvre-Desnouettes'a, starego przyjaciela Polaków. Wyszedłszy z Poinpejuszowskiej Pampeluny w przedniej straży małego korpusu generała Lefebvre'a na południe, pułk ułański dnia 6 czerwca pierwszy raz spotkał gromadę uzbrojonego ludu. Zbiorowisko to zblizeniem się jeźdźców rozpierszchło się. Szli tedy dalej na Taffala, Olite, Caparoso w stronę Valtierra, miejscowości, leżącej nad brzegiem rzeki Ebro. Stamtąd droga zwracała się na wschód ku Tudeli, idąc wciąż nad samym brzegiem rzeki w jej dolinie. Dopiero w Tudeli miał być most, a z tej strony rzeki za Tudelą już ani śladu drogi. W tych miejscach trafiono na wioskę opustoszałą. Wiara była zgłodniała, konie zmordowane, więc po rozstawieniu placówek, ludzie rozbiegli się po wsi w poszukiwaniu obroku i jadła.

Któryś z plądrujących znalazł w kościele, za wielkim ołtarzem, ukrytą pszenicę. Sygnięto jej obficie w puste złoby. Kiedy ludzie zajęli się gotowaniem dla siebie posiłku, zgrzane konie chciwie chrupały hiszpańską pszenicę. Nazajutrz dały się słyszeć strzały placówek. Pułk zerwał się na nogi. Gdy zaczęto siodlać konie, spostrzegli wszyscy, że wierzchowce wstawać nie mogą. Jedne z nich, podzwignięte, stały z trudnością i nie były w możliwości utrzymać się na przodach kopyt. Kopyta ich były gorące, jakby pełne ognia. Dzielne rumaki wysuwały teraz obrzydliwie przednie nogi naprzód, tylne podsuwająły pod brzuch dla utrzymania ciężaru ciała. Łby ich zwisały, a wreszcie cielska waliły się bezwładnie na ziemię.

Pomimo wszelkich środków, jak usilne wycierania, puszczanie krwi, struganie kopyt, tegoż jeszcze dnia około dwunastu koni padło na miejscu. Inne ledwo się mogły ruszyć z owej wioski. Mała armia Lefebvre'a, która szła w tropy przedniej straży, wyścignęła teraz ułanów, zdążając chyło na wschód, lewym brzegiem Ebru, dla zajęcia Tudeli. Krzysztof musiał prowadzić swego konia za uzdę i iść obok niego piechotą. Zrazu miał kilkunastu towarzyszów, z których jedni wyprzedzili go, jadąc konno nogą za nogą, inni tak samo jak on wędrując obok wierzchowców. Około południa puścił się deszcz gęsty, dokuczliwy, nie ustający ani na chwilę. Konie jeszcze bardziej słabły i siedziały się na schorzałych nogach. Pod wieczór strapiony Cedro spostrzegł, że jest sam jeden na drodze. Nie widział koło siebie nikogo. Jedne z koni jego towarzyszów pozdychały, inne legły bezwładnie z wyciągnię-

temi nogami. Idąc wciąż pilnic przy pysku towarzysza, spotykał te konie padłe, leżące bez siodeł i uzd. Tem staranniejs i prawie z rozpaczą pilnował swego. Szedł coraz wolniej, byleby go nie utracił na drodze. Koń trząsł się z gorączki, stawał na piętkach kopyt, słańiał się i rżał głucho. Jeździec poszarpał swoją koszulę, podarł na pasy i użył ich na bandaże, którymi obwiązywał mokrą glinę na kopytach. Miało się ku zachodowi, gdy rumak zachwiał się i runął bezwładnie nad rowem drogi. Zębami gryzł ziemię, nozdrzami miotał płonący oddech. Szarpnął się raz, drugi, trzeci. Dreszcz głęboki przebiegł go, piękna głowa głucho runęła w miękką ziemię. Ustał płomienisty oddech...

Pełen głębokiego żalu stał nad nim jeździec z oczyma utkwionymi w zmierzchowych źrenicach, w dziwnym, jak gdyby szyderczym a nieskończenie bolesnym uśmiechu pyska.

Pchnęła go w piersi ta niespodziana przeskoda i obudziła z dumnych zamysleń rycerskich. Przyniósł go tutaj ten wierny, kochany towarzysz z ojczystej ziemi, przeprowadził przez tyle krain na jawie i przez taki ogrom widzeń, miał zanieść go do miejsca sławy... Teraz śmiał się z tego wszystkiego gorzkim śmiechem śmierci.

Spostrzegłszy, że nigdzie na drodze niema towarzyszów, a noc się zbliża, Krzysztof odpiął obergort czapraka, popręg siodła, ściągnął uzdę, podpiersie... Gdy wyczuwał rękoma gorąco we wzdętym brzuchu i krążenie w żyłach krwionośnych łyba, trząsł się sam i słańiał. Zrzucił derę, siodło z czaprakiem i trenzle na kark własny, lancę ujął w garść i ruszył naprzód go

ścińcem. Szedł teraz co tchu, żeby dogonić pułk. Rozglądał się na wszystkie strony, a nie dostrzegając nigdzie żywej duszy, począł równo, miarowo biedz z góry. Deszcz był coraz rzesiściej. Okolica wciąż była ta sama: garbata na północy i zjeżona od stromych gór na południu, przerznięta doliną Ebru. W pewnej chwili Krzysztof zjadł kromkę chleba, którą miał być jeszcze z dnia poprzedniego w torbie skórzanej obok olstrów pistoletowych. Ale kromeczka była mała, stanowiła pierwsze śniadanie i obiad, to też nie zaspokoili głodu. Napił się wody ze źródełka, które zdybał wędrując, i przepatrywał wciąż okolicę. Stojąc na niewysokiem wznieśieniu, widział przed sobą na pewnej przestrzeni gościniec, wijący się jak wstępna w dolinie rzeki. Z miejsca, na którym stał, zbaczała na lewo ku rzece węższa okoliczna droga, która jak cięciwa przecinać się zdawała na ukos cały rozdół rzeki. Wydało się Krzysztofowi, że tedy będzie daleko bliżej do szlaku gościńca, który był widział w oddali. Bez wahania puścił się tą boczną drogą. Wyjął w biegu z olstrów obadwa pistolety, wpakował je za pendent, lancę do boku przycisnął, pałasz przytroczył wysoko — i dalej, bez trwogi! Płaszcz nasiąkł od dżdża i silnie ociężał. Czaprapak z białych baranów, przykrywający siodło z wierzchu, namókł także. Z granatowych obszyć czapraka, idących w zęby, kapała za kołnierz jakaś zębata woda. Mantelzak, po wyjęciu pistoletów z olstrów, przeważał teraz ciężar na prawą stronę i uwierał ramię. Tybinki klapały, rzemienie podogonia, podpiersia, uzdy, puślinka i popręgi rozpełzały się z rąk co chwila i płatały dokoła nóg. Ubiegł tak już z dziesięć stajań pola, za-

rosłego drzewem oliwnem, kiedy ostatnie brzaski słońca, przesączaając się przez strugi deszczowe, ukazały mu dziwaczny w pobliżu widok. Zraż myślał, że ktoś modli się pod krzyżem, nabożnie złożyszy dlonie. Gdy podszedł bliżej, zatrząsł się i ścierpł ze strachu. Stały tu między drzewami naprędce wkopane w ziemię słupy parkanu z poprzeczną żerdzią. Do tej przecznicy właśnie były przywiązané ręce woltyżera francuskiego w tornistrze i mundurze. Dlonie miał związane w tył postronkiem, wykręcone do góry w ramionach i zdziergnięte na poprzeczną żerdź w taki sposób, jak się wiesza na hakach śpiżarni zabite sarny i dziki. Cedro zawała na niego z odległości kilku kroków. **Żadnej odpowiedzi.**

Zbliżył się powoli i wtedy dopiero szczegółowo rozpoznał wszystko. Te ręce związane kręcono widać, włożyszy kołek w miejscu ich złączenia, gdyż ramiona wylazły z rozpękłego munduru, jak nagie kolana wyłączają z podartych spodni. Usta były zakneblowane gałganem zwiniętym w kołek, nos oberżnięty, uszy wyrwane ze łba, w obnażonych piersiach ze trzydziestu czarnych ran. Kiszki wywleczone z brzucha leżały na ziemi. Do pasa trup owinięty był czemś, co jeszcze dymiło się czarnym kopciem, choć ognisko, pod stopami rozłożone, zgasło już, przez deszcz zalane. Cedro pomacał wystające ramię. Było już chłodne.

Jęknął na widok czarnych, straszliwie rozpuchłych od palenia ogniem gnatów nożnych, okręconych słomą, maczaną w oliwie. Zdjął trupa co tchu z owej żerdzi, położył na murawie. Gdy tak stanął nad nim rozkraczony i patrzył na leżącego jakoby z grubem cygarem

w gębie, rozdętego w szyi, z oczyma wywalonemi na wierzch przez straszliwy ból, że były, jak dwie gały z czerwonego kamienia, bez uszu, i z brzuchem rozwalonym a z kupą kiszek, które zwisały, jak obfita dewiza z brelokami, ogarnął go szczególny rodzaj wewnętrznego śmiechu. Nie myśląc o tem, czuł, że śmieje się, jak jego wierny koń, zdychający na pampeluńskiej drodze. Pomyślenie błędne, obce duszy, jakieś niby to sformułowanie tego widoku nikle i prędko wypsnęło się w mózgu wpośród wzdrygnień niezdrowego śmiechu: do dyabła! nie zawsze cierpienie jest piękne, nie zawsze, nie zawsze...

Chwycił lancę upuszczoną na ziemię, siodło na barki, otoczył sobie szyję rzemieniami, żeby mu nie zawadzały, i jelenimi skoki pomknął w swoją drogę. Już się walił na ziemię mrok szybkiej nocy. Wytęzał piechur ułomne oczy, żeby objąć całą drogę i nie zabiłdzić w ciemnościach. Otoczyły go po przejściu zmierzchu w noc szepty, szmery, szelesty drzew, szelesty oliw i platanów obce uchu. Nigdy ich w życiu nie słyszał... Daleki plusk rzeki Ebro... Polne koniki sykały w otaczającej nawale ciemności. Dźwięknie, z nieznaka uderzywszy się o żelazo wędzidła, rozetka napierśnicy w kształcie serca, spajająca rzemienie... Zadzwoni nagle strzemię o strzemię, zaskrzeczą sprzążki popręgów — i w mgnieniu oka włosy stają na głowie. Idą! Nadbiegają... Serce bije... Banda chłopów bieży, czając się po zapłociu... Wargi ich zagryzione, oczy od wściekłości przymknięte, w rękach — żegadła. Gdyby przynajmniej można było widzieć! Gdyby tylko można było dojrzeć miejsce i tych ludzi! Zmierzyć oczyma

ich liczbę! Bronić się do stu piorunów! Przecież potrafi bronić się i umrzeć, jak się należy! Ale ginąć podle, wśród podlej zgrai, wśród rozzartych zwierząt, tłumem na jednego napadających. Jak tamten... mieć w ciągu godzin wykręcane ręce, a nogi palone wolnym ogniem!

Szedł w tem miejscu obcem na palcach, bez wieady, że to czyni, coraz ciszej, jakby na nogach już spaloneb. Czuł kiszki wydarte niejako ze siebie i oczy wyłupane...

— Tchórzu, tchórzu! — mamrotał z cicha, przypieszając kroku. Skutkował taki okrzyk przez chwilę, ale wnet odpreżała się zasłona, ukazywał się spalony trup woltyżera, i zgięta ohyda waliła się w serce. Kroki Krzysztofa stały się ciche, lisie, hyenie. Wlepione oczy przebijały deszcz i mrok. Chwilami migły w nich ogniste widziadła, jak gdyby od naglej błyskawicy odślonione, to znowu kładły się kształty płaskie, kwadratowe, czarne. W pewnych miejscach słyszał swe kroki z łoskotem powtarzone dziesięćkroć, jak gdyby stado ludzkie już go dopędzało. Krzyk wydzierał się z piersi, ale go wola dusiła w gardle. Stawał wtedy i z odwiedzionym pistoletem w ręce nasłuchiwał.

Cisza wokół nieugięta.

Drożyna owa, którą szedł, kamienista i poryta przez deszcze, była z obudwu stron wygrodzona niewysokimi płotami z surowych głazów. Te właśnie kamionki chroniły wędrowca od zboczenia. Kilkakroć wlazł już to na prawą, to na lewą. Poczuł, że idzie pod górę, w wodzie zlatującej po kamieniach i stopniach z szelestem. Był już spocony, zdyszany od ciężaru siodła. Stanął na pewnej wyżynie. Po ostrości

przeciągu wietrznego domyślił się, że jest na samym wierzchołku wzniesienia. Uczynił jeszcze kilka kroków — i oto w niewielkiej odległości rzuciły mu się w oczy światła. Wymacawszy ręką przykopę kamienną, przysiadł na niej i po stokroć zadawał sobie pytanie: kto też to może palić te ognie? Wróg, czy swój? Słychać było naszczekiwanie psa... Francuzi, ani Polacy nie mają ze sobą psa... Daleko zarżała koń... Czyż też to koń? Znowu cisza. Przerwało ją coś rokospznego, jakby echo gry na organach — i znowu milczenie.

Krzysztof wypoczął już i nabrął tchu. Ruszył ku owemu światłu cichymi krokami zmory nocnej. Zstępując wolno ze wzgórza, usłyszał dalekie, w innej stronie wołanie placówek: *Qui vive!*

Serce zabiło, jak młot. Droga rozchodziła się tutaj w rozmaite strony. Przecinały ją szerokie kamienne schody. Na jednym z załamań zobaczył nagle z boku ogromny ogień tak blisko, że stanął w osłupieniu. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie było to wcale okno płonące od światła, nie drzwi otwarte, lecz jakby szersoka czeluść kwadratowa, prowadząca do ognistego wnętrza.

Słyszał gwar ludzki.

Natężywszy ucho, ku najwyższej radości swojej, posłyszał mowę francuską, piosenki lekkomyślne, obozowe, krzyki, kłótnie... Pobiegł tam, skacząc przez mokre krzaki winne, przełączając przez mury ogrodzeń i zapadając w rowy pełne wody. Wkrótce szyldwach przyłożył mu karabin do piersi. Sam ledwie mógł wykrztusić pytanie, tak był przerażony, gdy nań z mroku na skoczyło siodło, kryjące głowę ułana. Przybysz ledwie

mógł wykrztusić *mot d'ordre*, tak był strudzony. Obejrzano go ze wszech stron przy blasku latarni i puszczonego ociekającego wodą do ognia razem z jego siodłem i dzidą. Tak dobrodusznie zdecydował przywołany kapral Krzysztof zbiegł po kilkunastu stopniach i stanął na progu głębokiej uawy wielkiego kościoła. Kilkańście ognisk buchało pod jego środkowem sklepieniem i w bocznych kaplicach, filarami oddzielonych od głównego wnętrza. Na ołtarzach płonęły zapalone świece. Mnóstwo ich również jarzyło się w rozmaitych kątach pod chórem i na chórze, na ambonie i w kruchtach. Ze dwa tysiące żołnierzy biwakowało tam z wrzaskiem i śpiewem. Jedni chrapali już, leżąc pokotem na kościelnych dywanach pod chórem, między filarami, dokoła ołtarzów, a nawet na ołtarzach. Inni piekli na ogniu połcie mięsa, prosięta, indyki, koguty, inni zarzynali drób i odzierali go z pierza. Cedro doświadczał uczucia niewymownej radości. Nie grozi mu już napaść z tyłu i straszliwa śmierć wołyżera, nie otacza go samotność w czarnych polach, nie leje się po plecach zacięk deszczu. Ogień, światło, suche płyty! Krzyk ludzki!

Naokół siła i wesele ludzi zdrowych!

W pierwszych minutach nie mógł się zorientować, co się to tutaj robi, czem się zabawiają jowialni kamraci. Wyszukał oczyma wolne miejsce pod boczną ścianą i zajął je prawem kaduka, z rozkoszą wyciągając zdrętwiałe nogi. Zaraz utworzyła się dokoła jego figury kałuża z ociekającego płaszcza i odzienia. Dym ognisk zapchał gębie sklepień i ciągnął ku drzwiom. Deszcz pryskał przez wybite witraże. Ze dworu po ziemi szedł mokry chłód.

W kłębach owego dymu, w blasku kilkunastu świec, przytwierdzonych do gzymsu ambony, ukazywał się co chwila grenadyer francuski, który, wdziawszy na mundur komżę i założywszy na kark stułę, głosił kazanie o najsprośniejszych objawach życia, o najohydniejszych przestępstwach, jakie tylko zgromadzić może w szczupłe ramy anegdoty kawalerska imagina-cya. Mowę swoją ilustrował najzabawniej w świecie, skubiąc dużego koguta i co chwila z giestami krasomówczymi rozsypując na słuchaczów obdarte pierze. Umiał przytem piać i udawać gdakanie spłoszonych kokoszek w sposób iście zabawny. Cedro śmiał się do rozpuku mechanicznym, martwym śmiechem, bokami i gardłem, aczkolwiek doświadczał jednocześnie uczucia przykrości. Wciąż dokoła niego łamano konfesyonaly, rąbano rzeźbione stale i ławki, katafalki, schody, drabiny i lichtarze, sprzęty kruchciane, starodawne naczynia z drewna, bardziej już przez swą starość symbole wieczności, niż przedmioty rzeczywiste. Rzucano je wraz z chorągwiami, z mszałami w wielowiecznych oprawach, wraz z poczerniałymi obrazami w grubych ramach na stosy, i ognie pełgały coraz żywiej. Krzysztof ociężałemi oczyma patrzał na białe place po zerwanych ze ścian obrazach, gdzie nikłe pajęczyny chwały się od przeciągu... Ziewał, kurcząc się w sobie żałośnie. Na marmurowej posadzce stały pośrodku rozlane katuże juchy presiąt, cieląt, kogutów i indyków. Za nogami chodzących włóczyły się istne korowody puchu i pierza. Słyszać było gwar przeważnie francuski, ale przebijały się dźwięki niemieckie, polskie, hiszpańskie, a nawet holenderskie.

— Holendrzy w Hiszpanii, jako zdobywcy... — pomyślał leniwie Krzysztof, ziewając z całego serca.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi prowadzących do zakrystyi, tak znany uchu katolickiemu, a zwiastujący wyjście sumy. Wszyscy porzucili swe zajęcia i zwróciли głowy w tamtą stronę. Istotnie wychodził z zakrystyi tłum poprzebieranych żołnierzy. Naprzód szedł szereg jakoby chłopców, mających służyć do mszy w koniżach i ponsowych pelerynkach. Każdy z nich niósł dużą butlę omszałą z minką skromną i pokornie spuszczoneymi oczkami. Ustawili butle na wielkim ołtarzu szeregiem i, złożywszy rączki, pośpiesznie zbiegli ku stropniom. Za nimi dopiero wylazł z zakrystyi piechur z wąsiskami, jak dwa lisie ogony, w lśniącej kapie i berecie, drugi za nim w ornacie, trzeci tylko w albie, którą podnosił w sposób damski, zwany *incroyable* czasu wielkiej rewolucji. Każdy z nich dźwigał olbrzymi gąsior z winem.

Tłum żołdacki ryczał z zachwytu i klaskał w ręce. Tamci, błaznujący, poustawiali przyniesione gąsiory na ołtarzu. Przydzwiganą przez kilku beczułkę z winem wtoczyli na ołtarz i ustawiły na szczycie cyboryum. Piechur w kapie wziął z rąk kolegi kadzielnicę i niespodzianie zaczął wykonywać nieprzyzwoity taniec i odprawiać jakieś potworne nabożeństwo. Gdy wśród podrygów wyrzucał nogi, odgięła się kapa i wykazała, że celebrans jest wprawdzie w mundurze, ale bez innych, niezbędnych części uniformu, które właśnie suszyły się przy jednym z ognisk. W trakcie tych profanacyi popubierani w komeżki wypchnęli przed ołtarz siwego człeczynę w nocnej koszuli i krótkich majtkach. Ubryny

w kapę wciągnął go na stopnie ołtarza i przedstawił widzom, jako księdza proboszcza.

— Hiszpan, — wołał głosem błazeńskim — ale ksiądz proboszcz! Zdawałoby się, że tak niewiele, a przecież jest to właściciel i twórca tej całej piwniczki winnej. Szanujcie, barbarzyńcy, tego właściciela! Nic nie wypito potajemnie. Nie chciał nam czcigodny ojciec dobrowolnie pokazać skarbu, który przez tyle lat pielegnował, więc go cokolwiek zaznajomiliśmy, z grzecznością. Teraz już jest grzeczny i sfrancuzały do gruntu. Pięćdziesięcioletnia malaga w tym oto antałku...

Wrzask radości rozległ się w całym kościele. Cedro cieszył się na równi ze wszystkimi przemokłymi i zziębłymi kamratami, wbrew istotnym swoim uczuciom. Ceremonia wnoszenia butelek i gąsiorów zajmowała go prawdziwie i szczerze. Gdyby wiariusy wyprawiały stokroć bezecniejsze orgie, uznałby je naprawek głosowi duszy za ciekawe, godne uwagi i w szczególny sposób właściwe. Pić mu się chciało tak okropnie, że zda się kilka lat życia oddałby za jeden z owych pękatych i omszałych gąsiorów wina. Po wielkim zmęczeniu, po trudzie drożnym aż do siódmego potu, po wykonaniu pracy ostatniej, która daje możliwość poznania forsy i trudu jucznego konia, jego znojów i niemal uczuć — było mu teraz na kamieniach odwiecznej posadzki zimno i obmierzłe. Woda właziła w kości.

Włóczył spracowane oczy po płytach okolicznych. Sam leżał obok marmurowej tablicy, wielkością przewyższającej wzrost człowieka. Wykute na niej było

niezgrabne wyobrażenie rycerza w zbroi, z mieczem w dloniach splecionych. Twarz z płaskim nosem, pancerz i stopy — wszystko to dawno już było starte podeszwami i obcasami wiernych parafian, wyniesione prochem przez niezliczone szeregi nóg, które w ciągu wieków deptały dumnego rycerza. Teraz był z niego tylko ślad, istne zwłoki, znak świadczący o znikomości pamięci ziemskiej. Dalej leżały tablice, których litery, podobnie jak wojownik, zstąpiły w kraj nicości. Obok napisów były okrągłe, żelazne antaby do podnoszenia tych drzwi grobowych. Z pod nich to wiał ów przejmujący, zwiędły, trupi chłód. Krzysztof nie mógł wytrzymać. Złożył swe siodło, lancę, powiesił przy ołtarzu płaszcz i uzdę. Wszedł między tłum. Trudno było przejść koło ognisk, gdyż wszędzie tam ludzie leżeli na rozciągniętych płaszcach, dywanach, ornatach, kapach kościelnych, na suknie do paradnego katafalku... W stronie prezbiterium utworzyła się zbita masa »przystępujących« do antałka z winem. Wiarus w kapie rozdzielał kielichy między pijących. Krzysztof grzał się i suszył, zdala stojąc przy jednym z ognisk, i rogał się naokoło. Drażniło go rozkosznie skwerczenie prosiaka, pieczonego na bagnecie. Wstyd go palił na myśl, żeby poprosić o kąsek, ale głód kiszki skręcał. Kamraci przypatrywali mu się z podejrza. Zaczęli między sobą mamrotać z niechęcią i zsunęli się koło ognia w taki sposób, żeby mu zagrodzić dostęp. Cedro spojrzał na nich wyniośle i odszedł z głową zadartą do góry, w towarzystwie coraz donioslejszej symfonii kiszowej. Zahuczały organy, na których wygrywano skocznego sztajerka. W jednej z kaplic utworzył się pewier

rodzaj sali balowej. Tańczono tam z nadzwyczajnym ożywieniem i ruchami. Szczególnie odznaczał się w tym kierunku jeden z grenadierów. Tańczył, trzymając w objęciach z pieczołowitą i subtelną elegancją sporego prosiaka. Udawał, że w zapamiętałym szale wiruje w tańcu styryjskim, unosząc w objęciach nadobną i wiotką dziewczę. Ponieważ prawą ręką kręcił prosięciu ogon i szcypał je paznogciami, prosię kwiczało obrzydliwie, uśmierzał więc jego boleść namiętymi szepty. Żołdactwo ryczało.

Przedzierając się ku ołtarzowi przez zwarty tłum, spostrzegł Krzysztof owego starego proboszcza. Księżyna łypał oczyma, stojąc w ciemnym kąciku pomiędzy nagrobkami i wolniuteńko kwapił się w pewnym kierunku, widocznie z tym zamiarem, że się niepostrzeżenie zdoła wymknąć, gdy motłoch na dobre podpije sobie. Zgłodniały lansyer przystąpił do księdza i zagadnął go ostro, w twardym tonie, czy rozumie po francusku. Proboszcz skrzywił się zarazem bolesnie i chytrze; kiwając głową, niby potwierdzał, a niby zaprzeczał. Po wyrazie twarzy Krzysztof poznał, że został zrozumiany. Zażądał wtedy, dobitnie wymawiając wyrazy, żeby mu ksiądz przyniósł cokolwiek do jedzenia, gdyż jest głodny najokropniej, po prostu jak pies. Pleban wytrzeszczył oczy i prawie z płaczem jął bić się w piersi, przysięgać na świętości i wskazywać z językiem, że już nic a nic nie ma, że jego oto prosięta, cielęta, krowę, kury, indyki — i wino — dodał, bokiem, ze zgrozą i okropnym uśmiechem zwracając się ku ołtarzowi, zajada i zapija sławnie po wsze czasy wojsko cesarskie. Cedro był tak zgłodniały, znużony i bezsilny

z czczości, że namyślał się tylko nad tem, jakby z tym klechą począć sobie najskuteczniej.

Ujął go za kołnierz od koszuli i popchnął przed siebie, między tłum. Ksiądz pomknął żywo, schylając głowę, jakby się chronił od ciosu. Dotarli do zakrysty. Tam wszystko było powywalane razem z szufladami. Szafka ze świętym naczyniem była rozbita, szuflady jej wyrwane, a samych przedmiotów oczywiście nie było śladu. Naokół tarzały się po ziemi ornaty, kapy i bieżąna kościelna. Ujrzawszy dużą, żałobną kapę z czarnego aksamitu, Krzysztof narzucił ją ciechą na ramiona z myślą, że będzie mu służyła za kołdrę. Zamierzał teraz na dobre zabrać się do księdza. Obejrzał się na niego... Zobaczył płaczącego pod ścianą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Śmiesznie wydatny, a doskonale okrągły brzuch księdza między naiwnie pierwotnymi szelkami wstrząsał się w krótkich i obcisłych majtkach od głębokich szlochów. Całe ciało targało się konwulsyjnym dreszczem.

Krzysztofa ogarnęła przelotna, krótka litość. Zbliżył się do starego i dotknął jego ramienia. Gdy tamten podniósł głowę, spojrzał mu w oczy z serca. Pokiwał głową, pokiwał głową... Później pocałował go w ramię i rzekł mu do ucha:

— Wielebny ojcze, dawaj mi, co masz jeszcze do zjedzenia, bo zdycham z głodu.

Ksiądz podniósł na niego zapłakane oczy i z zatłamanymi rękoma wskazywał owo zniszczenie sprzętów, szat kościelnych, naczyń... Byli ku sobie wzajem pochyleni, i właśnie Cedro miał zamiar wytłومaczyć staremu kanonikowi dobrотliwie, z wyrozumiałością, że

to sam Bóg karze go zapewne za ów kult wina, oraz cieląt widokiem świętego kadzenia przed wypielęgnowaną beczułką malagi, kiedy ksiądz schylił się, zaczął podnosić alby, komże, składać je sekretnie, pośpiesznie, ze czcią w szufladach. Krzysztof mu nie przeszkaądał. Sam rozglądał się po kątach, czy nie znajdzie jeszcze czegoś sprofanowanego, albo czegoś do jedzenia... W trakcie tych swoich zabiegów usłyszał szczęk klamki w najciemniejszym kąciku zakrystyi. Rzucił okiem i posunął się w tamtym kierunku, ale ujrzał już tylko plecy i pięty proboszcza. Drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich szybko z tamtej strony zgrzytnął. Cedro wzburzony skoczył, żeby ścigać księżyńę, ale za naciśnięciem klamki przekonał się, że drzwi zostały z tamtej strony istotnie zamknięte.

Kanonik niewątpliwie czmychnął.

Nie pozostało nic innego, tylko wrócić do prezbiterium i szukać tam pożywienia. Stanął za innymi przed ołtarzem. Tłum rozgrzany wciąż za koleją klękał na stopniach i chleptał malagę i andaluzyskie wino Alikante, porządkiem otrzymując złoty kielich z rąk żołnierza w kapie. Już Krzysztof zbliżył się do ołtarza, żeby na stopniu klęknąć i pić za innymi, gdy na niego kolejka przyjdzie. Odchodził od przytomności z głodu, a głównie z pragnienia. Nagle pogarda buchnęła z niego, jak womity. Wypchnęła go duma z tego szeregu. Poszedł precz wprost na swe miejsce, klinąc głośno i bardzo brzydko. Zawinął się szczerle w aksamitną kapę z taką wściekością, jakby za chwilę miał głowę położyć na nożu gilotyny, narzucił na suchą kapę mokry, biały płaszcz ułański, siodło ustawił, jak

wezgłowie. Miał pod ręką lancę i rzemienie siodła, pistolety za pasem. Wydobył jeszcze furażerkę, podłożył ją pod policzek, żeby choć głowa leżała na suchem. Głodny, jak pies bezpański, zamknął oczy i wrzepił głowę między kule siodła, żeby spać i nie patrzeć na świat.

»SIEMPRE EROICA«.

Blisko sześć tygodni Cedro spędził na siodle z rzemieniem lancy na ręku, z ostrogą wpartą w bok biegunu. Miał teraz iberyjczyka, konia szybkiego, jak wiatr. Otrzymał go jeszcze w Tudeli, dokąd na piechotę przybył ze swem siodłem. Od chwili wtargnięcia z pułkiem jazdy na prawy brzeg Ebra i w radosną po górskich pustkowiach dolinę tej rzeki, nie zaznał już jednej chwili spokoju. Brał tedy udział w niezrównanych szarżach lansyerów pierwszego pułku pod Mallen i czternastego czerwca pod Alagon nad Xalonem, cudnym, bystрыm, dzikim dopływem Ebra ze strony południowej. Szedł w przedniej straży całego wojska, kiedy 16 czerwca zbliżano się do Saragosy. Jeden z pierwszych przebiegł we wszelkich kierunkach ów ogród pracowicie uprawny, zroszony licznymi kanałami, zajrzał do każdego domu w podmiejskich wioskach — la Joyosa, Marlofa, Las Casetas, Utebo, Monzalbarba, pierwszy wreszcie dotarł do klasztaru Sam Lamberto w Molviedro. Stąd już nie było trzech wiorst do aragońskiej stolicy. Molviedro stało się od tej chwili niejako domem pułku. Tu po trudach wypraw odpoczywano w zimnych korytarzach

klasztoru, tu nieraz można się było ukryć przed natarczywością dziennych upałów i zimna nocnego, stąd wreszcie wyruszano na setne i tysiączne ekspedycye, z których każda była zatraceniem. Zapomniał już był Krzysztof liczby starć, bójek, pościgów na gładkich szosach wapiennych, wysadzanych drzewem eukaliptusa i platanu w rozdole rzeki Ebro. Wiódł teraz życie na spalonych od słońca wyżynach szosy madryckiej, wijącej się przez la Muela, przez Calatayud — i w dolinie Huerby na drogach przez Daroca, ponad kanałem królewskim i za rzeką, za Ebrem, na lewym, bagnistym brzegu w dolinie Gallego i na górach jałowych, solnych, kruchych od zwietrzałego kamienia i sypkich od gipsu. Ponieważ szczupła armia generała Verdier'a, której zadaniem miało być opanowanie Saragosy, nie posiadała wcale magazynów, więc ułani nadwiślańscy musieli dostarczać dla całego wojska zapasów żywności i furażu. To też dzień w dzień, podzieleni na oddziałki, od wczesnego rana pomykali w góry. Bogata, mlekiem i miodem płynąca dolina Ebra była zupełnie pusta. Jedna część mieszkańców uszła do Saragosy, inna w góry, zabrawszy ze sobą dobytek. Trzeba było szukać stad owczych, krów i kóz w ich niedostępnych kryjówkach. W ciągu tych sześciu tygodni ułani wyćwiczyli w sobie instynkty tropicieli i zbójów. Cedro odnalazł w sobie duszę jakiegoś przodka z czasów Maćka Borkowica. Zobojętniał już na przykrości tego zawodu. Owszem, odszukał w nim pewien szczególny urok, bezczelną dumę, rozkosz tyranii, śmiech zdrowy z ludzkich jęków. Każda teraz chwila jego życia upływała pod ruchomą skalą grozy.

Człowiek w górach napotkany, to był wróg, go-

dzący nożem w serce. Z za każdego krzaka czyhała lufa strzelby, strzał padał i kula świstała z za każdego kamienia, a każdy cień przelatujący zwiastował śmierć. Ale w tem właśnie młoda dusza znalazła dla siebie żywioł. Była to rozkosz — wyjść w kilkanaście koni wczesnym, modrym, zimnym rankiem w lipcu, nim słońce wstanie z za góra ziemi Monnegros, co koń skoczy przebiedz chłodne, mroczne aleje drogi pampeluńskiej, wyjechać z obrębu oliw i winnic, zawrócić na południe ku Placencyi, a stamtąd cichaczem rzucić się w bok, w zgorzałe, sypkie, spadziste rumowia dolin. Wyjść z obszaru cyprysa w rzadkie gaje pinii. Stamtąd widać jak gdyby step zburzony, strzaskany, gdzie cisza i głusza, gdzie suchy, bezmglisty cień poranka leży nad dolinami, jako wieko. Nagle wichrowym skokiem, wpadną do jakichś kamiennych zagród, zastaną tam ludzi, złapią stada. Przystawią ze śmiechem lufy pistoletów między czarne oczy tym chłopom ponurym i zmuszą ich, żeby jak niewinne baranki pędzili swe stada na szosę i aż do samych bram oblężonej Saragosy. Nie zawsze jednak udawało się tak łatwo. Trafiali się dni, w których ciągu naprzóźno płądrówali góry i wąwozy aż pod sam szczyt Puig Cervero za Huerbą w kierunku na Belchite i ponurego w górach zamku Daroca, że darmo rzucali się w płone płaskowyża ku Fuentes, nie spotykając na drodze żywnej duszy. Ileż to razy, tropiąc bydło, wpadli na zaczajoną bandę geryłasów, która rzuciła się na nich z krzykiem i nożami. Były to chłopy proste i dzikie, przyzwyczajone do żywota w ziemi pustej i do wędrówek w Pirenejach z kontrabandą. Przeszywani bez miłosierdzia grotami lanc, wieszali się u szyi końskich,

ostrzem noża rznęli kłęby rumaka i godzili w serce jeźdza. Wówczas to Cedro poznał, czem jest lanca i jak mądre są maksymy towarzysza Gajkosia. Nim wróg zdecyduje się na skok — pęd konia i nastawiony grot! Struga krwi i jęk śmiertelny stratowanego — oto wszystko. Zawsze niezwyciężony pułk lansyerski tratował już wiele kroć tłumy. Nieraz już Krzysztof prał w falach Ebra płotno swej chorągiewki, gdy się stało twardie i jednej barwy od zeszłej aragońskiej krwi. Nieraz już wpław przebył płytkie, letnie fale rzeki. Wielekroć śmigał po równinach lewego brzegu w uroczej dolinie rzeki Gallego, płynącej z Pirenejów, żeby wody swe połączyć z wodami Ebra tuż za murami Saragosy.

W tych wypiąwach sześciotygodniowych już wiele kroć okrążył starą *Caesaraugustę* ze wszech stron. Widział ją od strony wyniosłości Castellar z wyżyn płaskowzgórza Placencyi, od strony południowej z la Torecilla i ze wschodu, z płaszczyzny Val de Osera. Rysowały się przed oczyma niezliczone wieże: wyniosły szczyt katedry Del Seo; olbrzymie kadłuby klasztorów — franciszkańskiego w środku miasta, za bramą zwaną Quemada, na prawym brzegu Huerby — świętego Józefa, na południu — czworokąt zamku inkwizycji Castel Aljaferia, na zachodzie — Kapucynów przed bramą Carmen; okrągłe kopuły i strzeliste wieże Nuostra Seniora del Pilar nad samym brzegiem rzeki.

Widzieli dobrze most, łączący przedmieście Arcabal z głównymi przecznicami grodu, które sięgały aż do placu Engracia i bramy tegoż imienia na południu; szerokie zagłębienie między czarnymi gmachami w kształcie litery C — to jest Calle de Coso, którego grube, środ-

kowe brzuśce pod Franciszkanami i szpitalem obłąkanych stanowiło wydłużony plac, dolne wyjście kieruje się za gmachem uniwersytetu ku Puerta del Sol, a górne przechodzi w plac targowy i za klasztorem S. Juan de las Panales dosięga wązką uliczką rzeki Ebro.

Mamiło ich i czarowało to miasto posepne. Nie było fortecą, bo je otaczał jeno nizki, dziesięciostopowy mur i liche bramy. Widzieli pierwsze targnięcie się na Saragosę dnia 15 czerwca i atak w dniu 2 lipca, zdobycie wyniosłości podmiejskiej Monte-Torrero, opanowanie klasztoru Kapucynów. Byli przy zacieklem szturmie, obronie i spaleniu klasztoru świętego Józefa.

Poznali tu męstwo jeszcze niewidziane, upór stalowy. Rozumieli to już, że mają przed sobą nie oficerów i żołnierzy, nie lud burzliwy i lecący w rozsypkę, gdy natrze ćwiczony batalion, lecz lud potęgą fanatyzmu przeistoczony w armię. Dowódca w tej olbrzymiej gromadzie nie był mianowany z góry. »Góry« nie było.

Wodzem stawał się najtęższy, najdzielniejszy i najzacieklejszy przez jednomyślny i jednogłośny rozkaz masy. Jeśli źle obmyślił, nieskutecznie rzecz poprowadził, słabo wykonał, nędznie zarządził, za słabo i miękko natarł, nie walczył, słowem, na śmierć, jak tego chciała wola powszechna, wydawało nań wyrok gorącem prawem, stawiano pod murem i jego własna podkomendna gromada kulami przesywała mu serce. Tak zginął pułkownik artyleryi Pesino, tak zginął dowódca zamku Cinco - Villas — i inni. Gromady walczące nie były wcale podzielone na regularne oddziały. Były to kohorty, które przyciągnął i skupił geniusz wodza. Im wydatniejsza była siła tego geniuszu, tem oddział liczniejszy.

Wódz danego oddziału nie zależał właściwie od naczelnego dowódcy: spełniał rozkazy wydane z góry o tyle, o ile je uznał za zmierzające do celu. A jednak wszyscy, jak jeden, byli w danym razie posłuszni wodzowi, na jakiego z woli ludu wyrósł Don José Palafox.

Ułani polscy, stojąc na górzach i patrząc na posepne miasto, myśleli o niem, jako o duszy znajomej i czującej. Lubili tak stanąć oddziałem, patrzeć w nie długo... Nieraz Krzysztof Cedro zatrzymał konia i zapamiętał się w dumaniu. Serce łamało się w nim od tych rozmów, ręce się trzęsły. Z duszy jego wybuchała zaciekleść, a z ust rwał się mściwy okrzyk: — Musisz i ty zginąć, maro! Nie będziesz nam stała przed oczyma, zmoro przeklęta! Przeciw karnym, przeciw regularnym, przeciw ćwiczonym czworobokom stawiasz dumę swej woli, potęgę swojej wyniosłej anarchii! Cha-cha! Musisz zginąć!

Gdy przedsięwzięto sprowadzenie z Pampeluny czterdziestu sześciu dział wałowych, haubic i moździerzy w celu rozpoczęcia regularnego oblężenia, pułk ułański bronił tego transportu od napaści gerylasów w czasie spławiania go kanałem Aragońskim. W tej dobie nie było spoczynku ani dniem ani nocą. Szli ciągle wpław raz na tę, drugi raz na drugą stronę kanału. Zachodzili drogę bandom, zstępującym z gór, siepali się z niemi w zasadzkach, po wyłomach skalnych i w dolach górskich. Nareszcie transport ściągnięto pod Saragosę i oblężenie zarządzono w ten sposób, że opasano część miasta z zachodu i południa, czyli od rzeki Ebro do fortu Monte Torrero. Część wschodnia z całem przedmieściem i zarzeczem była wolna.

Pod koniec lipca Krzysztof, jako znający język francuski, wybrany został z szeregu do kompanii inżynierskiej i artyleryjskiej, którą ze zdolniejszych ułanów i piechurów składał i formował kapitan lansyerów, Hupet. Liczba wykwalifikowanych artylerzystów była tak w armii nieznaczna, że generał-inżynier Lacoste, który miał kierować robotami oblężniczymi, rozporządzał kilku zaledwie oficerami. Baterya, powierzona kapitanowi Hupetowi, stała pod Monte Torrero. Artylerzyści mieli teraz za zadanie kierować sypaniem baterii. Ułatwiała te prace wielka obfitość rowów irygacyjnych, wykopanych jeszcze przez pracowitych Morysków, oraz naturalnych fos, przez które szluzy z kanału Królewskiego wyprowadzały wodę do ogrodów. Przechodziło tedy również wysoko obwałowane łożysko rzeki Huerby. Drzewa oliwne rozciągały się aż do samych murów miasta. To też mieszkańców dniem cięli kulami wypielęgnowane gaje, rwali ogrody, burzyli w nich domki letnie, żeby odsłonić roboty Francuzów i kulami spędzać zatrudnionych chłopów.

Krzysztof porzucił konia i wyprawy, aczkolwiek nie zmienił uniformu ani nie przestał należeć do swego pułku. Siedział teraz w kanałach i dyrygował powierzonym mu oddziałem chłopów aragońskich, którzy pod karą śmierci musieli budować narzędzia śmierci dla swych współrodaków. Co chwila z bagнетem w ręku odpierał wycieczki mieszkańców miasta napastujących, albo uśmierzał wybuchłe w rowach na podobieństwo prochowych min buntu robotników. Z murów i wież klasztornych bez przerwy sypały się kule, wypadały brandkugle, kawały żelaza i kamienie. Nocami uczył

się sztuki stawiania działobitni, sypania przedpiersiów, rznięcia strzelnic, ich policzków i pokolanków, układania podłożu armat, stawiania sworzniów i łuków wkompanych. Oblężeni otrzymali w tym czasie posiłki w liczbie dwu tysięcy ludzi gwardyi hiszpańskiej, ale i Fraucuzi wzmacnieni zostali przez dwa pułki liniowe, które z Francji nadeszły. Baterie zostały ustawione na legarach, ostatnie wbito gwoździe pomostowe, przedpiersia wyłożono faszynami. Na żądanie poddania miasta Palafok odpowiedział wyrazami: »Walka na noże!«

Trzeciego sierpnia ryknęły wszystkie armaty. Czwartego bito od świtu w zamek Aljaferia, odwieczne więzienia inkwizycji, w bramę Carmen i w bramę Engracia. Zarazem strzelcy polscy ruszyli po drugiej stronie rzeki Ebro na przedmieście Arcabal. Krzysztof Cedro stał w baterii naprzeciwko klasztoru Engracia. Ponieważ przewidywano, że brama tego dnia musi być zatarasowana wańtuchami z piaskiem, bito wyłomy obok niej z prawej i lewej strony, w murach należących do klasztoru. Ogromne zabudowania jego stały na nieznacznym wzniesieniu i tworzyły całość odosobnioną. Batalion pułku siedmdziestego i cały pułk pierwszy piechoty polskiej stały w przykopach, czekając na dany znak. Cedro z towarzyszami artylerzystami otrzymał rozkaz wzięcia udziału w szтурmie z karabinem w ręku, gdy szwadron konny nadszedł do asekuracyi armat.

Ludzie byli spragnieni walki, kobiet, rabunku. Drżeli do bitwy. Około godziny jedynastej z rana poczęły się walić i w słupy kurzu obracać mury klasztorne. Na prawo od bramy, w pierwszy wyłom, rzucił się natychmiast kapitan Bal. Za nim przez most na rzece

Huerba ruszyła garść ułanów artylerzystów. Wśród wściekłego upału, w ogniu strzałów, buchających, jak gromy i pioruny, ze strzelnic kutych w murze klasztoru, przypadli do wyłomu. Ujrzeli tutaj oko w oko obrońców. Rzucili się jedni na drugich, jak rozjuszone zwierzęta. Rzygnęła z przebitych piersi krew. Wały trupów zagrodziły wejście. Mury klasztorne z trzaskiem padały. Waliły się sufity i z pięter leciały zastępy chłopów w głęb piwnic. Bälki miażdżyły ich, oberwane piece i ściany zasypywały od razu. Krzysztof znalazł się nad brzegiem jednej z tych jam. Oniemiał. W dymie i ślu-pach ceglanego pyłu, w ruchomych gruzach pod swemi stopami widział gmeranie się tej konającej miazgi. Główy obwiązane czerwonemi chustkami w sposób świąteczny na obraz dużej obręczy; długie włosy wysmarowane tłuszczem, wełniane płaszczew białe i niebieskie pasy, a sięgające do samej ziemi, jak togi rzymskie... Wierz-gały i roły się nogi w białych pończochach i czarnych, aksamitnych spodniach, trepy drewniane z czarnemi wstążkami, związanemi w tyle nogi. Wyciągały się jeszcze ręce, ściskające długie noże.

Z rozwartych jam w rozpękłych ścianach wypadały coraz to nowe szeregi wystrojonych świątecznie; rzucały się na napastników ze ślepem męstem. Zamordowano ich bagnetem i zepchnięto do wspólnego z tam-tymi grobu. Piechota polska wtargnęła w wyłomy klasztoru. Depcąc ranionych i konających, biegając po gzym-sach, obok piwnic pełnych konania, zbroczeni krwią, w poszarpanych ubraniach, z lufami lepkiem i ocieka-jącemi, chyżo wypadli wreszcie na pierwszy plac.

Engracia!

Nareszcie włamali się do tego wściekłego miasta'

Plac był pusty. Gdy weszli na jego środek, jak grad sypnęły się na nich strzały, runęły z góry kamienie. W ślepych murach, martwych, tylnych ścianach domów powybijane były oddawna oskardem wązkie otwory. Z każdego z nich błękitny dym wybuchał. Wąskie ulice, wiodące w miasto, istne szpary między rzędami wysokich kamienic, były świeżo zamurowane, albo zawalone worami piasku. Okna dolne w mieszkańach, drzwi sklepów, wejścia do sieni były również zamurowane i pełne niedostrzegalnych strzelnic. Nigdzie drzwi! Ani jednego żywego człowieka! Nieprzyjaciela jak gdyby nie było!

Druga straszliwa salwa strzałów... Dym buchnął z jednolitych murów i sączył się smugami... Kilkadziesiąt trupów padło na bruk. Oficerowie sformowali plutony i popod murami dążyli co tchci nazad, ku bramie Engracia. Tu się ukryło wojsko za zrębami poszarpanego klasztoru. Znaleźli bramę zawaloną niezmierną masą worków ziemnych, które tworzyły za wierzejami góre, równą ich wysokości. Kazano batalionowi drugiego pułku piechoty polskiej odciągnąć owewory z pod bramy. Rzucili się do roboty, radzi, że nie idą choć chwilę na ślepe, dymiące mury. Między innymi pracował tam i Cedro. Gdy już z dobrą godzinę nosił ogromne *sacs à terre*, omdlewał prawie z trudu. Cały był zlany potem, brudny i niemal ślepy od dymu i kurzu. Dysząc ciężko, usiadł na worku i wyciągnął nogi. Ani jednej myśli... Gdzie to on jest i co robi? Co to za wory i do czego? Huk straszliwy armat grzmota raz w raz w czoło, w ciemię głowy. Przeraziwe jęki umierania... Gdzie to on tu jest?

Tuż obok pod murem, w jego fijoletowym cieniu chodził tam i z powrotem nizki oficer, szczupły, chudy brunet z pięknemi oczyma. Szpadę obnażoną trzymał w ręce. Cedro rzucił na niego przekrwawionem okiem i nie był pewny, czy rzeczywiście widzi tego człowieka, czy to może mu się przypomina jakiś wypadek z takim człowiekiem. Oficer stanął nad nim i z uśmiechem ironii coś mówił. Wśród buchania strzałów, wśród owych galopem pędzonych fal powietrza, wśród walenia w mury pobliskie oskardów saperskich, wpośród ryków na pomoc, wrzasków konania i przesmutnych jęków a wołań — nie mógł dosłyszeć.

Zerwał się na równe nogi i wyprostował.

— Skąd się tu wzięłeś, ułanie z wcietą talią? — wkrzyczał mn kapitan w ucho.

— Odkomenderowany do armat Hupeta kapitana...

— Rozumiem. Spracowałaś się waćpan?

Cedro spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Znam waści z widzenia, z wieści, ze słuchu, panie Cedro.

Krzysztof uklonił się po wojskowemu.

— Jesteśmy w dalekiem powinowactwie. Nazywam się Wyganowski.

Rotowe salwy strzałów i nowy huk armat z pod Aljaferii przerwał rozmowę. Za chwilę Krzysztof siedział znowu na swym worku, a oficer chodził wzdłuż muru.

— A nazywaj się jak chcesz, dyable czubaty... — rozmyślał Cedro. — Powinowactwo...

Rzucił mimowoli wzrokiem w stronę ruin klasztoru i znowu dojrzał zawalone piwnice. Z rumowia wyłazili

ludzie. Gałgany na nich krwawe, obdarte. Gęby straszliwe, oczy w niego z daleka patrzą. Cóż za oczy!

— Wyganowski... — szepcą usta — w dalekiem powinowactwie... Cedro... Cha-cha! Cedro! Niema już, bracie, Krzysztofa Cedry. Poszedł, braciszku, i niema... Och, niema...

Niedługo pozwolono mu melancholizować w tym sposobie. Wezwany ponownie do noszenia worków, musiał z kolegami chwycić za pierwszy ciężar z brzegu i dźwigać go wśród niewysłowionej spiekoty. Na placu Engracia rozwiązywano wory i wywalano piasek na kupę.

— Ciekawym, — myślał Cedro ze śmiechem, biegając tam i z powrotem, jak koń w kieracie --- jakie też to chłopczyki będą znowu nasypywały ten piasek w worki? Czy może my sami?

Skoro barykada z za bramy została usunięta, skruszono młotami jej olbrzymie wrzeciądze i rozwarto wrotnie na ścieżaj. Pułk czterdziesty czwarty walił się teraz w ulicę, na plac i w dziedzińce klasztorne. Co jeszcze nie zginęło pod gruzami murów, to teraz konało pod bagnetem. Opuszczono zabudowania klasztoru świętej Engracyi wówczas dopiero, gdy już nie zawierały w sobie żywego obrońcy.

Wówczas cała siła francuska zebrała się w kolonne, żeby wtargnąć do środka miasta i dojść do mostu. Z placu Engracia trzy wyjścia prowadziły w trzy strony. Pierwsze na zachód do placu i bramy Carmen obok klasztoru św. Józefa Del Calzas. Na północ szła główna arteria miasta — ulica Engracia, otwierająca się na Calle del Coso i wraz z ulicą św. Giliusza (od Cossa do mostu), przecinająca gród na dwie, prawie równe części.

Trzecie wyjście wiodło na wschód, w ogrody i bocznicę ku bramie Quemada.

Wojska musiały iść wprost, w ulicę Engracia. Wezwano saperów, odzianych w zbroje oblężnicze, zapatrzonych w oskardy, i ruszono gromadnie na mur, zagradszający wąską szczelinę. Kiedy narzędzi z dźwiękiem uderzyły w kamienie barykady, istne piekło runęło na napastników. Z dachów, z facyat, z nielicznych okien i strzelnic, z każdego piętra i z za każdego niemal kamienia runęły głazy, bryły żelaza, chlusnęły kądzie wrzącego oleju i wody. Dym karabinowy buchał zewsząd, nawet z ziemi, z okien piwnicznych.

Francuzy i oddziały polskie były w mur bagnetem. Rypali w nim szczerby, wszczepiali weń paznogcie i końce stóp, darli się na szczyt po wbitych karabinach, jak po szczeblach. Skoro ruszono mur przecznicy z wierzchu, rzucili się na pojedyńcze kamienie i rwali je gołą garścią w ogniu i dymie, wśród walących się gruzów.

Nim Hiszpanie zdołali wymordować pierwsze szeregi, już ta barykada była roztrzęsiona bagnetami i zmieniła się na osypisko cegły i wapna. Oszalały zastęp zdobywców wleciał w wąską czelusć ulicy, jak wybuch, jak pocisk ludzki wyrzucony przez siłę piekielną. Zemsta rzuciła ich naprzód. Rozjuszony, ślepy gniew żelaznym kańczugiem gnał do biegu. Ale skoro tylko wychnęli z dołu na wyżynę gruzów zasłony i pokazali się w ulicy, z głębi tego przejścia runęły w nich strzały armatnie. Zatrzesły się i stokroć oddały huk olbrzymie, czarne, bezokienne gmachy, mury klasztorów, dzwonnice i wieże kościołów. Kartacze porwały w sztuki pierwsze głowy i piersi. Jasna krew strugą ściekała po

cegłach w płaskie rynsztoki ulicy. Cała ona jak dłuża była poprzegradzana przedpiersiami. Wywalony bruk, płyty marmuru i porfiru, wywalona z głębin ziemia tworzyły jakoby schody olbrzymie, wiodące w dół.

Miejsca niezajęte pod barykady podarte były przez rowy. Za pierwszą baterią widać było niżej drugą, dalej trzecią. Cztery bliższe bocznicę z lewej strony ulicy Engracia i trzy dalsze z prawej były zabarykadowane nagim murem powyżej pierwszego piętra. Wszystkie drzwi i okna zabite gładzami. Entuzjastyczne, obłąkane zdumienie włosy napastującemu tłumowi zjeżyło. Mieli iść w tę czelność wązką i sięgającą obłoków. Ulica ta wyglądała jak nieznaczne pęknięcie między niebotycznymi murami. Wstążeczkę ognistego błękitu ledwo było widać między gzymsem a gzymsem dachu. Tego jeszcze zdobywcy Napoleońscy nie widzieli na szerokiej ziemi. Ścięli zęby, ścisnęli w rękach lufy karabinów i czekali na znak komendy. Jednym susem skoczyli ku ziejącym paszczom armat na wznieśieniu. Dopadli. Ujrzeli oczyma żywych ludzi w tych murach żywych. Ujrzeli zimnych, spokojnych kanonierów, ładujących strzał nowy. Tamci nie uszli przed lecącym tłumem. Z milczącą, bladą, nieustraszoną pogardą bronili się wyciorami. Na rozkaz poddania się odpowiadali mamrotaniem modlitwy śmiertelnej i śmiertelnymi ciosami. Powaleni na ziemię, bronili się nożem, wyrwanym z za pasa. Konając od stu w jedne piersi pchnięć bagneta, szarpali zębami ręce i twarze żywych i umarłych, jak psy oszalałe z dzikiej miłości swojej, gdy nie dają napadniętego domostwa. Skłute i roztrzęsione na bagnetach krwawe ich trupy po przejściu zwycięskiej kohorty Francuzów

zwisły na wziąk, z rozkrzyżowanymi rękoma, na łóżach, kołach i osiach armat, jak potargane strzępy sztandaru.

Pierwszy pułk piechoty nadwiślańskiej i batalion pułku siedmdziestego pod wodzą generałów Verdier'a i Lacoste'a przeszły przez pierwszy wał i rzuciły się na drugą baterię. Zaledwie, trupami zawalając ulicę, wymieniły jedną z przecznic, rzucił się na nich z za barykady tłum Hiszpanów. Musieli teraz walczyć na wsze strony, rażeni z góry bez jednej chwili wytchnienia.

Krzysztof Cedro znalazł się w ulicy Engracia pod bezpośrednią komendą generała - inżyniera Lacoste'a. Wkrótce jednak kolejne walki rzuciły go między inne grupy. Oszołomiony, ogłuchły od huku, jak w twardym śnie pędził naprzód z innymi, przyciskając figurę swoją do murów niezmiernych kamienic. Przebrnął rowy i żywe wały pierwszej baterii i z nagłą trafił w wyłamane wejście trzeciej uliczki, skręcającej od Engracia na lewą stronę. Woltyżerowie pierwszego pułku zmagali się tu jeszcze z Hiszpanami. Rzucił się i on w tłum. Obrońcy, wymordowani w samym wyłomie, poranieni i skłuci, rozpierzchli się, i tylko z górnych okien wciąż jeszcze padały strzały. Ktoś ze starych wiarusów doradzał, żeby się kryć po pod murami i posuwać niepostrzeżenie za wyłom, ku zakrętowi uliczki. Krzysztof uczynił za innymi, co kazano. Przylepiony plecami do muru, posuwał się krok za krokiem z palcem na cynglu, łypiąc jeno oczyma, z której też strony pocisk go trafi. Okna w tem całem przejściu były na dole pozamurowywane do połowy, to też tam i sam można było przewidzieć strzał, gdy ukazywała się czapka, koniec fuzyi, gdy mignęły plomieniste czarne oczy.

Przyszli nareszcie do rogu ulicy. Ich droga była prostopadła do kierunku głównej drogi ataku. Z miejsca, gdzie się znaleźli, szła wązka bocznicą pod kątem prostym, a równolegle do ulicy Sant' Engracia w kierunku klasztoru Franciszkanów. Nastawiwszy ucha, słyszeli gwałtowną wrzawę przy końcu trzeciej linii tego kwadratu, która to linia musiała znowu łączyć się z ulicą Engracia. Tam pędzili jeszcze pojedyńczo ranni Hiszpanie, wlekli się upadający

Siedmiu przypadkowo zgromadzonych piechurów, a między nimi ułan-piechur Cedro — puściło się na oślep w te zauleki. Przeczuwali, że trafią na barykadę i zajmą jej tyły. Było tam mroczno i zupełnie pusto. Szli cichaczem, niepostrzeżeni przez nikogo. Skradali się na palcach, jak lisy po obudwu stronach przesmyka, plecami szorując po murach. Bez straty i przeskody dotarli do rogu.

W uliczce, która była czwartą przecznicą arterii Sant' Engracia, a pierwszą od strony klasztoru Franciszkanów, wyjrzawszy z za węgla, ujrzel garść Hiszpanów, walczącą na murze. Trwała i wysoka podmurówka z cegły zamyskała tę uliczkę i dzieliła ją od głównej krwawej arterii. Za murem leżały na kupie klawikordy, kanapy, szafy, wozy, stosy wyrzuconych mebli i kupy worów z piaskiem. Na nich to czyhali ludzie pokrwawieni, przeważnie ranni, i bez przerwy strzelali. Kobiety nabijały broń, dzieci podawały ją obrońcom. Na samym szczycie stało kilku młodych i zdrowych żołnierzy. Ci bronili przystępu do tego miejsca karabinem. Woltyżerowie porachowali ów tłumek oczyma... Za chwilę wypadli z za węglów ulicy i z krzykiem rzucili się na

barykadę. Spostrzegli ich obrońcy i przywitali strzałami, nim do podnóża barykady przypaść zdołano. Zarazem ocknęła się ulica. We wszystkich oknach na górze i dole, przed nimi ukazały się głowy i lufy. Huknęły strzały i dym zaciągnął ulicę. Obrońcy barykady zeskoczyli z niej kilku susami i zwarli się z woltyżerami. Przez górne otwory okien zaczęli wyłazić ludzie starzy, baby z siekierami, z tasakami, ukazywały się pięście, błyszczące od sztyletów, i białe wyszczerzone zęby. Żołnierze polscy utworzyli małe czworoboki, najeżdżony bagnetami. Woltyżer, stojący w środku, pchnął drzwi, przy których stał. Otwarły się z trzaskiem przymknięte połowy. Ujrzał za sobą wązką sień i ceglane schody, prowadzące w górę. W mgieniu oka wsłiznęły się czworobokiem do tej sieni i zwróciły wszystkie bagnety w ulicę. Dwu nabijało broń, pięciu woltyżerów i szósty Cedro nie odejmowali kolb od szczęki.

Utworzył się za chwilę dokoła tej sieni zator ludzki z obudwu stron. Cedro był na froncie czworoboku, stał na progu i osłaniał kolumnę. Tuż za progiem od strony wschodniej, więc od strony ulicy Engracia i niezdobytej jeszcze barykady, wysoki, czarny dom występował w uliczce grubą skarpą na jakie półtora łokcia. W tym to występie były na wszystkich piętrach okienka jedno nad drugiem. Było także okno na dole, zamurowane do połowy. W górnym otworze, który Cedro mógł widzieć, bo znajdował się w linii jego strzałów, a na odległość co najwyżej dwu luf karabinowych ukazywała się raz po raz głowa. Dym stamtąd buchał. Wziawszy w ręce nabity przez kamrata karabin, Krzysztof uważnie zmierzył w to okno. W tej samej

chwili znowu mignęła tam biała twarz. Złożył się lepiej do strzału... Tak oto z kolbą przy szczęce znieruchomiał pod kulami nieprzyjaciół. Nie mógł ściągnąć cynthia. Prosto w jego oczy z mroków owego otworu patrzały oczy jakby natchnionego anioła, straszne i cudowne, szeroko od uniesienia rozwarte. Czarna burza włosów nad białą twarzą, którą w maskę zgrozy ściągnęło mestwo i zdziczenie bojowe.

— Jakże jesteś piękna... — marzył Cedro, pełen płomienistego wesela i zachwytu, mierząc między te oczy, surowo w niego wlepione.

Runął jego strzał. Pocisk dymu osmalił mu twarz i na chwilę osławił oczy. Gdy dym się rozpadł, bezwładnymi oczyma patrzał ułan w jamę okna. Oto z futryny wysuwa się cichaczem białe czoło i oczy widma ogarną napastnika. Szczęście owiało mu twarz. Uśmiech owdowańca jego oczyma i ustami. Stali przez mglnienie żrenicy, trwające dłużej niż setki lat, naprzeciwko siebie z oczyma w oczy zatopionymi. Chwila ta trwała krócej, niż zajmie czasu podanie z rąk do rąk nabitego karabinu...

Biegł ku uwięzionym w bramie zastęp coraz większy. Ujrzał istny przed sobą tłum, piechury, rzucili weń jeszcze jedną salwę strzałów, a potem, nie myśląc wcale, co będzie dalej, zatrzasnęły drzwi owej sieni za sobą, założyły ogromną sztangę żelazną od wewnętrz. Nie wiedzieli, gdzie są. Ciemność ich teraz ogarnęła zupełnie. Nie mając nic do stracenia, skierowali się w głąb sieni. Trafili tam na owe schody ceglane. Kiedy Krzysztof wbiegł pierwszy na wązkie, kręte, wydeptane stopnie z cegły, rozwarły się przed nim w ciemności jakieś

drzwiczki. Ktoś krzyknął o kilka kroków przed nim. Żołnierz pchnął w to miejsce bagnetein, ale uderzył w szczery mur. Czając się i wszystkie zmysły posyłając na wzwiady, szedł w górę za szelestem kroków, które przed nim w mroku zniknęły. Cicho skradali się towarzysze. Słyszać było tylko ich gorące, spracowane, złowieszcze oddechy. Zbójeckie oczy przenikały ciemność. Byli jak jednoosobowe widmo śmierci, nawiedzające cichy dom. Rękoma wiedli po ciemnych i chłodnych ścianach, szukając drzwi do mieszkań. Komin krętych schodów otwarł się na pierwszym piętrze w niewielką platformę. Drzwi prowadziły na zamknięte podwórze, dookoła którego biegła galerya drewniana. Chykiem wyjrzały na dziedzińczyk. Nikogo.

Trzy kury najspokojniej spacerowały w dole, na słońcu, pokrakując i dziobiąc niewidzialne ziarenka. Na balkonie papuga zielona bujała się w wysokiej klatce okrągłej z czerwonych prętów. Światło słoneczne ognistym, prawie złotym płatem leżało na jednej ze ścian i części maleńkiego dziedzińca.

Nie wydało się rzeczą bezpieczną wkroczenie z obrebu murów na ów balkon drewniany. Posunęli się wyżej, na drugie piętro, schodami tak samo krętymi po wydeptanych schodach z cegły. Gdy byli w połowie wysokości tego drugiego komina, posłyszeli na jego szczycie lekki szmer. Stanęli.

Była cisza. Ale skoro pierwszy z idących znalazł się w sferze światła, zezem padającego z góry, buchnął w nich strzał. Przodownik stęknął i bez słowa, jak wóz piachu, bezwładnie siadł na miejscu. Natychmiast przeskoczył go następny i wypadł na wierzch. Za nim inni

koleją. Rozległ się drugi strzał. Po nim trzeci prawie jednocześnie. Ujrzały przed sobą kilku mężczyzn uzbrojonych. Byli to księża. Pistolety dymiły się jeszcze w ręku tych sług ołtarza. W mgnieniu oka trzej starcy legli we własnej krwi, charcząc i pazurami szarpiąc nogi żołnierzy. Czwarty i piąty uciekał we drzwi na prawo. Jednego dopadł Cedro. Ksiądz nagle odwrócił się i jednym susem stanął przy ułanie. Był to człowiek w sile wieku, z twarzą szarobłękitną, z siwymi włosami, krótko, przy samej skórze ostrzyżonymi. Po lufie karabina zgrzytnął i ześliznął się siny promień sztyletu. Gdy tak raptem w przerażeniu i napastliwym szale znaleźli się pierś przy piersi, z rękoma wzniesionymi do ciosu, Cedro zobaczył jego straszne, czarne oczy, rozdarte od zemsty i nieruchome, jegozęby białe, jak ser, i rozdęte przez furę nozdrza. Zdzielił go karabiinem z dołu w brzuch, od jednego zamachu ramion. Ksiądz zgiął się w pół i zwolna padł w tył. Wtedy, nie wiedząc wcale co czyni, Krzysztof w mgnieniu oka dźwignął karabin, obrócił go młyciem kolbą do sufitu i zadał uderzenie w jęczące piersi. Bagnet przebił wszystko i uwiązał w podłodze. Wyrwał go ułan z trudem i poszedł za innymi we drzwi napotkane, otrząsając buty i spodnie zbroczone od krwi, która wytrysła i pierzchła na wsze strony.

— Kokoszki! — wrzasnął woltyżer, idący na przedzie.

Kiedy zajrzały do pokoju, dostrzegli tam ze dwadzieścia kobiet różnego wieku, starych i młodych.

Stały skupione, zbite, jakby zlepione między sobą w jednolitą masę w ciemnym kącie dużego salonu. Martwemi oczyma patrzyły we drzwi. Nim słowo rzec,

gromada ta została rozerwana, rozbita na sztuki, rozpatrzona w świetle okna. Stare i starzejące się wyrzucono za łby, kolbami i kolanem za drzwi, do następnego pokoju. Zostawiono siedm sztuk co najmłodszych. Między ostatnimi Cedro ujrzał twarz z okna na dole tej kamienicy. Domyślił się, że ona to biegła przed nim w mroku po schodach. Ona dała znać księżom.

Przypadł do niej skokiem. Porwał w ramiona. Zawarł je z żelazną siłą. Nikt mu jej nie bronił. Teraz wśród straszliwego milczenia, które tę cienią salę napłniło, dawały się słyszeć tylko jęki, wzdychania i płacz konających. Żołnierze zawarli drzwi jedne i drugie. Z rozwścieczonym pośpiechem zabarykadowali je stołami, stołkami, wszystkiem, co było pod ręką. Na chwilę przerwały ciszę błagania, skamiane szepty o miłosierdzie, o zmiłowanie, zaklęcia i szlochy. Wszystko to ucichło, gdy mazowieckie garście ścisnęły delikatne gardziółki Aragonek. Słabe, wypielęgnowane ciała nie mogły się oprzeć powaleniu pięścią na ziemię, nogi ugięły się. Zdarte zostały w mig suknie...

Cedro stał przed swoją wybranką i patrzał na nią blady, jak trup. Oczy jego latały błyskawicami naokoło, badając, czy już wszyscy towarzysze obezwładnieni. Wtedy znowu bez trwogi mógł spojrzeć na nią. Te same ujrzał samoświecące oczy, czarne a przeźroczyste, jak jasna, niezgruntowana woda. Nie miała więcej nad szesnaście lat. Była wysmukła, widzialna prawie w swej sukni przejrzystej. Oczy jej skamieniały od straszliwego widoku, który się przed nimi roztoczył. Walka i szamotanie się jej sióstr czy krewniaczek — zmiażdżyły ją na proch. Usta rozpadły się, chwytając szybki dech.

Jakieś dźwięki w wiotkich wargach... Cedro postrzegł, że mózg w jej głowie wywraca się, żyły się wiją, a czaszka pęka. Zatrzęsła się, załopotała, wygięła ramiona. Nogi zaplotła jedną na drugą, ścisnęła ze wszystkich sił dygocące kolana. Rękoma, jak ptak konający grabiącymi szponami, szukała koło siebie. Oto zaczęły te ręce obcisnąć suknię na lędźwiach, obcisnąć z całej mocy, obcisnąć... Zdawało się, że ze wstydu wlezie w mur, że się wwierci w ziemię.

Krzysztof co przedzej chwycił ją za ramię i pociągnął przemocą. Wlokł ją, jak szczećię, kąsającą mu ręce, aż do drzwi. Rozwarł je uderzeniem nogi. Zatrzasnął za sobą po przestąpieniu progu. Tam uwolnił jej ramię. Stał się z niego w mgnieniu oka wiedeński salonowiec. Złożył jej skromny, a najpiękniejszy ze swoich ex-uklonów i giestem uprzejmym wskazał, że jeśli taka jest jej wola, może się oddalić z tego miejsca, dokąd chce. Tchui mu brakło w piersiach. Ledwie zdołał wykaszać:

— *Mademoiselle...*

Stała przed nim blada, zbielała, jak śnieg. Jej oczy, co własny swój blask miały, jak słońce, tkwiły w jego twarzy. Drżały usta. Nie mówiąc słowa, złożyła mu ukłon panieński, dyg salonowy. Odwróciła się i odezwała wolno w głąb pokoju. Znikła za drzwiami. On szedł za nią o kilka kroków, nieświadom tego, co się z nim dzieje. Był w owej chwili nie jak człowiek, lecz jak bezcielesne pożądanie widoku piękności. Szedł, nie wiedząc o tem, że idzie.

Doświadczał błogiego olśnienia, że się oddala w zasiaty za duszą swoją, która go wiedzie w błogosław-

wione dziedziny. Było szeszeście dotykane, żywe, całe w każdym z tych jego kroków. Znikła już, a on ją jeszcze widział przed sobą oddalającą się szeregiem ruchów, których piękności pamięć nie może w sobie zamknąć, oko nie może zmieścić w swem polu, a słowo nie jest zdolne wyrazić. Każda z chwil, upływająca między jednym jej poruszeniem a drugiem, trwała jeszcze, jako wcielenie najwyższej rozkoszy. Piękna *doncella* nie obróciła się, wchłaniając we drzwi napotkane. Zostawiła je otworem.

Zapomniał, że broni nie ma w ręku, że karabin zostawił w pokoju sześciu ujarzmionych dam. Raz spojrzy, dokąd też poszła. Raz rzuci okiem. Może jeszcze zalśnią przed nim te oczy wieczne, oczy żywota...

Wszedł we drzwi i postąpił kilka jeszcze kroków. Nagle zdało mu się, że mdleje, że stracił przytomność. Zaćmiło mu się w oczach. Usłyszał za sobą łoskot drzwi zatrzaśniętych. Palce-szpony, palce-pazury wpiły się w jego gardziel. Ze dwudziestu rąk czepiło się ramion, nog biader, kolan. Podbito mu nogi, chwycono go za kołnierz i akselbanty. Szarpnięty niespodziewanie, stracił równowagę i runął na wzmak, jak długi.

Z nim razem zwaliła się na ziemię i przydusiła go kupa starych i podstarzałych bab, wyrzucona za drzwi. Zdradziecko go napadły. Leżał teraz pod istną stertą zwalisk, usiłując przez chwilę złapać cały oddech i pierwszą z brzega myśl. Tymczasem wszystkie te wyschłe łapy, kościste, poskrzywiane knyckie wbijały się weń, jak gwoździe, jak haki stalowe, szarpały go, jak obcegi.

— Nic to innego, tylko odwet za tamte damy... —

myślał sobie ociężale, trzęsąc się ze śmiechu. — Ależ matrony... Nie jestem w stanie...

Pantofle zatupotały... Baby-truposze szepcą, jedna przez drugą, szepcą, szepcą... Jeden wyraz jakiś syczy, świszcze, rzegocze w ich spróchniałyzych zębach. Coraz natarczywiej, przedzej namiętniej bełkocą to słowo...

Spróbował poruszyć się z jednego boku, z drugiego... Ani mowy! Ręce rozkrzyżowane i, zda się, bretnalami do ziemi przybite. Każdą z nich dziesięć ciotek trzyma ze wszech sił.

— Jakto? — począł mamrotać do nich po polsku — więc ja jeden... Mam-że dać zadośćuczynienie, o sympatyczne staruszki... Biada mi!

Zgromadził w sobie siły, długo nabierał pełne płuca tchu, a wreszcie porwał się z miejsca. Ruszył z posad kopic babski. Kilka spadło z wierzcholka. Poczęły jeszcze zacieklej biegać, szeptać i znowu kłaść się na wierzch stosu. Nagle jakaś straszliwa łapa, sucha z żelaznymi stawami, które kluły jak trzpień, chwyciła go za gardziel. Wymacała krtań i zdusiła. Płaty krwi załopotały mu w żrenicach, a ogień buchnął w czerep. Ostatnim wysiłkiem zgiął kark, luknął naprzód głową dla złapania tchu i trafił zębami na żyły i ścięgna tej łapy, co go dusiła. Chwycił z całą siły i ciągnął szczękami. Szarpnął. Rozległ się krzyk. Łapa puściła. Wtedy co tchu w piersi począł wołać:

— Ratunku! Na pomoc! Na pomoc!

Dokoła jego piersi, głowy, szyi — ruch rąk, szepty, gwar.

Szarpią go, siepią, drą pazurami. Coś sobie wzajem z ręki do ręki podają, jedna drugiej z chargotem wydziera.

Zobaczył sztylet. Chwila ciszy. Sąpią na nim wszystkie świdem. Oto jakaś jedna ręka sunie się od dołu po jego piersiach. Szuka, medytuje... Wstrzymała się nad sercem.

Ostrze skierowane wpiera się z lekka w mundur, badając pulsujące tępno. Rozwarł przerażone oczy... Krew lodem się ścina. Cudowne nad nim oczy... Żrenica patrzy w żrenicę. Półotwarte usta ciężko, śmiertelnie dyszą. Teraz ją dopiero poznał... Onaż to na nim leży?

— Jakże cię kocham... — szepnął, chwytając dech w piersi.

W tej samej chwili, nie myśląc o niczem, udźwigniął głowę, wyciągnął wszystkie siły i przysunął usta do gorejących warg. Sztylet w ręku cudnej dziewczyny zaczął się, zakołytał, zawahał. Cedro szarpnął w owej chwili prawą rękę. Wydał ją z pazurów babskich, wywrócił palce z pomiędzy śrub i haków, zgiął łokieć nadmiernym wysiłkiem i dłoń przyciągnął ku sobie. Chwilę gotował cios. Zadał go z dołu we wszystek pokład babskiego próchna, które na nim leżało. Za chwilę wsunął dłoń między swoje ciało i ciało dziewczyny, żeby jej z ręki wydrzeć niebezpieczny sztylet. Ale nie sztylet napotkała ręka. Zapomniał o śmierci wiszącej, o nożu na sercu. Cudna Aragonka rzuciła się do góry najgwałtowniejszym z ruchów dziewczycznych. Jakaś inna, doświadczona dłoń porwała w tejże chwili rękę jeść puginału.

Ale oto rozległ się trzask wywalonych drzwi. Tupot nóg! Krzyk przeraźliwy... W mgnieniu oka na dywanie posadzki rzygnęła krew. Woltyżerowie wpadali koleją. Widząc towarzysza na ziemi i sądząc, że jest

zamordowany, nie przepuszczali babom. By się długo nie bawić, chwytali stare wiedźmy, nim zdołały wstać z ziemi, jedną po drugiej we dwu za łeb, za nogi — i wprost z progu drzwi ciskali za poręcz balkonu na podwórze, z drugiego piętra.

Cedro leżał dość jeszcze długą. Nareszcie dźwignął się z ziemi, jak ciężko pijany. We łbie mu się mąciło, w żrenicach biegały płomyki. Z mozołem zbierał się, prostował, wyciągał ręce, kładł czapkę. Skoro stanął na nogach i rozejrzał się wokoło, co tchu pobiegł po karabin, który był w sąsiednich pokojach zostawił. Wracając z bronią w ręku do towarzyszów, ujrzał śliczną swoją panienkę w ręku jednego z piechurów.

Zbliżył się wraz do tego wiarusa o krok i rzekł z całej duszy:

— Bracie, zaklinam cię. — puść ją!

Tamtent ani myślał puszczać. Mrugnął tylko chytrze na kolegów, żeby ulana odciągnęli i zabrali ze sobą. Ale Cedro położył mu rękę na ramieniu i rzekł prosto w ślepie:

— Mówię do ciebie drugi raz — puść ją!

— A żebyś wiedział, ty czapo, że nie pusczę! Żebyś wiedział! »Bracie, zaklinam cię...« Komedyant z teatru... Miałeś czas... A teraz moja kolejka! Krzos, weź ino na bok tego draba!

Cedro wyrwał z za pasa pistolet i w mglnieniu oka postawił mu lufę między oczyma, mówiąc od jednego tchu:

— No!

— To ja ciebie, ślepago, od haniebnej śmierci wybawił, babów za ciebie ze sześć sztuk bagnetem rozdarł, a ty mi dzieuchy bronisz!

— Bronię!

— Chyba ja w pułku jednego kamrata nie mam, jeśli ty dzisiaj tego wieczora doczekasz...

— Puścisz, psubracie?!

— Chybabys na świecie żadnej sprawiedliwości nie było, żeby tobie to na sucho uszło! A i cóż wy, kolędzy?

Hiszpanka wyśliznęła się z rąk woltyżera. Czepiąjąc się drżąceimi dłońmi sprzętów, okien, drzwi, szła dokądś. Piechury spojrzeli po sobie strasznymi oczyma. Milczeli.

— To już chyba chodźmy... — rzekł wreszcie jeden.

— Chodźmy... — rzekł drugi.

Krzesztof obciągał na siebie kurtkę i zabierał się do wyjścia.

— Słuchaj-no, panie jeździec, a tobie z nami wara! Ty idziesz z tela osobno...

— Osobno, osobno...

— No, żeby zaś... My są piechota, a ty co tu robisz?

— Dobrze, dobrze...

— Za rabunkiem z karabinem piechotnym chadzasz po domach? Rycerz!

— Idę z rozkazu, jako i wy.

— Czego chcesz z nami łązić?

— Takiemu, co sam bez komendy łązi — kula w łeb.

— A bo i pewnie: kula w łeb! — wrzasnął drugi.

— To strzelaj, gałganie! — zawała Cedro.

— No, żebyś tylko drugi raz nie komenderował...

— Chodźmy kolędzy.

— A tobie wara z nami!

- Mójże, kawaler...
- Jeździec!
- Francuski pułek!
- Galant!
- Hrabia!
- Tkliwy kokiet!
- Czekaj, szepnie się między lansyery, jak cię to stuletnie baby na podłodze koziorem żgały po żebach, a tyś im radeczki dać nie mógł...
- Byłyby cię ładnie oporządzili, żeby nie ja...
- Kto wie, co one z nim zrobiły?
- Trzech groszybym nie dał...
- Cha-cha... jak mamę kocham!...
- Jakże on teraz, towarzysze, przed obliczem swej bogdanki stanie?
- Konik polny...
- A jakiego to tonu ze siebie dobył, słyszeliście?

Ruszyli w tę stronę skąd przyszli. Cedro rzeczywiście nie myślał iść z nimi. Siadł we franudze okna i bezmyślnie patrzał na stygające trupy starych niewiast, na kałuże krwi i połamane sprzęty.

Zdawało mu się, że rozważa w tej chwili, co czynić dalej. W gruncie rzeczy drzemał, był w stanie pół snu, pół jawy. Widział i słyszał coraz niedokładniej... Zbudził go łoskot. Pękały gdzieś daleko drzwi, waliły się stoły i szafy zatarasowujące. Woltyżerowie szli naprzód z pośpiechem, wołając do Krzysztofa:

- Tłum na nas idzie!
- Wyłamały drzwi na dole!
- Banda!
- Idą...

Pobiegli wszyscy na ów balkon, okalający podwórze. Obszedłszy go do połowy, z drugiej strony dziedzińca napotkali schody szersze od tych, którymi wdarli się do tego domu. Zaczęli ostrożnie, bacząc na wszystko, schodzić tamtedy w dół. Gdy zstąpili na wysokość pierwszego piętra i przechylili się przez balustradę schodów, ujrzały wąską sień sklepioną. W końcu tej sieni były kute drzwi, zamknięte na sztabę i zabarykadowane głucho workami wełny, wańtuchami piasku, kamieniami, żelastwem i wszelkiem rupieciem. Z tamtej strony, za tą bramą, wrzała bitwa. Słuchali chwilę w milczeniu jej obłąkanych odgłosów... Zrozumieli, że te drzwi prowadzą wprost na ulicę Engracia. Co tchu zaczęli odkładać na bok kamienie, odciągać worki za zawitki, odwalać graty. Już mieli oderwać żelazną sztabę i rozewrzeć bramę, kiedy Krzos rzekł szeptem:

— No, wiecie chłopcy, że teraz albo nasza nagła śmierć, albo nasza głośna chwała! To wam trza wieǳieć, że za temi drzwiami jest główna siła spaniolów. Tak miarkuję, że wyjdziemy w sam śródeczek, między dwie barykady... Ale już niema nam kaj iść. Za nami idą i za moment tu będą. A jak zobaczą, jakiego to my im piwa nawarzyli, co my zrobili jeich ciociom, a jakie *kuku* kuzynkom...

— Odwalać!

— Czekajcie, czekajcie, jeszcze moment! — zawołał Cedro, zstępując za nimi z góry.

Gdy szedł po schodach ostatni i zdala od grupy, zobaczył na prawej ręce niewielkie drzwi, prowadzące do izby na piętrze. Otworzył je i co tchu przywołał towarzyszów.

— Czego tam? — wołali.

— O co mu idzie?

— Jucha, Scypion Afrykański Młodszy...

— Stąd dopiero będziecie mogli prażyć!... — wołał

Krzysztof.

— Co ty tam możesz wiedzieć, skąd prażyć...

— Blondyn!...

Pobiegli jednak ku niemu. W niewielkim pokoju, do którego weszli, znaleźli kilkunastu zabitych żołnierzy hiszpańskich. Leżeli na ziemi i na sprzętach. Znoszono tu, widać, z ulicy i rzucano w popłochu ciężko rannych w bitwie ulicznej, a potem w zapale walki zapomniano o nich. Leżeli, rzuceni na wznak i na twarz. Pełzali, widać, w przedśmiertnej agonii na wsze strony, jak snące raki, a wreszcie wygaśli kolejno w dusznej, kamiennej izbie. Teraz, po wypuszczeniu z siebie kaluż skrzepłej krwi, spali bladzi ze straszliwem natchnieniem w zwiedzionych brwiach, w rozwartych ustach, z których krzyk zmisty jeszcze zdawał się lecieć... Jednemu wywaliło się z nozdrzy rozbitego nosa tyle krwi, że z niej powstała na ustach i brodzie skorupa, nikiej larwa opuszczona z zadumanego czoła, z oczu we łzach. Drugi miał głowę rozwaloną czerepem granatu, a usta skrzywione takim bólem, że widok ich dźwigał z piersi przemocą westchnienie.

Woltyżerowie odgarnęli ich z drogi uderzeniem nóg i przedarli się do dwu wązkich okien, zasłonionych od wewnętrz drewnianymi okiennicami. Okna te, ze dworu opatrzone w żelazne kosze ze sztab kutykh ozdobnie, wychodziły na ulicę Engracia, w miejscu jeszcze niezdobytem przez następujące szeregi. Tuż

w ulicy była barykada, na której walczyła banda obronićów. Naprzeciwko wznosiły się mury klasztoru Panien Jerozolimskich. Za tymi gmachami, które tworzyły całą dzielnicę, prawie kwadrat, opasany czterema przeciennicami, widać było prześliczne ogrody klasztoru, pełne cienników cyprysowych, czarnych mirtowych kwadratów, podobnych z oddalenia do tkaniny przecudnej z bezcennego aksamitu, pełne rozpiershłych pałm i magnoliowych alei. W głębi czerniąły budynki gospodarskie i sam konwent, frontem zwrócony do poprzecznej uliczki.

Od strony głównej arterii Engracia wznosił się posępny czarny kościół z wyniosłą wieżą. Z tej to wieży waliły w szтурmujących Francuzów małe armatki, padały ręczne granaty, spadały cegły i lała się wrząca woda.

Woltyżerowie nabili starannie broń, zawarli za sobą drzwi. Raptem, otwarłszy obadwa okna, wydali gromiki okrzyk.

Zarazem, wytnąwszy lufy karabinów, zaczęli strzałać w Hiszpanów, jak do celu, niechybnie. Dostrzeżono ich zaraz na wieży Panien Jerozolimskich, na barykadzie i w szeregach francusko-polskich. Wzmógił się atak. Zaczęły koło głów trzaskać kule i rypać kamienne obramowania okien. Jedna z nich trafiła żołnierza Zielińskiego w skronię. Runął na wznak, trzepnął rękoma. Gwałtownie, przez kilka chwil nogi jego kopały mur. Potem westchnął i ucichł.

Cedro nie miał dostępu do okna. Zaczął chodzić między trupami, nie unikając bynajmniej ich widoku, ale ich prawie nie dostrzegając. Był już obojętny na barwę krwi, kształt rany i obraz śmierci. Zadawał sobie

wciąż pewne pytanie. Nieprzezwyciężona nuda wlekała się za nim, oplątywała stopy, jak kajdany, ściskała ręce.

Zadawał sobie pytanie, gdzie też jest w danej chwili *doncella*? W którym jest miejscu? Nie marzył wcale o tem, żeby do niej mówić, ani o tem, żeby ją widzieć... Tylko tę posiąść wiadomość, że jest. Nie zdając sobie wcale z tego sprawy, ciągnął chcieniem do tego tylko, ażeby wszystko raz skończyć, ażeby nareszcie do licha usnąć. Runąć na twarz między takich oto — i spoczywać na wieki wieczne. Przeczuwał przecie, że się w pamięci pod żelaznem jej wiekiem palą wszystkie widziane sprawy, że się bez przerwy w miękkich zwojach mózgu, jakby pod nieubłaganym rylcem sztycharza w twardej miedzi, żlobią wszystkie obrazy. Tyle tylko szczęścia, że niema czasu, więc ich nie widno. Paść na twarz i zgnić, jako i ci, którzy leżą. Zgnić tak, żeby razem zgasły i wygniły żyjące potajemnie, zdradzieckie myśli, myśli tchórzliwe i zrozpaczone, nie żołnierskie, lecz zaiste babskie, dziewczyńskie, chłopięce. Możeby ustał ów chytrze niemy kierat mózgu! Czemuż nie pchnęła wtedy sztylem do dna, do gruntu, po rękojeści poprzecznicę? Czemuż nie pchnęła i nie zabiła po męsku, jako on starego księdza? Żeby głuchoniema podłoga zmuszona była oddać głos: — Dokonałeś!

Wzdrygnął się i rozejrzał.

— Ach, umrzeć, trzymając w ramionach tę siostrę duszy swej, drżąącą i kruchą, jak żółty motyl w rubaszną garść złapany! Umrzeć przy tak czujnym sercu, nie uczyniwszy mu krzywdy... Czuć jedną młodą duszę, płomieniste zarzewie życia we dwu innych ciałach...

Tchnąć własną duszę, umierając, w te usta... Czemuż ci się, siostro, zatrzęsła miękka rączyna?... — mamrotał głośno, słaniając się ze szlochaniem wewnętrznem z kąta w kąt, z kąta w kąt...

— Trzymaj, te — ułan! — wrzasnął mu nad uchem woltyżer.

— Czego?

— Pójdę ja patrzeć, co się dzieje od onego podwórza, bo nas tu zejdą i wyduszą, jak gniazdo myszów. A pal celnie, bo ostatnie ładunki náma wychodzą.

Krzysztof chwycił z jego rąk nabity karabin i z furią zaczął strzelać w tłum. Dało mu to zapomnienie o chwilach poprzednich. Główę miał pełną piachu i dymu, w ustach smak jakby centuryi. Odrobina, ochłap głupiej umiejętności, jak broń nabijać, jak się składać, celować i ciągnąć za cyngiel, stanowiła wszystek jego rozum. Mierzył celnie i nad wyraz skutecznie.

Tymczasem woltyżer Krzos wysunął się na schody i znikł w ich mroku. Cedro nie dał jeszcze pięciu strzałów, kiedy tamten wleciał na palcach z wiadomością, że na podwórzu stoją Hiszpani.

— Na dole... — mówił, chwytając karabin zabitego towarzysza.

— Lećmy.

Wyszli wszyscy na paluszkach i wrócili na balkon drugiego piętra. W istocie na dnie podwórza kłapały *abarki*, drewniane trepy aragońskie. Krążyło tam kilku mężczyzn z karabinkami w ręku. Oglądali z krzykiem trupy kobiet, wyrzucone za poręcz górnego balkonu. Natychmiast trzech z nich legło na tem miejscu

...d celnych strzałów polskich, reszta w milczeniu pędziła na góre. Słychać było łoskot drewnianych postołów po schodach. Ukazali się we drzwiach, na balkonie drugiego piętra w swych krwawych szmatach na rozczochnanych łbach. W skok, tygrysimi susami, oblicieli drewniany balkon drugiego piętra. Wyjąc i gwizdząc, gnali ku woltyżerom. We drzwiach na główne schody zawrzało. Bratobójczo, pierś w pierś się zwarli. Odpadły karabiny. Nagą garścią! Cedro ujrzał blysk sztyletu toledańskiego. W tej samej chwili Krzos padł jak ranny gromem. Tyłem głowy wyrznał w kamienny próg i nie drgnął ani razu. Hiszpanów było trzech. Zginęli przedzej, niż tu przybiegli. Dwaj wyrzuceni zostali za poręcz tak samo, jak ich rodaczki, a trzeci, zmiażdżony ciosami karabina w łeb, zmienił się po upływie kilku chwil w kupę krwawego mięsa. Wiarusów było teraz tylko pięciu. Ładunków już nie mieli. Na podwórzu wchodzili Hiszpanie.

— No, teraz, bracia, niema co!

— Do dzieła!

— Drzwi naoścież!

Wielkimi krokami, z pieśnią na ustach rozszalała się na dół. Poprawili na sobie ładownice, pasy, lederwerki. Przekrzywili czapki. Mocno pod brodą złączyli podpinki. Jeden drugiemu wyprostował czarną kitę na czapce.

— Ułan! chodź we środek.

— Dajcie mi pokój! Ja idę osobno, sam!

— Chodź we środek! Ja ci kazuję, ja tu teraz wódz! — rzekł pierwszy z brzegu.

— Karabina niezwyczajny i jeszcze, widzisz go, sam!

— Broń do ataku!

— Marsz!

Zerwali ze drzwi wejściowych od ulicy Engracia żelazną sztabę. Dźwiękła, jak miecz katowski, żelazna sztaba, padając na kamienie. Z trzaskiem rozwarli podwoje.

— Niech żyje cesarz! — wrzasnęli, jak jeden, żelaznym krokiem wychodząc w ludzki tłum.

— Na bagnety!

Padli w obrońców barykady i rozwalili tłuszcze, jak pękająca bomba. Gdy żółte rabaty zajaśniały na tyłach barykady, wrzask rozpaczny rozległ się na niej. Dosięgli pierwszych worków i sprzętów, tworzących stopnie ulicznego szańca. W skokach, wśród piorunowych czynów bagneta i kolby, wstępowali na górę. Chyzo przysiadając, skacząc, koląc naprzód i w tył, w górę i na dół, młycem i sztychem czynili sobie ulice. Teraz każdy walczył za siebie i za wszystkich pięciu i za całe wojsko.

Nim Hiszpanie zdążyli zliczyć ich, wtargnęli przemocą na wierzchołek pozycji. Strącali stamtąd obrońców, lecąc w podskokach, grzbietem szańca, po kołach i łożach armat, jak żółty piorun po zrębach skał. Krzyk podjudzonego męstwa na ich widok buchnął z kolumn szтурmujących. Bataliony nadwiślańskie, ujrzawszy swoich u mety, rzucili się na barykadę i wpadły na nią wśród zapasów, tratując wrogów na śmierć. Tysiąc luf nabili tymczasem Hiszpanie i tysiąc zmrużonych oczu mierzyło we lby tych pięciu. Runął też na twarz jeden, zachłysnął się krwią i rzygnąłnią w biegu drugi, przykląkł trzeci, jak kosą podcięty. Cedro, zimnym stra-

chem gnany, z urwaną połową czapki, skrwawiony w dziesięciu miejscach od kontuzy, ślepy od prochu i uniesienia, złaził z barykady wielkimi kroki po wózach, trupach, gratach, razem już ze zdobywcami. Pieśń koło niego straszliwa... Widziała go była na czubie niedobytej poprzecznicy cała kolumna, Lacoste i Chłopicki... Wskazywali go szpadami, prąc, gniotąc i goniąc Hiszpanów ku następnej baterii u wylotu ulicy Engracia, gdzie się już zaczynał biały od słońca, wydłużony plac Cocco.

W miejscu zdobytem ulica Engracia stanowiła wąską szczelinę. Z prawej strony wznosiły się mury szpitala, z lewej olbrzymie czarne mury klasztoru Franciszkanów. Wieża zdawała się zwisać nad ciemnym przesmykiem. Zastęp hiszpański, który bronił barykady nie cofnął się jeszcze w to przejście, lecz podzielony na dwa oddziały, zajął w mgnieniu oka klasztory Panien Jerozolimskich i Franciszkański. Cedro wraz z tłumem towarzyszów uderzył na pierwszy z tych konwentów. Furty i bramy były zawalone, ale je wnet wyłamano. Hiszpanie zostali wypięci bagnetem u wejścia do kościoła, w jego kruchtach i nawach, w przedsionku i korytarzach klasztornych. Gdy Krzysztof wszedł do głównego budynku, który stanowił mieszkanie zakonnic, już te miejsca były zupełnie opanowane. Długie, nienormalne, kręte korytarze, skąd na prawo i na lewo wchodziło się do cel, były zupełnie już puste. Panowała tam ciemność i nieprzyjemna cisza. Łoskot kroku rozbijał się, jak gdyby w studni. Krzysztof był śmiertelnie strudzony.

Za jaką bądź cenę pragnął zasnąć przynajmniej na

moment czasu. Myślał właśnie, żeby w jednym z tych Lochów położyć się pod murem i udawać zabitego, gdy wtem, o parę kroków od siebie, na załamaniu przejścia na wyższe piętro, usłyszał okrzyk:

— *Qui vive?*

Dał hasło. Z głębokiego mroku pod światło półokrągłego okna ze starych przepalonych szyb wyszedł oficer z obnażoną szpadą. Cedro pochylił się ku niemu i poznał go od razu.

— Ach, to znowu ten jakiś Wyganowski... Kuzyn... — myślał z niesmakiem.

Kapitan przypatrywał mu się z uśmiechem ironii, oglądał go od stóp do głowy. Rzekł wreszcie:

— Widziałem wańpana na barykadzie.

— Bardzo być może.

— Brawo!

— Znalazłem się tam przypadkiem, właściwie wbrew woli.

— Coraz lepiej.

— Zginęli ci, którzy ją zdobyli. Chwała im wieczna! Oni to mię wciągnęli...

— Co do chwały... No tak. Skromność, godna zadrości! Ale mówią głośniej od słów, napisów na papierze, pergaminie i, dajmy na to, piaskowcu — te chlubne czerwone plamy na portkach i butach. Odznaczasz się wańpan, mości Cedro, niepomału. Bajesz Celtyberów, aż trzeszczy. Daj tylko jeszcze na tysiąc mszy u mnichów w Burgos, i będzie z ciebie Cyd, jak sto tysięcy dyabłów! Podobasz mi się.

— Tak, zamordowałem dzisiaj niejednego człowieka... — rzekł Krzysztof, tępko patrząc mu w żywe oczy.

- Bardzo pięknie, młodzieńcze.
- Szczególnie jeden, którego zatłukłem własnymi rękoma.

— Cha-cha... Od tego jest wojna, żeby każdy prawdziwy człowiek miał sposobność mordowania wrogów, ile dusza zapragnie. Nie minie cię nagroda, ja w tem. Strzeż się tylko losu Hamilkara pod Saguntem, bo i to się na wojnie przytrafia.

Cedro grubiańsko milczał.

— Czemuż dalej nie odznaczasz się na arenie walki? Strzeż się, jak śmierci, wypuszczenia raz z ręki gałęzi wawrzynu! Inny ją schwyci, a sława nie czeka na opieszałych. Musisz jej w biegu dotrzymywać kroku. Czy może do kokoszek? Co? Powiedz szczerze... Żołnierz żołnierza rozumie, jak baletnica baletnicę. Jest tu, powiem ci na ucho, mniszek wybór arcy godny. Są tak apetyczne, że klękaj, kto żyje! Bo to, widzisz, ascetki. Zakaz śmiertelny, marzenie i tęsknota... rozumiesz mię? Panny Jerozolimskie... Widziałem na własne oczy. Chodźno, pokażę ci cały bukiet. Wybierz, co ci serce podyktuje. Jedna tylko przykrość: blondynki ani jednej. No, żeby na lekarstwo!

Wstępowali po schodach z płaskich i ogromnych płyt. Szli długo korytarzem zupełnie ciemnym po drewnianej podłodze, zatrącili w drugi. Doszedł do uszu Krzysztofa gwałtowny łoskot bębna, bijący w nieznany mu takt. Wkrótce stanęli przed dębowemi drzwiami wielkiego refektarza. Tu stało kilku grenadierów na warcie. Otwarli drzwi przed kapitanem, śmiejąc się szelmosko. Wyganowski szedł pierwszy, torując ułanowi drogę. Gdy się przez tłum, tworzący koło, naprzód

przedarli, Krzysztof zobaczył kilkadziesiąt nagich kobiet, tańczących do taktu walenia pogrzebaczem w mosiężne rondle i miednice. Pod razami kolby i bagneta skakały dosyć sprawnie.

— Mniszczki... — szepnął Wyganowski, nielasząc ustami. — Nie wszystkie, ale przeważna większość. Nie powiem, żeby to im nie sprawiało przykrości, iż w danej chwili nie potrzebują habitów, ale z drugiej strony nie widzę w nich śmieszego uporu dziewczyc numantyńskich. Wprawdzie są wyjątki, ale o tem później...

W oczach jego, gdy to mówił, siedziało ponure szyderstwo. Dolna szczeka była wysadzona naprzód, a nozdrza drgały.

— Zostaniesz tu waćpan zapewne? — rzekł pieszczotliwie, zaglądając Krzysztofowi w oczy. — Bo ja, uważasz, jestem na służbie: komenderuję. *sit venia verbo*, tym... klasztem. Chciałem powiedzieć inny wyraz, ale boję się obrazić twoje ucho.

— Nie zostanę tutaj — rzekł Cedro z przesadną wyniosłością.

— Czy podobna? — Ale cóż za przyczyna, jeśli godzien jestem?...

— Pragnąłbym przespać się, panie kapitanie.

— Przespać... taką uroczystość! *Oh, c'est triste...*

— Już bardzo dawno nie spałem.

— Ależ to doprawdy rzecz smutna... Więc śpij waćpan!

— Czy mogę tu gdziekolwiek, na korytarzu?

— Możesz.

Cedro oddał mu ukłon wojskowy.

— Czekaj, przeprowadzę cię i dam miejsce. Sły-

szałeś, że jestem tutaj z polecenia zdobywców komendantem klasztoru i jego okolic, korytarzów, cel, refektarza.

Wyszli z hucznej sali i wlekli się ocięgałymi kroki starców zgrzybiałych po tych samych, płaskich schodach.

Znowu się ciemny nastręczył korytarz.

— Tu są cele... — rzekł Wyganowski. — Mógłbyś w którejkolwiek spocząć wygodnie, gdyby nie to, że są chwilowo zajęte. Mniszki goszczą u siebie nieznanymy rycerzy. Dawno im się to nie zdarzyło na tym padole.

— Są to żołnierze pana kapitana? — spytał Krzysztof.

— Są moi, są Francuzi.

— Gdyby to ode mnie zależało... — począł z trudem bełkotać Cedro, dysząc i nie mogąc słów znaleźć — gdybym to ja... Kazałbym strzelać we lby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bóg... przecież to... wieszać, jak kundłów!

— Mów, młodzieńcze, mów śmiało. Zwróci jednak na jeden szczegół twą uwagę: to jest, proszę cię, wojna, nie manewry na placu Marsowym, pod okiem narzezonej w błękitnej przepasce. Jesteś, pochlebiam sobie, pierwszy raz przy zdobyciu miasta...

— Tak.

— Właśnie i ja tak przypuszczalem...

— Z czegoż to można przypuszczać? — zapytał Cedro wyniośle i z lodowatym uśmiechem na ustach.

— Przeżyłem już wiele szturmów forsownych, choć nigdy, wyznam, podobnie wartyackiego. Bo to ani w kam-

paniach włoskich od samego początku, ani w austriackich pochodach. Mogę cię na podstawie długoletniej praktyki zapewnić, że gwałcenie masowe przyśpiesza kapitulację daleko bardziej skutecznie, niż bombardowanie działobitniami, a ma zarazem tę dobrą stronę, że oszczędza wiele żywotów ludzkich obudwu stronom walczącym. Wytrąca oręz z ręki cichaczem, a nieodwołalnie ojcom, mężom, braciom i narzeczonym, kryje żołnierzy przed kartaczami, a zapewnia kapitulację. Przytem, cóż chcesz? Tym, którzy idą na niewątpliwe mary, na podłą śmierć żołnierską w rynsztoku, na gnojowisku, w piwnicach i wspólnych dołach, coś się u pioruna zato należy od tych, którzy żyją! Należy im się ta chwila przed śmiercią... To też wolę, gdy tu moje małki są po celach, niż żeby ich darły kartacze, a oni jasni mordowali bez pardonu. Ręczę ci, że następny dom podda się nam dobrowolnie, gdy wieść gruchnie między jego dziewczę, cośmy to tutaj czynili. Ale najważniejsze to to, że znaczna część ofiar przyjęła tę karę Boską z pokorą i poddaniem się, rzekłbym nawet, że chętnem a ochotnem sercem...

Cedro już prawie spał, ramieniem wsparty o mur. Ledwie słyszał, co prawi wymowny oficer. Tymczasem tamten stanął przed celą bez drzwi, zajrzał do środka i pociągnął towarzysza za rękaw. Mówił zmienionym głosem:

— A tu mam coś specjalnie dla twoego serduszka. Wejdź-no! Chodź-no, chodź!

Odsunął drzwi wyrwane z muru wraz z zawiasami, przystawione do wejścia. Wkroczyli do maleńkiej celki, do nizkiej jakoby krypty z oceglaną podłogą. Na wązkim

tapczaniku leżała młoda zakonnica. Ręce jej były złożone poboźnie na piersiach, dłoń z dlonią, jak to wyobrażali średniowieczni rzeźbiarze na pomnikach zgąszych królewien. Głowa okryta była kornetem. Habit na ciele potargany w strzępy, szmaty... Ale jego łachmanami ktoś tak starannie okrył ciało, że nagość nie przeswiecała nigdzie. Wyganowski zbliżył się do śpiącej z potwornie bolesnym uśmiechem, nachylił się nad nią i rzekł do Cedry:

— Patrz!

Podniósł lewą rękę umarłej. Krzysztof nachylił się...

Zobaczył rękojeść sztyletu, tkwiącą pod piersią dziewczycą między żebrami. Bujna fala krwi oblała tę rękojeść, dokoła niej skrzepła i czarną lawą zastygła.

Ciało już było zimnym truchlę, nogi i ręce już zeszytniły, ale twarz spokojowi grobu i władaniu śmierci jeszcze się nie poddała. Jeszcze wszystka należała do ziemi. Jeszcze z pomiędzy zwartych brwi, ze straszliwego skrzywienia ust zionęły dwa płomienie: duma i boleść. Wyganowski złożył ze czerią ostygłą rękę na dawnym miejscu. Splótł palce lewej dłoni umarłej z palcami prawej. Czynił to poboźnie, ze spokojem i ostrożnością, jak gdyby wykonywał przepis obrządku. Usta jego były skrzywione zupełnie tak samo, jak u zakonnicy...

Po chwili wyprostował się, odstąpił dwa kroki w tył, stanął w pozycji, wydobył szpadę i sprezentował przed umarłą broń.

Wyszli stamtąd.

Wyganowski maszerował przed siebie dużymi krokami, mówiąc prędko i obojętnie:

— Napadli ją w pięciu czy w sześciu. Tam, w tamtem załamaniu korytarza. Widziałem...

— Nie obroniłeś, co? — cisnął mu Cedro w twarz słowo, jak rękawicę.

Tamten zaprzeczył ruchem głowy. Rzekł po chwili:

— Uciekła do swej celki. Zatrzasnęła drzwi. Dość długo je wyważali... Nareszcie wyrwali zawiasy wraz z drzwiami. Rzucili się na nią i zdarli suknie. Aliści nagła przeszkoła... Do dyaska! Cha-cha — pod śliczną piersią nagła przeszkoła! Wszystko przewyciężone z wyjątkiem tego jednego drobiazgu! Zupełnie jak Zaraagoza: już zdobyta, już wzięta, już na niej łyka. Teraz cię, krzyczymy, niewolnico, pożyjem! Cha-cha... Naści! Cha-cha... Naści — trupa. Szarpaj go, podły lisie, i pozywaj na zdrowie!

Stanął wśród korytarza, sam blady, jak trup, i szeptał w zapamiętaniu:

— O, zakonnico, zakonnico! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twojem nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa. Kazałbym swoim armiom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami...

Cedro, którego nudziły słowa tego oficera, patrzał na niego sennemi, zgasłemi oczyma i ledwie go w półmroku widział.

— Czy mogę się tu położyć? — rzekł, przerywając potok szczodroqliwej wymowy kapitana.

Wyganowski ocknął się i powiodł oczyma. Pchnął ręką drzwi na lewo i wszedł do celki pustej zupełnie i tak samo maleńkiej, jak tamta, w której leżała samobójczyni.

— Kładź się, gnojku, i śpij!... — rzekł, wskazując tapczan.

— Pan kapitan nie ma w sobie, ile wnosić mogę, nic z nieprzyjemnej twardości Scypiona Afrykańskiego... — rzekł Krzysztof z łagodną ironią, zmierzając do legowiska.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że to jego ktoś dziś przezywał Scyptionem Młodszym.

Miał zamiar rzucić Wyganowskiemu prosto w nos inne przezwiska, jak: pudel, jeździec, blondyn — ale już nie był pewny, czy rzeczywiście widzi przed sobą kapitana, czy tylko o nim śni.

— Ja nie mam w sobie nic ze Scypiona żadnego... Jestem proch i popiół...

— To śpij... — mruknął Cedro.

— Nie, ja tu sobie posiedzę. Poczekam na ciebie. Obudzę cię za kwadrans, gdy będę z moją kompanią z tego domu wychodził.

Krzysztof, dopadły głową posłania, w tej chwili zachrapał na cały klasztor. Zdawało mu się, że tylko co zamknął powieki, kiedy już zaczęto burzyć we drzwi, kołatać kolbami i słowem wzywać kapitana Wyganowskiego do dzieła. Cedro obudził się tak samo nagle, jak zasnął. Słuchał przez chwilę huku wystrzałów, wrzasków bitewnych... Kapitan siedział na krześle w tej samej pozycji, twarzą do okna zwrócony. Zdawał się wcale nie słyszeć krzyków, wzywających do boju. Zdjął był czapkę i jeszcze jej nie wdziął. Twarz jego teraz wydawała się daleko mizerniejszą. Był bardzo piękny.

Suche, kościste czoło, ściągły nos, starannie utrzy-

many zarost mimowoli pociągneły wzrok Krzysztofa Nieruchome oczy kapitana zasłane były tumanem..

Cedro otrząsnął się i wstał z tapczana silniejszy i zdrowy na duszy.

— Masz dosyć? — spytał Wyganowski, nie odwracając głowy.

— Mam dosyć.

— To idziemy.

— Jestem gotów.

Przed klasztorem, w jego zdeptanych wirydarzach stały kolumny, gotowe do dzieł nowych. Rozwarto bramę. Wojsko żelaznym krokiem weszło w ulicę Engracia.

Początkiem, z prawej strony budynkiem ujrzały towarzyszów, wywalających drzwi. Nikt nie wiedział, co to za gmach. Bramy miał potężne, zamczyste, okute, ze straszonymi ryglami, mury grube, kraty niezłomne w oknach. Nowoprzybyli z klasztoru wsparli oblegających potężnym ramiением. Przyciągnięto jedną z zdobytych armat, postawione paszcze jej o kilkanaście kroków od wejściowych drzwi. Grzmotnęła kula we wrótnie raz, drugi, trzeci. Kamienne obramowania wieńców spękały się, wgięły do wewnętrz i wywaliły wreszcie pospolu z wrótiami. Szturmujący rzucili się ciałem swem na pochylnię wrót, wpełzli przez gorny otwór do ciemnego wnętrza. Ujrzały przed sobą ogólną sienią z szerokimi w głębi stopniami z marmuru. Połowa sieni zawalona była workami ziemi. Wcisnęli się tam po jednemu i zaczęli uprzątać z drogi szykanę. Nikt im w tej pracy nie przeszkadzał wcale. Sądzili zrazu, że dom ten nie będzie wcale broniony. Ale skoro

większy tłum woltyżerów dostał się do przedionka i postąpił ku schodom, padły między nich ręczne granaty, rzucane z za balustrady schodów drugiego piętra, trzasnęły o krawędzie schodów bomby puszczone z wysoka. Przeraźliwy ich błysk rozłamał półciemność, trzask czerepów rozbitych o nagie ściany zagłuszył jęki roszarpanych. Huk wszystko pochłonął w siebie. Na białych stopniach z kararyjskiego marmuru miotały się ciała, drgające w spazmach śmiertelnych. Krew struga, jak powsowy wąż wijąc się po stopniach, w dół spływała.

Idący ze dwora mieli w oczach ten widok. Wlecieli też zaraz na schody wściekłym skokiem, sadząc przez rannych. Dopadli piętra. Tam już na nich z długiego korytarza czekał wysunięty rząd luf. Huk strzałów, dym, błyskające w nim ogień... Korytarz pierwszego piętra został zdobyty. Został zdobyty, ale zapłacono za niego drogo. Żołnierze zasłali schody i podłogę, ranni konali pod depcącymi obcasami. W ciemnych kątach, we framugach zakratowanych okien ludzie dusili się rękoma, zarzynali nożem. Nareszcie rozjuszeni napastnicy dosięgli drzwi cel, wychodzących na prawo i lewo. Obrońcy uciekli na drugie piętro. Sądzone, że to jest klasztor. Otwarto młotami i wyłamano zapomocą sztab żelaza kilkadziesiąt cel. W mgnieniu oka wypadli na korytarz zamknęci tam ludzie. Straszliwy wrzask napuścił wnętrze tego gmachu.

Jedni z wypuszczonych byli nadzy, inni mieli na ręku kajdany, jeszcze inni odziani byli w gałgany, przescieradła, szmatki. Wszyscy mieli ogolone łby.

Gdy Wyganowski z Cedrą wchodził na schody pierwszego piętra, ujrzał przed sobą w zwojach i kłę-

bach dymu prochowego dwu ludzi w gałganach, z białymi czaszkami, którzy wzajem pochwycili cię za gardła i wżarli w siebie zębami. Runęli właśnie na ziemię. To jeden, to drugi był na wierzchu. Szarpali się paszczekami, jak rozjuszone psy. Nagie ich ręce, kolana, lędźwie, brzuchy, łopatki, ramiona, szyje latały, dygocąc, z miejsca na miejsce. Wyrywali ze siebie nawzajem zębami żywą krew, dusili się kolanami, darli ostrzem pazurów, czepiali się razem tak straszliwie, że zdali się być jednym człowiekiem o dwu głowach, o wielu rękach i nogach. Podwajały się, potrajały, stokroć mnożyły ciosy pięści. Katowali się, bijąc czaszką w czaszkę z chichotem zwiętości. Dawał się słyszeć trzask kości i rzęzenie, trzask i rzęzenie... Nareszcie jeden z nich został na wierzchu dłużej. Drugi charczał pod nim. Tylko jego głowa wciąż się jeszcze dźwigała, szyja prężyła do ciosu. Ale oprawca już się nie dał zdusić. Krwawa jego wściekłość nie ustała ani na chwilę, nawet wówczas, gdy biała, posiniała czaszka zwycięzonego zwisła bezwładnie w kałużę krwi. Ssał jego broczące rany, podnosił powieki oczu i patrzył w nie, zaglądał do dna; czaił się dlonią na każdy z ostatnich oddechów i chwytał je w lot, kiedy jeszcze były w tchawicy. Nareszcie wymierzył zabitemu ostatni policzek. Ostatni raz plunął w bezwładne usta. Wstał. Powiodł dziwnem mięsem swych oczu, piekłem swego uśmiechu po szeregu zadumanych żołnierzy. Ujrzał ich teraz. Zaśmiał się, zaskoczył, załkał, zachichotał... Dźwignął ramiona i jak radosny lew skoczył z góry w środek tłumu. Oficera, idącego w trzecim szeregu, chwycił za brodę, żołnierza sąsiedniego za gardziel i, rycząc z uszczęśliwienia,

z pianą radości w wyszczerzonych zębach, skonie na bagnetach.

Z korytarza wypadli teraz jak wichrem pędzone liście, tańczący, deklamatorowie, śpiewacy, mówcy, zamysleni, obojętni, ślepi z szalu, podobizny psów czających się i podobizny drzew świętych, które jakoby grzyb obojętności porośł i zeżarł, ludzie bez twarzy a z rozszalałemi oczyma, inni z mordami, w których niema oczu, przeraźliwe chimery w kształtach kobiet, okropne twory ze spojrzeniami wilków i trytonów, z kajdanami na ręku i w kaftanach, związanych rękawami w tyle. Tłum ten wyszedł na żołnierzy i zagrodził drogę. Ryk zwierząt, głosy burzy, jęk wiatru w puszczy leśnej i pieśń zbieganego morza w nocy, na nowiu, krzyk najgłębszej ptasiej bolesci i śmiech szczęścia, wydobyty z nicości przez narzędzia muzyczne, płacz nad opustoszałą kołyską i euforyczna pieśń duszy, patrzącej w rozhyclone niebiosa — wszystko to buchnęło w przychodniów z tego tłumu. Ze środka jego wyszedł wielki starzec w krwawej płachcie, głową przerastający wszystkich, nagi z olbrzymią na głowie wiechą z jednej gałęzi cyprysa, z wyciągnionymi rękoma. Nie widział nikogo. Śpiewał rozpaczliwie jakąś pieśń głuchą, której słowa ginęły doszczętnie w chaosie dymu, w huku strzałów i głosach konania. Zstępował na dół, jak geniusz, władca, czy prorok ze swym krzykiem na ustach...

W tej samej chwili czarny, mały, zwinny małpolczowiek, w zgrzebnych portczętach, a bez koszuli, przeleżał chyłkiem przez balustradę, mrugnął na wszystkich i z rzegotem śmiechu takiej chytrości, takiego szczęścia, jakby w tej chwili oszukał nareszcie ród ludzki, gwizd-

nał przeciągle i skoczył goloną czaszką na dół. Niem zdołano dojrzeć, jak się tam roztrzaskał i rozprysnął w krwawą fontannę u drzwi wejściowych, już inny zajął uwagę idących widzów. Oto człowiek muskularny i napozór zupełnie zdrowy, czając się pod ścianą, dopadł żołnierza, zabitego przed chwilą, chwycił lewą ręką karabin i w mgnieniu oka rzucił się w kępę obłąkanych. Począł ich przebiąć piorunowymi ciosami, miażdżyć kolbą golone łby. Na dany znak żołnierze wzięli go na cel. Gdy zginął, podarty kulami, roztrącili waryatów i pomknęli na drugie piętro — w pościgu za zdowymi. Byli na platformie załamania się schodów z marmuru, kiedy z korytarza drugiego piętra dał się słyszeć chór stokroć bardziej, niż na pierwszem, żywego. Żołnierze stanęli.

Hiszpanie, chcąc, widocznie, między sobą a zdobywcami utworzyć nową przeszkodę, otwarli na drugiem piętrze separatki obłąkanych kobiet. Ukazał się z czarnej czeluści sklepiony wał potworów. Na przedzie szła megiera z siwymi i starganymi kudłami łba, z wywalonemi na wierzch oczyma, z zakrzepłym w gardzieli krzykiem na widok młodych żołnierzy. Skrzywione palce jej koślawych rąk lazły po murze. Bezzębna gęba była otwarta, wstrętnie nagie piersi szybko dychały. Wał, tocący się za nią, kipiał. Szept w nim, klaskanie w ręce, podrygi, rżenie, poszczekiwanie, jakoby psie, kwik, jakoby kobył zhasanych w błoniu, śpiew radości, krzyk, przeszywający stu naraz słów. Śmiech w tłumie tym, śmiech co włosy najeża, straszniejszy, niż widzenie śmierci.

Żołnierze zlekli się i umknęli. Zajawszy pozycję

Obronną na pierwszym piętrze, czekali. Kobiety pełzyły na dół chykiem, cichaczem. Jedne z nich, wrzeszcząc, skoczyły, jak hyeny, ku wyjściu ze szpitala, inne rzucały się w korytarz pierwszego piętra. Odtrącone bagnetem przez żołnierski szyk, zażywały rozkoszy z wariata mi.

Kapitan Wyganowski skorzystał z chwili ustąpienia tego hufca z górnych schodów, rzucił się powtórnie ze swoją kompanią na góre. W korytarzu drugiego piętra straszliwa zawrzała walka. Hiszpanie zamknęli się w celach kobiecych, w szałówkach furyatek, dopiero co wypuszczonych na wolność. Przez okienka we drzwiach kutych i zaopatrzonych w zamki doskonałe, razili napastników niechybnymi strzałami. Siedzieli, jak w fortecy. Żołnierze francuscy, którzy przyszli z dołu na pomoc Polakom, z wściekłości bezsilnej, zdawało się, mur gryźć poczną zębami. Nadaremnie strzelali przez okienka we drzwiach: żołnierz hiszpański krył się tuż pode drzwiami. Nabijał spokojnie karabin, wychylał lufę i celował niewidzialny. Przydzwigano z dołu żelazne sztaby, legary, wyciory od armat, belki i drągi. Zaczęto bić koleją w niezdobyte drzwi taraniani. Żołnierze przemienili się w oszalałe katapulty. Drzwi jęczały, szły w drzazgi i wióry, a padał z nich nieubłagany strzał. Oblężeni Hiszpanie zdobyci zostali wreszcie jeden po drugim, żywcem. Wyrywano ich sobie i podawano z rąk do rąk. Wykłoci zostali, zatłuczeni kolbami, wytraceni w tych norach co do nogi.

Trupy ich rozszarpały bagnetami, twarze zmiażdżono, piersi złamano obcasami. Wiązani byli we własne pasy za gardła. Zaczepiano pasy u krat okiennych i du-

szono, tłumem ciągnąc za nogi w kierunku drzwi. Twardych w karku, opornych, dumnych, wrzeszczących swoje: »Niech żyje Ferdynand siódmy!« — dodławiano nagiemi dłońmi.

Reszta obrońców trwożliwszej natury przebiegła była bocznymi schodami na strychy szpitala. Tam położono ogień. Kupy słomy zapalone na schodach, prowadzących na poddasze. Kiedy ogień zaczął się szerzyć, reszta Hiszpanów wyskakiwała z płomieni na bagnety, albo znalazła śmierć w ogniu.

Opanowawszy w ten sposób górną część gmachu, stłumiono ogień, i wojsko szło ku wyjściu. Waryatów i waryatki co posłużniejsze zganiano na kupę, żeby ich wypędzić z miasta i zamknąć w gmachach Monte-Torrero. Ów tłum rozpierzchał się na wsze strony. Jedni nie chcieli opuszczać swych szalówek, inni walczyli z żołnierzami, jak najlepsi, najmężniejsi żołnierze. Potworna walka ze wściekłemi babami do rozpaczny doprowadziła eskortujących żołnierzy. Wśród tego zgiełku, wśród potwornych scen, wśród mordów i bezcenzurowa, między rozszalałą tłuszczą przesuwał się Cedro, zstępując ze schodów. Stanął wreszcie u drzwi na dole i spojrzał w górę. Szukał oczyma kapitana Wyganowskiego.

W owej chwili za bandą mężczyzn i kobiet, pędzonych bagnetem, szedł wysoki człowiek w ogromnym wieńcu z cyprysowej gałęzi. Oczy jego, wzniecone do góry, i teraz nie widziały nic zgoła. Ani jednego zwisaka... Bose nogi brodziły do kostek we krwi skrzepłej na schodach, ślizgając się, deptały ciała zabite i zimne. Gołe ręce z pod płachty, krwią utłuszczonej, wyciągały

się do góry. W twarzy okrutnej i tak dalekiej od ludzkiego wyrazu, jak daleką jest fizyognomia kamienia, w straszliwej, zimnej masce odbijała się tylko jedna jedyna, niezmienna, wewnętrzna żądza. Krzywda zlobiła ją latami, a tak pracowicie, jak bezsenna praca wulkanu urabia formę krateru. Śpiewał, a raczej wzywał z głębi ducha, ze wszechwładzy serca, z całej piersi, wołał w przestwór słowami psalmu:

»*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?... Et volabo et requiescam...*«...

Był to krzyk tak wymowny, że słuchającemu zdało się być niepodobieństwem, by na to wołanie nie odezwała się natychmiast odpowiedź. Znowu ten głos:

»*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?...«*

Przeszedł. Nie widząc drogi, murów, ulicy, świata, ludzi, którzy go kłóli, popędzając bagnetami i kijami, poszedł wyniosły starzec w czelusć ulicy Engracia i zniknął pospolu z towarzyszami. Zdala, z ciemności zawalonej trupami i zawleczonej dymem prochowym, dolatywał jego nadludzki śpiew: — »*Et volabo et requiescam...*«

Zeszedł wreszcie na dół Wyganowski. Kiedy spotkali się u drzwi, Cedro wziął go za rękę. Przycisnął ją do piersi, nie wiedząc, że to uczynił. Kapitan spojrzał na niego z pod oka, nieufnie, półsztyderczo, jak to było w jego zwyczaju. Nagle zaszlochał bez uronienia łzy, krótko skrycie. Pokrył to sztucznym, a głośnym i farsownym kaszlem. Zdarzało mu się to, widać, często, gdyż natychmiast się opanował. Powiedział coś pieprznie kawalerskiego...

Zniesiono trupy i rannych na wirydarz klasztorny i kolumna odeszła ze szpitala. Skierowała się teraz ku

wylotowi ulicy Engracia, na Calle del Cocco. Zdala już widać było, że to miejsce pełne jest szykan. Ale ludzie odetchnęli. Bić się na powietrzu! Iść przed siebie i walczyć z żołnierzem! Za rowami i przed przedpierśnem z bruku, ziemi i worków czatowali obrońcy. Migały tam ich okrągłe, czerwone czapki, z kształtu podobne do uciętego stożka. Na środku placu widać było baterię z dział wałowych, wzniesioną wysoko, paszczami zwróconą w czarny wylot ulicy.

Pierwszy pułk polski pod Chłopickim utworzył kolumnę zbitą, niby lity tłok, i niezdobytym krokiem wyruszył. W jego tropie szedł czternasty pułk francuski pod pułkownikiem Henriot'em. Obadwa te tarany wbiły się w Cocco masą swoją, jak dwa drogi katapulty. Uderzyły we wzniesioną baterię i zmiażdżyły jej kanonierów. Bateria zamilkła. Ale wówczas ze wszystkich stron, ze wszystkich okien i niedostrzegalnych dziur w olbrzymich domach wydłużonego placu synęły się na nich pociski. Stały tu posępne wielkościennie gmachy, jak teatr, urzędy municipalne a nadewszystko sąd i mieszkanie niegdyś, od czternastego wieku, najwyższego sędziego *justizy*, stróża swobód unii narodowej Kastylian i Aragonów przeciwko władzy Piotrów Okrutnych. Naprzeciwko ulicy Engracia, wylot w wylot, znajdowała się ślepa i wązka uliczka *Arco de Cineja*. O kilkanaście kroków na prawo szła główna arteria miejska po drugiej stronie Cocco — ulica świętego Giliusza. Prowadziła ona obok kościoła tegoż imienia, obok klasztoru świętego Piotra, zostawiała na prawej ręce katedrę *del Seo*, na lewej kościół *Nuestra Señora del Pilar* i wylot w wylot trafiała na most.

Pułkownik Chłopicki sfurmował swoją poszarpaną kolumnę pod strzałami całego Cocco i, złudzony położeniem ulicy *Arco de Cinja*, rzucił się w nią, zamiast w ulicę świętego Giliusza. I w tym zaulku, tak samo jak w całym mieście, domy zamienione były na niezdobyte warownie. Żołnierze ginęli na rozdrożu Cocco, u wejścia w uliczkę i w jej ślepej głębinie. Walły się na nich ściany, umyślnie z góry wyważone i strącone z czwartego piętra, belki opalone, dymiące się, jak głównie, forte piany i szafarnie, skrzynie i ręczne granaty. Sam Chłopicki, ciężko raniony, padł na placu. Wynieśli go żołnierze z pobojowiska.

Noc wtedy spadała na wrzące miasto.

Klasztor Franciszkanów, zdobyty szturmem przez oddział polski, z wyjątkiem wieży, gdzie usadowieni Hiszpanie razili wciąż granatami przechodzące wojsko, służyć miał za punkt zborny, za szpital i miejsce spoczynku. Na zdobytej ulicy Sant' Engracia palono ogień przy ogniu od samego zmierzchu. Warty stanęły gęsto i opasły wszystkie punkty zdobyte. Cedro znalazł się pod kolumnadą klasztoru, która wychodziła na ogrody. Stały tu pod ścianami długie i szerokie ławy z ciosanego kamienia. Żołnierze powyciągali się na tych miejscowościach siesty mniszej...

Miasto kipiało wciąż jeszcze. W dzielnicy nadrzecznej, za placem Cocco, we wschodniej części około uniwersytetu i na zachodzie w okolicach pałacu inkwizycji świętej, słyszać było żniot pracy, szczek młotów, szarpanie ziemi i odwiecznych murów. Ale żołnierze francuscy i polscy, słysząc ten nocny rozgwar zbrojenia się miasta Fenicyan — Salduby, miasta Rzymian —

Caesar-Augusty, miasta Arabów — Zaragozy, miasta Aragonów i wreszcie zjednoczonych we wspólną ojczyznę Hiszpanów — nie zwracali już uwagi. Byli pewni, że wcześniej czy później zdepca i stratają, cokolwiekby stworzyła zrozpaczona praca.

Teraz pożądali snu i spoczynku.

W starym tumie Franciszkanów płonęły ognie. Skwarzyło się mięso na rożnach. Stare, rumiane wino, rozkosz mnichów, krażyło w złotych, kościelnych kielichach. Pieśń, sławiąca siłę i przemoc, pieśń, nakazująca popchnąć i zdeptać to, co upada bez sił, rozlegała się w ciemnych korytarzach, pustych celach i pod kopułą kościoła.

Okołopółnocy ostatnie echo rozmowy ucichło w klasztorze. Żołnierze, otuleni w płaszczce, spali, leżąc wpoprzek galeryi portyku, pokotem. Był to sen twardy i zaiste kamienny. Cedro leżał między innymi w szeregu, ale nie spał wcale.

Na końcu galeryi, u wejścia do ogrodu, paliło się duże ognisko. Długie smugi ruchliwego ognia rzucały w ogród niepewne blaski. Chrapanie cielsk w całej galeryi, w przestrzeni kilkudziesięciu kroków było nie do zniesienia. Zdawało się Krzysztofowi, skoro tylko oddalał się myślami od tego miejsca, że trupy niedorzunięte koło niego charczą. Wzdrygał się i z wściekłym gniewem zawijał w płaszcz. Ale, chociaż zasłonił oczy, nie mógł zasłonić płynących myśli. Dźwigną się jutro z tego potwornego snu do dzieła mordowania, albo na wieki legną po kanałach i rynsztokach miasta. Jaki też sen śni się temu leżącemu motłochowi? I oto ujrzał sen tłuszczny, sen idący nad nimi w ciemnych załama-

niach sufitu. Widział trzeźwemi oczyma ogniste, krew
zwoje bolesci, wlokacę sie po wązkich schodach,クト
rędy ścieka krew...

Wszczepił mu we włosy koślawe ręce swoje krzyk,
odbijający się o ponure mury zaklesłych dziedzińców,
korytarzów, cel... Starzec, starzec w krwawym lachma-
nie! Oczy jego, oczy patrzą, wznosi się uschła ręka...
Wskazuje, wskazuje... Boże, miłosierny! — wskazuje
ręką... Ogarnął go nieprzelamany wstręt. Ciała spitych
morderców, staplanych we krwi, śmierdzących potem
pracy od całodziennych siepań, owa bezwładność
i nicość silnych gnatów, które się teraz podle wiły
i kurczyły pod ciężarem widziadeł sennych, ohydne pro-
file pysków, rozwarte usta, porozrzucane ręce i nogi,
w trwodze i męczarni charczące gardziele i nosy —
wzdrygnieniem go zimnem smagały. Nie był zdolny po-
zostać teraz na chwilę sam ze sobą. Wnet jego myśli
pędziły i ścigały przestrach. Korpus cielesny wciąż musiał
być w ruchu, w trudzie, w pierwszorzędнем zmaganiu
się, wciąż musiał cośkolwiek ścigać forsownie. W każdej
chwili spokoju zaczynały płynąć wpoprzek logicznych
myśli — wichry spłoszonych obrazów, haniebnych wi-
doków, czynów spełnionych.

I teraz oto uczuł się zmuszonym do ruchu.

— Pogadam z szyldwachem... — myślał, wyłączając
z szeregu leżących.

Ale zanim stanął na nogach, już zmienił projekt.
Czuł, że rozmowa go nie zaspokoi. Wiedział, że musi
szukać niebezpieczeństwa, jeśli chce w sobie zagłuszyć
paroksyzmy dawnej duszy.

— Cóż ja mam ze sobą teraz robić? — myślał

bezradnie, siedząc w kucki na miejscu i wodząc oczyma po ogrodzie i murach.

Wieszał mu się na ramionach płaszcz bezsennego sumieria. Obojętne widzenie dawało znać, że wypadnie chyba przesadzić mur ogrodowy i pójść samemu między szańce hiszpańskie na niedostępne zaúłki Calle del Cocco...

Forsy, mocy, wytężenia sił! Walki z przemagającą liczbą! Oczy, badające, które mur przeskoczyć, zabrnęły w pomrok zarośli bluszczu, między zaciszne uliczki strzyżonego bukszpanu, w kąty, gdzie gaje wyniosłych kamelii dokoła siebie rozpraszały białe i czerwone kwiaty. Z głębiny ciemnej wytrysnął przed oczyma ponad szarzejący mur — czarny strzelisty kształt wonnego cyprysa. Blizej nikło białały, przerywając nieugiętość mroku, krzaki rózane. Zarzyły się w ciemnych wnękach czarnej nocy, jakoby światła żałosne, zwisłe girlandy przedziwnych róż indyjskich, wiecznie kwitnących róż z Bengalu, kwiatów rodzącej się Afrodity i kwiatów królowej Flandryi. Przewyciążały tam noc barwy ich śnieżnobiałe i bladożółte, koloru ciała kobiety i koloru porannej zorzy. Zwarty kuszczem stały nad wydrążeniem starej cysterny, zawsze szemrzącej. Zapach ich dźwigał się z ciemności, powstawał ze smutku szmerów lecącej wody. Krzysztof uczuł go niespodzianie.

Usłyszał mowę wieczną szmeru strumienia. Ze szczęśliwem zdumieniem westchnął, wciągając nozdrzami błędny zapach.

W owej chwili, jakby z pomiędzy kapiących w ciemność polśnieć kęp różanych, z pomiędzy białych, jak śnieg, skupień, wyjawiła się twarz blada, z oczyma rozwartymi szeroko od dumy, od pogardy, od straszliwego

unesienia. Usta półotwarte i włosy wzburzone, niby chmura burzy wiosennej nad białem czołem... Widać w chropawej ramie okna ze zczerniałego marmuru tę głowę niewysławionej piękności, oblicze boskie, kształt córy Diosa, Pallady Ateny. Ale wraz uwydatni się z ciemnością inny kształt i wyraz, gdy zbielała i martwa na obraz śniegu zamknięta oczy przed ohydnym widokiem. Krople krwi niema w jej ustach. Światło uciekło ze źrenic. Padają powieki na zraniione oczy, jak drzwi bez zawiasów...

Krzysztof nie mógł już teraz przypomnieć sobie tego oblicza. Stała się, jak gdyby widmo we śnie widziane. Stała się czemś tak niedokładnym, jak wspomnienie starca, i tak wątpliwego istnienia, jak widziadły obraz cielistych róż w mroku nocnym...

Żołnierz wstał ze swego miejsca po cichu. Wysoko przytroczył szablę. Ręce miał wyciągnięte, żeby zwiewny obraz zatrzymać... Na palcach zeszedł ku cysternie. Oto miał przed sobą uśpione krzaki różane. Wiotki zapach wzduchał ku niemu z ciemności. Zdało się idącemu, że to głowa niewidzialna spoczęła na jego piersiach, że wonne ręce opłatają mu szyję. Łkały przed nim w nocy te bezsenne białe róże. Same jego ręce zanurzyły się w krzew mokry, między pręty kolczaste, we włosy zimnych liści. Kalecząc sobie, drąc i przebijając palce, łamał gałązki, obarczone kwiatami. Zerwał ich bukiet tak duży, że ledwo go dlonią skrwawioną mógł objąć. Wolno kryjąc za sobą pęk zerwany, poszedł ku ognisku. Szyldwach nastawił ku niemu bagnet i mruknął, jak niedźwiedź, o hasło. Krzysztof rzucił mu je, nie patrząc, i wyszedł na ulicę. Cała teraz pełgała odogniów strażniczych, rozpalonych co kilkanaście kroków pośród ulicy Sant'

Engracia. Szyldwachy kołatały się między jednym a drugim ogniskiem, jak wahadła. Żołnierz, pilnujący ognów, znosili z doniów meble i sprzęt drewniane. Ciskali je bez przerwy w płomienie. Buchały jasnym ogniem poręcze, boki i gzymsy mebli rzeźbionych z drzewa mahoniu, hebanu i czarnego dębu, może w czasach szałów i gwałtu na lądach i morzu zdobyte... Trzeszczały, pryskając iskrami, bezcenne szkatułki, pełne papierów, pamiątek, świętości rodzinnych. Tliły się smrodliwie stare palimpsesty, pergaminy i folią bibliotek klasztornych. Drzwi wejściowe od ulicy były powyrywane z zawias, czarne sienie stały otworem i broczyły głębią ciemności, jak rany świezo zadane

Idąc od ogniska do ogniska, Krzysztof wypowidał jednym głosem hasło i przeciskał się co przedzej, co tchu za mury klasztoru franciszkańskiego. Minął wylot bocznej uliczki, dwie czy trzy sienie, i oto stanął u wejścia do domu, który poprzedniego dnia zdobywał w grocie woltyżerów. I tu brama była wyrwana z zawias. Dawno już spłonęła w ogniu ulicznym. W sieni jakiś piechur pracowicie rąbał siekierą szafy, stoły i stołki. Cedro wyminął go szybko i wbiegł na piętro po znajomych, szerokich schodach.

Znalazł się tam w zupełniej ciemności. Łoskot siekier słyszać było, jako głuchy, natrętny stuk w ścianę. Wyciągnięte ręce dotykały murów ślizkich, jak lód. Oto drzwi, prowadzące na wewnętrzny, podwórzowy ganek drugiego piętra. Znalazł je omackiem. Wyszukawszy ręką rygiel starego zamka, podważył go kołcem pochwy pałasa i wnet stanął na balkonie. Chlusnęło mu w oczy światło w oknach... Światło w tamtych oknach! Jacyś tam ludzie...

Cicho, jak zmora, szedł dookoła po deskach ganku, a zanim którą nadepnął, sto razy próbował stopą, czy nie zaskrzypi.

Szedł nieskończanie długo... Sądził, że nie dowiecze się nigdy do świątlistych okien... Ale nie skrzypnęła pod jego nogą podłoga, nie zaszeleściął pałasz. Przywłókł się nareszcie. Pierwsze, półotwarte okno założone było na hak środkowy. Zajrzał przez szeroką szczelinę do wnętrza.

Znał dobrze tę salę. Na dywanie pod szafą leżeli zamordowani. Starcy... Oto jego własny książę... Siwa czupryna, niebieskawy podbródek. Sutanna nowa. Do pioruna! sutanna nowa... Ani śladu... Zmiażdżone trupy bab obok niego.

Wielka, woskowa gromnica w rogu pokoju. Dwie żywe przy trupach istoty. Zakonnik, Franciszkanin, stary jak grzyb, z lysą, z żółkłą czaszką, nagą, jak kolano, tyłem do okna zwrócony, klęczał przed zmarłymi i półgłosem mamrotał modlitwy.

Bliżej okna, w głębokiem starem krześle z szerokimi poręczami, spała doncella. Zasnęła, widać, niedawno. Głowa jej opadła bez sił na tylną poręcz. Włosy rozpierzchły się, rozwiązały i klinem, na podobieństwo czarnego cyprysa, wierzchołkiem zwróconego ku ziemi, zwisły ze spracowanej głowy. Bezwładne ręce leżały na kolanaach. Można było mniemać, że i ta kobieta nie należy już do świata żywych. Tylko jeszcze tchnienie uroczych piersi pod czarną szatą świadczyło o życiu.

Krysztof wsunął dłoń między połowy okienne i odrzucił zamknięcie tak cicho, że nie wywołał najlżejszego szelestu.

Roztworzył połowice okienne.

Ujrzał teraz w całej prawdzie i pełni tę salę, którą miał w mózgu, jak widziadło. Ogarnął wzrokiem wszystko. Nie umiałby wyznać, jak długo tam stał pogrążony w dumanie. Najlżejszy szelest nie przerwał ciszy. Prysnął kiedy niekiedy knot gromnicy... Zadrzemał, widać, stary zakonnik, zwiesiwszy głowę na ręce wsparcie o klęcznik

Ocknął się Krzysztof z głębokiego zachwytu. Wydobyła się jego dusza z wiązań całunów, z pęt zamyszenia. Wziął przed siebie bukiet róż, rozdzielał troskliwie gałązki, zczepione liśćmi i kolcami. Rzucił na kolana śpiącej pierwszy kwiat tak wyśmienicie, że korona upadła między dlonie splecone palcami.

Rzucił potem drugą gałązkę, osypaną nierozwiniętymi jeszcze kłobuczkami, trzecią, cudnie rozwitłą, czwartą i piątą. Wszystkie aż do ostatniej. Wtedy przymknął okno tak samo, jak było. Sam został na swem miejscu.

Oczy miał utkwione w twarzy śpiącej. Dusza jego spływała na powieki zawarte, na usta, na lica białe, na włosy czarnym płomieniem zwisające.

Ostry chłód nocy aragońskiej ścisał mu ramiona i żebra. Pierwszy brzask przerzedzał już ciemność. Wiadać było występujące z mroków posępne mury, studzienną czeluść podwórza, czarne okna i drzwi. Jakże to wszystko okrutnym przemówiło teraz wyrazem! Te straszne nieme sienie, te straszne okna i drzwi wychodziły na spotkanie oczu, jak kształt piekła duszy widzialny z blizka.

Wtem, jak piorun, rozległ się łoskot armatniego strzału.

Jakoby wrzask tysiąca odpowiedziała mu salwa karabinów. Cedro uczuł taki ból, jakby to jego te wszystkie

strzały przeszły. Śpiąca dźwignęła głowę, otwarła szeroko oczy.

Powiodła niemi po trupach.

Chwilę słuchała strzałów z głową wtuloną w ramiona, blada i struchlała. Ręka jej dotknęła się mokrych i kolących róż. Bezmiernie zdumienie rozchyliło usta do krzyku.

Zniżyła głowę gwałtownym ruchem nad tymi kwiatami. Zatopiła w nich oczy i siedziała tak nieruchoma, jakby w tej chwili i ją strzały armat o śmierć duszy przyprawiły. Zatrzesły się wątle okna od ponownego huku. Głuchy zadrgały mury, jękły sienie i izby, korytarze i klatki schodowe...

Zawahały się ramiona dziewczęce.

Białe, liliane dłonie trwożliwie a namiętnym ruchem zgarnęły, objęły, schwyciły róże wszystkie bez wyboru, przycisnęły do łona, wstrząśniętego od łkań. Wstała dziewczeka ze swego miejsca, jak gdyby z tym zamiarem, że dokądś pójdzie. Ale nie postąpiła ani kroku. Znieruchomiała na miejscu.

Z zamkniętymi oczyma, z ustami pełnimi żałosnych słów, cisnęła coraz bardziej do serca kwiaty. Rozdzierała białe palce o ostre kolki, raniła miękkie dlonie...

Krzysztof na palcach pobiegł balkonem dokoła podwórza, zdążając na swoje miejsce między walczącymi.

POTYCZKA.

W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragosy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cocco raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działańach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należała zresztą do lżejszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansyerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torrero z improwizowaną artylerią Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon, wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmacnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stały i nieprzebłagany i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym

nastroju duszy wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokojów.

Oto nadeszła chwila długiej niepewności, naprężonego oczekiwania w milczeniu. Słychać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobył z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna, niż dla starych wyjadaczów, dla wytawnich łazęgów włoskich i młodych wisusów a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francji, czasu wielkich marszów pułkowych. Czekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewcząt. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzesła się ziemia, a łoskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu, jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napastowań chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze, zwane *guerrillas*. Wojska regularne Don José Palafoxa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansyerów stanął wreszcie obozem w budach drewnianych, kleconych na przedce, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w drodze nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w błocie i glinie rozmiękkiej, to też dostawały grudy i ochwatu.

Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. To też rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa. Krzysztof uwolnił się z artylerii, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już od dawna i świetnie wszystkie *maniements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność zupełną. Kiedy poprzednio w górach, otaczających Saragosę, wyuczył się przedewszystkiem przebijać ordynarnych chłopów w ognistem natarciu, teraz ćwiczył się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłym, wysadzającym z siodła »broń do ataku!« — w szarżach *en-avant-pointez!* — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i bok. Uczył się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napąci *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były to piorunowe a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możliwość codziennie pokazywać uczniowi, jak te »przytki« rozdawać w obskoczeniu. Rzucały się tedy dla nauki, praktyki i przykładu w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *gerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skokiem, co siły w bachtacie, wpadli w tłum. Byli niedosięgli ani dla bagnetu, ani dla szabli. Sztuka walki z przemagającym stokroć tłumem polegała na tem, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sze-

ściu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbliżać się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewki i błyśk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano teraz nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierschały w pole, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcje i korepetycje nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. W tej bitwie, oba bataliony piesze legii, pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski — wsławiły się męstwem nieustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów. Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem, jako pierwsze awanse na brygadyera i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie, jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie srebrne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapraka, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safianem podszyć..

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzliwie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zacz jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Nie jednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym

austriackim »hrabią«. Ujrzał się też »hrabia« otoczony przyjaciółmi co się nazywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscowościach — można się było niem na śmierć zapić, wyznając sobie wzajem braterskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardyi przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdźców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runowski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubieński i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nadwyszystko młodzież bez stopnia, czyniąca na odznaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardyaków. Ci przybyli zagrażali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto, przybywając od boku cesarza i z wielkiego świata, mieli na obliczach marsa wyniosłości i protekcyjonalne uśmiezki. Cedro, którego widziano, jak pracowicie dostawał do obozu ciołki i owce, jak harował w rowach pod Saragosą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tem większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatyę.

W przeciwnieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hyen i dzików-pojedynków, w przeciwnieństwie do surowych służalców, do nieubłaganych kondotyerów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się teraz w otoczeniu delikatniejszym, młodszem i bardziej ludzkim. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąknięty w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kańcinną dzikością, sława tu świeciła na

ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeża nawrócony przyjmuje nie tylko rytuał, ale i związany z nim w życiu caikowity *modus vivendi*. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojeństwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragosie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów, Peña, który zajął miejsce Castañosa, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro aż do Plasencyi. Z Plasencyi wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata — starorzymskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannes'em znowu pod Saragosę, w ślad za Palafox'em, który szedł zamknąć się w straszliwem mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre Desnouttes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrza-

sy tak olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą przez armie marszałków Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrął pewności siebie i ślepej wiary w szabłę ułańską.

Były ciągłe deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górska drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawalerya nadwiślańska szła wciąż zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatayud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie straże jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny, zwanej Burviedro i wstąpił na górską płaszczyznę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie.

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu uchronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, »sposobem głowy«. Giął wiatr

czapłą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przeźroczyste, jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i zowieję. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czaprakami i oponami z płaszczów, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszczów na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szabłę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dlonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrażu wolno, miarowym kłusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzieliwszy się we dwa skrzydła, pierzchnęła równiną w prawo i lewo.

Konie pod Polakami szły już chyło. Cedro, wi-

dzając przed sobą umykających na prawo, zakomendował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzały jasny piorun, leczący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztofa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociłe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu, latały, rząc po kamienistej rówinnie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczone bieguny w przeciągały ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błąsk. Błąsk długi, migotliwy, pędzący falą zygzkowatą... Ze szczęścia, z uczucia mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinerowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ogień koliste buzuje się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej

ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsyą ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i nizkie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rzą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rzą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któz to mi spłoszył żrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi ręcami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza nama zabili! — ryczy na cały szwadron. — Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

WIDZIADŁA.

Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Romosierry, które jak posępny ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem, tocząc się po gościńcu, huczały i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionymi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotonny clangor dzwonków, chrzęst żelastwa, w zaprzęgu furgonu, łoskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła, jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blisko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w naj cudniejsze susze czerwca, w najcichsze czasy lipcowe zaczynała pozgrzytywać, jakby pokasływać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwałach, ludzie przyśpieszali roboty, na łeb na szyję grabili w kopki siano, schniące na pokosach, rozwaloną koni-

czynę, czy wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo włódarz posłuchać na odwieczerz, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność - klęska, ciemność - krzywda leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szaremi wyrwami, skąd wypełzały ciągle korowody figur. Całkowite ich kształty, które myśl, czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak, jakoby maszkary sztucznie ozywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennem, smutnem, gorzkiem światłem... Rzęsy mają z włóczki przedzonej, z grubej frendzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Zaledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonemi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest, jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którym wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim niejako, tak samo myśli nieszczęśne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i bujne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchoma stamtąd bije, pieńista fala na obraz źródła wyrwanego z pod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot bije raz w raz głę-

bie miękkich, klekocących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Mieczą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, spłakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Szare opony rozpręgły się, zniesztwały i pierzchły. Nie słyszać nic, nie słyszać nawet krzyku poganiacza mułów, ani dzwonków, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmią już! Skonała na zawsze melodya wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wleče się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydęć kamienia...

— Tyżeś to jest przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obiegły nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu uścisku śmierci!

— Tyżeś to jest ze mną — szeptają usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory

mej śmierci? Bóg-że ci zapłać... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otoczmię i przygarnij do życia... Weź mnie z uścisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowemi powłoczeniami całużą przekrwienia oczu bratki jesienne... Bladofioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słyszać, słyszać...

Słyszać, co się dzieje w uszach i głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wyprzódki! Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągliwy szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru, lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomoce skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł-zyz. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błądzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwal w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyje-

dziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia, jak grot lancy, złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypływa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu, niby ogromy chmur, pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądiną sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi rącze i dowcipne całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrośliwy otacza je niby mgła...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie, doprawdy, nie! Jest w tem sens pewien, jest treść w twoich głędzieniach. Więcej znaczy nowy rów, przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką, niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burviedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, prawi, dziedzinie, niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciszku miły... Toż przecie jasno widać...

Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli:

— Zabawnyś ty, stary, zabawnyś ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Poczciwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, łzy mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nietylko za siebie,

ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki... Zabawny ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje, co gorsze, albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samem dniu leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cocco... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka, czy dyabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakóba w Saragosie. — Alboż to prawda? Nikomu nic nie sądzono. Każdy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć, to żyje, a chce umierać, tak jak ty głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wyważa się coś, jak stawidło, trzymające przemocą wody zdławione.

A wywala się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z sopłów, lekkie, jak zimny dech. Gdzie stanie, tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzeparta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słyszać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadełka kowaliki: raz raz, raz raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask...

Wstret... Ktoś pozywa na sąd za owo wino w świę-

tym kielichu... Smak w ustach wina i goryczy centuryi. Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos poruszy półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam? — odpowie z trudem.

— Ady ja...

— Kto taki?

— Ja... adjutant podoficer, Pruski.

— Nie wiem.

— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczem nie wiem.

— Przecie na mnie patrzycie?

— Patrzę.

— No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas wiezą. Gajkosia pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.

— Zaprzysiągłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?

— Napijcież się tego bulonu, napijcież się duszkiem. Sam Hupka go warzył. Pijcież całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?

— Już my minęli miasto.

— A jak się nazywało?

— Nazywało się Alkala de Henarez. Droga się nam wykręciła na zachód. Wiatr ustął. Powiadają, że wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko dzień dobry zrobi. Trzy milę niespełna do tej stolicy. Tam nas złożą w szpitalu, jak cesarz stolicę zdobędzie... Ziąb szelma podły... Krupy z deszczem bili, a teraz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie podporuczniku, gadali ze mną, jakieśmy jechali przez Ateca, przez Alhama, przez Sisamon, przez Medinaceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na południe do Guadalaxara. Z Guadalaxara jedziemy już całe południe i całą noc do Alcala...

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył wargi w płyn i pił chciwie, nienasycenie. Potem zaraz w momencie usnął, nim mu Pruski lewą ręką zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło wielkie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed olśniewającym światłem i ledwie, ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zaniosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregach rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łóžkach polowych, na

płaszczach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myślał ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsł, drżała... Spać tego, bez łajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko, żeby choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić we wspólnym dole i śmierdzić pospołu z motłochem... Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski ich głos przepływa w duszę, jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dźwięczny strzał stu armat:

— Vive l'Empereur!

Za chwilę drugi:

— Wiwat cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte atlantyckie morze:

— Wiwat cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł, a z nim razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Ciszaastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec — zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom

i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragosę, kastel Aljaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański!...

Przechylił głowę na bok i patrzał w słoneczną przestrzeń. Patrzał na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychniącą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł, że klei mu oczy przedki, gorączkowy sen, powieki chodzą, jak po piasku, jak po pacynach zeszłego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz blada i tajemnicza, nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cieniu swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barługów, sienników, materaców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane

głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeszłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego, jak kły, wrzędły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Stanął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekując i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę... — począł mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, za moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszałałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie rannego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych

natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach roz-hukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcę nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uschło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak badyl umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił w swój barłog. Ale nie krzyknął już, tylko te wyrazy wyjęcał przez fale krwi, broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzał w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

VAL DE PEÑAS.

Wieczór się robił, kiedy Krzysztof docierał nareszcie do wsi Val de Peñas, gdzie mu przepowiadano obecność pułku. W oczach miał jeszcze otaczające tę wieś faliste łany winnic o srebrnoszarym liściu, porysowane w nieskończone linie od białych palików. Gąsły w łagodnym zamglenu wiosennem wzgórza i szczyty Sierra-Moreny. W Ciudad-Real, Infantes, Almagro, Mansenes, Toboso i innych zakątkach Manszy stały siły francuskie, to też Cedro czuł bezpieczeństwo dokoła siebie i towarzyszów, z którymi ze szpitala w Madrycie wyruszył po przyjściu do zdrowia na poszukiwanie macierzystego pułku. Cieszyła go ziemia sucha i widok wiosennego nieba. Jakże się radował obrazem piaskowych osypisk, w których brzeg urwisty pinie wszczępią krzywe korzenie swoje, a poczwarne łożaty kak-tusa, najeżone kolcami, kołacą od wiatru.

Gwizdał i pośpiewywał, witając olbrzymie szare krzewiny ostu, co tworzą bezpańskie, a nawet bezpastnie gaje. Na reszcie wjechał w ulicę wiejską. Witał się oczyma z niewysokimi domami, twardo ubitymi z mułu

i chrustu. Dziwne wrażenie sprawiał obok tych niewielkich polskich chat ze słomianymi strzechy widok dziedzińców, zasadzonych pomarańczami, sadów, wygrodzonych żywopłotem z kamelii, róż i bukszpanu. Okna domostw były zakratowane i pospuszczone w nich zasłony. Zaraz w jednym z pierwszych siedlisk Cedro zobaczył stojącego pode drzwiami lansyera. Ujrzał oficerka, o którym sądzono, że dawno ziemię gryzie, wiarus wyjął z ust fajkę i przypadł do strzemienia.

Na krzyk jego z sąsiednich domów wybiegli koleżni, i wnet Krzysztof jechał, jak tryumfator wśród pieszego tłumu.

- Witajcie *los infernos!* — wołał.
- Pan podporucznik niech żyje!
- Teraz dopiero będziemy brygantów łupać!
- Na oficerski dwór...

Setki pytań, opowieści i setki odpowiedzi zasypały Krzysztofa. To o jakichś haniebnych przejściach w górach Juvenes, to o zgubieniu sztandarów, o marszu nad rzeką Gwadyana, o bezprzykładnym boju pod Ciudad-Real, o pościgu na Miguelturra, Almagro, Santa-Cruz...

— A pan pułkownik tu z wami? — zdołał dopytać się Cedro.

— Pan pułkownik Konopka? Gdzie! Już we Francji nasz pan pułkownik.

- Patrzajcież! A szefowie?

— Pan szef Rutie do francuskich strzelców konnych na pułkownika fortragowany...

- To który wami dowodzi?

- Sam jeno pan Hupet został nad nami.
- Do jego idziem kwatery...

W jednym z największych domostw wsi Val de Peñas mieściła się kwatera pana Hupeta. Był już zmierzch, kiedy gromada, eskortująca Krzysztofa, wwa-liła się w podwórze domu. Na jej spotkanie wychyliły się ze drzwi i okien figury wiarusów w porozpinanych mundurach i koszulach.

- Kto idzie? — wołano.
- Daj hasło!
- Moje hasło: Saragosa i Burviedro...

Wnet wciągnięty do wnętrza obszernego domu z wrzaskliwemi oznakami czci, Krzysztof posadzony został przy długim stole. Z początku wodził po tłumie oczyma nieprzyzwyczajonemi do blasku. Spostrzegałokoła siebie znajome twarze, srogie zęby lansyerskie z wąsem do góry zadartym, albo posępnie zwieszonym, oczy wilcze i sępie. Pośrodku siedział w koszuli tylko i hajdawerach Niezabitowski z głową przez pół obwiązaną chustką. Obok niego ponury Prendowski, dalej Górecki, Jan Nestorowicz, Szarski. Na widok przyby-sza Niezabitowski krzyknął:

- Widzieliście, przecie ten świszczyała żyje!
Galicyjski hrabio, bywaj!

Siedzący za stołem zerwali się z miejsc swoich.

- Witajże, witaj! — wołali.
- Wina!
- Oto gość!... Jakby z pod ziemi wylazł...
- Wódki mu dawajcie na otrzeźwienie!
- Gorzałą go częstujcie ojczystą!
- Nie wiesz nawet, bracie, nie przeczuwasz, jaką

tu gorzałkę Majewski z wina pędzi. Gorzelnię, mówię ci, założył...

Podoficerowie, a nawet żołnierze, napełnili izbę. Cedro witał się z nimi radośnie. Rozglądając się wokoło, spostrzegł w rogu izby wysoko na gwoździach zawieszone dwa mundury oficerskie z czarnymi na plastronach znakami.

— Co to jest? — krzyknął.

— To jest mundur Pęczkowskiego, z czwartego pułku piechoty. Zamordowany w Consuegra, a tamto, bracie, mundur Czyńskiego, porucznika z dziewiątego pułku. Ksiądz go w Herencia zdradą zabił.

— Chowacie je na pamiątkę?

— Chowamy je na pamiątkę. Muzeum tu nasze fundujemy w tym przybytku. W Mansanares piechury śpią, a my tu za nich na szpicu czuwamy dzień i noc.

— Te kandelabry to także muzealne? — pytał Cedro, ciekawie oglądając srebrnolite, wieloramienne świeczniki, których kilka w różnych miejscach długi stół obciążało.

Wielkie, żółte świece kościelne z wyciskanymi ozdobami rozmaitych kolorów płonęły, pryskając iskrami. Cienkie obrusy haftowane, ściągnięte z ołtarzów, okrywały stół. Ściana, oddzielająca tę dużą izbę od następnej, była napół wywalona i przez okrągły w niej wylom ciągnął się stół do drugiej izby. Stamtąd zawałał pod kątem i biegł dalej w głąb domu. Cały zavalony był srebrem najkosztowniejszym. Rostruchany do wina wszelkiego kształtu i rozmiarów, kute i cyzelowane przez mistrzów, pyszne złote kielichy, dzbany i nalewki z drążonego kryształu w kształcie łabędziów,

pawic i krogulców, w kształcie dziwnych kwiatowych kielichów, albo gryfów, rarogów i chimer; wielkie patery na owoce z malachitu i żółtego marmuru Sienny, bezcenne talerze porcelanowe z Limoges i czary pół-garncowe do wina ze rzniętymi w czeskiem szkle herbam i grandów hiszpańskich; pamiątkowe kubki i kielichy z kokosowego orzechu, rogu bizona i żółwiej szkarłupiny, dokonane przed wiekami przez nieznanych artystów Ameryki, wydarte przez konkwiastadorów, zdobiły teraz, na nowo zrabowane, biesiadniczy stół lansyerów. Czarne, ciężkie, szumiące wino *Val de Peñas* napełniało konwie, rostruchany i kielichy. Setki butelek stały pod ścianami w koszach. Na srebrnych pół-miskach i drogocennych talerzach dymiły się ogromne porcyje kiełbasy ze słodkim sosem, po polsku przyrządzonej; w dziwacznych naczyniach starożytnych żołnierze roznosili kiszkę podgarlaną na gorąco, tłuste salcesony na zimno, pekeflejsze i szynki z chrzanem.

— Ależ to wy tu Wielkanocne święta, widzę, obchodzicie! — wołał zachwycony Cedro.

— A ty coś myślał! Wprawdzie bab niema żadnych, ani takich, ani owakich, ale zato kiełbasy Skarzyński takie porobił, że cały pułk drugi już tydzień smakuje i nie może się odjeść.

— Skądźście świń nabrali?

— A to się tam Skarzyńskiego pytaj...

— Myślisz, że to już wszystko. Pełne ma chlewy świń, karmi je tak, że się ani jedna ruszyć nie może, a rżnie tylko najtłuściucsze.

— Jedno ma tylkc zmartwienie — pokpiwał stary Szulc — że, mili bracia, choć części tego świństwa nie

może pognać na jarmark do Wąwołnicy, albo Baranowa... Toby zbił kabzę!

— Dalejże, dławikufle! Pijmy zdrowie młokosa Cedry!... — zawała Prendowski.

— Skoroś się, wiesz, z tego postrzału wylizał, toś chwat. Kozła magnałęś, jak pajac w cyrku, a farbowałęś bracie, jak rogacz, trafiony pod piąte żebro... — mruczał Niezabitowski.

— Chociażeś z nami w podłych górach Juvenes nie był, aleś lansyer chrzczony. Pijmy za niego!

— Kołem za niego pijmy! — krzyknęli.

Wstał cały półpijany stół. Cedro powódź po nich okiem i zakipał cały od żołnierskiego wzruszenia. Gotówby był umrzeć za tych ludzi, dałby się w sztuki porąbać za honor, jaki mu wyświadczili, pijąc zań i zowiąc go lansyrem. Chciał powiedzieć, że widział Napoleona. Podniósł kielich...

— Wołać tu Dysa! — krzyknął Prendowski — niech jucha śpiewa, bo markotno... śmierć w oczy zاغلada...

— Dysa wołać!...

Wszedł zaraz żołnierz stary, niewielkiego wzrostu, z włosami bielusieńkimi, jak śnieg, i z białym przestrzyżonym wąsikiem, ale czerstwy i czerwony jak ćwik.

— Stary! Śpiewaj!... — wołano.

— Tylko nie z tych nowych pieśni...

— Stare nam śpiewaj! co najstarsze!

— Według rozkazu... — rzekł wyprostowany Dys.

Usunął się zaraz pod ścianę, odkaszlnął i powódź ręką po wąsach. Za chwilę wzniósł dłoń uroczyście,

jakby dyrygował orkiestrą, i niespodziewanie zaczął śpiewać głosem tak szczerym, silnym i cudnym, że w całej kompanii ustała grobowa cisza:

— »Ocknij się, Lechu, przerwij sen twardy,
Czuwa na twój kark bisurman hardy...
Czas przetrzeć żrenice, a toczyć krynice
Łez gorzkich!«

W głosie tym brzmiała najszczersza prawda, tryaskały krynice łez gorzkich.

— »Już pod armatą ziemia przykłeka,
Już Ukraina pod Turcję stęka,
Już braniec spętany, już brzęka kajdany,
A ty śpisz?«

Cały tłum oficerów chorem, w uniesieniu, powtarzał ostatnie wyrazy. Prendowski napełnił sobie kielich i dolewał do niego łez gorzkich.

— »Orle Sarmacki! Gdzie są pierony,
Gdzie są ogniste grady Bellony?
Gdzie dziarska ochota? gdzie pradziadów cnota?
Gdzie mestwo?«

Jeszcze brzmiała ta pieśń, kiedy dał się słyszeć gwałtowny totent, zgiełk i krzyki. Tłum żołnierzy rostał się we drzwiach i do biesiadnej izby wwałyło się kilku olbrzymich lansyerów w czapach i pełnom uzbrojeniu, dźwigających kogoś na rękach. Wszyscy byli pokrwawieni, w potarganem odzieniu, z twarzami zdziczałemi i czarnemi od prochu.

— Kto to? — krzyczał Niezabitowski.
— Pana Stokowskiego niesiemy...
— Kapitan! — wołali oficerowie.

— Żyje?

— Zrąbany, ale tchnie.

— Na góre z nim, do pokoiku.

— Chirurga!

— Stokowskiego zdrowie!

Tuż za żołnierzami wkroczył do izby porucznik Mikułowski.

— Widzieliście go! — zawołał Szulc.

— Całość wyszedł?

— Bogu dziękować.

— Jakże to było? Gadaj-że, nie stój!

— Boisz się, żeby we mnie przypadkiem słowa nie pogniły, jak w nieboszczyku Sanszo-Panszy... Jeść mi się chce.

Siadł do stołu i przygarnął ku sobie pierwszy z brzega półmisek.

— Gdzież to było?

Mikułowski ruchem pełnym niewinności przyjął z rąk kaprala kopiastą paterę wieprzowego mięsiva, popchnął kęsy kielichem *Val de Peñas* i rzekł między jednym haustem a drugim:

— A no w Mora.

— Cóż to za Mora? — zapytał Cedro.

Mikułowski spojrzał na niego z ukosa i rzekł:

— To acan żyjesz? Mora to taki zamek, jak w Chęcinach, abo i większy. Postawili nas tam ze Stokowskim na straconą pocztę. Straszy, do dyabła, w tem zamczysku... Okopaliśmy się, odgrzebaliśmy fosy, co je podobno Maurowie z Andaluzyi przeciw królom Kastylii w skale pokopali...

— Co ty bredzisz o Kastyliach? Gadaj o rzeczy!

— No, tak. Napadli na nas jeszcze wczoraj, o północy, ze wszystkich stron. Było tego bydła z tysiąc ludzi, a nas pięćdziesięciu, zamkniętych w starych basztach. Broniliśmy się strzelaniną, póki nam prochu stało się. Potem kamieniami. Ale i oni rozebrali mur, wybili dziurę w baszcie narożnej i podpalili schody.

— Jakżeście wyszli?

— Czy ja wiem? Szliśmy przez ogień. Pałaszami... Stokowski, jucha, wojował! Bodaj to!

— Któż zginął? — po długiem milczeniu, w czasie którego Mikułowski jadł zawzięcie, zapytano z tłumu.

— Czy ja wiem? Poginęli... Nie jeden zleciał na łeb w ogień. Jak my dopadli koni, to się tam jeszcze kotłowało. No, ja się już najadł — jadę.

— My z tobą! — wrzasnęli oficerowie.

Cedro roztrącił tłum, biegąc do swego konia. Gdy się znalazł na siodle przed domem, płonęły już smolne pochodnie, oficerom podprowadzano konie, w stajniach słychać było rżenie i wrzawę. Za chwilę trąbiono wsiadanego.

— Chłopcy! dziś nie dawać brygantom pardonu! — słychać było w ciemności głos Niezabitowskiego.

NAD BRZEGIEM RAWKI.

Druga kompania pierwszego szwadronu ułanów pułku Dziewanowskiego wczesnym rankiem wyruszyła na patrol główny. Deszcz lał przez całą noc. Nade dniem dopiero ustąpił. Obwisłe chmury dźwigały się z równin mazowieckich, ukazując w oddali leśny wiązokrąg.

Kompania miała rozkaz przebyć błota rzeczki Rawki poniżej trzech stawów w Michałowicach i od pierwszego skrzydła, z miejsca, gdzie stała ostatnia wedeta, wejść w lasy, w różnych kierunkach je przejrzeć i złączyć się ze swym szóstym pułkiem, oraz z brygadą konnicy Biegańskiego. Stu siedmdziesięciu jeźdźców z kapitanem, porucznikiem i dwoma podporucznikami, żwawo oddalało się od warszawskiego traktu. Zrazu co kilkaset kroków próbowali miejsca dobrego do przebycia, ale wszędzie naprzóźno.

Po roztopie wiosennym i po deszczach nizina Rawki stała pod płytka zalewiskiem, które podchodziło aż pod suche pola. Zaraz pod Puchałami zaczynały się torfowiska, w których koń od samego brzegu

po tybinki zapadał. Jedyne miejsce twardsze, z mostem, pod ogrodami folwarku w Michałowicach mieli rozkaz ominąć. Szli tedy dalej. Pomiędzy ich szlakiem a Pęcicami stało bagno-głębia, bezgruncie paskudne, zawleczone wodą i szerokie blisko na wiorstę. Długie rudawiska ciągnęły się stamtąd aż po wieś Tworki i Pruszków. Ogromny park, drzewa dzikie, rozrosłe w las nad stawami Pęcic, ginęły jeszcze w śniadych tumanach. Kiedy niekiedy wynurzały się z nich wielkie zastępy drzew i kryły znowu w tajemnicze półmroki. Tylko aleje starych lip na piaszczystych wzgórzach, prowadzące w stronę Komorowa, stały już w błękitnem przestworzu.

Już świeża trawka puszczała się wszędzie, gdzie tylko grunt zetknął się z falami, a jasne pędy tataraku tryskały szeregiem, od spodu, jak zarzewie ognia, buchające z głebin ziemi.

Olchy po nadrzeczu, w błotach rozrosłe w kępy i laski, czarne były jeszcze, jakby wśród młodocianego świata schorzałe i opuchłe, ale już i na nich żółtawe bazie tam i sam omgliły wierzchołek. Rowami i głębiami skib z szelestem i szemraniem waliła w nizinę wiosenna i świeżo spadła woda. Nad długimi szyjami i gardzielami torfowia, które warzyło się w cieple wstającego dnia i kurzyło od oparów, śmigały wciąż wesołe pokrzyki i radosne loty czajek.

Żołnierze z cicha naśladowali ich głosy rodzime, niektórzy tak wybornie, że kompania śmiała się, jak jeden człowiek. Nawet marszowy i straszny kapitan, Franciszek Katerla, szybko awansujący, jako najlepszy jeździec w armii, nie mógł skryć pod bujnym wąsem

uśmiechu. Srogo chrząkał i oglądał się, jak zwierz, gotowy do skoku, lecz ludzie dobrze wiedzieli, że wiosenkę ma taką samą w sercu, jako i wszyscy.

Podporucznik Rafał Olbromski wesoiy był tego ranka. Koń pod nim zdrowiem paraskał i niósł go miłościwie. Każde czajki zwołanie przypominało coś mięgo, jakowas dawną, a już, widziało się, na zawsze obcą i zapomnianą radość.

Na płaskich wyniesieniach gruntu, po prawej stronie Rawki, kret wyrył kilkadziesiąt świezych, czarnych kretowisk.

-- Będzie pogoda... — szeptali żołnierze.

— Ten saper nie będzie ci wywalał ziemi przed deszczami, dopiero jak wiosny pewny, cabas za łopatę i sypie.

— Takiego wziąć, zarazby za kościołem, pod Opatczą okop wywalił na sto łokci.

-- Będzie ta i bez niego, nie bój się...

Ziemia już na tych przypiaskowych góreczkach pachniała ostrym, przenikliwym czadem wiosny. Jeszcze, prawda, pańskie role nietknięte szarpały daleko, w stronę Warszawy, a piaski po drugiej stronie rzeczki szczerzyły się nagimi spłachciami, ale już ozime żyta płonęły gdzieniegdzie zielenią.

Zbliżywszy się do wioski Reguł, żołnierze spotkali chłopów, orzących swe niwy. Mokre skiby, świeżo odwrócone, lśniły, jak wypolerowane żelazo. Chwilami powiew wiatru z południowej strony przyniósł odór nawozu, odór, co uderzał i natychmiast ginął w czołości powietrza.

Kompania wyszła na twardszy grunt i sadziła

ugorami. Kopyta końskie zapadały się jeszcze po pęciny i, wyrywane z tężejącej ziemi, pojękiwały do taktu. Pod wsią Pruszkowem przebyto w bród Utratę, piaчами ruszono na południe w lasy Komorowskie i Helenowskie. Zaraz za rzeczką kapitan Katerla zatrzymał oddział i uformował go do patrolowania. Dwadzieścia pięć koni dał na awangardę z porucznikiem na czele. Z tych dziesięciu miało patrolować, a piętnastu iść w kupie o dwa tysiące kroków przed oddziałem głównym. Dwudziestu jeźdźców z pierwszym podporucznikiem zostawił w aryergardzie o dwa tysiące kroków za oddziałem głównym. W takim tedy porządku wszedł w lasy.

Suche, napół liściaste bory ciche były i nieme.

Podszewka leśna — grabina, dębczaki, kuszcze leszczynowe — ledwie, ledwie dawała znak życia. Zeschły i truchlejący liść pod końskimi kopytami szeleśiał...

Wązką dróżką od Nowej Wsi, w stronę Nadarzyna, przeciskała się straż przednia. Oddział środkowy szedł kupą, mając po boku wachmistrza starszego, czterech wachmistrzów, furyera, kapralów i trębaczów. Szerzowi ciągnęli równo lasem. Milczeli głucho i dawali baczenie.

Słońce już weszło i nagi las tak jakby przeciągał się i dźwigał ze snu. Tu i ówdzie otwierało się pole, jak zatoka werznięta w las, i oko biegło w pustą, milową, mazowiecką równinę. W jednej z takich ostoi bydliła samotna wioska. Kilkanaście bielonych chałup pod słomianymi strzechami. Siedliska mieściły się po obudwu stronach piaszczystej drogi. Nad strzechami górowały nagie lipy i rosochate wierzby. Pustka i cisza...

Na szczycie najwyższego z drzew bociek klekotał. Pierwszego spotkanego chłopa, tak jak stał wzięto między konie i kazano prowadzić oddział najbliższą drogą pod Nadarzyn. Kupa dzieci w koszulach wybiegła patrzeć na jasne wojsko i szła za niem dugo, dugo z wlepionymi oczyma. Psy szczekały bez końca, gdy już oddział dawno w lesie utonął.

Rafał wywiódł konia z kolejny i puścił go lasem na skraju szeregu żołnierzy. Słuchał z lubością, jak podkowy końskie rozmiatają brunatne, zgorzałe zwłoki zeszłorocznych liści bukowych i łamią zeszłe gałązki. Myśli biegły w dal, podobne do spojrzenia przebijającego gęsty las.

Niby na jawie, niby trzeźwemi oczyma ujrzał ojca... Nigdy prawie o nim nie myślał, ani razu chyba w życiu nie wspominał go sobie z tesknotą. Skądże teraz?... Idzie staruszek zgarbiony, jakoby pleśnią żółtawą obrosły, kijkiem przed sobą śnieżycę maca. Czapczysko na nim, bekieszka, buty wytarłe, jak zawsze. Stary sknera Olbromski z Tarnin. Cóż za dziwny, cóż za cudaczy, niezgruntowany żal!

Ach, bił go ten ojciec zawsze, od najpierwszego dzieciństwa, zniewalał zawsze, nękał, dokuczał, poniewierał, zdradzał. Z domu, z pod dachu, na deszcz i słońce wygnął. A brata, brata! Na wieki wypędził z dziedziny... Na wieki, na wieki wieków... Serce mu nie zabiło, nie drgnęło, gdy się brat terał po świecie, w marszach, po leżach, w obozowiskach. Nie przeczuło, gdy zestrzelany kulami na polu leżała półumarły, nie pęknęło z żalu, gdy umarł nie zjednany, bez uścisku. Gniye teraz, daleko, daleko...

Skądże to ten dziwaczny, niezgruntowany żał?

Zda mu się, że to nie on myśli o ojcu, lecz że sam jest starcem zgrzybiałym z Tarnin, że wszystkie myśli tamtego, najgłębsze korzenie myśli, najcieńsze nitki wiedzeń, uczuwań ma w sobie. Czuje, jak drżą, jak się roją i cierpią. To nie jemu żał, och, nie! To starca nęka ów ciemny, niepowrotny, niezgłębiony ruch czucia.

Wiosna nowa nadeszła, nowy jar tracił i ze snu obudził każdą grudkę ziemi, ciepły wiatr powiął z za Wisły na sandomierską równinę. Wszędы, jak oczy daleko zasięgną, życie się rodzi. Tyle już lat to samo życie się rodzi... Tylko już Piotr nie wróci.

Już go niema. Stał się oto skibą gliny, kopką nawozu, szczyptą popiołu. Kość ta już jedna z niego nie została. Żeby choć to wiedzieć, ile z niego jeszcze tego próchna ocalało! żeby to choć ręką pomacać! Gdyby był leżął na cmentarzu, co go w polu widać, poszedłby teraz ku niemu, jak nikt nie widzi, i gadałby mu w mogiłę ojcowską swoją wolę i rozkaz. A tak... Jakaż to straszna rzecz przeżyć dziecko! Serce starca kurczy się, zwija i ściska w sobie, ale już ani jednej łzy wydać nie może.

Powiódł oczyma po polach. Naokół... Przystanął. Patrzy w dal. Niema i drugiego. Któż wie, czy i ten wróci? Kiedyż wróci? Zimne i twarde myśli odtrącają te trwogi. Wiatr wiosenny osuszył samotną kroplę na obwisłej dolnej powiece. Twarda wola wegnała w kluby wzruszenie. Idzie znów starzec szybko, szybko kijkiem swym się podpiera. Zaczyna ważyć w głowie pospolite, codzienne, folwarczne myśli. Co będzie siał na tej ni-

wie? co na tamtej? czy jeszcze zawlec tę podorywkę?
czy orać tamte uwrocia?

I oto znowu wypełza z niepostrzeżonej szczelinki dawna wola, zawzięta na śmierć i rozcinająca na dwoje, jakoby płytka, damasceńska stal. Nie, nie daruje, nigdy nie przebaczy! Niech ginie! niech przepada! Choćby, jak kundel wygnany, przyszedł i przyszwy buta lizał, nie pogłaszcze go ręką. Szpadkę z pochwy na ojca dobywać? Cha-cha!... Niechże na wieki przepada, kiedy tak!

Skiby ziemi sztorcem się nasuwają przed ogniste, czerwone oczy. Zgadnij, w którą też zmienił się teraz...
Zgaduj, zgadula...

Coś w Rafale rozciąga stawy duszy i głęboki ból, zaklęty ból, leżący między ojcem a synem, ból, któremu równego na świecie niema, wykrzywił mu twarz. Żal mu tego starca, cierpi za niego i w nim, a żal ów rznie się wśród poczucia krzywdy, zniewagi, wskróś wstrętu i gniewu.

Zdumionem okiem powiodł dokoła.

Słońce jaśniało. Złotobiałe połyski szły w zabłąkaniu po lesie. Spoczęły na brzozach nagich i żałosnie urywczych, jakoby prześliczne niewiasty zhańbione i obdarowane z szat przez brutalną moc... Spoczęły, zmierzchły, odleciały. Weszły między zielone gaje soseu i pod zgniłymi liśćmi, pod uschlemi igłami szukały pracowicie zdyszanych od trudu kłów ziół wiosennych.

Wtem przed oczyma zamglonemi dumaniem błekit szeroki zajaśniał. Otwarło się pole, idące milami w południową stronę. Daleko w piaskach szarpały stodoły Nadarzyna i połyskiwał duży, miedziany dach kościoła, oraz niewysoka jego wieżyczka.

Rafał obojętnie patrzał w piaszczyste ugory, śledząc ledwie widoczne kolejny suchej już drogi, gdy raptem usłyszał chrapliwy przyduszony głos kapitana:

— Stój!

Konie na ten głos, nim ręka jeźdźców przykróciła cugli, stanęły, jak wryte. Złotogniade pokryły się ciemnemi łatami. Dymiły parą wszystkie. Na niektórych piana się już zamydliła.

— Bacznosc — do zsiadania!

Olbromski z zadowoleniem cielesnem przetrzucił cugle na prawą stronę, okrucił grzywę około palców lewej ręki i zlekka wysunął prawą stopę ze strzemienia. Wsparłszy lewą rękę na kuli, marzył jeszcze:

— U nas się tam już zazieleniły niwy. Rankiem po parowach mgły buzuja...

— Z koni! wyrzucił kapitan.

Sam, jako niedościgły wzór, przeniósł genialnie prawą nogę, palcami w dół, ostrogą do góry przez swego cudnego wałacha.

Jak jeden człowiek stanęła kompania na ziemi w pozyturze aż do komendy:

— W miejscu — spocznij.

Rafał zostawił swego tresowanego *Bratka* samopas, z zarzuconemi na siodło wodzami, i wyszedł z szeregu, żeby rozprostować kolana. Ale kapitan nie dla samego wypoczynku tu stanął. Przeszedł przed awangardą, mamrocząc do siebie niezupełnie salonowe wyrazy, wybrał jednego z żołnierzy, Mazura, jak świeca, i skinął nań, żeby wyszedł. Wybrał drugiego i skinął znowu. Kazał im odpiąć pałasze, złożyć na ziemi lance,

zdjąć czapki i włazić ostrożnie na najwyższe dwie sosny, stojące na skraju leśnym.

Obaj poskoczyli i, jak wiewórki, idąc według rozkazu z północnej strony pniów od sęka do sęka, dostali się na wierzchołki.

— Co widać? — pytał kapitan z cicha.
Milczeli.

— Patrz jeden z drugim, gawronie! Wielki gości-niec widzisz, jak z lasu idzie do Nadarzyna?

— Widzę, panie kapitanie!

— Za Nadarzynem trakt widać jeszcze, czy nie?

— Widział, panie kapitanie.

— Pola wszystkie oglądaj, dokoła... Patrzysz?

— Patrzę, panie kapitanie.

— Puste?

— Pu...

Nagle obadwaj zołnierze, jak na komendę, zaczęli zsuwać się z drzew, dzwoniąc ostrogami, śpiesznie od-czepiając z sęków akselbanty.

— Czego? — zgrzytnął na nich kapitan.

Obadwaj skoczyli na ziemię z wysoka. Biegli do koni, chwytając swe czapki i lance z szeptem:

— Konnica, konnica!

Kapitan rzucił się w kierunku, który wskazywali. Nic z początku nie dojrzał. Pola porznięte były kę-pami brzozowych i sosnowych gajów. Od strony wielkiego lasu, zwanego Dębakiem, przez środek pól szedł miarowy, chrzestliwy, dzwonny pogłos. Serce Rafałowe zabiło gwałtownie i zwolna się uciszało.

— Duch-duch, duch-duch...

Płynęły rozpierzchłe myśli:

— Sarny z Łysicy idą, czy co?

— Bacznosć — do wsiadania! — zakomenderował kapitan cicho, sekretnie.

— Na koń!

Rafał bezwiednie, z oczyma utkwionymi w dal, przeniósł nogę przez grzbiet koński, wsunął stopę w strzemię do kostki wielkiego palca, rzucił końce cugłów na lewą stronę. Poprawił się w siedzeniu, zmocował w sobie, wróśnił w siodło i stanął, jak wryty.

Bratek pochrapywał nozdrzami i strzygł uszyna.

Daleka muzyka kopyt końskich po mokrej, miękkiej ziemi głucho, głucho przepływała polami. Oczy oficerów, wachmistrzów, kapralów, trębaczów, żołnierzy, jak cięciwa do ostatniego krańca naciągnięta, wytężyły się w tę stronę, skąd szedł daleki takt. I oto w odległości co najmniej wiorsty, z za lasku, zwolna, płynnie, powabnie grając w słońcu kolorami, wysunął się hufiec cesarskich huzarów. Kapitan stał na swym koniu zupełnie skamieniały. Twarz jego była jak gdyby z marinuru wykuta. Wszystek był w oczach.

Patrol austriacki szedł w stronę nadarzyńskiego traktu, wracając widocznie z rekonesansu. Ukośnie miał przeciąć pole przed frontem polskiego oddziału. Gdy cały wyszedł na plac i widać było całą jego siłę, daleko od polskiej znaczniejszą, z ust kapitana padła, jak strzał, komenda:

— Lance do ataku!

Prędzej, niż słowo rzec, prawe ręce zsunięły się po drzewcach kopii aż do miejsca, którego mogły dojść bez pochylenia korpusu ciała. Tam je chwyciły sękate garście mazurskie. Tylca lanc wyjęli z rze-

miennych u strzemienia tulejek. Pierwszy szereg schylił lance grotem w piersi wroga, drzewca na pół łokcia od końca wziął pod pachę, przycisnął do żeber. Drugi szereg ujął drzewca — i czekał.

Kapitan się zasiadł mocno, rękę położył na głowni pałasza. Toż oficerowie. Wielki dech w piersi...

Świśnieły oficerskie szable, wyrwane z pochew jak jedna.

— Przykrój cugle!

Powiódł po ludziach okiem żelaznym.

— Naprzód!

— Marsz, marsz!

Ostrogi worały się w boki końskie. Hufiec drgnął i wypadł z pomiędzy drzew. Zrazu szedł nierównymi skokami, jak gdyby szukał swego taktu, wspólnego dla wszystkiej siły. W jednym momencie go schwycił. Wtedy ludzie i konie stali się jak masa jednolita, jak zlepienie w bryłę olbrzymią, jak skała oderwana z czuba łańcucha górującego i lecząca w doły przepaści. Żołnierze pierwszego cugu schylali się ku szyjom końskim w miarę wzrastania przecwału. Zafurczały chorągiewki. Bryły miękkiej roli, frygnięte końskiemi kopyty, grały w powietrzu.

— Nacieraj!

Rafał czuł wściekłą rozkosz w tym wichrowym pędzie.

W zmrużonych oczach miał błękitną i błyszczącą smugę. Usłyszawszy ostatni krzyk kapitana, rozwarł oczy. Był o jakieś osiemdziesiąt kroków od linii nieprzyjaciół.

W półszwadronie kajzer-huzarów, jednym z sze-

ściu w przedniej straży generała feldmarszałka von Schaueroth idących, oddawna spostrzeżono podjazd. Sformowany patrol leciał na spotkanie co koń skoczy. Oficerowie gnali z krzykiem na skrzydłach jeźdźców, wyciągniętymi szablamи dając kierunek napaści. Gdy pierwsze dwa szeregi polskiej kompanii naciśnięte zostały przez następne tak, że by końskie wrzynały się między jeźdźców, a piersi rumaków naparły w galopie na kłyby i wciskały się między uda koni pierwszoszeregowych, szyk huzarski, lecący pod kątem, stracił się z polskim. Ułani werznęli się w półszwadron, jak pocisk. Na wsze strony rozpierzchły się pierwszy zbity cug. Kilkunastu zepchniętych z kulbak lancami wrzeszczało wśród kopyt końskich.

Ale drugie i trzecie linie natarły w mig z żelazną siłą i rąbały się szablą, z konia. Podporucznik Olbromski wciesał się w ten zwarty, żołnierski tłum. Miał szabłę i wśród świstu szabel począł w nie sieć z fureją i rozkoszą. Oczy wokoło niego przywarły, brwi zwiedzone, nozdrza dyszą. Białe zęby połyskują. Świszcze i praska w brzeszczot. Strzały się rozlegają i dziki wokoło wrzask.

Przemógłszy skutki pierwszej, lancami, napaści, siła huzarska rzuciła się teraz wszystka z szablamи. Rafał czuł to doskonale, jak roztrącone przed chwilą skrzydła Austryaków wciąż się zestępują i łączą, jak stary, ćwiczony i zwinny żołnierz palatyński dosięga nowozaciężnego ułana kordem, na brusie toczonej, i ścina go z wprawą i zemstą. To też, ujrzawszy przed sobą miejsce i starego rębacza w boju, rzucił się na niego co ducha. Ciął, stojąc w strzemionach, raz i drugi,

z błyskawiczną prędkością. Żołnierz ów odparował ciosy i pozornie umknął. Drugi najechał na jego miejsce, jak sobowtór tamtego. Zwarli się końmi pierś w pierś, wrąbali w siebie nawzajem, aż stał z trzaskiem zgrzytała. Rafał pochwycił moment, wparł stopy w strzemie, stanął i płatał na amen. Nagle tańten drugi, pozornie dezertujący, zdarłszy konia wędzidłem tak wysoko, że z rozwartym pyskiem stanął dęba i rzucił się naprzód — z impetem runął w junaka.

— Wawrek! A bij-że! A bijże tę psiokrew! — wrzasnął gdzieś z boku skrzydłowy wachmistrz.

Rafał czuł się na siłach i odwalił wszystkie cięcia z pewnością siebie. Pałasz jego miotał się błyskawicą, strzelał wokoło i krzesał ogień. W pewnej chwili zgiął się na bok pod strasznym ciężarem.

— Przetrącił mi ramię... — tyle zdążył pomyśleć.

Pałasz wylatywał mu z garści, z pomiędzy zmarzłych palców... Chwycił go jeszcze raz z całej mocy, z całej siły, z całej duszy i wzniósł zdrętwiałą i ciężką rękę, ale nie mógł już zadać ciosu. Mrówka, mrowisko w dłoni, w łokciu, w ramieniu.

Huzar odsadził się na siodle i pchnął go wtedy sztychem w piersi. Ostrze zaorało po kości i cgnistym jęzorem wżarło się w bok. Jeździec austriacki szarpnął się w tył i zleciał z siodła na bok, zajechany szablikiem przez skrzydłowego wachmistrza. Za chwilę siedział w kucki na zagonie, obiema rękami trzymając rozwaloną szczękę. Straszne jego, siwe oczy patrzyły w próżnię, z gardła wydobywał się bydlęcy ryk. Olbromski sekretnym ruchem wyciągnął z olstrów pistolet i strzelił mu w żeb z góry, prosto w te obłąkane

ślepie. Uczyniwszy to, rzucił okiem na swe spódnie i ze zdumieniem i złością zobaczył, że lewa nogą, kolano, but aż do stopy zalane są krwią.

-- Któź to u stu dyabłów tak mię spaprał? — myślał, jak przez sen.

Spostrzegł, że pole całe żółknie i że płomynki zielonawe wypadają z niego rzędami. Puścił wodze i lewą ręką zaczął przecierać sobie oczy.

Z krzykiem i tētentem robiąc lancami, strzelając i tnąc się w szable, otoczyła go kupa bezładna ułanów i zagarnęła w środek. Słyszał w tym tłumie nieustający krzyk kapitana, porucznika i kolegi podporucznika: — Stój! równaj się! Jak oszalały, wywrzaskiwał to samo wachmistrz starszy. Cofali się ku lasowi, odpychając ze wszech sił nacisk huzarski. Pojedyńczo jezdźcy ganiali się jeszcze tam i sam, w polu. Patrol, który wreszcie zaczął raliować się pod lasem, uprowadzał ze sobą kilkunastu wziętych w niewolę.

Rafał nie rozumiał teraz dokładnie tego, co się dzieje. Było mu nieprzyjemnie, mdło i głupio. Dał się, jak tchórz, porąbać... Gdy wrzawa bitwy, szczek szabel i okrzyki ucichać poczęły, rozproszeni ułani dopadali co chwila w skok do tego miejsca. Byli zgrzani, na obłąkanych i spienionych koniach. Ten i ów prowadził rumaka węgierskiego, ten i ów włókł rannego czy potłuczonego huzara. Spostrzeżono wreszcie, że podporucznik Olbroniński jest coś zanadto krwią oblany.

Bronił się i udawał zucha. Ale ściągnięto go z konia. Gdy mu starszy wachmistrz na rozkaz kapitana odpiął rozwały mundur, krew bujną falą broczyć za-

częła z zañadra. Bielizna we krwi, mundur przemóki nią do cna. Położono wojaka na ziemi, ściągnięto garderobę i opatrzono ranę na przedce. Była w piersi i w boku. Szła z dołu pod pachę. Sam kapitan zaczął ją wymacywać szorstkimi palcami, szukając kuli. Gdy go ranny zapewnił, że to rana nie z postrzału, przemyto rozdarcie gorzałką i zawiązano szmatami. Obandażowany tak mocno, jakby był wtłoczony w gorszt, podsadzony na koń, zasiadł w kulbace, nikiej w krześle. Kompania, mając pośrodku swych rannych i jeńców, zwolna posuwała się brzegiem Komorowskich lasów w stronę traktu. W dali, pod Nadarzynem, tłumnie pieniły się wojska austriackie. Konnica wysuwała się naprzód. Dolatywał daleki gwar i śpiżowy dźwięk.

Szmat jeszcze drogi zostawał do gościńca, kiedy w kierunku lasu wysunęła się równa, szeroka linia kawaleryi austriackiej i ostrym a wzmagającym się kłusem szła wzdułż drogi. Ujrzawszy ten ruch, kapitan wciągnął swoją kompanijkę w lasy, a sam z oficerami przypatrywał się z otwartego miejsca.

Koń Rafała stał w płytkiej wodzie leśnej i niecierpliwie kopytem rozpryskiwał ją wokoło. Oczy jeźdźca z przelotnym smutkiem taczały się po wybrzeżach wiosennego smugowia. Dusza wspominała sobie wiosenny swój sen: drogę do Wygnanki. Tak żywe było widzenie tamtejszej chwili, tak oczywisty był przed okiem tamten kraj, że teraźniejszość prawie znikła. Jak przeszkoła w uczuwaniu swych własnych rzeczy nastręczalały się okrzyki i mimowidny, wbrew zakazowi, szczek szabel, ostróg, lanc, uprzęży. Tłum drgnął i podał się ku leśnemu wybrzeżu.

I Rafał podniósł oczy.

Na spotkanie huzarów oddawna wypadł był z lasu drugi pułk ułanów, pcd komendą Tadeusza Tyszkiewicza. Po deszczach nie było w powietrzu jednej drobinki. Zrazu szedł równo, sporą rysią. Ale oto w oczach począł się zrastać, skupiać, jakby się w siebie wciągał. Konie zlały się z końmi, ludzie z ludźmi. Barwa jeno została, lecząca w polu. Oto poszli co pary w koniach...

Kapitan Katerla nie wytrzymał. Zdarł konia, nawrócił nim w miejscu i, stanawszy przed swym oddziałkiem, przednie wydał rozkazy. Starszy wachmistrz z trzema dziesiątkami szeregowych poprowadzi jeńców i rannych wpoprzek lasu, wprost do placówek pod Sękkocinem i do kwater głównej. Reszta w pole.

W moment wydzielono konwój, a zmniejszony półszwadron wyszedł z lasu. Uszykował się na roli i z kopyta poleciął w bój. Te sto kilkanaście koni, lecąc z ukosa do drogi, wsparły znakomicie szarżę główną i przyczyniły się do złamania austriackiego szeregu, oraz uprowadzenia dwu setek niewolnika. Rafał już tego sukcesu nie widział. Otoczony przez swych żołnierzy jechał leśną drogą. Ułani szeptali, z nadzwyczajną ciekawością przypatrując się jeńcom, oglądając i taksując pojmane konie i zdobycz. Starszy wachmistrz śmiał się pod wąsem, ale wobec Rafała nie ważył ust otworzyć. Wreszcie, licząc oczywiście na niemoc podporucznika, nie wytrzymał i zagadał do najbliższego Niemca:

— A nie masz znowu czego tak *hergotać*, bo cię tu na roźnie nie pieką. Szable toście sobie potoczyli na brusach, żeby nas ścinać bez miłosierdzia, psubraty!

Huzar podniósł na niego oczy przekrwione i pokazał swą rozpaloną głowę. W istocie skorupa krwi zwiększała się ciągle na skudłanych włosach.

— A to tak gadaj! — rzekł wachmistrz. — Boli cię?

Żołnierz coś wymamrotał po węgiersku, czy po rumuńsku.

Rafał domyślał się, o co chodzi żołnierzowi, ale milczał. Widok krwi tego chłopa budził w nim zimny, niezłomny gniew. Żeby się odzepić od błagalnych spojrzeń, rzekł oschle:

— Wachmistrz, zawiązać mu ranę i wziąć go w tył, żeby mi na oczy nie lażł.

— Według rozkazu!

Zsiadł wachmistrz z konia i zwrócił się do huzara:

— Masz jaką chustkę? Hy?

Ranny wzruszeniem ramion pokazywał, że nie rozumie.

— Nawet gadać żadną gwarą nie umiesz, kapcane! *Gibnij chustkę, to ci łem zdrutuję, fersztanden!* *Odgibam ci tę szmatę, nie bój się, jak łem naprawię.*

Żołnierz powtórnie wskazywał, jako nie wie, czego chce od niego. Wtedy jeden z ułanów wydobył z mantelzaka czystą szmatę i uroczyście podał ją wachmistrzowi. Ten wprędce, nie zatrzymując pochodu, obmył wódką i zawiązał głowę Austryaka. Gwarzył mu wciąż w oczy:

— Szable sobie wyostrzyli, jak brzytwy! A ja ci bez toczenia na brusie łem od zamachu zetne, wiesz ty o tem? Jak cię ułan w pazury weźmie, mów pacierz i to prędkie! Tylko że ty i o pacierzu pierwszy raz pewno słyszysz, nieniecki sługo. O, juchy! Na Po-

taków idziecie, psubraty jedne? Cóż wam to zawiili? Skrzywdzili was kiedy? Dyabli cię wiedzą, coś za jeden, a możeś i Węgier... Ja zaś ci powiem, żeś wcale nie Węgier, tylko węgrowata świnia, kiedy na nas z Niemcami sypiesz! Żebym tak nie był miętkiego serca, tobym cię wziął i tu na tem miejscu dorznał. Wiesz teraz?

Szli ostro, z ciekawością, z przyjaźnią i pewnym specjalnym uszanowaniem obserwując swych jeńców. Rafał nie czuł się dobrze. Było mu wciąż głupio i mdło. Nieprzyjemna senność ogarniała go, jak po bezmyślnej pijatyce. Główę miał ciężką, a w rękach i nogach ogień.

Było już nieco po południu, kiedy wyszli z lasu i skierowali się na Sękocin. Trafili w wir wojska. Z za piaszczystych wzgórków około Lesznowoli i Łazów pokazywały się w lot i ginęły z oczu przednie straże brygady generała Spatha. Okrążając las, przebiegały nawet Mokrawołę. Brygada generała Roźnieckiego z czterema działami stała nicruchomo pod Janczewicami, przy karczmie, zwanej Wygoda, na drodze z Falent do Lesznowoli. Lasy falenckie jęczyły, jak rozkołysany dzwon od huku bitwy, od strzałów ręcznej broni i okrzyków Tyszkiewiczowskiej jazdy. Cały trakt warszawski przed Falentami zajęty był przez najrozmaitsze rodzaje broni. Szedł tamtedy w kolumnach, brnąc w tęgiem błocie po kolana, trzeci pułk fizilierów w kierunku Michałowic, inne wracały z pod Komorowa, czy Pęcic do Puchała. Latali do jazdy Roźnieckiego zbrzyzgani po czuby kit adjutanci. Co koń skoczy, przeleciał jakiś podoficer w kierunku Jaworowa. Wszystkie

wojska ustępowaly przed idącym powoli konwojem. Całe bataliony spędzano w rowy z gościńca. Oficerowie, nawet wyższej rangi, salutowali.

Pierwszy to raz w życiu Rafał uczuł, co jest sława. Dreszcz uniesienia, nieznanego mu dotąd, przeszedł po nim, jak po puszczy. Oczy zaćmiły się od szczęścia i dumy. Dałby się w sztuki porąbać, żywcem spalić, włóczyć końmi za ów tryumf, jakiego doznał na dwuwiorstowej przestrzeni między Sękocinem a Falentami. Sama wioska Falenty wolna była zupełnie od wojska. Las olszowy za nią i okolica zrujnowanego pałacu, grobla i droga, prowadząca do Raszyna — również. Dopiero około kościoła w Raszynie, a w domach jego z prawej strony gościńca, a osobliwie za kościołem, gdzie kilkuset chłopów sypało szaniec, było tak pełno, że ledwie się zdolali przecisnąć. Ustępowano i tu, ile można. Piechota wyciągała szyje, żeby zobaczyć niewolnika, jazda podsuwała się, oficerowie zachodzili drogę.

Wszyscy biegli w nadzieję, że zobaczą pieszych pandurów z zaplatanymi warkoczykami koło uszu. Wszystko tu było w ruchu. Nie wiedziano, czy mała armia wyruszy dalej, na spotkanie nieprzyjaciela, czy zostanie w tem miejscu. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie umieścić rannych. W samym Raszynie miejsca nie starczyło, o Falentach nie mogło być mowy.

Nawinał się wreszcie chirurg i wziął Rafała w obroty. Jako pierwszym z oficerów rannym w tej okazyi, zajął się w szczególny sposób. Wywiózł go o dwie wiorsty za Raszin, w kierunku Warszawy, do Opaczys.

Wachmistrz tymczasem zabrał jeńców i powiodł do komendy swego pułku, żeby zdać raport generałowi, wręczyć mu raport i usłyszeć rozkazy.

Olbromski był znużony, widocznie wskutek dużej utraty krwi. Obojętnie spoglądał na dwór w Opaczy, który mu chirurg wskazywał, i obojętnie słuchał zapewnień, że tu będzie mu stokroć lepiej, niż w szpitalu przewoźnym, założonym w oberży raszyńskiej. Dwór w Opaczy stał w niewielkim, pustym ogrodzie. Od strony drogi warszawskiej i pola otoczony był parkanem. Rafał zapamiętał sobie ten napóź rozwalony parkan, który tu i ówdzie spróchniał i runął. Zarazem łączkę... Było mu lepiej i weselej na widok bielonego dworu. Coś jakby rodzinne gniazdo stanęło przed oczyma. Muślinowe firanki wisiały w oknach »na drugiej stronie«, gdzie zapewne musiała być rzadko otwierana bawialnia. Z podwórza wychylał się gołębnik. Widac było w głębi gumno, obdarte zabudowania i kupy nawozu, świeżo wyrzuconego i dymiącego, jak jałowcowe ognisko. Wejście do domu zamknięte.

Na błotnistym gościńcu ciągnęły się linie bagażów i kotłowały wozy amunicyjne. Chirurg zsadził swego pacjenta z konia, pobiegł w podwórze i hukał tam, kogoś szukając. Rafał przez ten czas siedział na ganku i dumał. Polami przeciągały kolumny wojska. Daleko pod Jaworowem, w stronie Pasieczna, rysowały się we mgle wiosennej ruchome linie batalionów, idących pod komendą Jana Kamieńskiego.

Nareszcie klucz zgrzytnął w zamku i ranny wprowadzony został do sieni. Chirurg z wrzaskiem wymyślał na jakiegoś człeczyne, ekonoma czy pod-

starościego, który z podełba, z odrazą przypatrywał się Rafałowi, wciąż pomlaskując wargami. Gdy mu kazano otwierać drzwi do najlepszego pokoju »na drugiej stronie«, ociągał się dopóty, aż go chirurg porwał za kołnierz.

W saloniku dziwnie pustym, jakby z niego dopiero co wywieziono sprzęt, było powietrze mocno stęchłe. Za pierwszym pokojem stała otworem stancyjka wygodniej urządzona. Znalazło się tam łóżko z pościelą zupełnie czystą, z atłasową kołdrą, miękkimi piernatami i stosem haftowanych poduszek.

— O, to właśnie! Tego nam brakowało! — uciechył się lekarz. — Tu podporucznikowi będzie lepiej...

— Ja tu nikogo nie puszczę! — zgrzytnął ów burgrabia.

— Nie puścisz, wasan?

— Nie pusczę. To jest łóżko samej pani dziewczynki. — Mam rozkaz *strictissime* zaraz to łóżko wywieźć.

— To ja *strictissime* kasuję tamten rozkaz.

— Ehe...

— Rwij mi acan po gorącą wodę na dużej, czystej misce. Żeby mi za dwa pacierze była w tem miejscu! — wypalił dobroczyńca Rafała, chwytając tamtego za ramię po raz wtóry i otwierając nim drzwi na oścież.

Z sieni dał się słyszeć głos bynajmniej nie pokorny:

— Ja idę, ale wy, młokosy, popamiętacie!

— Konia odwiąż od płota! Zaprowadź go do stajni! owsa mu daj pełny złób! Słyszałeś?...

— A jakże, słyszałem... — mruknął tamten w kącie sieni.

Wkrótce Rafał został opatrzony przez chirurga. Nacieriał się niemało przy sondowaniu i myciu rany, ale się i pocieszył, gdy go lekarz zapewnił, że ostrze huzarskiej broni niezbyt wiele przecięło więzów. Ześliznęło się jakoby po kościach i naszarpało tylko niemało mięsa na boku i pod pachą. Obandażowany i spokojny ułan legł w puchu. Chirurg nakazał spokój i przy pożegnaniu obiecał odwiedziny swe nazzutrz rano.

Dzień zwolna rozproszył się i w nocy utonął. Nikt nie przyszedł, żeby zapalić światło. Rafał nie miał o to pretensi: prawdziwie wypoczywał w zaciszonej alkowie.

Było mu dobrze nad wszelki wyraz. Myśli przyjemne i wesołe schodziły się do niego i bawiły u wezgłowia, niby goście pożądani, niby kształty ulubione i najprzyjemniejsze, niby zapachy znajomych kwiatów z dawnych lat, z rodzonych okolic. Najtrudniejszych spraw swojego życia, najbardziej przykrych wypadków pierwszy raz od tylu czasów zażądał wolą ku sobie i oglądał je wszystkie w promieniach radosnego spokoju ducha. Ośmienił się wejść bez trwogi w Tatry, przebyć znane drogi, z uśmiechem półlitości a półdrwiny kroczyć na skalne zręby. Zajrzał w przezroczyste, błękitne i litworowe jeziora. Usłyszał z lubością szum potoku, napełniający doliny, aż do szczytu zbójeczkich okien krzesanicy. Ogarnął go łagodny śmiech i pobłażliwa litość nad wszystkiem. Nawet dźwięk tamtego imienia nie przerażał już duszy. Melodyjne sylaby,

nie, raczej krople cichych łez, jedna złączona z drugą, z trzecią... Patrzą z ciemności tej izby modre żrenice... Ale nic już nie ujrzą, nic a nic.

— Co mnie i tobie, niewiasto? — pyta się jej z dobrotnią mądrością życie. — Tyś już jest popiół, nietylko jako ciało i krew, nietylko jako piękność, nietylko jako wspomnienie żywe piękności, ale popiół, jako uczucie, a jam jest młodość, siła i żądza. Nic nie trwa wiecznie. Ostatni jeszcze przyjdzie wiatr i ostatnią garstkę popiołu uczuć w nicość rozwieje.

Odsunął się od tych myśli, jak od znajomych, którymi się już nacieszył dowoli. Przeszedł do innych. Ach, to on, mistrz de With! Ujrzał wyraźnie wielką figure, korpus, głowę, oczy... Wspomniał sobie wkroczenie do Gdańska i ów blokhauz niezdobyty... Wspomniał wywalone podkopami mury, wyrwane okienka i wejście, a wreszcie ostatnią w ruinach walkę.

— »Major de With, pruski oficer piechoty«... — czyta z listy oficer, kiedy rannych z fortu wynoszą. Rafał widzi jeszcze twarz bladą, masę krwi w skudłanych, krętych włosach, przygasłe oczy. Oczy te patrzą weń, gdy rannego dowódcę blokhauzu niosą na trągach. Patrzą weń uważnie, patrzą z dołu do góry. Spokojne, zimne, mężne oczy!

Ale oto skrzywienie odrazy maluje się w ustach i wielka głowa z niechęcią odwraca się na widok »brata«. Przymykają się powieki, żeby nie widzieć twarzy »ucznia«.

Mrok tej alkowy w Opaczy szeptać się zdaje: ciebie to poznał wtedy...

Zraniona dusza szarpie się w piersi Rafała. Buchają niczem nie zatamowane wyrzuty.

— Nie, nie, o tem jeszcze z uśmiechem marzyć nie sposób — marzy ranny, odsuwając od siebie widok trupa mistrza katedry, taki, jak go ujrzał w kostnicy nazajutrz po wzięciu Gdańska. Pali go teraz spokój tego trupa, urąga mu nieruchoma głowa i dumnie zaciśnięte usta...

Złudził go z tych marzeń niezwykły hałas.

Ktoś chodził po sieni ze światłem, głośno kłał, gadał, wreszcie wkroczył do sąsiedniej izby. Tu obejrzał z fukaniem wszystkie sprzęty, szturchał je i rzucił z miejsca na miejsce. Zbliżył się wielkim krokiem do żółka. Rafał z wściekłością patrzał na tego natręta i miał właśnie zamiar wygnać go stąd, gdy oto spostrzegł jego odzienie i zamilkł. Ów oficer miał na sobie krótki granatowy fraczek ułański z generalskim na rabatach haftem, długie, amarantowe spodnie. Zdjął był rogatą czapkę z wysokiem, czarnem piórem, suto galonowaną i trzymał ją w ręce. Wznosząc wysoko żołjową świeczkę w blaszanym lichtarzu, schylił się, sapiąc nad pierzynami.

— Dyabli cię tu przynieśli... — mruknął przez zęby.

Była to twarz dłuża, wygolona, o kolorze zrudziałego piaskowca. Zimne, jak lód, wypukłe oczy, obwieszone torbami powiek, patrzały z pogardą i rozumem. Zaciśnięte usta, wązkie i surowe, zdało się, przemocą zatrzymującą za zębami wyrazy znieważające. Ranny widział już nieraz tę głowę z nosem grubym i długim, porzniętą fałdami, idącymi wzduż twarzy, ale teraz przypatrywał się jej w dwójnasób ciekawie. Generał stał nad nim ze świecą przez czas pewien i badał go przeszywającym wzrokiem. Potem raptownie od-

wrócił się i wyszedł do pierwszego pokoju. Tam, szur-gając stołkami i stolikiem, zasiadł nareszcie. Na jedy-nym stolyczku, jaki pozostał, rozłożył wielką mapę i, podparłszy głowę, pięściami, utonął w badaniu, czy rachunkach. Chwilami coś do siebie mruczał, to znowu coś zapisywał na kartkach pugilaresu.

Rafał nie mógł już myśleć o spaniu. Miał przed oczyma pełgający krąg światła, czarną, zwichrzoną, kę-dzierzawą czuprynę generała i olbrzymi cień jego głowy na przeciwniejszej ścianie. Był pewien, że lada chwila wyrzucią go z tych piernatów. Wcale go nie martwiła ta pewność, był bowiem dość wypoczęty i wesół. Rana nie sprawiała mu wielkiej przykrości, a ogólna ocięża-łość zupełnie przeszła.

Generał studyował swoją mapę więcej, niż go-dzinę. Ukończyłszy, widać, jakieś obliczenia, mapę złożył, zamknął notes, rozparł się na stoliku łokciami, złożył głowę na rękę... Drzemiał tak przez czas pewien, ale gdy sen na dobre morzyć go zaczął, wstał i ociężałymi ru-chy zaczął szukać miejsca, gdzieby się mógł wyciągnąć.

Nie było gdzie, chyba na ziemi. Zsunął dwa krzywe krzeselka, ale nie zdąział zmieścić się na nich. Raptem odwrócił głowę i patrzał w ciemny pokój Rafałów. Po chwili wszedł tam. Omackiem znalazł chorego, odsu-nął go do samej ściany i położył się na połowie łóżka.

Rafał z uszanowaniem odsunął się do ściany i ustę-pował kołdry.

— Nie potrzeba! — mruknął Sokolnicki. — Leż wasan, kiedy ci dobrze. Mówił mi chirurg, że cię ra-nili. Gdzie to?

— Mam ranę w boku.

— Pytam się: w jakiej potrzebie? Chirurg niech się pieści twoją raną, nie ja!

— Pod Nadarzynem. To jest...

— Co jest?

— To jest pod lasem Helenowskim.

— Więc gdzież ostatecznie? Bo Nadarzyn to miejscowości, a las to las.

— Pod lasem, panie generale.

— Godność wasana? — mruknął już przez sen.

Rafał wymienił swe nazwisko.

— Był kadet Olbromski w rycerskiej szkole, a potem oficer za Rzeczypospolitej.

— Brat mój starszy.

— Aha!... — ziewnął generał.

W tej samej chwili zachrapała na cały dwór. Głowa jego leżała na brzegu poduszki, ogromna, długą, kudłata. Olbromski nie spuszczał z niej oka — i w tak dziwnej pozycji przeleżała, a właściwie przesiedziała ze dwie godziny. Świeczka, zostawiona w pierwszym pokoju, dopaliła się i zgasła.

Twarda jeszcze była noc, kiedy się dał słyszeć głuchy tętent kilku koni. Słyszać było kroki osób, niecierpliwie chodzących dookoła ścian dworu i głośną rozmowę. Dobijano się do okien, szukano drzwi. Na pewien czas wszystko ucichło, a kiedy Rafał sądził, że przybysze już się oddalili, drzwi do pierwszego pokoju otwarły się i ktoś na cały głos zawała:

— *Monsieur le général* Sokolnicki!

Śpiący generał ani drgnął. Olbromski zaczął go potrząsać, zrazu ostrożnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie Sokolnicki zgrzytnął:

— Kto? Czego? Atakuję?
— Generał Sokolnicki! — wołał głos w ciemności.
— *Vite, vite!*

Nareszcie rozespany porwał się na nogi. Zatoczył koło, przeciągnął się, aż w nim, zda się, wszystkie kości zatrzeszczały, i skrzeszał ognia. Zapalone nową łożówkę i nędzny jej blask oświetlił kilka postaci, wchodzących do pierwszej stancyi. Byli to starsi oficerowie, zachlastani do ramion ciepłych płaszczów i utytłani w błocie do kolan. Jednemu z nich podano krzesło. Gdy usiadł za świecą, twarzą naprzeciwko Rafała, rozłożono przed nim mapę, i ten sam głos, który wołał na Sokolnickiego, ozwał się znowu.

Generał siedzący zwracał na mówcę ciekawe i uważne spojrzenie. Kiedy niekiedy sekretnie ziewał. Był to wysoki mężczyzna, lat czterdziestu pięciu, sześciu, z twarzą tłustą, okrągłą i jeszcze piękną, choć już rozlaną i w policzkach obwiątą. Osobliwie piękne miał oczy: aksamitne, płomienne, pod szerokimi łukami brwi. Co chwila, pragnąc ukryć ziewanie, muskał pieszczotliwie małego wąsika. Pelletier wciąż wykładał po francusku swój pogląd.

— Co do mnie — rzekł książę Józef, zwracając się do Sokolnickiego — nie przestanę żałować, żem nie poszedł wprost i gdzieś za Nadarzymem nie rzuciłem się na nich z całą siłą, jaka jest. Nie przestanę żałować! Tylko Chodkiewiczowski atak mógłby nam dać szansę zwycięstwa.

Sokolnicki uklonił się z obłudną zgodą na te słowa, z udanem współbolewaniem. Po chwili, rysując palcem na mapie długą linię, mówił:

— Chociaż z drugiej strony te błota i ruda wiska nie są do pogardzenia. Idą tak długim pasem i tak znakomicie nas bronią od osaczenia. Żaden szaniec nie oddałby tylu usług...

— Ach, dajże pokój!

— Proszę tylko spojrzeć. Za Jaworowem, niemal od Piaseczna zaczyna się nieprzebyta gać błotna, a idzie aż Bóg wie dokąd. Człowiek nie przebrnie tych moczarów, z wyjątkiem Raszyna i Michałowic, koń nie zgruntuje, chyba za Pruszkowem i pod Piasecznem. Ku Piasecznemu nie pójdą z obawy przyparcia do Wisły. W Raszynie mamy szaniec, w Michałowicach...

— Ach, daj-że pokój! Stać nad tym rymsztokiem i czekać na los kraju, rozmyślając, w którym też niejescu nas obejdą i obskoczą...

— Mamy sumiennie rozstawione brygady konne aż do Błonia, do Woli i do Piaseczna. Obejść nas...

— Co to znaczy! Te brygady konne mogą nam tylko zwiastować, w którym miejscu przebyto bajora.

Młody, trzydziestoletni Francuz chwycił ucheni obce mu dźwięki. Snadż coś rozumiał, bo kiedy niekiedy raptownie potakiwał. W pewnej chwili zaczął mówić prawie to samo, co Sokolnicki. Wywodził tak bez przerwy, aż do przybycia nowej osoby.

Był to Fiszer. Na jego widok książę wstał ze swego miejsca i, gorączkowo wyciągając rękę, mówił:

— Wciąż mię namawiają do oczekiwania w tej obmierzlej pozycji. Nawet Sokolnicki, którego zawsze trzeba *tenir par la basque*, żeby zbyt daleko nie poszedł. Co powiesz nowego, generale?

— Wiacam z Michałowic. Zmarzłem... — rzekł mały generał, zacierając siarczyście ręce.

Po chwili dodał:

— Trafił mi się tam pewien *fugas Samios*...

— No, no? — zapytali słuchacze.

— Pewien Polaczek galicyjski zemknął ku nam łasami na Komorów, na Janki, Wolicę. Przyszedł o północku do Michałowic w ubraniu chłopa, tak zaciapany, że ledwie go było widać. Wziąłem go na dobre spytki, bom podejrzewał, czy to czasem nie jakiś znawca, ale nie! — dobre człeczysko. Powiadał mi detale.

Fiszer zbliżył się o kilka kroków do stoliczka i mapy. Zimnem i jakby martwem okiem patrzył na nią. Wreszcie rzekł niby do siebie:

— Mało nas, bardzo mało. Wiecie wy, mości panowie? — jeden na czterech.

— To niemożliwe! — krzyknął Sokolnicki.

— Jeden na czterech! — powtórzył Fiszer. — Dziewięćdziesiąt cztery działa wyszło już z Nadarzyna. To znaczy: trzy działa na nasze jedno.

— Mówiłem, że iść naprzód... — zaczął książę Józef ze zmarszczonem czołem i zduszoną w głosie rozpaczą.

Po chwili zwrócił się do Fiszera z kategorycznym pytaniem:

— Co mówisz?

— No, teraz już iść za późno. Trzeba było nie puścić ich za Pilicę, napaść od Inowłodza, czy Czerwonej Karczmy. Teraz niema już o czem...

— Tylem zyskał, że mi Gartenberg rozpedził milicję w Rawie, zabrał kasę i magazyny. Mam raport.

Zapasy w Nowem Mieście... Zrabowane wszystko w Sadkowicach, w Białej...

— Już teraz za Rawkę się nie wydalimy, boby nas w nią wegnali i utopili. Nawet Roźniecki musi się pilnować i, ustępując, iść na zachód, ku Komorowu, ku Helenowu, piaskami. A tu, mości książę, miejsce jest dobre.

Pociągnął suchą ręką po wychudłej twarzy, przetarł blade oczy i mówił spokojnie:

— Gdyby tak na mnie, to stanąłbym w tem miej-
scu i biłbym się aż do śmierci.

Pelletier, usłyszawszy z ust Sokolnickiego wytłomaczenie słów szefa sztabu, machnął ręką z zadowoleniem i zaczął w tekę swoją zbierać papiery. Książę siedział zamyślony i patrzał w płomień świecy. Fiszer mówił, zatopiony w sobie:

— Gdyby tak na mnie... Wyszedłbym za groble z przednią strażą. Austryaki miejsca tego nie znają. Raszyn wygląda od Nadarzyna, jakoby wzgórek na tamtej równinie. Biłuby w Falenty i w Pu-chały, nie przeczuwając, że w celu zdobycia Raszyna, trzeba przedewszystkiem zdobyć topiele Rawki. Topiele okryte olszyną tak szczerlinie, że dopiero konający przekona się, jak to tam zdradnie a głęboko. Falenty są, jak szpic. Chałupy tej wsi stanowią najdalsze *angles saillants* całej naszej pozycji. Trzeba tę wieś zająć, mocno obsadzić, utwierdzić się w niej, no i bić się na śmierć. Grobla to będzie drugi etap, a Raszyn trzeci. Armaty nasze z szańca za kościołem raszyńskim panują już nad groblą i mogą bić w olszynę.

Książę Poniatowski ocknął się i rzekł z uśmiechem:

— Panie generale brygady, zdaje mi się, że to do ciebie pito, mówiąc o walce w Falentach...

— Jestem gotów... — odpowiedział Sokolnicki z ukłonem.

— Tak, tak, on zawsze gotów, kiedy mowa, żeby lecieć naprzód... — mówił Fiszer.

— A więc — decydował Poniatowski — generał Biegański z trzecim pułkiem piechoty i czterema armatami stoi w Michałowicach i broni tamtejszych suchych przejść pode dworem, między trzema stawami. Kamiński stoi w Jaworowie z dwoma batalionami ósmego i drugim batalionem pierwszego pułku. Ma 6 armat. Pan generał dziś jeszcze o świecie zajmiesz Falenty Małe i Duże, pałac, las olszowy, drogi i grodu. Wszak znasz te miejsca?

— Znam.

— Jakież wypadłoby wziąć bataliony? — zwrócił się książę do szefa sztabu.

Fiszer wydobył z portfela spisy i obadwaj z Pelleteriem zagłębili się w dociekanie. Wkrótce szef czytał:

— Pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty, pierwszy batalion ósmego pułku, świeżo przybyły z Modlina pod wodzą Godebskiego, jeden batalion szóstego pułku. Bateria młodego Sołytyka.

Sokolnicki słuchał wyprostowany. Książę liczył na palcach, kiedy Fiszer wyczytywał z papieru.

— Masz tedy, panie generale, czternaście kompanii fuzylerskich, dwie grenadyerów, dwie wołyż-

rów. Razem dwa tysiące pięćset chłopa. Sześć armat. Możesz się tego bronić.

— Osobliwie, że będę miał staw i bagna za sobą, a do ustąpienia w razie porażki grobłę... — mówił Sokolnicki z ironiczną przechwałką.

— Więcej dać nie można... — mruczał Fiszer. — Gdybyście byli otoczeni i wzięci w niewolę, Raszyn zostałby bez obrony.

— No, do bitwy tak zaraz nie przyjdzie. Austriacy nie decydują się zbyt szybko... — mówił książę. — Znam ich przecie. Co do grobli... to zapewne... Ale będziemy was wspierali. My tymczasem jeszcze podsypimy nasz zakop raszyński. Chciałbym go przeciągnąć za drogę warszawską ku Michałowicom i nad staw raszyński, w drugą stronę. Ufortyfikujmy kościół, mur kościelny i domostwa żydowskie, skoro już tu koniecznie bronić się mamy.

Sokolnicki usiadł przy stole i za dyktandem Fiszera oraz Pelletiera pisał rozkaz dzienny. Książę podpisał go i zaraz wyszedł, prędko żegnając obecnych. Za nim Pelletier. Fiszer zebrał swoje papiery, naciągnął płaszcz na ramiona i miał się również ku wyjściu. Już we drzwiach stojąc, zwrócił się do generała brygady ze słowem:

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odrzekł brygadyer.

Po wyjściu generałów zawrócił co tchu do łóżka, na którym Rafał siedział w kucki, słuchając wszystkiego.

— Nie śpisz wasan? — mruknął Sokolnicki.

— Nie śpię, panie generale.

- I nie masz zamiaru umierać?
- Ani myślę.
- A jakże się ma twoja tkliwa rana?
- Wcale dobrze.
- Teraz będziesz spał, czy nie?
- Nie będę spał, panie generale.
- Napewno?
- Napewno, panie generale.
- Słuchaj-że rycerzu. Rozkazy do marszu wyda szef sztabu, a ja się zdrzemnę jeszcze do świtu. Pojmujesz, co mówię? Zdrzemnę się do świtu. Jak tylko zacznie szarzeć, obudzisz mię. Obudzisz?
- Obudzę, panie generale.
- Namyśl się. Bo gdybyś miał zasnąć...
- Obudzę, panie generale!

Sokolnicki rzucił się na łóżko, Rafał postanowił korzystać ze sposobności i robić karyerę. Rzekł tedy śmiało:

- Panie generale, racz mię wysłuchać.
- Tylko przedzej, przedzej!
- Pozwól mi towarzyszyć sobie w tej ekspe-
dycyi.
- W charakterze?
- W charakterze... w charakterze...
- Przedzej!
- W charakterze... poprostu podporucznika *à la suite*.
- Nie mam do tego prawa i nie znam takiej rangi. Jestem tylko generałem brygady, a ty rannym oficerkiem. Jak zostanę naczelnym wodzem *in partibus infidelium*, nie zapomnę, żeśmy spali pod jedną kołdrą.

— Jestem już zdrów, a nie wiem, gdzie jest mój szwadron. Pono za Rawką. Pozwoli mi pan generał być w tej batalii przy sobie bez żadnej rangi aż do chwili, kiedy znajdę swoją komendę.

— Dobrze. Obudź skoro świt, a teraz milcz z łas-ki swojej i... niech cię wszyscy dyabli!

Za chwilę chrapał.

Skoro tylko ciemne rano dało widzieć szyby okienka w dużym pokoju, Rafał przelazł przez śpiącego snem kamiennym i jak umiał, jak mógł najpre-zej, wdziałał swój uniform. Munduru nie zdołał za-piąć żadną miarą wskutek grubych powijków ban-daża, którym miał opasane żebra. Zaczął targać generała za ramię.

— Kto? Czego? — wściekał się rozespany.

— Generale, dnieje!

— Idź, bo ubiję!

— Generale, nie dam już spać ani chwili.

Dnieje!

Widząc, że słowami nie poradzi, użył siły. Sokolnicki rozwarł wreszcie ogromne powieki i kłał na czem świat stoi. Jeszcze niezupełnie rozbudzony pytał:

— Czy atakują?

— Atakują, atakują!

Ocknął się wreszcie i siadł na łóżku. Za chwilę otrząsnął się i porwał na nogi.

— No, chwałaż Bogu i za tę kruszynkę snu! U kaduka! Ja się już nigdy w życiu porządnie nie wy-spię. A no! Zaczynamy!

— Pan generał raczy mi pozwolić, żebym mu to-warzyszył?

— Prawda, coś mi wasan w tej materyi gadaleś.
Cóż ja mam z tobą zrobić?

— Jako zwyczajny widz...

— Niema widzów w bitwach. A ja ci powiem
sub rosa, że my nie na *bal paré* idziemy za tę grobelkę.
Gdzie twój pułk stoi?

— Właśnie tego nie wiem.

— To się dowiedz i kwita!

— Panie generale!

— Zaraz... Umiesz po niemiecku?

— Umiem.

— Ale czy napewno?

— Umiem, panie generale.

— No dobrze. Będziesz mi potrzebny, jako tłumacz... w razie pojmania, uważasz, niewolnika. Ale czegoż lazisz rozpięty, jak mamka?

— Bandaż.

— Bandaż... Pokaż-no się. To szósty pułk. Z pierwszej formacji. Pod Tczewem byłeś?

— Byłem.

— Pod Gdańskiem?

— Byłem, panie generale.

— Jako »widz«?

— Właściwie...

— Rozumiem! To wiedz, że ja cię kurować nie będę. Możesz przy mnie być i rób, jak ci się podoba. Olbromski. Pamiętam tamtego! Zacny był oficyerek, choć mazgaj i sentymentalista. No, w drogę!

Wyszli na świat. Ciemne były jeszcze pola. Płaską otchłanią słały się na wschód i na zachód. W stronie Jaworowa, na wodach szeroko rozlanych, na sta-

wach nieciął się słaby brzask. Przejmujące zimno szło z nizin Rawki od strony południowej.

Rafał skoczył w podwórze i po chwili gwałtownego kołatania wynalazł ludzi, a ci mu w mig podali osiodłanego »Bratka«. Generał kazał dla siebie zaprządz szkapę do małej bryczułki. Wkrótce jechał do Raszyna, powożony przez brudnego parobka. Olbroniński konno towarzyszył mu z boku.

Zdala już, na gościńcu i w obrębie szańca, przed kościołem raszyńskim, spostrzegli równe linie wojska, stojącego w szyku. Rogate, czarne czapki z orłami i jednakie pompony, krótkie kurtki z białymi plastronami, białe spodnie, kamasy i ciżmy tworzyły długie rysy w ciemności. Tabor armat i wozów formował za plebanią, nad stawem, u jego nizkiego wybrzeża, ciemne i chropawe wzgórze. Na prawo i na lewo od drogi, w polu, między Opaczą a Raszymem, bielały namioty. Gdzieśwałeśla się jeszcze dyń gasnącego ogniska. Przy drodze, wzdłuż doliny, stały na koniach pikietułańskie z chorągiewkami w futerałach, z pistoletem na pogotowiu, nieruchome, błękitne we mgle i ciszy. Rafała ogarnął dawno nieuczuwany lęk i smutek wśród tego snu wojska. Czekał z niecierpliwością na alarm, wystrzał...

Ale cisza była nieprzerwana. Mgły nad stawem kłębić się poczęły i błąkać. Czarne zamajaczyły w nich olchy, wierzby...

Sokołnicki siedział w wózeczkę i bardziej do siebie, niż do słuchacza, mówił:

— Toż to bateria artyleryi konnej, Sołyka... Nie prawdaż? Cztery armaty ośmiofuntowe, dwa granatniki

sześciocalowe. Sześć wozów do tej baterii, sto koni, powiedzmy, sto cztery konie. Na prawo cóż to tam śpi w tych wściekłe białych namiotach?

— Sasi, panie generale.

— Masz słuszność, Sasi. Trzy bataliony, 150 huzarów. Dwanaście armat. A tamte ku Michałowicom działa... Widzisz? To kompania młodych frantów, Ostrowskiego i Włodzia Potockiego.

Wózek wolno brnął w kałużach i kolejnych bagnistej drogi warszawskiej. Nie dojeżdżając do szańca, Sokolnicki zlazł z bryczki. Trzy bataliony, ujrzawszy go, uformowały się.

Wypadli z szeregów adjutanci i, salutując, okrążyli generała. Pułkownicy — Godebski, Maiachowski, Sierawski, dowódcy tych batalionów na ten dzień 19 kwietnia, dosiedli koni i zajęli swe miejsca. Zabrzmiał rozkaz, trzykroć powtórzony. Mignęły oficerskie szpady, jak jedna. Linia bojowa wraz sprezentowała broń. Sokolnicki wyprostował się. Twardym krokiem szedł zwolna przed wyciągniętym frontem. Mijając pułkownika Godebskiego, który szlachetnym mestwem, krwią, ranami zdobył swe szlify we włoskich i niemieckich wojnach, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Mijając pułkownika Małachowskiego, który dowodził braćmi we Włoszech, na oceanie, na wyspie, który widział wszystko od początku do końca i z San Domingo powrócił, pozdrowił go ukłonem wodza, który był razem ukłonem czei. Mijając pułkownika Sierawskiego, który przebył, podobnie jak tamci dwaj, wszystką z żołnierzem dolę niedolę, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Przyrowadzono mu ko-

nia. Siadł nań ciężko. W milczeniu przez chwil kilka patrzał w głąb batalionów.

Już zorza ze słońca, wstającego daleko, spływała na wody stawu Raszyna. Granatowe fale lelejały się cudnie i, melodyjnie chlupając, tańczyły dokoła badyłów suchych trzcin. Żywym płomieniem z głębin przezroczystej wody wybiegły jasne pędy tataraku. Było tak cicho, że wojsko słyszało daleki szelest suchych zeszłorocznych szuwarów.

Gorzko, żałobnie, smutno szumiały. Ich jasno-żółte, złotawe liście, dotykając się wzajem, szerzyły w pustce ni to skrzeczenie, ni to śpiew. Chwiały się ostre kity nad głębiami. Mnóstwo z nich wiatr już obił, wicher obdarł, a granatowa fala przyniosła aż do grobli i ułożyła na jej krawędzi w równe, zygzakowate mogiły.

Z gąszczów oczeretu raz wraz wypływały dzikie kaczki, kołysały się na modrych falach. Kurki wodne pokrzykiwały w gęstwinie. Nad dalekimi błotami Jaworowa tuman stał gęsty.

Po drugiej stronie grobli wyłaniało się z mroku bajoro, jeszcze nie okryte trawą. Zeschły chwast błotny, rude chrósty rokicin i ciemnobrunatne olchy z czerwonemi dziuplami zaścierały nizki rozdół, przerznięty przez strumień, który sączył się z upustu w przeciwnym końcu grobli, od strony Falent. Grobowy, zimny wyziew wstawał z tego podziemia, jakoby widmo. Wyciągniętymi rękoma, które w siebie wchodzą i wychodzą, obejmował stojące rycerstwo. Schylał ku nim potworną głowę i mroźne usta przyciskał do czerwonych policzków młodości.

Sokolnicki noga za nogą podjechał do batalionu,

prowadzonego przez pułkownika Godebskiego. Rzucił półgłośny rozkaz:

— Przez groblę — naprzód!

Szefowie dwu batalionów obocznych po prawej i lewej stronie kazali zejść półplutonami, batalionowi na prawej stronie w lewo, a batalionowi na lewej stronie — w prawo. Jednocześnie batalion Godebskiego wszedł półplutonami w lewo i w prawo. Dwa półplutony, stojące na drodze między kościołem a murowanymi domami, gdzie mieścił się sztab główny, ruszyły naprzód na podwójny odstęp półplutonu. Ujrzawszy, że przewodni zajęli swe miejsca na prawem i lewem skrzydle półplutonów w pierwszym ich szeregu, generał Sokolnicki zakomenderował do uskutecznienia:

— Kolumna — naprzód!

Szefowie powtórzyli rozkaz. Sokolnicki zwrócił konia z rozkazem:

— Marsz!

Gdy powtórzony gruchnął ten rozkaz, półplutony stojące u wejścia na groblę pomaszerowały naprzód krokiem taktowym. Kiedy ostatni z nich wszedł między dwa rzędy drzew, Roman Sołytk, kapitan komendant parku artyleryi, przeznaczonego do przedniej straży, rzucił rozkaz:

— Baczość! Na prawo do boju. Przewodni na prawo. Marsz!

Jezdni kanonierowie puścili konie. Ciężko zahuczał śpiż. Głów, wyloty, czopy, puste komory, zielone łóża, przodkary i koła duduły potwornie w ciszy porankowej. Jękinęła do głębi pod kopytami wstrząśnięta ziemia. Pnie i konary drzew dzikich, z jednej i drugiej

strony obrastające groblę, zadrżały, jakoby w ciemność bojaźni wtroczone.

Sokolnicki nogą za nogą jechał zdala od wszystkich, sam. Przed oczyma jego po prawej i lewej ręce rozwierały się dwie niziny: staw i błota za groblą. W uszach mu szumiał przykry szelest trzcin. Spokojnie z pod nasuniętych powiek patrzały kamienne oczy. Na wargi wyszedł jad wrodzonego śmiechu. Przymknął wtedy oczy i myślał:

— Ja to was wiódę w to miejsce zgniłe, ja to was wiódę...

Ja to waszymi trupami zapełnię te niziny...

Rozkazuj wodzu! Słucha twój podkomendny. Nie było cię, wodzu, przy dalekich sprawach nad rzeką Padus, nad rzeką Tyber, nad rzeką Ren, nad jeziorami Włoch, w wąwozach Tyrolu, w czeluściach Szwajcar. Spałeś w puchu za onych dni, wodzu nasz. Żegnajcie, żegnajcie, małe moje lata! Ty stary szwedzki okopie pod Grodnem, gdzieś młodymi trudami związał pięć tysięcy faszyń, trzy tysiące upłótów koszów, dwa tysiące płotów — nadarmo. — Gdzie moje kwaternistrzostwo ramię w ramię z Sułkowskim... Bądź pożdrowiony, cieniu...

Zwiesił głowę. Ręce oparł na kuli. Mgły snują się w oczach, cienie snują się w myślach.

— Warszawa... Pod Toruniem, pod Sochaczewem, pod Drzewicą, pod Radoszycami... Samotna, długa noc. Cisza. I widok w Kownie przysięgi!

Kiedyż to ja cię wyrąbię, ziemio!

Kiedyż ty przyjdziesz, dniu mojej władzy, początku mojej pozgonnej chwały?

Ale, o Boże mój, upokórz serce...

Daj mi w tym dniu rozkaz, poczęty w mądrości,
żebym jego szansem zasłonił bracię. Daj mi radę w naj-
gorszej chwili. Daj mi męstwo ostatniej godziny, kiedy
popłoch rozpedza żołnierzy, jak zgraję dzieci.

Odwróć ode mnie śmierć... Zmiłuj się, Panie!

Któryś mię wywiódł z pod Offenbach i Bergen, z pod
gradu kul pod Hohenlinden, z pod paszcz u Salzburga,
z pomiędzy bagnetów nad Innem, nad Aachem, któ-
ryś mię ratował pod Stolpą, pod Heyburz, w dziele
frydlandzkim...

Ty, coś mię krzepił w przejściu alpejskim, kie-
dym był sam jeden niezłomny wódz, kiedy odeszli
wszyscy okrom Fiszera, kiedy tysiąc wiernych żołnie-
rzy szło bez butów, dwa tysiące nagoły boso, połowa
legii nie miała koszul, a dwa tysiące były bez ubrania.

Dałeś mi łaskę walki na tych zagonach...

Zachowaj ramię me, wspomóż serce!

Ale, o Wszechmogący, jeśli Twa wola...

Daj mi śmierć Żółkiewskiego...

Który widzisz duszę moją w tej minucie aż do
samego dna...

Druga kompania artyleryjska konna przebyła całą
długość grobli, minęła upust i zstąpiła w płaszczyznę.

Rafał dał wówczas koniowi ostrogę i ruszył z pod
Raszyna naprzód, wymijając za groblą całe wojsko.
Podjechał do dowódcy. Sokolnicki w przelocie rzucił
nań okiem i, nie patrząc, wydał rozkaz:

— Jedź waćpan do wsi Falent Wielkich, o pół
wiorsty za folwarkiem leżących przy drodze nadarzyń-
skiej. Idzie w te tropy kompania piesza. Każesz babom

i dzieciom wynieść się ze wsi co tchu. Każda może zabrać ze sobą wszystek żywy dobytek. Chłopów co do jednego zatrzymasz. Żeby mi żaden nie uszedł. Za cztery pacierze spałę wieś ze szczećem. To im powiedz. Wszystko masz wykonać natychmiast.

Odkomenderowana kompania grenadyerów w bermycach z białymi kordonami, o szlifie czerwonej z włóczkową torsadą — ruszyła błotnistą drogą za pałac falencki. Wyszła z bagnisk porosłych olchami i znalazła się u wylotu wioski. Dwadzieścia siedlisk stało tu po obu-dwu stronach odwiecznej, grząskiej drogi, prostą linią biegającej w kierunku lasów i najbliższej wsi — Laski. We mgle widać było drzewa następnej — Janczewic.

Rafał wpuścił konia. Za chwilę był w środku wsi.

Ludność Falent obudzona ze snu, wyległa z chat. Były to wszystko domostwa drewniane, mazurskie, biele, pod słomianymi strzechy. Od dwu blisko lat posiadając prawo »przenieść się w obrębie Księstwa Warszawskiego tam, gdzie jego dobra wola będzie« — wieśniak falencki pozostał przecie na miejscu. Z za płotów, z za węglów, z ciemnych sionek wyglądał teraz na wojsko maszerujące.

Olbramski donośnym krzykiem począł zwoływać chłopów do siebie. Zbliżali się lękliwie, niechętnie, nogą za nogą.

Kiedy ich zawiadomił w formie jak najbardziej stanowczej, ordynarnej i rozstrzygającej, że baby i dzieci mają co duchu uciekać ze wsi, rozległ się straszny popłoch, jęk, płacz, zawodzenie. Jak z pod ziemi wyrosły, zjawiły się u jego strzemiąt kudłate, napół odziane w wełniaki brudne wiedźmy, dzieci z koltuniastami

czuprynami, wstrętni, schorzali starcy. Wszystko tu skamiało jednym głosem:

— Zmiłuj się!...

Wyrwał pałasz, precz ich nim odegnał i ukazał schylone bagnety kompanii pleszej.

— Która teraz, we dwa pacierze, nie wywiedzie dobytku, nie wypędzi gadziny, to już straci na zawsze. Za cztery pacierze wieś będzie podpalona ze czterech rogów i pojedzie z dymem.

Rzucili się wszyscy do obór, do stajenek, do chlewów. W mgnieniu oka napełniła się ulica. Rycały krowy, rżały konie, kwiczały świnie, gdakały kury, gęgały gęsi. Wśród przekleństw i okrutnych wyklinień chłopskich, przeraźliwych, jak sama chłopska tylowieczna niewola, wśród modlitw, zaklęć, prośb, ciągnięto na powrózkach krowiny-żywicielki, pędzono prosięta z pieczolowitością, jakoby dziecka rodzone, zaganiano ze szlochem koguty, kaczeta, gęsi. Rafał patrzał w ten obraz przygasłem okiem. Oto kobiecina z najbliższej chaty, zawiązawszy w płachtę na plecy jedno dziecko płaczące, drugie dźwiga w kołysce. Łka, zanosi się od chłopskiej, od zwierzęcej rozpacz. Pojechał środkiem wsi i obnażonym pałaszem dawał na prawo i na lewo znaki pośpiechu. Widział w pierwszym na prawo siedlisku silnego chłopa, jak w portkach i koszuli, wprost ze suu, z pańdziorami słomy w kosmatym łbie wyrzucał przeze drzwi graty, statek, ławy, kosy, widły, garnki, czerniące od dymu i brudu święte obrazy, jak wyrywał rozpaczliwie ze ściany zabitą głucho gwoździami ramę pełną przepalonych szybek i niósł ją dokądś w pole, niby najdroższy skarb. Ujrzał w drugiej cha-

cie bose dziecko, wyrzucone pode drzwi. Chore było na jakieś krosty. Wyrwane z legowiska, drżało, oparły się plecami o zmurszały słupek płotu. Przyciskając kolano do kolana, przestępowało z nogi na nogę w fioletowem błocie gnojówki. Zamglony, zadymiony od gorączki wzrok jego skierował się na Rafała. Spalone usta wydawały nieznośny dźwięk. Na progu innej chaty stare babsko z nieustannym jękiem pakowało pierze w rozdartą pierzynę, co chwila chwytając się oburącz za ogłupiąłą głowę. Tam chłop biegał w dyrdy za wiązkę, wynosząc swe bety, tam wytaczano beczułki z kapustą, wynoszono worki, zdzierano co nowsze poszycia ze strzech i wiązano je w snopki.

Kiedy wypędzono już sprzęt i gadzinę, wyniesiono z chałup, co tylko się dało, chłopi zaczęli rozerwać płoty, wyrywać kolki, wrzeciądze, zawiasy...

Kompania piesza przeszła wzduż ulicę wioski. Oficer, prowadzący ją, zabronił chłopom ruszać się z miejsca. Każdemu polecono mieć w ręce rydel, łopatę, widły, siekierę.

Uszykowani w szereg czekali. Tłum bab, dzieci, zwierząt i ptactwa eskortował odrębny patrol, wydziedzony z kompanii, w kierunku Falent Małych przy drodze **ku Piasecznemu**. Był już dzień jasny, kiedy szlochający gwar oddalać się zaczął i wolno zacichł. Na drodze, w kałużach rozmarzanych przez wojska leżały resztki gratów, włóczyły się korowody pierza. Tam i sam wędrowała zdziwiiona, osierociała kura. Połamane płotki przed chatami odkryły lechy ugracowane już i zasiane w ogródkach.

Rafał przeleciał jeszcze raz wzduż całej wsi, zaj-

rzał to tu, to tam i w skok wrócił do dowódcy. Sołnicki tymczasem rozmieścił już był swe siły. W lesie olszowym, który długim smugiem ciągnął się od Falent Małych, zasłaniał dwór i folwark, przedzielał go od Falent Dużych i sięgał aż do wsi Puchały, postawił batalion fizylierów Godebskiego. Część tego batalionu przeznaczył do zajęcia Falent Dużych czyli Wielkich, wsi sztorcem wysuniętej w pole. Między wsią Falenty Małe a przecinającą je drogą do Piaseczna, oraz wsią Falenty Duże, na czele folwarku, a jakoby u podstawy opustoszałej wioski, postawił batalion szóstego pułku pod Sierawskim i batalion Kazimierza Małachowskiego. Batalionowi pierwszej linii, broniącej lasu z pola, od strony Nadarzyna i bliższego Sękocina, przydał dwie haubice i dwa wozy z konnymi kanonierami, czyli trzecią sekcję siły artyleryjskiej. Cztery działa Sołtyka umieścił obok drogi raszyńsko-falenckiej, między dwoma ramionami wojsk swoich na suchym wzgórku a w taki sposób, że miały przed wylotami otwarte pole i dostęp do wsi. Za armatami miał twardy dostęp do grobli i schodzące się w tem miejscu drogi do Piaseczna, do Janczewic i do Nadarzyna.

Dwie armaty mogły być w każdej chwili przyłączone do któregokolwiek z batalionów. Wozy dostatkowe stały w pobliżu, o dwieście kilkadziesiąt kroków, pod zasłoną drzew. Blżej, o jakieś sto kroków, były na drodze wozy prochowe, a o trzydziestu kroków — zabudowania folwarku.

— Wypędzeni? — zapytał generał z daleka jadącego ułana.

— Według rozkazu.

Sokolnicki na czele kilku plutonów udał się sam do wioski. Skoro tylko piechota weszła w jej ulicę, otrzymała rozkaz złożenia broni w kozły i zabrania się do roboty. Pod kierunkiem oficerów żołnierze, a pod kierunkiem żołnierzy chłopi zdzierali co tchu słomiane strzechy i kłoć obdartą wynosili zdala za wioskę. Tam ją układali rzędem na polu dla przysypania ziemią i utworzenia przedpiersia. Kiedy krokwie wszystkich chat były ze słomy ogolonione, kazano chłopom nosić na pułapy nawóz przygotowany na rolę, obficie zlewać go wodą i krowieńcem z gnojówek. Po upływie godziny usilnej pracy wszystkie polepy i powały grubo okryte zostały grząskim nawozem. Wówczas wnoszono tam wyrwane drzwi, szafy, ławy, beczki i tworzono z nich schrony i kryjówki dla strzelców. Jednocześnie rozgródzono wszystkie płoty, tworzące przede wsią zwarte opłotki, i wycięto drzewa, które mogłyby nieprzyjacielowi służyć za osłonę w polu. Na południowym krańcu wsi, a jeszcze w jej obrębie chłopi pod bagtem kopali co tchu dwa szerokie a głębokie doły na całą rozległość drogi.

Wysypaną z nich gliną okrywano ułożoną słomę i tworzono naprędce przykopę ziemną. W owe doły wprowadzono po osie drabiniaste wozy, naładowane kamieniami, graciwem, gnojem i dobrze zasypane ziemią. Ścięte grube sokory z za wioski, zbite na krzyż kłocami, wkopywano w ziemię w miejsca prózne. Przestrzeń między niemi gorliwie zapełniano faszyną, ziemią, gnojem, opłotkami, wyrwanymi z przed chat we wnętrzu wioski, żeby przejść i pośpiesznego ruchu nie tańowały.

W przejściach między jedną chatą a drugą, pomiędzy gęsto zabudowanymi stodołami, sypano również fosy, wybierano rowy, stawiano za nimi podwójne palisady, wkopywano zasieki z przyciesi i belek. Niektóre chałupy zostały rozebrane zupełnie z tego względu, że stały nieco na osobności i nie mogły być włączone do umocnionego obszaru.

Kiedy koniec południowy wsi z pola był już nieco oszańcowany, Sokolnicki użył dziesięciu kompanii żołnierskich do zniszczenia drogi w kierunku Nadarzyna. Zrównano precz w polach rowy, przykopy, płoty, ścieżko wszystkie drzewa. Pozostałe ośm kompanii zapędzone zostały do innej roboty. Ponieważ od załkania wejść, a osobliwie południowego, do wsi zostało jeszcze nieco dylów, belek i wyrwanych wrotui, kazano je opierać o ściany wysuniętych chałup i okładać z zewnątrz bardzo grubo mokrym nawozem. Rozbierano wciąż jeszcze niektóre stodoły, umacniano miejsca co słabsze, podpierano z zewnątrz zasieki i sypano, sypano ziemię bez końca.

Batalion pułku szóstego pod komendą legionisty Sierawskiego, stojący najbliżej Małych Falent i grobli, okryty był lasem najszczelniej, to też ten batalion pracował najczęściej około umocnienia wioski.

Było już popołudnie, kiedy przygotowania do odporu zostały jako tako uskutecznione. Żołnierze od dźwigania ziemi, nawozu na chłopskich noszach, belek i ciężarów byli zbloceni, zgrzani, brudni, a nadzieję wszystko zgłodniały. Dano sygnał na spoczynek. Pozwolono zjeść posiłek. Właśnie wiara siadła na ziemi i zabrała się do mantelzaków i manierek, kiedy polem

po głęboko miękkich zagonach przypadł w galopie oficer z jazdy Roźnieckiego. Szybki zdał raport dowódcy i co koń skoczy pognął na Puchały ku Michałowicom. Sokolnicki spokojnie posilał się kromką chleba i kawałkiem zimnego mięsiwa. Poszukał Olbromskiego i rzekł do niego:

— Jedź waćpan brzegiem olszyny i bajorów aż ku Puchałom. Będzie tam droga, prowadząca na cmentarz. Obejdź cmentarz z tamtej strony i wysuń się ile tylko można najdalej w szczerze pola, na owe nieznane wzgórki naprost Raszyna. Patrz stamtąd pilnie na wsze strony, a osobliwie w kierunku na Laski, na Janczewice, Lesznowolę. Skoro coś ciekawego zobaczyysz, leć ku mnie z raportem.

Rafał puścił konia we wskazanym kierunku i wkrótce był za cmentarzem. Grunt tam był lżejszy, przypiąskowy. Rola nie ignęła już, lecz nawet zlekka pyliła. Koń szedł po niej ostrą ryścą, a w jeźdźcu biła, jak śpiżowy, przepotężny dzwon na trwogę, rozkosz życia.

Siły w nim wszystkie wzmagły się i podniosły. Czuł w sobie ową rozkosz szczególną, podnieconą aż do najwyższej kresy, rozkosz niebezpieczeństwwa i zniszczenia, jak na widok pożaru w ciemną noc, który obejmie drewnianą wieś, słomiane, zwarte jej strzechy i oszalałych ludzi. Niby to jest żal, strach, bolesć, a w rzeczy radość niesłychana. Jęk ludzki podaje duży skrzydła, krzyk rozpaczny podjudza ją, jak wicher ptaka, a widok wysokich, krwistych kłębów dymu szelmowsko ją zaspokaja.

Pod karczmą, zwaną Wygoda, na drodze do Janczewic, tak samo, jak i dnia poprzedzającego, stała

konnica Roźnieckiego. Część jej można było jeszcze dostrzec pod lasem Nadarzyńskim, za Sękocinem. Nie widząc żadnego w tej jeździe ruchu i wyczekawszy sporą chwilę, Rafał posunął się dalej, żeby z płaskiego wzniesienia szerzej okiem sięgnąć. W tej samej chwili konnica polska zaczęła wolno, wolno rozsuwać się szwadronami i cofać w kierunku Sokołowa, Komorowa, Pęcic. Dalekie barwy grały w cudnym słońcu kwietniowem, w gęstym oparze wysychających ról. Raptem dymaniące się słupy drgnęły, jakoby wpół nożem przecięte. Ogromny, błękitny kłab wypadł z nad szwadronów uchodzących i wraz po nim cudnodźwięczny huk przelciał nad okolicą, niby drżący okrzyk. Rafał roześmiał się wesoło. Zawołał prawie z rozkoszą:

— Aha! Nareszcie!

Drugi huk, trzeci. Potem dwa prawie jednocześnie.

— No! No! — wyzywał je kawaler. — Bij, bij!

Jak na zwołanie runęły: raz, dwa, trzy, cztery! Chwila ciszy — i znowu, a coraz częściej. Słupy błękitnego dymu i cudnie okrągłe, albo wydłużone jego obręcze wzniosły się ociężale w stronę Lesznowoli. Linie jazdy polskiej łamały się szybko, łączyły ze sobą i, wciąż ustępując, szły miarowo w kierunku Pęcic. Olbromski ujrzał Wygodę opuszoną, w płaskich polach. Wytężył w tamtą stronę wzrok i w dalekich oparach ujrzał szarawe, ruchome chmury. Zupełnie jakby bardzo daleki las, porznięty w poręby, zbliżał się polami.

— Idą... — wyszeptał.

Serce w nim zadygotało na widok nieprzejrzanych mas. Brzmienie słów bez sensu i związku pły-

wało koło uszu. Oczy nie mogły się dość napatrzyć. Nogi zdrętwiały tak dalece, że nie mógł trącić konia ostrogą.

Pozostał na tem polu dopóty, aż konnica Roźnieckiego oddaliła się i stała w oczach także wędrownym, szarym lasem. Strzały armatnie ucichły. Tylko owe linie stawały się coraz bardziej jawnemi. Widział już dokładnie płonące linią migotliwą rzędy bagnetów, ruchy nóg, barwy... Jeźdzy wysunęli się naprzód z pomiędzy kolumn. Zrazu można było rozpoznać jedynie maść koni, wkrótce ukazały się barwy huzarów pałtyńskich z kompaniami pandurów, z dwoma skrzydłami kajzer-huzarów pod wodzą generała Schauroth'a, a wreszcie brygadę generała Speth'a. Wszystka jazda ostrym cwałem sunęła ku Wygodzie.

Rafał spiął »Bratka« ostrogami i eo koń skoczy polecał prosto ku olszynie. Zdumionemi oczyma szukał batalionów. Nie widział ich nigdzie. Dopiero przed samemi zaroślami ujrzał wyprostowane linie pośród drzew... W Falentach również nie było nikogo. Całe miejsce stało w pustce i ciszy. Ani jednego człowieka... Dziwnie bolesny żal tknął jeźdźca... Koń jego leciał po stratowanej, dziurawej od kopyt roli, do kolan zapadając w glinę. Na drodze błotnistej między drzewami w pobliżu pałacu i rezerwy Sierawskiego stał na koniu Sokolnicki. Trzymał przy oczach perspektywę polową. Nie zwrócił na Olbromskiego uwagi, gdy ten stanął przed nim, z mistrzostwem i potężną siłą osadziwszy konia. Koń ów chwycił dech ze świstem, a oficer był w poście. Czuł, że rana pod pachą i na boku krwawi, że krew idzie w bandaż obficie. Był tak szczęśliwy...

Obok odprzodkowanych armat stali kanonierowie i pomocnicy, twarzami zwrózeni do swych działa. Pierwsi dwaj pomocnicy równo z wylotem, drudzy dwaj równo z osią, kanonierowie naprzeciw grona, trzecia para pomocników równo z osią przodkary, czwarta para o krok dalej w stronę dyszla i piąta o krok dalej. Jedenasty pomocnik stał z prawej strony przy samym końcu dyszla. Nieruchome konie od armat i wozów, zwrócone w kierunku Raszyna, strzygły uszami. Zapalone powrozy lontów tliły się w ręku kanonierów żywymi, mocnymi, kończystymi stożkami.

-- Widziałeś waćpan naszą kounicę? — zapytał Sokolnicki głosem grubym, bezczelnym w tej ciszy i oczekiwaniu.

— Widziałem, generale.

— W którym miejscu?

— Około karczmy, w miejscu rozstania się dróg, później w polu, gdy uchodziła na Sokołów...

— Wszystka odstąpiła?

— Tak jest, panie generale.

Sokolnicki przesunął lunetę w innym kierunku. Po chwili przytrzymał ją silniej, wreszcie odjął od oczu i złożył. Twarz jego była zamazana, jakby przemarzła. Cmoknął ustami... Oczy leniwie wlokły się po dziwacznej karykaturze wioski Falent, po rowach, zasiekach, wilczych dołach, naprzeciw tu i ówdzie w ziemi wydartych i zarzuconych chróstem... Przeszły na zaczajonych w lasku żołnierzy ósmego pułku, pierwszy raz do boju wiedzionych, szły po linii starych, pruskich karabinów z rozkołatanymi skałkami...

Jak grom, runął w ciszę strzał armatni. Za pierw-

szym huknęło ich z dziesięć od razu. Drzewa zatrzasły się całymi pniami aż do korzeni, zadygotały ich nagie gałęzie i delikatne bazie, jakoby piąstki wylękłego dziecka. Z Raszyna wybuchła naraz kanonada wszystkich dwunastu dział saskich Dyherrn'a, szwadronu artyleryi Antoniego Ostrowskiego i kompanii Włodzimierza Potockiego.

Sokolnicki skinął brwiami na Rafała i obadwaj ruszyli środkiem drogi ku Falentom. W linii międzydrzewnej, idącej przez groblę wprost na Raszin, widzieli tyralierów polskich, czyhających na samem wybrzeżu bagna. Dym z Raszyna wywalał się już nad jasne wody stawu i ciężkiem cielskiem wpełzał między trzciny.

— Spróbuj teraz leźć wprost przez błoto, na Raszin z pola... Nie znają drogi... — mówił Sokolnicki, otrzepując szpicrutą bryzgi błota ze spodni i ciżmów. — Przekonają się, że nie przelezą, bo to głęboko, a wtedy runą na nas w Falenty. Cóż ty w tej zabawie myślisz robić, mości ułanie? Skończyła się już twoja rola...

Pomimo straszliwego huku, Rafał słyszał te weśsoło drwiące słowa. Nogi pod nim drżały, jak wczoraj, kiedy to osłabł w lesie nadarzyńskim. Serce waliło z niepowstrzymaną siłą... Tchu nie mógł złapać... Błysnęły białezęby generała.

— Boisz się, kiedy strzelają nie do ciebie. Nie lubisz tego? Cóż to będzie, jeśli zapolują na twoje łydy?

— Nie boję się, generale! — krzyknął dumnie i hardo.

— A widzę.

Trzaskający łoskot karabinowy wyrywał się z pomiędzy grzmotu armat; huczał coraz bliżej i bliżej, wzmagając się i potężniał tuż w dymie. Sokolnicki dźwignął się na strzemionach, przeciągnął ramiona...

W tej samej chwili na zakręcie drogi ukazał się adjutant i, salutując w biegu, ukazywał pole przed wioską.

General, nie czekając na jego słowo, polecił:

— Plutonami!

Zjechali obaj z drogi wolno, nogą za nogą zbliżyli się do batalionu Godebskiego. Wnet usłyszeli komendę:

— Dwoma szeregami!

— Pluton!

— Tuj!

— Cel!

— Pal!

Runęły pociski batalionowe.

Za chwilę dokoła jeźdźców warknęły kule austriackie zdalcka idące, ścinając gałęzie olch i gwiżdżąc przeciagłe po wodach. Sokolnicki wjechał w szeregi fizylierów i wesoło, głośno zaczął sam komenderować, trzaskając w powietrzu szpicrutą.

— Nabij!

— Do ładunku!

— Odgryź ładunek!

— W rurę!

— Za stempel!

— Przybij!

— Stempel na miejsce!

— Plutonami!

— Cel! Pal!

Wrzynał się swym koniem coraz głębiej między szeregi rogatych czapek aż ku przodowi batalionu i po brzeżu lasku. Rafał, zostawszy w tyle, widział go owianego błękitnym dymem i, pomimo strzałów huczących, słyszał wciąż skróconą komendę:

- Nabij!
- Dwa!
- Trzy!
- Cztery!
- Cel! Pal!

Rafał był w stanie niesłychanego podniecenia, ale już nie drżał tak całem ciałem, jak przed chwilą. Mordowała go tylko jedna myśl: czemu nie ma w ręku karabina? Mieć karabin! Brać go do nogi, nabijać, wznosić, na oko i znowu, znowu, bez końca. Stać w szeregu! Słyszeć rozkaz tego jaśnie wielmożnego głosu, jak gdyby rozkaz rodzonego ojca: dwa, trzy, cztery!...

Wtem jedno z drzew w lasku olszowym zaskrypiało, jakby je niewidzialna siła zacięła do rdzenia u ziemi toporem. W tej samej chwili, w rzadkie bagno palnął ciężar kuli działowej, rozdarł je i wyrzucił w górę dwiema bryzgającymi skibami, jakoby dwie potworne wargi. Tuż w pobliżu Rafała przeleciał potężny ziew powietrza i pocisk z jękiem grzmotnął w groblę, wywalając w niej dziurę.

Koń ułana trwoźnie zadreptał na miejscu, stulił uszy i zatargał łbem.

W dymie, daleko, w polach, przez które niedawno leciał jego koń, Rafał ujrzał naprost siebie zio-

nace ognie i wybuchy kłębow dymu. Ognie poziome i dymy, ognie i dymy. Po każdym ogniu — słyszał huk tłukący tępko w ziemię, jakby w nią waliła olbrzymia stępa.

Chaos otoczył mu głowę. Huk ze wszech stron...

Zbliża się, zbliża. Widziało się, że za otaczającym go laskiem ziemia raz wraz pęka i że z jej głębokiej calizny wywala się ogień i dym.

Serce uspokoisko się i miejsce trwogi zajęło zdumienie. Ciekawość: co też z tego może wyniknąć? co się jeszcze stać może? — zagłuszyła wszystko. Naokół waliły się w bagno olchy ściele kulami.

Niewidzialne siły ciskały konary, gałęzie, odszczepy, a nawet całe drzewa. W szeregach ciągle rozlega się jęk tak straszny, jakby kogoś zarzynano nożem. Dym zasłaniał linie piechoty. Rafał, chcąc wszystko lepiej widzieć, tknął konia ostrogą i podjechał do armat.

Kapitan komendant leniwym krokiem przechadzał się od działa do działa, które były ustawione o ośmnaście kroków jedno od drugiego. Naczelnicy sekcyów stali przy przodkach między jedną armatą a drugą.

Oficer cd wozów i ogniomistrze czekali na skinienie kapitana komendanta. W oddali stały osiodłane konie kanonierów i naczelników sekcyjnych.

Z dymu wyjechał niespodziewanie Sokolnicki. Wyzukał oczyma Sołytyka i dał mu rozkaz:

— Ognia!

Sołytk grzmiącym głosem zwołał na swoich:

— Bacznosć!

Każdy drugi pomocnik lewy uderzył lont o lewe

ramię dla strąśnięcia ostrza popiołu, przeniósł go w wyciągniętej ręce o czterycale przy końcu śladu prochowego...

— Pal!

Dotknęli lontami podsypki — i cofnęli się w swoje luki. Cztery działa wstrzęsły się i skoczyły w tył. Dym osłonił ich chmurą. Rafał słyszał tylko wokoło siebie komendy:

— Nabij!

— Za wycior!

— Przytkaj zapał!

— Po nabój!

I znowu:

— Wytrzyj!

— Za stempel!

I znowu:

— Przybij!

— Pocisk w działo!

Młody jakiś oficerek z twarzą surową i natchnioną, z okiem zimnym, schylał się nad dioptrą.

— Na cel!

— Pal!

Migały w dymie wyciory, głowy kanonierów w rogatywach czapkach, obsługujących działa, złote hafty i akselbanty oficerów w zielonych mundurach, drągi, uzbrojenia — i ogień. W to miejsce zaraz skierowały się kule austriackie dwunastu armat przedniej straży generała Mohra. Od huku (gdyż i dwa granatniki polskie przy batalionie Godebskiego bić zaczęły) nastął w uszach jednostajny dźwięk — jakby człowiek latał w rozkołyisanym dzwonie. Bałwany dymu gęstniały wciąż, stały

się z niebieskich bure, pełne sadzy prochowej, która dusiła i wyżerała oczy. Znieruchomiał jeździec nie poruszał ani ręką, ani nogą. Słyszał wokół wołania i krzyki straszne. Nic jednak, nic nie mogło zepchnąć go z miejsca.

Znagła jakiś żołnierz w bermicy z białymi kordonami znalazł się u jego strzemienia i wzniósł na niego oczy przeraźliwe, tak dziko wywrócone, że Rafał ocknął się, jak ze snu. Tamten pchnął go kołbą karabinu i wegnął między konie artyleryi. Jeden z artylerzystów w rozpiętym mundurze, z pod którego ukazywała się skrwawiona aksamitna kamizelka, wrzasnął na niego, inny podniósł szabłę. Rafał zdarł swego konia i stępa pojechał na prawo, ale tuż o kilka kroków koń jego potknął się na leżących ludziach.

Olbrromski schylił się, żeby przez mrok dymu zobaczyć, co to za jedni, gdy wtem koń jego skoczył, cisnął się całym korpusem jakby przerażony okropnością widoku. Chrapnął, jak ongi zdychająca »Bańska«, wspiął się dęba i z wysoka runął na przednie kolana. Rafał wyrwał nogi ze strzemiion i złazł na ziemię. Koń jego drżała cały. Kłyby jego kurczyły się, skóra wytężała na nich. Pyskiem chwytał ziemię, a jęzorem lizała naokół przestwór. Wtedy dopiero Rafał zobaczył, że ze zwierzęcia wypływają wnętrzności i krew się wali. Odszedł stamtąd i, nie wiedząc zgoła, w jakim posuwa się kierunku, brnął przed siebie. Za chwilę znalazł się w szeregach woltyżerów. Uderzyły jego oczy znanemu barwy: żółte kołnierze, żółto-zielone szlify i zielone piórka na czapkach.

Stali w bagnie prawie po kolana. Nabijali bez ko-

mendy. Strzelali. Rafał potykał się na kępach, pniakach, gałęziach, właził na ciała zabitych i, gnany siłą ciekawości, przeciskał się naprzód. Twarzy niczyjej nie widział. Tak doszedł do plutonów, które były się prawie na oko. Działo się to o kilkadziesiąt kroków przed nim. Dym nie pozwalał nic widzieć. Przy każdym tęższem drzewie czaił się człowiek, nabijał, strzelał, nabijał, strzelał.

Rafał chwycił karabin, leżący na ziemi, i stał w szeregu.

— Równaj się! — krzyczał wciąż młody oficerek, usiłując sformować tu kolumnę i ruszyć z nią naprzód.

Starania jego szły na marne. Ludzie walili się co chwila. Kule rznęły, jak grad. Z pomiędzy drzew wy nurzyli się żołnierze o twarzach bladych, z wystraszonimi oczyma. Były to bataliony Wukasowicza pod dowództwem pułkownika barona Pabelkoveny. Zwartym szeregiem, ile było można wśród drzew, walili naprzód. Rafał w osłupieniu patrzał na ich wysokie czapy i skryżowane na piersiach białe pasy.

— Toż u pioruna oni... — tyle zdołał pomyśleć.

Na widok wrogów żołnierze batalionu Godebskiego chwycili broń i rzucili się naprzód. Rafał ogarnięty szalem szedł z nimi.

Napadli na piechotę Wukasowicza z chłopską fureją. Kłuli bez sztuki wojennej, po chamsku, bagnetem, bili kolbami...

Rafał, nie umiejący robić bronią, chwycił starą pruską landarę za koniec lufy i zaczął prać co siły w ramionach. Za nim to samo uczynili inni. Widząc koło siebie kupę, jał nie komenderować, lecz przewo-

dzić, jako szlachcic chłopom na pożarze: — A bij-że! A dyć to Niemcy! A nie dajta się! — Wbijali się w szeregi, najeżone skrwawionymi bagnetami, rzucali się na lufy, ociekające krwią.

Krótko trwało ich męstwo. Za chwilę musieli ustąpić. Żołnierz austriacki szedł na nich z wyniosłości w nizinę, szedł kolumną, liczącą trzy tysiące chłopa, zwartą i grubą. Były to bataliony Weidenfelda, batalion Dawidowicza i pułk siedmiogrodzko-wołoski.

Woltyżerowie uchodzili, brnąc coraz głębiej w bajora, odbijając się, odstrzelując, trupami zaścileając pole. Austryacy wbijali się w lasek olszowy potężną masą i zagarniali cały. Fizyliery polskie szły w tył coraz bezładniej. Panika padała na nich zwolna, jak rzęsisty a stale wzmagający się deszcz. Darmo szablami oficerowie pędzili do boju. Nadaremnie z gołą szpadą w ręce parł ich swym koniem Godebski...

Rafał znalazł się w truchlejącym tłumku, zbitym w masę, gniotącym człek człeka. W pas brnęli w rurawicy ku grobli stawu, swarząc się już między sobą. Kiedy wydostał się na twardsze miejsce i przetarł oczy, ujrzał przed sobą szlak ku grobli, na którym stał niedawno z generałem. Teraz walił się nań zdemoralizowany batalion. Wprzedce napełnili te miejsca, chargeując, gadając, w kępę zbici. Armaty huczały przed nimi. Kule bluzgały po wodach stawu i kosiły żółte trzciny.

Wtem od strony Raszyna pędem nadciągnął hufiec jazdny. Przewodził mu książę Józef.

Za nim jechał Pelletier i kilkunastu adjutantów Rafał poznał ich wszystkich oczyma, nie myśląc wcale

o tem, kogo widzi. Baczył tylko na to, żeby nie być zepchniętym do stawu.

— Anizetka, Szpilka... — myślał, przypatrując się im przez małą chwilę.

Książę mierzył rozgromiony batalion ognistemi oczyma. Żołnierze, widząc go, poczęli się opamiętywać, jako tako formować i zwracać ku olszynie. Wódz zsiadł z konia i, nie wyjmując z ust krótkiej fajeczki *brûlegueule*, stanął pośród żołnierzy. Od pierwszego z brzegu wziął z rąk karabin i zawałał:

— Za mną, bracia!

Żołnierze wydarli się masą z gęstego błota i ruszyli, jak jeden. Wpadli na piechurów austriackich z fureją, z wściekłością, z szaleństwem, tak nagle, jakby wyrosły z ziemi, czy wypadły z zasadzki. Książę szedł w szeregu, walcząc jak prosty żołnierz. Nigdy fura bojowa nie była wścieklejsza. Pierwsze szeregi austriackie wgnoiotły się w następujące i wdeptywały je w bagno. Nie było miejsca na bitwę. Kto był na placu, musiał zginąć. Sami oficerowie austriaccy, żeby zyskać miejsce, musieli wydać tylnym szeregom kolumny rozkaz odstąpienia. W kilka chwil, lasek olszowy został zdobyty aż do wioski. Tam także wrzała straszna walka. Austriacy wdzierali się na oszańcowane chałupy, zdobywali każdą piędrz ziemii, każdy rów, zasiek. Z góry, z pułapów, z za desek, z za węglów, z dziur, szczelin razili ich nieustanny grad kul. Ale już z trzech stron, od Puchała, z pola i od strony Jaworowa wioska była osaczona. Cały drugi pułk piechoty szedł na nią głębokim szykiem.

Rwano już deski rękoma, rujnowano zasieki, wy-

ciągano dyle. Książę Józef wezwał przez adjutanta Kraśnickiego pierwszy batalion pierwszego pułku, który pospołu z artylerią strzelał bez przerwy, i dwunastu kompaniami natarł na obiegających wioskę. Szedł w pierwszym szeregu porucznik Skrzynecki. W ciągu kilku minut, obiegający zostali wypędzeni bagnetem i wyrzuceni w pole. Zarazem trzy lekkie armaty, przyprowadzone do Falent z Raszyna, wzmogły ogień artyleryjski. Fizyliery, zamknięte w wiosce, którymi kierował sam Sokolnicki, pozdrowiły księcia okrzykami chwały.

On siadł na koni i, otoczony swym sztabem, przejeżdzał wśród szeregów. Teraz rezerwa wysunęła się naprzód, dziewięć dział stanęło razem i poczęły z pod dworu w Falentach bić nieszczodnie.

Książę cofnął się do głównego swego stanowiska w Raszynie. Gdy zwolna jechał przez groblę, kule świątły koło niego, jak grad. Sokolnicki polecił umocnić pod ogniem nieprzyjacielskim zburzone oszańcowanie Falent i formował znów swoje trzy bataliony, żeby, w myśl tej samej co rano zasady, szcędzić żołnierza. Ale kiedy to spełnił i kiedy infanteria austryacka cofnęła się w pola sypnął się na jego piechotę i artylerię grad kul sześciofuntowych.

To nadchodzący korpus armii austriackiej, a mianowicie pierwsza jego brygada pod generałem von Civalard i Pflacher wzmacniła przednie straże Mohra. Walily teraz dwadzieścia i cztery armaty, sześć nowych batalionów przyłączyło swój ogień do dawnych pięciu. Odpowiadało im dziewięć tylko armat. Rafał był w ich pobliżu. Słyszał hurgot taczających się, spracowanych

działał. Cała bateria wiła się teraz w kurczach śmiertelnej pracy, miotała, jak skorpion w środku ognia. Ułan drżał nie jak na początku bitwy, ale jak wówczas, gdy szukał zabitej Heleny. Wrzaski rannych, jęki, wołania o pomoc, płacz i skomlenie zabiły jego duszę. Ścisając sobie głowę, ślaniał się z miejsca na miejsce. Ktoś z artylerzystów kazał mu nosić wiadrem wodę, więc ją przydzwigał kilkakroć. Kiedy po raz trzeci biegł do zalewiska w olszynie, tuż o kilkanaście kroków od niego wyleciał w powietrze kieson prochowy. Słup ognia porwał w górę i roztrzaskał o ziemię zielone złomy, zabite konie, rozrzucił koła, postronki, chomiąta. W ogniu ludzie poparzeni jęczeli. Jeszcze Olbromski nie zdążył nabrać wody w wiadro, kiedy wybuchnął drugi wóz. Za chwilę trzeci... Jakiś kanonier w dymie krzyczał:

— Granatnik zbity na ziemię!

Straszny trzask granatów rozlegał się w tem miejscu. Wyrwana ziemia, lecąc w wybuchu powietrza, grzmotnęła Rafała w plecy i rzuciła w błoto stratowanej drogi.

W głuchem półomdleнию leżał, wciągając w płuca wolniejsze od dymu przy samej ziemi powietrze.

Coraz bliższe wybuchy dymu z kilku i kilkunastu naraz strzałów odtrąciły bataliony polskie. I oto znągała ucichły. Lecz w tejże samej chwili wyszły z kłębowów burej sadzy nieprzejrzane szeregi piechoty.

Lasek od strony Puchała znowu dostał się w ich posiadanie. W pobliżu drogi wrzała walka na bagnety.

Sokolnicki, w ciągu całej bitwy kryjący żołnierza za lichemi osłonami, i teraz połowę swej siły wtłoczył

do zabarykadowanej wioski. Rezerwę krył między nią a dworem, a batalion Godebskiego w lesie. Artylerię trzymał wciąż na drodze i całą bacznosć zwrócił na obronę i bezpieczne posiadanie odwrotu przez groble. Cały teraz nacisk artyleryi austriackiej wywarł się na wioskę. Kiedy piechota Mohra powtórnie wdzierała się do gębi lasku, targając bagnetami piechurów Godebskiego, armaty austriackie poza plecami tej piechoty zwrócone zostały paszczami na wschód. prostopadle do Wielkich Falent i poczęły bić w resztki siedlisk wieśniaczych.

Rafał trafił tam właśnie pospołu z kolumnami, zostającymi pod wodzą Sierawskiego.

Gruchnęła w tłumie wieść, że Godebski usunięty został z pola z raną śmiertelną i że go cnotliwy Fiszer zastąpił.

Nie wiedzieć kiedy, wraz z tłumem znalazła się ułan między stodołami. Odetchnął. Nie było tu takiej ulewy pocisków. Do czasu... Na powałach chat, w stodołach, za wyrwanymi wrótniami siedzieli, stali, klęczeli i leżeli żołnierze, odpierając strzałami szturm infanterii austriackiej, uderzającej na wioskę z południa. Jeszcze starczyło na pewien czas ładunków. Każdy żołnierz wypalił ich po sześćdziesiąt. Gdy kule armatnie rozwaliły którąś stodołę, powyciągały z węglów jej belki, wyważły przyciesi, wyrwały z ziemi słupy, żołnierze przenosili się kupą do drugiej, do trzeciej, włączili na wierzch obdartych chat i bili znowu. Sokolnicki formował sam partye. Był wciąż na środku drogi wioskowej i dyrygował obroną. Widział stamtąd przez tylne, północne, odsłonięte przejście swą świeżo złożoną rezerwę, do

czego znowu powrócił, i artyleryę. Pewna partya żołnierzy nosiła wciąż wodę w konwiach, wiadrach, lusofach i zalewała wzniecone pożary. To tu, to tam buchał ogień. Gdy artyleria, wystawiona na ogień, cofać się zaczęła za pałac, ku grobli, cała siła dwudziestu czterech armat napastniczych buchnęła w Falenty.

Piekielny zaczął się ogień.

Belki, krokwie, łaty trzeszczały i łamały się, darły na szczapy i wióry. Ściany wyginały się i waliły na ziemię, jak długie. Od pożaru ratował mokry gnój i ziemia... Tworzyła się kupa ruin drewnianych, złanych krowieńcem, stos spiętrzony wywróconych domostw. Za nim stawali wnet żołnierze i razili jeszcze wroga, stojącego w polu i sunącego wciąż naprzód z południa i wschodu.

Rafał podjął karabin zabitego grenadyera, przypasał jego ładownicę i, zachyliwszy się pod sterczącą ścianę, zaczął nabijać i walić. Dzika żądza w nim biła, jak ten nabój w rozpalonej lufie. Zapomniał, gdzie jest i co się z nim przytrafia. Chwilami mu się zdało, że bije w kufę wilka w śnieżnym parowie i ma wszczeplione w piersi jego pazury.

Słyszał głos Sokolnickiego zachrypły:

— Podsypuj, bracie, podsypuj! Ładunków nie gub! Mocno przybij! Nie żałuj! A zasie, pludry! Tuś to przywędrował, niemiecki ryju! Twoja tu ziemia, złodzieju? Bij, braciszku, jeden z drugim, nie żałuj!

To tu, to tam, wzmagają się wrzask niebezpieczeństwa, okrzyk rozpaczny. Zaczęły padać w wioskę, a raczej w zdruzgotane jej gnaty, pionujące bomby moździerzowe. Bomby te w chwili pęknięcia na ziemi, albo

w powietrzu, miotały ogień we wszystkich kierunkach. Były to wielkie, wydrążone kule z żelaza, napełnione prochem. Miały w sobie otwory, zabite czopami, długimi blizko na kwartę łokcia, w których mieściły się tuleje, napełnione materyałami palnymi.

Ogień obejmował stosey drzewa, mundury żywych i zabitych. Zalewano go, duszono nawozem, ale bomby, zaprawne sztucznyimi ogniami, szły coraz gęściej, jakoby stada ognistych ptaków. Zapalała się i gasła wioska Falenty w stu naraz miejscowościach. Szerokie żagle płomienia widać było na przodzie i w tyle ponad głowami i u stóp. Kule ośmiofuntowe łamały resztki rumowia.

Sokolnicki wyjął okrągły zegarek, rozejrzał się wokoło. Wytarł pięściami oczy, pełne piachu, dymu, sadzy. Odsapnął z głębi piersi. Strzepnął palcami. Była blisko godzina piąta po południu. Najbliższemu z oficerów, rzekł z cicha, nad uchem:

— Batalion w tył... prawem skrzydłem... Marsz...

Woltyżerowie wynurzyli się z ognia i dymów. Byli czarni, okopci, z tłaczymi się mundurami. Przez północne wyjście z wioski tłoczyli się na drogę pod pałacem. Z trudem formowali oficerowie sekcye i pancernowe roty z boku armat.

Sołtyk, otrzymawszy rozkaz, wołał w dymie ochrypłym głosem:

— Bacznosc! Ognia w odwodzie! Półbateriami! Marsz!

Wozy dostatkowe wyszły na groblę pod osłoną dwóch batalionów, zbitych w kupę i wypartych z olszowego lasu. Bataliony te wciąż szarpały się z nieprzy-

jacielem. Pierwsza półbaterya, złożona z trzech armat i granatnika, wyszła z dymnej jaskini i przez zawady rannych, przez kupy zabitych, cofała się w tył, aż do linii wozów. Tam stanawszy, przysposobiła się do dawania ognia. Druga półbaterya, złożona z trzech dział, (gdy dwa zdemontowane i rozbite zostały na placu), z pośpiechem dążyła do pierwszej.

Huknęły jeszcze strzały... Armaty kolejno wchodziły na groblę. Za sprchy, za osie i grona ciągnęły je żołnierze piechoty pospołu z rannymi końmi. Większość kanonierów czynnych padła pod kulami silnego nieprzyjaciela. Czerwone akselbanty zarumieniły drogę falencką. Zielone kurtki zasłały ją, jako wiosenna murawa. Z koni ledwie połowa została.

Sokolnicki, uwiadomiony, że i Fiszer z ranami wyniesiony został za groblę, sformował zdziesiątkowany Godebskiego batalion. Stanął w szeregu i, niezłomną piersią zatarasowawszy dostęp, osłaniał odwrót armat. Żołnierze jego szli nietylko przez groblę, ale i obok niej, wskroś bagien, po pas zanurzeni. Nieprzyjaciel walił się za nimi krok w krok, szedł w ich tropy tem samem bajorem. Tu, wśród pniaków, suchych chróstów, w zeszłorocznych kępach trzcin, zaczął się bój na śmierć i na życie. Ci, którzy szli groblą, wspierali walczących. Cały zastęp był skrwawiony, mokry i rudy od błota.

Rafał z innymi osłaniał armaty. Ziemia waliła się ogromnemi skibami z rozgniecionej grobli. Drzewa wjeźdżały w bagno Rawki, gdy koła armat wytłoczyły z grobli ich korzenie. Trzeba było co chwila wywlekać te koła z rozpadlin gruntu i z jam nagle powsta-

łych, pchać i dźwigać śpiże co tchu w piersi, a sily w ramionach.

Po wielkim trudzie dosięgli nareszcie twardego wybrzeża przed kuźnią raszyńską.

Stamtąd same już konie pociągnęły dalej działa. Spychając piechurów austriackich w bagno, łamiąc się z nimi oko za oko, ząb za ząb wychodziła na suszę piechota i dążyła pod kościółek.

Nieprzyjaciel przedzierał się tą samą drogą. Ale teraz wszystkie siły polskie miał przeciwko sobie. Dwanaście działa baterii saskiej, armaty Włodzimierza Potockiego i trzynasta kompania artyleryi pieszej Ostrowskiego, stanęły na szańcu za kościołem, na polu od strony Michałowic i nad stawem od strony Jaworowa. Wszystkie paszczami zwróciły się na groblę. Żołnierz austriacki musiał przebyć wązki jej przesmyk. To też najczęstsza tutaj wywiązała się walka.

Armatom polskim bardzo niewiele szkodziły baterie Mohra, Civalarda i innych, ustawione w nizinie falenckiej, za groblą. Tymczasem każdy pocisk polski, rzucony wzduż grobli z raszyńskiego wzgórka, wyrywał istne jaskinie w zwartych szeregach idącej piechoty.

Kościółek, otoczony czworobokiem muru, i domostwa z cegły przy placu kościelnym służyły za doskonałe schrony dla piechoty polskiej. Na grobli zwolna wyrastały wzgórzaz rzuconych śmiertelnym pokotem polskich chłopów z za Pilicy, Rusinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, Cyganów, Wołochów...

Wodzowie polscy stanęli przy armatach. Książę Poniatowski chodził od jednej do drugiej pracowicie, zimno i umiejętnie celując. Co chwila słał adjutantów

w stronę Michałowic i w stronę Jaworowa, gdyż na obudwu tych punktach działa tego grzmiały. Wieści wciąż były pomyślne, nigdzie nieprzyjaciel błota nie przebył.

Już się wczesny, wiosenny wieczór nachylał, kiedy infanterya Wukasowicza przez wzgórza zabitych na grobli wtargnęła na brzeg raszyński. Ale potężne natarcie batalionów Sokolnickiego, wypoczywających za kościołem, zepchnęło ją znowu z grobli i wzgórza. Z podwójną mocą zaczęły pracować armaty, dym zasłonił wodę jasnego stawu, grobłę, drzewa i biedną przydrożną osadę.

Noc zapadała, a wciąż jeszcze wyziewały śmierć zdyszane i rozpalone śpiże. Dopiero, gdy ciemność nastąpała zupełna, wolno, wolno, przestały szczekać.

Dogasała łuna nad zgliszczami Falent. Jęki wieczornego powiewu niósł z grobli, z bagien, z wybrzeża. Mgła biała, pełznąc powoli z nad suchych trzcin, powłóczyła te głosy śmierci, niby całun dobrotliwy.

Na grobli trupem legły dwa tysiące Austryaków, a tysiąc z górami naszych skonało w falenckiej olszynie.

Noc już była głęboka, gdy Rafał wydostał się z walczących glidów w potarganym mundurze, bez czapki, mokry aż do ramion. Szedł naoślep, przez zorane pola w stronę Opaczy. Zdawało mu się, że tam jeszcze znajdzie swe wczorajsze legowisko. W Raszyńie nie było gdzie postawić nóg, nietylko przytulić głowy. Widział, odchodząc, jak do kościoła i domostw znoszono rannych. Na polach przy drodze pokotem składano trupy.

Olbrromski cały był w ogniu.

Szarpała go wczorajsza rana. Teraz dopiero czuł stłuczenia od pchnięć bagneta. Płomienie miał w oczach i w głowie, a jednak zimno go trzęsło. Włókł w sobie śmiertelne cierpienie, dźwigał w zamkniętych oczach widok całego tego pola, miał w ramionach ruchome kupy ciał na grobli...

W WARSZAWIE.

Po nocy, spędzonej w pustej szopie na żydowskim przedmieściu Warszawy, a w pobliżu szubienicy miejskiej, Rafał ocknął się nadniem. Szopa stała zdala od drogi, usłyszał jednak szczęk i tukot idących armat, taborów, piechoty. Wylazł ze swego legowiska i dopytał się u idących piechurów, że to nasi odstępują na całej linii. Ogarnęło go tępe zdumienie. Kiedy na początku tej nocy odchodził z Raszyna, cała armia kipała od dumy z odniesionego zwycięstwa. Teraz ze wszystką swoją siłą uchodziła z placu! Jakże straszliwie dudniły armaty na tej nocnej drodze odwrotu! Jakże ciężki, znużony i grobowy był krok ustępującego żołnierza!

— Sasi uszli! — tłumaczono Rafałowi z szeregów.

— Niemiec Niemcu brat!

— Podłe psy saskie! ze środka bitwy w tył poszły...

— Tysiąc dwieście głów, stu pięćdziesięciu huzarów, dwanaście armat, wszystkie swoje trzy bataliony zebrali w kępę i uszli...

Rafał wmieszał się w szeregi i pociągnął z nim. Po drodze rozpytywał się wciąż o brygadę Sokolnickiego. Dopiero rankiem powiązł wiadomość, że ten generał mianowany został naczelnikiem lewego skrzydła i że osłania niziny Powiśla od strony Wilanowa za Czerniakowskiemi i Mokotowskimi rogatkami. Olbromski z małym oddziałem piechoty, który brnął samopas, powłóknął się za okopami w tamtym kierunku.

O świcie dał się słyszeć daleki ogień tyralierski. Przemknął w rannej ngle jakiś oddziałek konny i zjechał w nizinę wilanowską. Na wzgórzu w okolicach Mokotowa zaczepiła Rafała straż gwardyi obywateleńskiej i z wielkimi ceremoniami powiodła do oficera, komenderującego wartą. Stary ów wiarus na pytania Rafała o generała Sokolnickiego nic pewnego powiedzieć nie chciał i kazał mu czekać w obozie gwardyi, na skraju Łazienkowskiego parku. Wyrosło tam istne miasteczko, wzniesione poprzedniego wieczora. Ze stołów, drzwi, okiennic, ławek i stołków pobudowali obrońcy miasta rodzaj chatek, szałasów, namiotów, a przede wszystkiem kuczek. Spali w tych schroniskach, nie tylko sami, ale i ich rodziny, które przyniosły im zapasy i napoje. W chwili, gdy Rafał nadszedł, gwardya już była wstała, przebudzona nadzwyczaj niedelikatnie przez pułkownika Lubieńskiego i jego adjutanta Rokickiego.

Dowódcy ustawałi w szyku bojowym rozespanych mieszkańców, gdyż od strony Piaseczna słyszać było coraz bliżej strzały karabinowe. Rafał zatrzymał się w jednym z przygodnych szałasów, usiadł tam w kucki pod nakryciem drzwi, wyrwanych skądś z zawiasami, i za-

padł w stan drzemania. Po dniu wczorajszym miał wciąż jeszcze huk w głowie. Z krótkiego snu wyrwało go silne targnięcie za ramię. Jakiś nieznany mu oficer budził go i wołał do generała.

Sokolnicki stał niedaleko na koniu. Był schlastany bryłami gliny do galonów i kity na czapce. Ciżmów i amarantowych spodni nie widać było pod błotem. Twarz miał czarną i posępna od znużenia. Koń jego cały był w pianach. Para szły z niego.

Gdy Rafał przybiegł do strzemienia z ukłonem, generał zażartował:

— Tak to się sprawiasz, panie adjutancie? Po szalaśach tej babskiej piechoty muszę cię szukać! Co za czapkę masz na głowie?

— Panie generale... czapka spadła na grobli, gdyśmy dygowali armaty. Podjąłem pierwszą z brzegu na szosie, w nocy. A konia mi zabito koło Falent. Jestem niezdrów...

— Ech, piecuchy! czy dostałeś co nowego w lasku?

— Zdaje mi się, że mnie szturchano, ale dokładnie nie wiem gdzie i kiedy...

— Cóż myślisz robić?

— Muszę poszukać schronienia, bo mi trudno stać na nogach.

— No, radź sobie, jak umiesz.

— Panie generale...

— Czegóż jeszcze!

— Czy, gdybym wyzdrowiał, mogę mieć nadzieję służby pod jego rozkazami?

Sokolnicki pomyślał przez chwilę, obejrzał go od stóp do głowy i rzekł niechętnie:

— Możesz zgłosić się do mnie. Tylko nie piechotą. Pomyśl o dobrym koniu i lepszym uniformie. Może się znajdzie dla ciebie miejsce adjutanta.

Rafał podziękował mu ukłonem i spojrzeniem. Generał w tłumie oficerów popędził w kierunku Mokotowa.

Olbromski ze zdziwieniem dowiedział się, że to już popołudnie. Mówiono w szeregach gwardyi o zawieszeniu broni. Nie mając tu co czynić, strudzony ułan poszedł wprost przez park Łazienkowski ku miastu. Minął nogą za nogą dolne aleje, wszedł na górną i obok drewnianych domków brnął po blocie. Często przystawał, opierał się o drzewa. Kiedy wszedł w miasto, był tak osłabiony, że wciąż przysiadał na ziemi. Wspominał sobie to głód, to pragnienie, ale przedwczorajskim miał w oczach i myśli wczorajsze pole. Blisko trzy dni nie jadł.

Kiedy ostatni raz dźwignął się z ziemi i podniósł oczy, ujrzał przed sobą żelazną kratę ogrodu, przerzucone przez nią suche jeszcze, poplątane badyle dzikiego wina, a w głębi ogrodu front pałacyku i balkon. Stanęły naprzeciwko jego oczu drzwi zamknięte, okna z zapuszczonemi firankami, kamienne schody z lewej strony balkonu, byliny zeszłorocznych kwiatów na klombach...

Wsparł się piersiami i ramieniem na tępich grotach żelaznej balustrady ogrodzenia i patrzał uważnie w to miejsce. Tu za lustrzanemi drzwiami rozlegał się szelest sukni Heleny de With. Tu szemrały pod atłasowemi stopy małe ziarenka piasku, zaniesione przez wiatr na gładkie skrzyżale z marmuru, gdy zstępowała

cicho, jak duch. Prawdaż to, o mocny Boże, że już jej niema?... Serce tłukło się o żelazne kraty, przy których było niegdyś w oczekiwaniu. Żelazne szczeble okryła ruda rdza. Rygiel furtki był zasunięty, na ścieżce leżały badyle i czarne liście. Na szybach, na stopniach ganku, za nieruchomemi firankami gnilo niezgłębione i niezłomne milczenie.

Ulicami ciągnęły podwody chłopskie, zwożące do Warszawy w gnojnicach i drabinkach rannych z pod Raszyngiem i z pod Piaseczna. Gdy szpitale były już przepełnione, mieszkańcy zabierali do swoich domów nieszczęśliwych, odstawionych częstokroć bez żadnego opatrzenia, w opłakanym stanie.

Jakiś oddziałek gwardyi spostrzegł Rafała, przytulonego do kraty ogrodu, i zabrał go ze sobą. Ranny poszedł bez oporu. Na pytanie, czy nie ma w Warszawie rodziny, krewnych, znajomych, nie umiał odpowiedzieć, przytłoczony mocą ostatniego wzruszenia. Ale wreszcie przypomniał sobie dom księcia Gintulta i prosił, żeby go tam odprowadzono.

Brama pałacowa była otwarta, a na podwórzu stało kilkanaście chłopskich furmanek. Chude konieca chrupały obrok w torbach i siano w półkoszkach tuż pod oknami. Główne wejście, dawniej szczerle zawsze zamknięte, teraz rozwarte było naścieżaj. Rozmaici ubodzy ludkowie wchodzili i wychodzili tamtędy. Kiedy dwaj gwardziści wprowadzili Rafała do przedsionka, na ich spotkanie wyszedł stary kamerdyner z Grudna. Nie poznał wcale Rafała i zajął się nim z ledwie ukrywaną niechęcią.

W salonach dolnych i w przepysznej bibliotece

stały teraz łóżka, łóżka i łóżka, jak w szpitalu, a na nich stękały ranni. Ciche, wykwintne pokoiki, zamienne na sale operacyjne, zalane były kałużami krwi, pełne straszliwych krzyków ludzi operowanych na trzeźwo, wijących się w konwulsyach pod piłką i lancetem. W innych dogasali z jękiem konający. Kilku młodych chirurgów w krewawych koszulach uwijało się między łózkami. Za nimi nosił wodę w miskach, ręczniki, gąbki, przyrządy operacyjne stary, napół oślepły Andrzej. Rafał widział to wszystko, jakby we śnie. Posadzony na krzesle w jednym z przyległych pokojów, oparł głowę o ścianę i śnił na jawie o pustym domu Heleny de With.

Wiosenne słońce płonęło. Potok światła wlewał się do ogrodu. Długa uliczka wysychała w tym blasku i dymiła się od wiosennego, przedwieczornego czadu.

— Oto jeszcze jeden ranny... — wyszeptał jakiś głos we drzwiach pokoju.

Rafał dźwignął ciężką głowę i skierował oczy w to miejsce. We drzwiach stał książę Gintułt. Ranny poznał go bardziej po wzruszeniu całego swego ciała, po drżeniu serca, po dreszczu rąk i nóg, niż zamglonym wzrokiem. Książę zmienił się prawie do niepoznania. Ciemno szara twarz porznięta była brózdami, oczy skryły się pod osłoną powiek. Zęby powypadały, a ostatni z nich sterczał zabawnie na przodzie.

Książę Gintułt zbliżył się do Rafała i długo patrzał nań z odcieniem zdumienia.

— Przecie to jest Rafaś Olbromski... — rzekł wreszcie z cicha do swego starego sługi.

Andrzej chwilę łyptał oczyma, zanim zdołał wyksztusić:

— Ale co też to książę pan!... — Przecież to jakiś oficer.

Rafał dźwignął się ze swego miejsca i wyciągnął do księcia rękę.

— Rafuś! na miły Bóg... Więc i ty między wojaki? No, chwała Bogu, żeś żywy i żeś się pod ten dach dostał. Andrzejku! żywo, żywo dajcież mu osobny pokój, ten, w którym mieszkał swego czasu.

Ranny znalazł się wkrótce w dawnem swem łóżku. Chirurg opatrzył jego starą ranę nanowo, przemył oczyścił i zalepił świeże otrzymane pchnięcia, kazał mu dać posiłek i ułożyć do snu.

Rafał ocknął się dopiero nazajutrz rano. Okna były już półuchylone. Stary Andrzej w swych pantoflach z żółtej skóry, bezdzwiecznie sprzątał w pokoju.

Rafał czuł się daleko lepiej. Miał wprawdzie jeszcze ból głowy, ale już ani śladu wczorajszego ucisku. Andrzej patrzał na niego uważniemi oczyma i zginał sztywny kark w łaskawym ukłonie. Wkrótce nadszedł książę z chirurgiem. Kiedy ostatni opatrywał rany, Gintuł siadł w nogach Rafałowego posłania i przypatrywał się obojętnie tym czynnościom. Chirurg wnet wyszedł, oznajmując, że chory za dwa, trzy dni będzie mógł wstać z łóżka.

— Cieszę się — rzekł Gintuł — że nie jesteś ciężej chory, gdyż w takim razie musielibyśmy się zaraz rozstać.

Rafał nie zrozumiał.

— Będę zmuszony wyjechać z Warszawy,—ciągnął książę—a chciałbym mieć w tobie towarzysza podróży

— Niestety, jestem teraz sklepowany służbą żołnierską. Skoro tylko wyzdrowię, muszę się udać do obozu.

— Tam właśnie i ja podążę.

— Książę pan wstępuje do wojska?

— Aha.

— Jakże się cieszę!

— Nie masz czego... Ja nie z chęci walczania z Austryakami idę do obozu. Powiniennyś mnie rozumieć. Idę spełnić powinność... Nie wiem, czy z tobą mogę mówić jeszcze, jak dawniej. Postąpiłeś ze mną tak dziwnie... wyjechałeś bez słowa oznajmienia.

Olbromski posepnie milczał.

— Przyszedłem tutaj nie po to, żeby ci robić jakiekolwiek wymówki. Bóg z tobą. Rad jestem, że wracasz do zdrowia.

— Nie mogę wypowiedzieć w tej chwili wszystkiego, co mię skłoniło wówczas do naglego wyjazdu — to tylko wyznać jestem zdolny...

— Nie trudź się.

— Ojciec mię wezwał...

Gintuł uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ojciec pisał tu do mnie po tym wyjeździe, zasięgając wiadomości, gdzie jesteś.

Rafał zamilkł. I książę siedział w milczeniu.

Po jakimś dopiero czasie rzekł:

— Nieraz wspominaliśmy cię z mistrzem katedry...

— Czy przebywa tutaj major de With? — spytał bezczelnie Olbromski.

Książę podniósł na niego bladé oczy i rzucił wzgardliwe słówko:

— Nie.

— Gdzież jest?

— Przed Bogiem. Mistrz katedry zginął.

— Walcząc z nami!

— Jeżeli wiedziałeś o tem, to dlaczego trudzisz mnie i siebie nizkiem kłamstwem?

— W jakim celu książę pan udaje się do obozu? — wykrętnie spytał Rafał.

— W celu przypatrywania się, jak to mam zwykaj, biegowi rzeczy ludzkich.

— Dziwny cel... W chwili nieszczęścia kraju... — mówił Rafał ze spuszczonemi oczyma.

— Tak sądzisz?

— Wczoraj byłem w bitwie. Widziałem, że tam niema miejsca na badanie rzeczy ludzkich.

— Niema?

— Można tam przynieść duszę swą i ciało z wiarą w skuteczność boju. Wtedy się jest potrzebnym. Ktoby szedł po to, żeby patrzeć, jak inni umierają...

— Jeśli mię pamięć nie myli, można dostrzедz jeszcze jedno miejsce w bitwie, właśnie dla siebie.

— Nie rozumiem.

— Bo też złym byłeś uczniem, twardego byłeś karku i zmysłowych oczu.

— Dziś jestem żołnierzem i za jedyną cnotę uznaję i wyznaję niezłomne męstwo.

— Mówisz też, jak żołdak.

— Każdy dziś człowiek na tej ziemi powinien być żołnierzem. Widziałem, jak generał Sokolnicki po żołniersku stał piersią całą naprzeciwko wroga.

— Widzisz, bracie, ja jestem ten, który o wszyst-

kiem i o tem mestwie Sokolnickiego chce miec swój
własny sąd, wyważony z sumienia.

— Nie, pora na to.

— Mnie zawsze pora.

— Nie! teraz pora iść na wały! Kto żyje! Czy-
nić co każą.

Książę spochmurniał. Zaćmiała się jego twarz.
Rzekł, wstając ze swego miejsca:

— Nie pora już na to, co tak ordynarnie zalecasz
mi, mój rycerzu, ale tylko z tego względu, że podpisano
konwencję: Warszawa będzie ustąpiona Austryakom.

— Kto podpisał!? — krzyknął Rafał, wyskakując
z łóżka.

— Leż spokojnie.

— Za krew, co bluznęła z tysiąca kilkuset piersi
na drodze raszyńskiej — ustąpienie!

— Leż spokojnie. Już wojska nasze idą na Pragę.

— Więc jestem jeniec?!

— Ranni w potrzebie raszyńskiej mają prawo po
wyleczeniu się iść do swych brygad. Gdy się wyliżesz,
pójdziemy obadwaj. A po drodze jeszcze ze sobą po-
rozmawiamy. Teraz masz jeszcze gorączkowe w gębie
i może dlatego brutalne słowa, a ja tego nie znoszę.

— Raczy księżę przebaczyć...

— Nie jestem wcale obrażony, aczkolwiek lubię
prowadzić roztrząsania bez krzyku.

— Kiedyż stąd wyjedziemy?

— Jak tylko i ty i twoi kamraci, a przynajmniej
pewna ich garstka, będzie mogła stać na nogach.

— Czy nie wiadomo księciu, gdzie się obraca
general Sokolnicki?

- Poszedł już na Pragę.
- Czy Austryacy są jużście?
- Nie, jeszcze ich niema. Zapewne w tych dniach wejdą. Konwencja jest zaszczytna i, ile ja wnosić mogę słabym rozumem ze wszystkiego, nadzwyczajnie dla nas zyskowna.
- Jakże to?
- Masa wojska cesarskiego uwięziona została w stolicy, a nasz żołnierz wyruszy w pole...

R A D A.

Nim upłynęło zawieszenie broni, rankiem dnia dwudziestego trzeciego kwietnia książę Gintułt schodził ze wzgórz Dynasowskich w towarzystwie Rafała dla przeprawienia się za Wisłę.

Ulice, przez które dążyli, były puste, a okna po-zamykane okiennicami. Już most na pontonach na przeciwko ulicy Bednarskiej był zwinięty, a i same krypty z materiałem wojskowym wyprawiane w dół rzeki. Mieli tedy przebyć Wisłę łodzią. Gintułt zatrzymał się u stóp wzgórza i wodził okiem po swym pałacu, który zostawił na łasce obcego rządu i kilku starych lokajów, pełen chorych oficerów i żołnierzy. Nie było tam już miejsca dla niego, gdyż liczba rannych trzystu dochodziła.

— Zdaje się, — rzekł z cicha do Rafała — że już więcej nie zobaczę tego domu. Praga nie jest objęta konwencją. Łatwo przewidzieć, że nastąpi bombardowanie Warszawy przez Pragę i Pragi przez Warszawę. Urodziłem się pod tym dachem, tam jest moja biblioteka, zbiory, pamiątki... Żegnaj, stara chato...

Rafał usiłował skleić coś pocieszającego, ale książę machnął ręką. Zeszli ku rzece i zdążyli jej wybrzeżem, pustkami ulicy Dobrej, aż do rogu Bednarskiej. Obmurowany kanał wodny, sięgający od Wisły w głąb ulicy Dobrej, dziwacznie teraz wyglądał po zdjęciu pontonów. Tłukły się w nim łodzie przewoźników, wrzaskliwie zapraszających do jazdy za wodę. Książę i Rafał siedli w jedną z nich i wkrótce stanęli na tamtym brzegu. W okopach pełno było wojska. Rewidowano i sprawdzano tożsamość osób przybyszów z za Wisły, ciągniono ich do jakichś władz na ulicy Olszowej, które nie mogły sobie dać rady i nie wiedziały, jak się właściwie zachowywać.

Po załatwieniu formalności wyszli z dusznych izdebek w drewnianych barakach, gdzie ludzie dusili się, czekając na swoją kolej, i poczęli szukać wyjścia z obrębu okopów. Szli tedy w ulicę Brukowaną, prosto padłą do Wisły, ale trzeba było stamtąd cofnąć się, gdyż zabrnęli w kąt narożnikowy trzeciej lunety. Żołnierz-wartownik wskazał im właściwą drogę, która prowadziła między dwoma skrzydłami koszar wojskowych, zdążała do szyi drugiego biretu, stamtąd szła na prawo i wychodziła w stronę ratusza, oraz rogatek Brudzieńskich. Wydostawszy się z obrębu szańca przedmostowego, Gintułt przystanął na przecięciu dróg i patrzał na fortyfikacje. Zrazu twarz jego była senna i bezslneczna, znudzona i skrzepła w smutku. Ale oto wzrok mu się ożywił.

— A wiesz ty, — rzekł szeptem, jakby się bał, że ich ktoś może podsłuchać — że to jest wcale godny szańczyk! Na miły Bóg... Widzisz ty tamten biret śród-

kowy, ostrzem zwrócony w rogatkę Ząbkowską? To tega sztuka. Albo i tamta luneta zwrócona ku rogatkom Golędzinowskim i drodze do Nowego Dworu. Właściwie to ona jedna, sierota, i ku Warszawie się zwraca. Któzby pomyślał, że taki los ci padnie, niebożę, przeciwko matce Warszawie dziób swój i pazury na- stawiąć...

Zawrócił się na lewo w kierunku trzeciej reduty, zamkającej dostęp od ulicy Sprzeżnej i rogatki Grochowskich. Z ożywieniem pośpieszył wielkimi krokami w stronę Saskiej Kępy i rozpatrywał szaniec nad łachą obok drogi, okop na samej Kępie za promem łachy tuż nad Wisłą, a obok drogi do młyna wodnego. Oglądał teraz uważnie i szczegółowo skarpy nasypów idących ponad Wisłą od szańca przedmostowego aż do zagięcia łachy. Wrócił potem na drogę i szedł w zamyśleniu, kierując się ku klasztorowi Bernardynów. W pewnej chwili zapytał:

— Czy nie wiesz czasem, jakie są szańce za ro- gatką Grochowską?

— Nie wiem.

— Pamiętam z dawnych czasów... Szedł tam na- syp od Kamionek, przecinał drogę okuniewską i w po- bliżu traktu do Radzymina kończył się tągiem parkanem.

— Nie wiem tego.

— Szkoda, że niemożemy zobaczyć na własne oczy, czy są jakieś działa w tamtej stronie, naprzeciw Tarczówka. Ale niema już czasu. Śpieszmy się!

Wielkimi kroki minęli klasztor bernardyński i we- szli w ulicę Szeroką. Tłoczyło się tu mnóstwo furmanek, bud przekupniów, brnęła lekka piechota woltyzer-

ska. Książę najął furmankę, nie pytając się o cenę Wsiedli i przez rogatki Golędzinowskie wyjechali pod szaniec przedrogatkowy. Droga okrążała go kołem z prawej strony, te też książę mógł dobrze onejrzeć nasypy, równie jak głęboką fosę wodną, która szła od szańca do Wisły.

— Tęga księża rogatywka... — mówił napoł do siebie. — Niczego... Nie myślałem, żeby tutaj takich prac dokonano... Chłopiec! — zawała na woźnicę — jedź-no mi żywo, śpiesz się...

Wózek potoczył się traktem do Nowego Dworu. Na prawo widać było przed rogatką Ząbkowską jeszcze dwa w polu szańce, oddziennie jeden od drugiego, rzucone naprost żydowskiego cmentarza. Mgła jeszcze stała nad nizinami, nad łachami, szła z wód, z zalewisk, z szeroko wyciągniętych ramion Wisły. Wózek szybko pomykał za wojskiem, którego straż przednia zostawała pod rozkazami Sokolnickiego. Dopędził wojska o jakieś dwie mile od Pragi, na połowie drogi z Warszawy do Modlina. Bagaże szły przodem pod eskortą trzystu ludzi. Piechota miała żywności na dni cztery, po sześćdziesiąt ostrych ładunków i pod dwie skałki. Żołnierze wyszli z okopów Pragi o ciemnej nocy. Teraz w marszu, prowadzącym w trójkąt między Wisłą, Bugiem i ujście Narwi, bez wiadomości dokąd i po co idą, sarkali omal nie głośno.

Brygada Sokolnickiego składała się z trzech regimentów: dwunastego, ósmego, szóstego. Generał Kamieniecki na czele regimentów: pierwszego, drugiego i trzeciego, dawał straż odwodową. Artylerja, przywiązaną do batalionów, szła w szyku bojowym, każda

sztuka za swym batalionem. Awangarda i aryergarda szły o pięćset kroków tylko oddalone od kolumny. Co kwadrans dawano wojsku krótki spoczynek i uprowadzano je dalej a dalej forsownym krokiem. Bagaże miały rozkaz nie wkraczać do fortyfikacji Modlina, lecz wyjść poza nie od strony Płocka i tam zatrzymać się w jednej linii. Furmanka, wioząca księcia Gintułta, dostała się między markietanów, z których każdy miał numer, dający mu prawo do dwu wozów. Wnętrzni piesi i jadący markietanie, oraz markietanki, zaczęli sarkać i odwoływać się do dywizyjnego wagenmajstra, ażby usunął nową podwódę za kolumnę wojska. Po rekomendacyi udało się przecie Rafałowi i księciu pozostać w kolumnie i zawiązać rozmowę z oficerami. Nikt z nich nie rozumiał celu tego marszu. Przewidywali tylko, że zamknąć się przyjdzie w fortecty. Zniechęcenie było ogólne. Po południu czoło kolumny zbliżyło się do Modlinu, ale bryczka księżąca dugo musiała pozostać na miejscu.

General brygady Biegański odłamywał z kolumny swojej jeden batalion dla pilnowania mostu, który właśnie z łyżew warszawskich przytwierdzono kotwicami i zaścierałano pomostem. Rafał powziął wiadomość, że generał Sokolnicki wskazuje brygadom miejsce ich w obozie, cała bowiem piechota otrzymała rozkaz obozowania militarnie z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych. Po długiej przerwie otwarła się wreszcie droga i książę Gintułt powziął wiadomość o miejscu pobytu sztabu. Tam kazał jechać.

Zbliżając się traktem do Starego Modlinu, spotkali jadącego w gronie kilku oficerów różnego stopnia ge-

nerała Niemojewskiego. Stary legionista przypatrzył się dobrze księciu i zagadnął go z konia:

— Jakiem to prawem, mości książę, na moje podwórko?

— Także to szerokie zatoczyło płoty? Aż po Modlin?

— Tak jest! Musicie z waszych Galicyów chodzić do nas w Wielkopolskę, chcący wytchnąć. Do kogo książę?

— Mam interes do kogoś z naczelników.

— Może aż do samego wodza?

— A pewnie, że i do niego przyjdzie dotrzeć.

— Nie wiem, czy się to uda, bo właśnie zdążam na radę wojenną.

— Och, to nie mam po co się śpieszyć...

— Osobliwie, jeśli sprawa prywatnej natury.

— Prywatnej nie prywatnej, ale osobista. Chcę dać, co mam ze sobą, na formację szpitalów wojskowych, lepiej urządzonej, niżem to widział w Warszawie po akcyi raszyńskiej. A nadto...

— Jeślibym mógł pomóz...

Generał podjechał bliżej do bryczki. Rafał wysiadł z niej i szedł ścieżką nad rowem. Książę z generałem rozmawiali z cicha:

— Mam tu za Świdrem, w Galicyi — mówił książę -- parę wiosek. Byłoby tam łatwo utworzyć jakiś batalion, a może i pułk nienajgorszy, gdyby tylko jakiś oddział przekradł się za kordon i zwołał lud młody. Chciałem właśnie rady zasięgnąć...

— Brawo, panie bracie! Cho-cho... Idziemy z tem do wodza. Także nam gadajcie, Galicyanie!

— Dobrze waćpanu dworować sobie z naszej galicyjskiej niedoli, gdy masz dom i wioskę pod bokiem.

Wkrótce wjechali w opłotki wsi i zatrzymali się przed murowaną oberżą. Zaledwie Niemojewski otwarł drzwi, posłyszeli w sąsiedniej stancji gwar żywej rozmowy. Książę chciał zatrzymać się w pierwszej izbie, ale Niemojewski pociągnął go ze sobą i przedstawił zgromadzonym. Mało kto zwrócił na to uwagę. Widać było od rzutu oka, że na tem posiedzeniu musi być powzięta decyzja zasadnicza. Wszystkie twarze były pełne niepokoju, skupienia i ciekawości, dochodzącej aż do granic trwogi. Książę Poniatowski, wtłoczony na małą kanapkę za okrągłym stołem, zwijał i rozkręcał dlonią arkusz papieru. Obok wysoko zasłanego żózka stał Zajączek, z przesadną, umyślnie podkreślaną służbiistością nie zajmując miejsca, nie ośmielając się usiąść. W kącie pokoju od ściany do ściany chodził olbrzymi Dąbrowski.

Wielka twarz jego, długi, mięsistы, pałkowaty nos, wygolone wargi grubych ust, każdy mięsień drgał i kurczył się od wewnętrznych wzruszeń. Wielka ręka niecierpliwie wicherzyła i tak już nastroszone włosy. Sapał, przystawał, oglądał zebranych oczyma i znów zaczynał chodzić w swoim kącie. Pod ścianą stali ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma Sokolnicki, Biegalski, dalej Kamiński, Kamieniecki, Fiszer, Piotrowski, Hebdowski, Grabowski, Woyczyński, Izidor Krasinski, Różniecki, Hauke.

Kiedy Niemojewski z Gintułtem wszedł do pokoju, Dąbrowski przypatrzył się gościowi i rzekł półgłosem:

— Gdzie ja go widziałem?...

Książę ukłonił mu się zdala. Stary generał pokiwiał ku niemu głową i mruczał do siebie:

— Aha, już wiem... Zestarzeliśmy się, mości panie, od tamtych czasów w Weronie, kiedyś to mię tradował o szkapy Aleksandra Macedończyka...

Wszyscy zwróciłi na przybyszów spojrzenia, w których malowała się myśl nie o tem wcale, na co patrzą:

— Mości książę! — rzekł Niemojewski do naczelnego wodza — idąc tutaj, spotkałem księcia Gintułta. Ma on zamiar ufundować pułk jazdy na swój koszt wyłącznie. Sądziłem, że wasza książęca mość racy przyjąć...

— Cieszę się niewymownie z ofiarności obywatelskiej waćpana. Ale czas nie po temu...

Po chwili, jakby dla naprawienia tego, co powiedział, dorzucił:

— Służyliśmy pod dawnymi znakami, nie prawdaż? Przypominam sobie...

Gintułt sklonił się zdala.

— Racz, mości książę, zająć miejsce. Mamy tu radzić o dalszych naszych krokach. Może nam podasz myśl szczęśliwą...

Gintułt zatrzymał się u drzwi i głębokiem spojrzeniem, pełnym miłości i żalu, oglądał tych ludzi.

— Tak tedy — rzekł wódz naczelnny — raczcie, waćpanowie, dać radę, co dalej czynimy.

To mówiąc, podniósł spłoszone oczy przedewszystkiem na Zajączka. Wyraz antypatyji, dochodzącej do najwyższych granic, wyrywał się z tych oczu. Wyraz dumy i wzgardy drgał w każdej sylabie słów:

— Proszę przedewszystkiem o zdanie ichmość panów generałów dywizyi.

Zaległo milczenie.

— To, co przedstawiłem, nie jest mojego własnego widzimisię — ciągnął jeszcze książę Józef. — Ja osobisticie gotów jestem na wszystko. Kazałem Hornowskemu walić przedewszystkiem mój dom »pod blachą« jeśli przyjdzie do bombardowania Warszawy.

Wyraz jadowitego szyderstwa przewinął się po wązkich wargach Zajączka.

— Sądzę, — rzekł ten naczelnik dywizyi — że nie przyjdzie aż do takiej klęski ostatecznej...

— Jak bombardowanie Warszawy... — wtrącił Fiszer, pragnąc, widocznie, złagodzić sens słów starego zawistnika.

— Jak zburzenie pałacu »pod blachą...« — wyrąbał Zajączek, zwracając się ku Fiszerowi z tym samym uśmiechem, zmazanym w jadowitej złości.

Wódz zniósł to spokojnie. Blady z ran Fiszer rzekł dalej:

— Dlaczego sądzisz, generale, że nie przyjdzie do tego?

— Tak sądzę. Strzały z Pragi na Warszawę węgnałyby Austryaków w biedę nie lepszą od pamiętnej z przed lat piętnastu. To też nie zaczną oni strzelać na Pragę. Ale cóż mi z tego, że zatrzymamy tę fortecję i skraweczek ziemi? Gdzież się tu podzieć? Z czego wyżywić żołnierza? Prusaci nad karkiem, tych trzydzięści tysięcy z górą, miasto zajęte, popłoch, a cesarz o setki mil. Jesteśmy, jak łacha przed przypływem.

— To wiemy, ale jakiż wniosek? — rzekł oschle książę Poniatowski.

— Moje zdanie jest takie: zebrać wszystkie siły co do nogi w hufiec, przejść Wisłę i forsownym marszem dążyć przez Śląsk cieszyński do Saksonii. Złączyć się z cesarzem i czynić, co rozkaże. Oto wszystko

— Księstwa tak porzucić nie mamy prawa! — wtrącił Fiszer porywczco. — Cóż pomyśli sobie mieszkaniec? Po jednej bitwie, po odstąpieniu Warszawy precz uchodzimy z kraju!...

— Mnie przedewszystkiem wcale nie obchodzi zdanie mieszkańców, — odrzekł Zajączek — tylko moje zdanie, to znaczy racya wojskowa. Jestem generałem cesarza, nie mam prawa zmarnować wojska, które mi powierzył, a tu mogę je tylko zmarnować.

Szmer niechęci wionął po zgromadzeniu.

— Tak, tak, tak! Ja powtarzam tę samą myśl: jestem generałem cesarskim i tylko cesarskim...

— A waćpan co radzisz czynić? — zwrócił się książę Józef do Fiszera, widocznie pragnąc przerwać potok słów Zajączka.

— Przedzejbym wolał zamknąć się w fortecach i czekać. Jest Modlin, Głogowa, Gdańsk, Kistrzyń. W każdej z tych fortec jest garść naszego żołnierza. Możemy się bronić miesiącami.

— O głodzie — wtrącił Zajączek, zapisując coś w swoim notesie.

— Wolałbym bronić się o głodzie, niż ujście z kraju. Ja znam się z głodem, więc wiem, co mówię!

— To też waćpan możesz się głodzić do woli, ale nie masz prawa głodzić żołnierza. Kiedy mówię

o wyjściu z kraju, to w tej chwili żywię nadzieję powrotu, mając cesarza na czele armii. Nie uciec kę doradzam, tylko wyjście z pułapki, manewr wojenny. Sami tu nic nie zbudujemy. Stracimy tylko te garstkę naszych rekrutów, działka, i na tem nasz haniebny koniec.

— Widzieliśmy wszyscy tych rekrutów w boju... — zaczął książę Józef.

— Cokolwiek książę pan raczy powiedzieć na pochwałę tych, powtarzam kantonistów, to tylko powinno zachęcać do wykonania mego planu. Złożymy ich tutu kupami znowu w jakim Raszynie i znowu zawrzemy zaszczytny akt złożenia na kupę pruskich karabinów. Powtarzam: to nie nasz żołnierz, tylko posilkowy, więc cesarski.

Książę był blady, jak papier, który trzymał w ręce. Generałowie milczeli, ale znać było, że większość podziela zdanie Zajaczka, albo nie ma żadnego. Po dłuższej i ciężkiej ciszy mówca rzekł łagodniej:

— Ja tu zresztą słyszałem, oprócz swego, jedno tylko zdanie, Fiszera. Radbym wysuchać innych opinii

— Sądziłbym, — zaczął mówić generał Kamieński — że moglibyśmy posunąć się ku granicom litewskim i czekać tam sprzymierzeńca.

— Słyszmy o obywatach galicyjskich, gotowych złożyć nowe pułki... — wtrącił Sokolnicki.

— To ostatnie jest szczególnie pocieszającą nowiną. Nieprzyjaciel rozsiadł się w naszej stolicy, a my werbujemy pułki za jego kordonem, w jego kraju, pod jego okiem. To przynajmniej po poisku! — szydził Zajaczek.

— Rzeczywiście, że to po polsku! — ozwał się z kąta Dąbrowski grubym, chrapliwym głosem. — Tak robił stary Czarniecki: Ty, Rakoczeńku, do mnie, na moje śmiecie, to ja, Rakoczeńku, do ciebie! A tu jeszcze nie na cudze, mospanku, tylko na swoje własne.

Wszyscy spojrzeli ku starcowi i wlepili oczy w jego oblicze.

— »Ja« — to znaczy ów pułk jeszcze niesformowany za cudzą granicą... Czarniecki!... — mruknął Zajączek, bokiem zwrócony do antagonisty i nie patrząc na niego.

— »Ja« — to znaczy my wszyscy, żołnierze, jak tu jesteśmy!

— Zbyt to dla mnie enigmatyczne.

— To jasne, jak słońce. Waćpan widzisz ten plan od czterech dni, bo ślepy by go nie widział, ale po zwykłej z puchy mącisz w głowach i sumieniach...

— Mości panie! — zapienił się Zajączek, szarpiąc ręką szpadę.

— Żebyśmy nie zapomnieli, żeś między nami rangą najstarszy — ciągnął Dąbrowski. — Pamiętamy.

— Jestem rangą najstarszy, to niewątpliwa. Nie dlatego jednak podałem zdrową i jedyną radę, tylko dla pospolitego dobra. Niech książę Ferdynand pojedzie na ziemie pruskie i pobudzi Wszechniemce — co wtedy? Kto będzie bronił ludu, o którego mniemania tak wam chodzi? Rozdepca go wtedy i w obcy nam naród obróćą.

— To samo mogliby zrobić bez chodzenia we Wszechniemce, gdybyśmy, stosownie do rady waścinej szli marszem... w tropy Dyherrn'a.

10

— Jam już wszystko powiedział. Teraz słuham rozkazów.

Dąbrowski przez chwilę milczał. Potem ciężkimi kroki bezwiednie wyszedł ku środkowi izby. Olbrzymie jego ciało ledwie się mieściło w ciasnym wojskowym uniformie. Ciężko westchnął. Obejrzał płomieniami oczu twarze generałów i rzekł:

— Moja rada jest taka: nie ustąpić! Ani piędzi. Owszem — napaść!

— Dobra rada... — zgnął go szyderstwem Zajaczek.

— Napaść co tchu, nim przekroczą Wisłę. Jeszcze jej nigdzie nie przeszli. Mostu nie mają. Jeśli tedy ją przejdą, to w bród, albo na krypcach, to znaczy garstką. Tę zgnieść napaścią. Nim most zbudują, przejść Świderek i całą siłą zagarniać Galicję po prawej stronie Wisły, aż do jej źródła. Możemy po drodze zetknąć się z cesarzem i księcia Ferdynanda wziąć we dwie kluby. Całą Galicję skrzykując i podnieść. Nasza to ziemia rodzona. Od wieków... Na głos twoich kroków, wodzu, cała się zatrzesie po szczyt karpacki. Z tym żołnierzem, który stał nad błotem raszyńskiem... Mocny Boże! widziałem przecie temi staremi oczyma, co już nie na jedno patrzały... Idź w kraj nie jako oficer, lecz jako zwiastun!

— Prawdę powiedział! — jak jeden krzyknęli generałowie.

Poniatowski po tych słowach wstał i oczy jego zaszkliliły się łzami rycerskiego uniesienia. Wszyscy zbliżyli się ku Dąbrowskiemu. Twarze ogniem gorzały.

— Za wygraną bitwę obstoi takie słowo! — rzekł twardo Sokolnicki.

— Pójdzież z nami, generale! — mówił, wyciągając rękę wódz naczelnny.

— Nie — odpowiedział twórca legionów. — Szczere wyznam, co w sercu: stary jestem i do słuchania rozkazu ciężki. Rogata dusza — to darmo. Co robię, to robię sam ze siebie i wtedy dopiero z ramienia. Takim już warchoł. Na tem mi życie zeszło. Oto, mości książę, daj mi rozkaz. Tego usłucham. Każ wsiąść na bryczkę i jechać w Poznańskie. Moja to dziedzina. Nim dojdziesz do Krakowa, ja ci z nad Gopłą tłum Mazurą przywiodę...

S Z A N I E C.

Drobny deszcz siał bez przerwy na zieloną już nizinę Wisły. Sosnowe lasy zapachniały wiosennym oparem. Brzoza miękka i lotną mgiełką się zdała między sosnami Mazowsza. Bataliony dwunastego pułku piechoty pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, drugi pułk jazdy i dwa działa artyleryi konnej, wszystko pod władzą naczelną Sokolnickiego, chyłkiem a łatwo dybały z pod okopów Pragi na Świder. Kolumna ta, która bagnetem pułku Weyssenhoffa zdobyła wioskę Grochów, najeżoną austryackimi działami, wyszedłszy z Radzymina 29 kwietnia, prawie bez przerwy szła forsowym marszem wzduż Wisły, starodawną drogą na Gocław, Lasy, Zerzeń, Miedzeszyn, Falenicę i Świdry Dalsze. Lasy były puste, piaski zdeptane przez ustępującego Austriaka, porznięte od kół armatnych. Nikt nie wiedział, jaką siłę nieprzyjaciel przerzucił na prawy brzeg Wisły, czy miał gotowy most, czy tylko przewiózł część wojska na krypcach. Chłopi z Falenicy nie umieli nic powiedzieć. Po wiórach świeżych, gęsto w rzece płynących, rybacy nadbrzeżni wnosili, że most chyba

gdzieś w górze budują. Jeden z przewoźników, któremu udało się dotrzeć do tamtego brzegu, przywiózł wiadomość, że Niemcy zabrali z Warszawy cieślów, ilu znalezli, i wszystkich pognali do Góry Kalwaryi. Wspominał także, jakoby pewien zdrajca Prusak wydał skład drzewa obrobionego na Szulcu, ale te wiadomości były mątne i trąciły plotką. Na równych i jałowych piaskach, których jeszcze trawa nie okryła, w pobliżu Zagoździa strwożeni wieśnacy zeznawali, że Niemce dopiero co przeszły w stronę Świdrów i że coś musiały spalić po drodze, bo dym walił z pomiędzy drzew. Ile na to pozwalały siły koni, ciągnących w piachu armaty, Sokołnicki pośpieszał w marszu.

Z rana i maja ujrzały wynurzające się z jednolitych sosnowych borów olbrzymie sokory Nadświdrza, dalekie piaski, wody Wisły, zamglone smugi drzew tamtego brzegu, pod Zawadami, Kępą Oborską i dalej aż pod Oborkami, Jeziorną, Łęgiem, po Gassy i Czernidło, tonące w oddaleniu. Wkrótce stanęły nad brzegiem Świdra. Po wiosennym roztopie jeszcze woda nie opadła. Wartko bulgotała między pniami olch, w cieniu kilkusetletnich sosen, wrastających w wydmy piasków i w cieniu topoli nadwiślańskich. Stanąwszy już nad rzeką w pobliżu jej ujścia do Wisły, naprzeciwko wioski Świdry Małe, które leżały po tamtej już stronie a więc w ówczesnej Galicyi, zobaczyli przed sobą most dopiero co spalony. Pale jego były jeszcze czerwonemi głowniami i kurzyły się obficie. Wieśniacy ze Świdrów stali na wzgórku obok swoich chat ze słomianymi strzechy i przypatrywali się w milczeniu. Ani jeden się nie ruszył, pomimo że ich wzywano znakami i krzy-

kiem. Na błoniu z tamtej strony rzeki zieleniły się już pędy wierzbowe i pastuch, догlądający krów, wesoło wygrywał na fujarce. Przywołano go nad brzeg, żeby pokazał, gdzie tu woda najgłętsza. Prąd leciał wartko lecz widać było piasek na dnie. Żołnierze zzuwali wesoło ciżmy, kamasze i, zawińawszy pantalony, szli w bród za przewodem pastucha. Ciężko było z przeprawą armat, ale je przeciągnięto bez szwanku i wywleczono z wody. Za mostem droga szła wciąż lasem w stronę Karczewia. Kolumna wytchnęła w Świdrach, oraz na okolicznych wydmuchach litego piasku. Radość była powszechna z tego tytułu, że stare wierzby już zielniejają, że się włamano w granice Galicyi i że pastuch tak po swojsku wycina na ligawce. Chłopi miejscowi rozpoczęli dowódcy całą historię spalenia mostu i przenarszu Austryaków do Karczewia, nie potrafili tylko objaśnić, gdzie istnieje przewóz na Wiśle. Około południa Sokolnicki ruszył w pochód. Żołnierze szli różno. Pikiety nie dawały żadnego znaku alarmującego. Wyszedłszy z lasu na piaski, wyniesione ponad Wisłę, które otaczają Karczew zanurzony w tem sypkiem morzu, nie dostrzegali nigdzie nieprzyjaciela. Gdyby nie zbyt wyraźne ślady armat, konnicy i piechoty, Sokolnicki skłonny był do przypuszczenia, że nieprzyjaciel czyha w zasadzce, gdzieś w lasach otwockich, daleko, szeroko, jak oko sięgnąć zdoła rozcięgniętych. Dopiero zbliżywszy się pod same domy Karczewia i zająwszy pozycję na piaszczystych wzniесieniach poza Kępą Nadbrzeską spostrzegli wojska austriackie, przeprawiające się za Wisłę na krypcach. Chłopi, wezwani z Nadbrzezia i Kępy, zeznali, że cała siła austriacka

która przyszła była z za Świdra, teraz przeprawiała się właśnie. Sokolnicki odłamał od swej kolumny szwadron jazdy, dwie kompanie piechoty i rzucił się w nizinę wiślaną. Główna siła jego wojska zajmowała Karczew. Łęgi nadwiślańskie, okryte już runią wiosenną, cudowny wystawały widok. Kwiat jary je ubarwił. Iwina przydrożna wypuściła z pniów jasne różgi. Rozlana struga Jagodna tworzyła modre jeziorka i pasmugi świątliste, po których wiosenny wietrzyk chwiał i przeganiał śliczne fale. Gdy wojsko weszło w wieś, nadziwić się nie mogło jej krasie. Jakże ta Kępa odmienna była od swoich siostrzyń na płaskowyżu piaszczystem, które stały o wiorstę! Tłusta ziemia, przesiąkła wilgocią, czarowała tu nieobliczalnym mnóstwem roślin i pachniała kwiatami. Z urodzajnej nad miarę gleby strzelaly w niebo drzewa, jak z baśni, rozrastały się sady owocowe, tworząc jeden ogród tak zwarty, że wśród niego ledwo się mogły przecisnąć wioskowa ulica. Obfitość wikliny podała wieśniakom sposób wygrodzenia dróg, ściezek, ogródków, gumien i sadów. Każde siedlisko było, jak świat odrębny. Bielone chaty świeciły się między rozwitującymi się drzewami. Zamożność, chłopskie bogactwo wiało z każdego kąta, dobytek przewalał się przez próg i płot. Po zawrociu stali parobcy, jak dęby, dziewczęta, jak łanie, lud oswojony z hukiem wylewów Wisły, z grozą i niebezpieczeństwem.

Dopiero tedy przeszły Niemce. Koła ich armat i wozów rznęły się po osie w glinie bezdennej a rozmokłej na żur. Jeszcze leżały w poprzek żerdzie, koły, drągi, pawęzy, którymi podważali z bajora swe statki. Jeszcze ciekły bryzgi błota, rozpierzchłego po ścianach

domostw. Kiedy Rafał, jako adjutant generała brygady wyjechał przy jego boku w ciemną ulicę, utworzoną przez rozrzesłe różgi i pławiny wierzb, cały oddział, idący przed nimi, huknął zmagła pieśń. Jak łoskoty piorunu, rozlegała się między ścianami chat:

»Fortuna się do nas śmieje,
Głosi szczęście i nadzieję,
A w wyraźnym objawieniu
Pobłykuje promień w cieniu.

Już zasłona spada z góry,
Niebo jasne, znikły chmury,
Widać na wielkiej przestrzeni,
Iż się ziemia znów zieleni...»

Ulica zawróciła w dół, ku Wiśle. Znać tu było jeszcze ślady wiosennego wylewu. Na gałązkach śliwin i grusz dyndały kłaki zeszłego szuwaru. Na przyźbach i przyciesiach znać było ślady iłowatych fal. Opar szedł z rozkopanych lech, gdzie już tkwiły czarne listki rossady. Wkrótce z ciemnej i pogiętej uliczki wydostali się jeźdźcy dwójkami na zbocze wału, wysypanego przez Nadbrzezian. W dole tańczącymi baniami mknęła Wisła. Ziemia była zdeptana, brzeg poobrywany od statków, które niedawno spychano z mokrego wału. Chłopi zbiegli się i pokazywali miejsce ku Dębowej, przez które przewiozła się piechota. Dalej za wsią, naprost Czernidła, leżącego z przeciwej strony, wskazywano płaskie miejsce, z którego wsiadła konnica i wtoczono sześć działa. Sokolnicki nastawił perspektywę i długo patrzył w głąb rzeki. Nie było na niej widać mostu aż do miejsca, gdzie się zaczynało kołano rzeczne pod Czer-

skiem, wklęsłe z lewej strony. We mgle błękitniały drzewa Starego Otwocka i baszty marszałkowskiego zamku, wynurzające się z koron. Generał pozdrowił chłopów na pożegnanie i chyło wyjechał z Nadbrzezia na wzgórski od strony pastwisk i Zagórnego Otwocka. W skok powracano z innej strony do Karczewia.

W tym samym czasie nadchodziły z północnej strony roty piesze i konne. Była to kolumna generała Dąbrowskiego, nadciągającego z Okuniewa. Stary wódz prowadził trzy bataliony pułku Sierawskiego i trzy szwadrony ułańskie Dziewiątowskiego. Rafał zdala poznał swe barwy. Na błotnistym rynku zjechali się dowódcy. Wszystkie ulice miejscowości, wszystkie jej domki drewniane zajęło wojsko. Nie było tu obszerniejszego budynku, gdzieby się większa kompania oficerów pomieścić mogła. Ruszono na plebanię. Dąbrowski nie-długo wypoczywał. Komendę nad przyprowadzoną kolumną oddał Sokolnickiemu, a sam kazał przysposobić sobie konie do odjazdu w Poznańskie. Pułkownicy i szefowie z żalem go żegnali. Posiliwszy się, czem było można, Dąbrowski kazał wystąpić wszystkie sile żołnierskiej i przemówił kilka wyrazów na cześć dowódcy Sokolnickiego. Wojsko odpowiedziało mu pieśnią na jego cześć i wieczną chwałę. Stary wódz zdjął czapkę i słuchał z pochyloną głową. Zaraz potem odjechał.

Noc się zbliżała. Konnicy kazano zostać w Karczewiu. Część piechoty stanęła obozem w Otwocku Zagórnym, a część w Otwocku Wielkim.

Obozy obstawiono pilnie placówkami. Od placówek wykomenderowano wedety, a między nimi wy-

stawiono podsłuchy. Starszyzna rozlokowała się w pałacu i zabudowaniach otwockich. Rafał znalazł pomieszczenie w sąsiedztwie swego dowódcy. Miał spać w małym narożnym pokoiku na górze, którego okno wychodziło wprost w korony lip. Ściany tam były malowane przez niepośledniego artystę, sprzęty wykwintne. Pałac, od lat niezamieszkały, miał w sobie coś z rozpusty saskiej, wszystek się w niej począł i do niej należała. Rafał nie mógł usnąć. Wstał w nocy i na palach poszedł do parku. Drobny deszcz szemrał po liściach. Ulice parku wązkie, dzikie, napoł zarosłe, pełne były mgieł, które chodziły z miejsca na miejsce. To wstawały, jak widma, to nagle przed idącym nikły, jak cienie trwożliwe. Słowik daleko świstał swe pierwsze, krótkie, niewymowne pieśni. Młody szedł za jego głosem i w którakolwiek zmierzał stronę, zawsze dochodził do głębokich i szerokich wód. Stanął w jednym miejscu nad płaszczyzną wodną, zastępującą drogę. Drzewa olbrzymimi konarami ginęły w mrokach i słabo odbijały się w toni. Zdala z za Wisły kiedy niekiedy nadlatywały krzyki pikiet austriackich, rozciągających się od Warszawy aż do Góry. I oto, gdy natężonem uchem wojaka wsłuchiwał się w te zdradzieckie echa i wciągał je wilczemi nozdrzami do mściwej piersi, rzuciło się nań wspomnienie. Ścisnęło mu serce bolescią nie do zniesienia, jakoby piąstka dziecka. Coś poczęło się czołgać za nim... Szło zaczajone za drzewami, wyciągając ręce.

Przez krótkie chwile mniemał, że jest w Grudnie i że wałęsa się w tamtejszym parku. Ale te płochliwe złudzenia znikły zupełnie, jak mgły nocne. Ani już

śladu dawnych, czynnych wzruszeń, co rozpychały serce...

Wszystko przesiąkło ociężąłą mądrością, każde wzruszenie z nieznośnym trudem przedostawało się przez igielne ucho rozsądku.

Szedł zadumaną nad sprawami życia, zatopiony w sobie, pośród mokrych mgieł, między wilgotnymi krzewy, pośród gąszczów, szeleszczących zcicha od drobnego deszczu. Zrobiło się tak ciemno, że bliskość wody rozpoznawała jedynie nozdrzami, a pałacu nie mógł przed sobą dojrzeć. Pobłądziwszy w ciemności, wyszedł za most, między zabudowania folwarku. Niespodzianie tuż obok niego rozległ się w mroku natarczywy głos:

— Kto idzie? Stój! Daj hasło?

Była to pierwsza pikietka obozowa. Dał hasło, patrol — i został przepuszczony. Senny i nieswoj szedł jeszcze drogą czas jakiś, gdy wtem posłyszał tętent i zgiełkliwe głosy od strony placówek. Nastawił ciekawie ucha. W tym rozstroju nocnym z chęcią usłyszałby zapowiedź jakiejkolwiek awantury. Zawiodły go jednak nadzieję: był to konny goniec z pismem do generała od pułkownika piątego pułku jazdy. Trafił on na wysuniętą wedetę i był prowadzony z ostrożnościami po groblach i około upustu przez żołnierzy pod słuchu do oficera, komenderującego placówką. Rafał poszedł za nimi zdala i słyszał całą sprawę. Kiedy goniec zlaził z konia w pianach, dymiącego, schlastanego błotem, i ledwie wyprostował gnaty, dano znać do kwaterę.

Za chwilę wołano już do generała. Rafał wsunął

się do pałacowego przedsionka, gdzie Sokolnicki w płaszczu czekał przy świeczce łojowej, przylepionej do krawędzi mozaikowego stoliczka. Skoro tylko oficer wszedł i wyciągnął się przed dowódcą, generał zażądał pisma. Przeczytał je od rzutu oka i zagadnął odbawcę:

- Czy byłeś waćpan pod Ostrówkiem?
- Tak jest, panie generale.
- Wczoraj?
- Wczoraj nad wieczorem.
- Z której strony: z naszej, czy z góry rzeki?

— Poszliśmy podjazdem wpoprzek traktu z Pogorzeli ku Kępie Warszewickiej, w góre rzeki. Zdala postrzegliśmy łyżwy, wolno ciągnięte przez flisów linami na naszym brzegu. Kapitan mojego szwadronu dał rozkazy. Zaczailiśmy się w kępach łoży, i gdy chłopi ku nam podeszli, wzięliśmy ich żywcem. Musieli wywlec łyżwy na brzeg. Każda z nich miała po pięciu ludzi obsługi.

- Ile ich było?

— Cztery. Miały długości po 18 stóp, a po 5 stóp szerokości. Były drewniane, obite blachą.

- Tak. Co zrobiliście z niemi?

— Zrąbaliśmy na drzazgi.

- Co dalej?

— Żołnierze i dwaj oficerowie, którzy na krypcach konwojowali te mostołodzie, dali do nas kilka strzałów, ale zobaczywszy siłę, rzucili się ku tamtemu brzegowi i po piaskach wyszli na suszę.

- Czy nie udało się wam widzieć mostu?

— Mostu — nie. Szaniec widziałem.

- Widziałeś waćpan! Kiedy i jakim sposobem?
- Nad samym wieczorem wykonaliśmy rekonesans zarówno od strony Kosumców, jak i od Kępy Glinieckiej.
- Więc most budują naprzeciw Góry?
- Tak jest. Między Górą a Ostrówkiem.
- Ten Ostrówek leży w samej nizinie Wisły?
- W nizinie, ale na brzegu dość wysokim.
- Ten brzeg wysoki daleko być może od szyszańca?
 - Trudno mi powiedzieć...
 - Czy nie wiesz waćpan, bo tego w liście nie znajduję, jaki może być *relief* przedpiersia tego szyszańca?
 - Co do mnie... Nie mogę odpowiedzieć, panie generale...

— Czy to jest *rédan*, barkan, czy *bonnet de prêtre*? Oficer, nowozaciężny szlachcic, tęgi, widać, jeździec i szermierz, ale nowicyusz w rzeczy wojskowej, począł wykreślać ręką na powietrzu jakieś figury. Niewiele z tego można było zrozumieć. Sokolnicki siadł przy stoliku i zaczął pośpiesznie pisać list do naczelnego wodza. Przerywał często pisanie i wolnymi kroki chodził tam i z powrotem. W pewnej chwili kazał Rałaowi z ułańskiego pułku wybrać kuryera, któryby natychmiast gnał do Okuniewa. Ledwie list skończył i dołączył do niego raport Turny, goniec był już gotów. Generał wyszedł do niego, sam obejrzał konia i broń. Za chwilę ułan z kopyta ruszył w drogę. Ciemno jeszcze było na dworze, mgła gęsta nad całą niziną otwocką, ale śniady brzask rozniecał się już nad lasami. Z obozu słychać było komendy i pieśni. Wnet piechota wyciągnęła starym traktem na Otrowiec, So-

biekursk, Kępę Gliniecką ku Dziecinowu. Szedł na przód pluton saperów, dwie kompanie woltyżerskie Weyssenhoffa i dwa szwadrony szóstego pułku jazdy. Ten oddział tworzył czoło kolumny. Dalej maszerowały kompanie fizylierskie dwunastego pułku, z artylerią do niego przywiązaną. Dwie kompanie grenadyerów i szwadron jazdy zamknięły kolumnę.

Piąty pułk strzelców konnych pod dowództwem Kazimierza Turny, już poprzedniego dnia szeroką siecią rozciągnięty, przeniknął lasy w kierunku dróg na Tabor, Podbiel, dotarł do Osiecka, Pogorzeli i Warszewic. Ślady tego przejścia malowały się w opowiadaniach pastuchów, chodzących za bydłem. Mówiono wciąż o jakimś wojsku, które lasami powędrowało ku rzece. Na odwieczerz mała armia ściągnęła do Dziecinowa i stanęła obozem militarnym, zajmując trzydzieści kilka domów i błonie za wsią. Zdala widać było wieżyczkę drewnianego kościołka w Ostrówku i kępy drzew otaczające kilkanaście chat tej wioski. Za nią, od strony Kępy Glinieckiej, w niewielkiej odległości od brzegu rzecznego, rudziały surowe linie szańca. Sokolnicki wziąwszy ze sobą kilku oficerów, wyjechał ze wsi i puścił się na oględziny miejsca.

— Jeszcze go nie zdążyli darnią odziać... To dobra wróżba... — mruknął do siebie.

Jechał zwolna, trzymając lunetę przy oczach. Kiedy na chwilę odjął szkła, rzekł do towarzyszów:

— Miał Turno racyę. Nie widzę palisad przy skarpie. Chybaby je bili przy przeciwskarpach, żeby nam utrudnić wyrąbanie. Może zresztą biorą teraz wilcze doły w rowach i w nie palebiją. Zobaczmy...

Ruszyli cwałem po błoniu, zasłanem cudną trawą. Wieś Ostrówek oddaliła im się w oczach od Wisły i szaniec ostrym dziobem wysunął się w pole ku Glinkom. Generał powstrzymał swego konia i gołem okiem mierzył przedpiersia. Szyja mu się wtedy wyciągnęła, nos zaostrył, ścięły usta, a oczy miotały ogień. Miał w sobie coś z drapieżnego ptaka.

— Barkanik... — szepnął z szyderskim uśmiechem.

Zamilkł i znowu rył nasypy ziemi pociskami krwawych oczu.

Długo to trwało. Oficerowie, wyprostowani na swych siedłach, bez ruchu czekali. Rzekł, odwracając się do nich:

— Mogą mieć wewnętrz naprędce zrobiony blokhauz. Wtedy trzeba będzie kłaść się pod nim stosami trupów, jak 1807 roku pod Gdańskiem...

Rafał, słysząc te słowa, ujrzał blokhauz pod Gdańskiem i twarz majora de With, ale z taką obojętnością, jakby mu się wspomniał sztych kolorowany, wyobrażający tę scenę.

— Oni tymczasem — ciągnął generał — mogliby most kończyć.

Zwrócił znowu szkła na szaniec i gwarzył do siebie:

— Kąt narożnikowy ma z dziewięćdziesiąt stopni. Czoła długie, barki mocne kryją. Musimy ten szaniec im wydrzeć i most zniszczyć, chociażby nas to miało dyabla kosztować. Jeśli tego dziś nie zrobimy, jutro most skończą, przejdą na naszą stronę, otoczą nas i rozdepią na miazgę. Rów nie broniony, bez palisad, stoki bez darni. Jak wiadomo, wycinki przed narożnikiem frontowym i przed narożnikami ramiennymi ogo-

łocone są z ognia. Powinno nam ludzi wystarczyć. Jeśli most nie jest skończony, to nie może być w tym barkanie więcej nad jeden pułk. Dziś mamy drugi maja. Życie musimy postawić na kartę, żeby dzień jutrzejszy święcić na szczycie tego szańca.

— Dziś tedy w nocy... — rzekł ktoś z boku.

— Proszę o milczenie aż do chwili rozkazu... — rzekł dowódca, nie odwracając głowy. — Sądziłem, że ujrzymy przed sobą linijkę dwuramienników, albo biret. Mieli przecie czas i ludzi, w swojem są państwie...

Zwrócił konia i pomknął z towarzyszami ku Glinkom, a nawet ku Kępie Glinieckiej. Zmrok zapadał. Krwawa łuna świeciła na wodzie Wisły, widocznej zdala. W tem świetle, jak na dłoni, widać było setki ludzi, pracujących około szańca z taczkami, wycinających rzezakami darnię, zatrudnionych przy okolceniu spadków i, jak białe mrówki, rojących się w fosach. Przecząk chwilę wszyscy w milczeniu przypatrywali się temu obrazowi i odczuwali ściśnienie serca na widok tego ludu, który nastawał rodzinną ziemię przeciwko rodakom.

Powracając do obozu, generał powziął wiadomość, że ujęto kilkadziesiąt wozów z konwojem służby leśnej, wiozących z poręb obrobione pale, dyle, deski, żerdzie. Byli to chłopy z Kępy Glinieckiej. Z niemałą radością otrzymali pozwolenie składania łupu na stos i umykali do domów ze sprzężajem. Sokolnicki kazał zatrzymać forsterów i gajowych i polecił badać ich w kwestyi szańca. Niewiele powziął wiadomości ponad to, co sam wiedział, gdyż furmanki zatrzymywały się przed krytemi drogami szańca i tam składały budulec.

Miał siadać w chłopskiej chacie do wieczerzy,

a wojsko już ją spożywało, kiedy od wart dano znać, że nadjeżdża wyższy oficer z kwaterą głównej. Sokolnicki wyszedł naprzeciw i spostrzegł Pelletier'a. Francuz był stłuczony na siodle, gdyż bez odpoczynku pędził z kompanią jazdy wprost z Okuniewa, ale jeszcze stopy nie postawił na ziemi, a już pytał:

- Czy zaczynamy?
- Naturalnie.
- A szaniec?
- Widziałem. To luneta.
- A most?
- Mam wszelkie szanse, że nie jest skończony.
- No, to dawajcie co do jedzenia. Mam rozkaz

wodza...

- Trzymania mnie za poły...
- Rozumie się.
- Ale my idziemy razem?
- Rozumie się.

Pelletier rzucił się na koguta, wychudłego na przednówku w kątach pańszczyźnianego podwórka, którego upitrasił naprędce kucharz generała brygady. W trakcie łamania gnatów kura zębami rzucał półrady, pół-pytania:

— Posłańcy parlamentarza z żądaniem poddania szanca?

- Po co? na co?
- Żeby zobaczyć, czy most skończony.
- Jakże on to zobaczy?
- Może zmiarkować z byle czego. Musimy działać ostrożnie. Wódz miał wiadomość z Warszawy, że dwanaście tysięcy Austriaków gdzieś przeszło Wisłę.

— Jeżeli ją przeszli, to tak daleko, że dziś mię we dwa ognie nie wezmą.

— Most, most!

— Cztery pontony wzięte.

— Posłałbym parlamentarza... Nic na tem nie stracimy, jeśli się akcja o godzinę opóźni.

Sokolnicki rozmyślał przez chwilę, a później kawał wezwać do siebie kapitana Siemiatkowskiego. Gdy ten stanął przed nim, ujął go pod rękę i zaczął w ciemności chodzić po drodze tam i z powrotem, o czemś go pouczając.

Wkrótce kapitan zniknął w mroku. Upłynął od tej chwili może kwadrans czasu, kiedy w nizinie Powiśla dał się słyszeć głos dwu bębnów, bijących bez przerwy. Głos ten leciał do obozu po rosie, ale się szybko od niego oddalał. Pelletier kończył właśnie swą ucztę, gdy usłyszał takt pierwszy. Podniósł tedy głowę, skinął oczyma i rzekł:

— Dziękuję.

Później zapatrzył się w płomień świecy. Sokolnicki wyszedł z izby, gdzie mieszkał, i wkroczył między szeregi. Żołnierze spoczywali jeszcze, ale, słysząc łoskot bębnów, bijących w ciemności, czuli, że to ich do boju wzywa ten srogi głos.

Milczenie legło na obóz, jak ciemna noc. Każdy człowiek spojrzał przez ciemność i przez milczenie w życie swoje, w dalekie miejsca rodzinne. Głuchy żal i ciężki smutek wszystkie ku ziemi nachylił głowy. General szedł między szeregi, tak samo milczący, jak oni wszyscy, tak samo ze zwieszoną głową. I w jego sercu odbił się łoskot bębnów, jak dźwięk bryły ziemi,

leczących na trumnę. Coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej...

Wtem od jednego razu łoskot zamilkł.

Sokolnicki odwrócił się twarzą w stronę Ostrówka. Patrzał w mrok i czekał. Tak samo dźwignął głowę naród wojska. Krew odpłynęła od serc i na swój posterunek wróciło codzienne męstwo.

We wszystkich wsiach okolicznych było ciemno. Ani jednego świątełka! Dopiero nieskończanie daleko, gdzieś za Wisłą tliły się światła zamglone i długimi iglicami odbijały w wodzie. Około godziny dziesiątej dały się słyszeć głosy nadciągającego pułku Sierawskiego.

Pułk ten stanął obozem, ale pod bronią. Wykommenderowane były straże i łańcuchy podsłuchów wy ciągnięty. Każda kompania wyznaczyła czwartą część swoich ludzi do wsi okolicznych po drzewo, słomę i wodę, ale tymczasem wstrzymywano ich wyjście. Całkowite trzy bataliony musiały spocząć z bronią w ręku. Za pułkiem ciągnęły dwie podwozy, zajęte pod medykamenty i chirurgi. Lekkie armat Sołytyka, zapowiedzianych przez generała Pelletier'a, nie było widać. Minęła godzina dziesiąta, kwadrans, pół godziny, trzy kwadranse wreszcie jedenasta. Sokolnicki chodził, jak szyldwach, na końcu wsi. Gdy przy świetle zatlonej hubki zobaczył godzinę na zegarku, raptownie zmobilizował swą małą armię. Przybyły pułk Sierawskiego wysunął za wieś i rozdzielił na trzy części. Bataljon Bogusławskiego, pierwszy, postawił na lewem skrzydle; bataljon drugi pod Sierawskim wyprawił w stronę Glinek, a po środku umieścił bataljon Blumera za wsią

Ostrówek. Miała to być pierwsza linia. W drugiej uszykował się pułk Weyssenhoffa z czterema armatami polowymi. Piąty pułk strzelców konnych, ściągnięty sztafetami na miejsce, rozpostarł się, jak włok, i miał postępować za infanterią dla obsaczenia szańca. Te przygotowania zajęły z górą godzinę czasu. Było po północy, kiedy nareszcie rozległy się daleko głosy bębów. Zrazu zdawało się, że biją wciąż w tem samem miejscu, ale wkrótce wojsko rozróżniło zbliżanie się ich dwugłosu. Było tak ciemno, że wracający kapitan Siemiątkowski wpadł na pierwsze sekry Bogusławskiego. Natychmiast stawiono go przed generałami.

— A więc? — zapytał Sokolnicki po francusku, macając ręką w ciemności szlifę parlamentarza.

— Zażądałem, generale, w twojem imieniu poddania szańca.

— Odmowa?

— Tak jest.

— Z kim mówisz?

— Z dowódcą pułku imienia Latour-Baillet, pułkownikiem Czerwinkiem.

— Jakiś Czech-pobratymiec?

— Zapewne. Mówiłem z nim po francusku.

— Opowiedz ze szczegółami.

— Kiedy zbliżyliśmy się do szańca, na głos naszych bębów wyszedł i otoczył nas oddział pieszy. Doboszów zostawiono w polu pod silną strażą, a mnie oficer dowodzący zawiązał oczy i pod strażą zaprowadził w przykopy.

— Jakie było wejście? czy po skoku kurtyny?

— Nie. Ile wnosić mogę, szedłem przez otwór

w przedpiersiu, zastawiony z wnętrza poprzecznicą. Rękoma dotknętem baryery. Szyldwach nas przepuszczał.

— Cóż dalej?

— Prowadzono mnie umyślnie to tu, to tam, żeby mi w głowie zamacić. Wyprowadzony zostałem z przeciwej strony.

— Tak samo przez otwór, czy może przechodziłeś waćpan ławę dla działa?

— Nie.

— Dalej.

— Skoro rozwiązano mi oczy, byłem w namiocie. Stał przede mną tągi starszy oficer. Był to właśnie pułkownik Czerwinek. Wyłożyłem mu twoje, generale zlecenie po francusku, a kiedy zaczął do mnie mówić po niemiecku, odparłem, że nie rozumiem ani jednego wyrazu. Kilkakroć usiłował zagadnąć jeszcze po niemiecku, ale robiłem wówczas jak najgłupszą minę i powtarzałem z naciskiem, że nie rozumiem. Wtedy zaczął łamaną francuszczyzną podrwiwać sobie z naszego żądania, mówił mi o nadzwyczajnej wielkości szańca, o jego budowie, nieznanej nam wcale. Słyszałem nieustający huk siekier i młotów. Kończą, widać, most z nadzwyczajną forsą. W pewnej chwili pułkownik rzekł nieznacznie do podkomendnego oficera po niemiecku, żeby między krypami wybrać łódkę niewielką dla pięciu żołnierzy i oficera, który powiezie raport do Góry. Wtedy już wiedziałem, że mostu całego niema, skoro muszą do Kalwaryi przeprawiać się łodzią.

Sokolnicki ścisnął mówiącego za ramię i coś mrucnął na jego pochwałę.

— Pojechali tedy do Góry Łódką, a ja siedziałem w owym namiocie. Pułkownik bawił się rozmową. Chwalił Warszawę. Wkrótce potem przyszło do tego namiotu kilkunastu oficerów. Wszyscy mówili po francusku nie tylko ze mną, ale i między sobą. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że i ze zwierzchnikami swoimi również po francusku się porozumiewają, a po niemiecku wcale nie umieją. Są to ludzie wykwintni, robią wrażenie panów, przebranych za oficerów. Wdali się ze mną w rozmowę. Skoro tylko zacząłem się przysłuchiwać głosom pracy w szańcu, podnosili umyślnie rozmaite kwestie i tworzyli hałas, żeby zmącić moje wrażenia. Słyszałem jednak, że w szańcu i za jego szyją were robota ciesielska. Po jedenastej dopiero posłany oficer wrócił z rozkazem na piśmie. Pułkownik Czerwinek przeczytał je i rzekł mi, że powierzonego posterunku potrafi bronić do ostatka. Grono owych oficerów, których mam za jakichś cudzoziemców, przyjęło jego decyzję okrzykami. Śmieli się szyderczo, kiedy mnie wyprowadzono. Znalazłem się znowu między mymi doboszami. Warta nas odprowadziła o jakieś dwa tysiące kroków.

— Dzielnieś się waćpan sprawił... — rzekł pośpiesznie Sokolnicki.

Zaraz wykręcił się i wezwał do siebie pułkownika Sierawskiego. Za chwilę szef lewego, czyli pierwszego batalionu cicho zakomenderował:

- Pierwszy batalion — naprzód, do boju! Marsz!
- Drugi batalion!
- Trzeci batalion! — brzmiały komendy w ciemności.

Pułk ruszył w nizinę z trzech stron wsi Ostrówka

i bez szelestu prawie, podwójnym krokiem zdażał w mroku.

O kilkadziesiąt kroków za kolumną Sierawskiego jechał na koniu Sokolnicki. Rafał widział przed sobą jego czarną, pochyloną figurę, ledwo wynurzającą się z nocy. Za sobą słyszał jękliwy, szelestny w płytkich wodach krok koni, świst kół armatnich, rżnących moczą ziemię. Gdzieś w głębi miał za sobą pochodź pułku Weyssenhoffa. W pewnej chwili generał skierował swego konia na prawo i wraz z Rafałem pojechał za prawem skrzydłem batalionu prawnego, który wciskał się w przestrzeń między Kępą Gliniecką a Ostrówkiem.

Chłód powiął od blizkiej rzeki. Usłyszeli w ciemności wyraźny łoskot siekier i młotów na rzece. Wparły w mrok oczy, ujrzel poprzez łozy ostre płomyki światła, lśniące na wodzie. Generał wstrzymał konia i szepnął do Rafała:

— Czy widzisz szaniec?

Olbromski rozpoznawał go już oddawna na tle bardzo słabej luny światła, wychodzącego z za przedpierścia i ramion barkanu. Wskazał wodzowi linię na horyzoncie.

Natarli koimi na szeregi żołnierzy i w najgłębszej ciszy, powstrzymując oddech, skradali się dalej. Wkrótce szaniec począł czarną linią wyrastać przed nimi. Jeszcze chwila i dał się słyszeć szmer, zbiorowe słowo, podobne do szumu wiatru:

— Rowy...

Sokolnicki zatrzymał konia i rzekł do Rafała:

— Stój przy mnie.

Słuchać było, jak wiatr szeleszczy w zaroślach

nadwodnych, dalekie echa rozmów ludzi, pracujących na moście... Rafał był znużony poprzednią bczenną nocą i całodziennym marszem. Miał słuch bardzo wykulony i pewien w sobie obmierzły niepokój. Zdawało mu się chwilami, że jeszcze błądzi w parku otwockim i marzy o zmarłych. Ale nie wiedział prawie, o kim myśli i kogo wspomina. Oto zdala, zdala, z za Wisły doleciał wrzask austriackich placówek: *Wer da!* Głos ten wiał nad wodą, znikał w nocy, tonął w sercu ścierolem, pełnym gniewu i zemsty:

— Och, żeby przedzej!

Szeleszczą łoży, świszczą na wietrze, jakoby badyle na dawnym cmentarzu, w rodzinnych stronach Wargi, nie wiedząc, poszeptują:

— Wieczny odpoczynek...

Wtem z przeraźliwym łoskotem runął werbel doboszów całego pułku, zgromadzonych przy trzecim batalionie, który przedostawszy się przez wieś Ostrówek, stanął już pod kątem narożnikowym szańca.

— Hura! — ryknął batalion Blumera.

— Na szaniec! — zakomenderował Sokolnicki.

Sam zsiadł z konia i, prowadząc go za uzdę, doszedł aż do rowu. Wojsko zginęło im z oczu. Słyszeli salwy strzałów z narożników i czół szańca, bijące w napastniczy batalion tyralierski, który wciąż krzyczał, bił w bębny i strzelał. Jak ciemna fala, nadpływająca z tyłu część pułku Weyssenhoffa. Sokolnicki zatrzymał jednego żołnierza z linii i kazał mu pilnować swego konia. Sam stanął w szeregu między żołnierzami i ruszył naprzód. Olbromski dotrzymywał mu kroku. Wpadli po ciemku w przedrów, na sześć stóp głęboki, walili się w doły,

grzęzły w rozmiękkich kupach ziemi, która wraz z nimi zjeżdżała w jakieś dziury, najeżone palami, w trójgranciosanymi.

— Co tchu naprzód! — wołał ktoś w ciemności. — Tu mogą być pozakładane *fugassy*, miny prochowe...

Żołnierze czołgali się po glinie i zarabiali w niej do pasa. W pewnym miejscu leżały wkopane w stok szańca zasieki z drzew, ściejących u samego odziemka, i wszystkimi gałęziami w dół zwrócone. Były to jakby potworne łapy i pazury, spychające w jamy na dole, włażące między żebra, gotowe do chwytania za gardziel. Kiedy zdeptali gałęzie i wdarli się nad nie, uderzyli piersiami w krótkie kołki ostro zaciosane. Ale nareszcie pokonali i te szykany. Usłyszeli przed sobą wrzawę, łoskot broni, przeraźliwe krzyki, klatwy i jęki. W pewnej chwili Olbromski znalazł się wraz z innymi na wierzchołku szańca. W słabym świetle latarni płynących niżej ujrzał śmiertelny bój. Bagnety w siwym blasku migotały. Ludzie skłębili się w bezkształtną masę. Obadwa bataliony Sierawskiego walczyły już w głębi szańca. Austryacy stali oparci o jakąś nizką, drewnianą budowlę. Przebiegając obok lawetowego działa, stojącego na barbacie, ujrzano kanoniera austriackiego, jak młotem wbijał ogromny bretnal w zapał, a za chwilę począł bić stemplem wewnątrz kału w celu zagięcia szpica bretnala i zagwoźdzenia działa. Rafałowi wydała się tak podłą ta jego czynność, że skoczył ku niemu ze szpadą. Tamten podniósł głowę i w świetle latarni Olbromski ujrzał twarz jakby natchnioną, pełną świętej grozy i unię-

sienia. Szpada jego rozszarpała mundur Austryaka. W tej samej chwili tłum nadbiegających piechurów Weyssenhoffa roztrząsł kanoniera na bagnetach, rozwalił mu głowę, przebił piersi, brzuch, boki, plecy... Rafał poskoczył ku miejscu bitwy pod barakami. Zwarty, podwójny, a za chwilę potrójny szereg zgał Austryaków bagnetem. Bronili się po bohatersku. Formując trójkąt, oparty o budynek podstawą, działały z szaloną fureją. Natarcia niewprawnych rekrutów polskich niweczyły potężną sztuką i kładły ich pokotem, wałem, jak szaniec między sobą a nowymi szeregami napastujących. Żołnierze polscy, patrząc na ów trójkąt niezwalczony, poczęli stronić od tego miejsca. Właśnie zjawił się w szańcu generał Pelletier. Długo stał bezczynnie, wpatrując się w walczących. Sokolnicki spostrzegł, że część pułku Sierrawskiego cofa się ku szyci szańca. Zwołał tedy ludzi i biegł z nimi na tamtych. Pelletier poskoczył ku niemu i rzekł, wskazując na mężczyzn:

- Weź ich żywcem generale...
- Czemuz to żywcem?
- To moi rodacy, emigranci, nieprzejednani...
- Cóż oni tu robią?
- Protestują przeciwko straceniu ostatniego Kapeta.

Szary przedświt rozniecił się i dał widzieć obraz morderczej bitwy. Klin arystokratów francuskich topniał pod bagnetami Maćków polskich, ale i ostatni z walczących zachowali zimną krew i niezłomne bohaterstwo. Jakiś ich oficer ze wzgardą w skrywionych ustach komenderował po francusku, dopóki nie

runął pod ciosami. Zalany krwią, zawały umierającymi szaniec został zdobyty. Dwa tysiące jeńca złożyły broń. Generał Schauroth umknął na krypie do Góry, żeby stamtąd bić ze wszystkich armat w zdobywców pod Ostrówkiem.

W STARYM DWORZE.

Kiedy w pierwszych dniach czerwca generał Schau-roth przeszedł z lewego na prawy brzeg Wisły pod Połańcem, oraz pod Niekuszą, Rafał Olbromski znajdo-wał się przypadkowo w tłumie oficerów sztabu księcia Poniatowskiego. Był wysłany przez generała Sokolnic-kiego ze szczególnowym raportem o wyprawie kawa-ryjskiej pod Różki, o działaniach w polu na północ od Sandomierza pod felwakiem Kruków i pod Mąkoszynem.

Dnia dziewiątego czerwca nastąpiła potyczka pod Mielcem. Wojska księcia Józefa musiały cofnąć się wobec przemagających sił Austryaków i przekroczyć Wisłokę. Rzeka ta, dobrze Rafałowi znana, wyschła była teraz zupełnie i nie mogła stanowić przeszkody w przeprawie nieprzyjaciela. Rzucono też pośpiesznie wydłużoną smugę jej piachu i kamieni.

Było południe chinurnego dnia, kiedy tłum ele-gantów sztabowych, w którym znajdował się Rafał, wy-jechał z lasów nadbrzeżnych, w półkrąg otaczających Stokłosy. Dalekie krajobrazy leśne już niebiaściąły pod

pogodę, choć pasma najbliższe wciąż jeszcze nasycone były wilgotnym, granatowym tumanem. Cała ziemia, odziana we zboża, stała się mokra i mięsza od fali. W brózgach lśniła jeszcze zmulona woda. Wązkie, polne drogi, które innego dnia ledwieby oko wytropić zdołało między łanami zbóż, srebrzyły się teraz od pasmugów zlewnej wody. Deszcz ustąpił. Obłoki bure, pełne w sobie białych jam i dołów, ciężko zwisając, wiąkły się stronami. Głębokie, stubarwne, przemokłe trawy łąk zaniosły się po tym deszczu od kwiatów.

Gromadka oficerska jechała, gwarząc o wypadkach dnia. Rafał, niewiele tutaj znający osób i nie mający udziału w akcyi, ani żadnego określonego charakteru po załatwieniu zlecenia, kłusował obojętnie z boku drogi. Ujrzał zdala Stokłosy... Ponieważ tam być nie mógł, przepatrywał jeno zmiany w zasiewach pól, w koronach drzew, w barwach płotów i dachów. Na zakręcie drogi, pod wzgórkiem, zdało mu się rzucić okiem na prawo — i oto ujrzał tuż tuż samego, we własnej osobie Szczepana Trepkę. »Pan poseł« jechał na koniu pełną drożyną-miedzą ku gościńcowi. Koń pod nim stał właściwie na miejscu, o tyle tylko przebierając nogami, żeby się wydawało, jako jeździec nie patrzy bezczynnie, jako za swoją dąży sprawą. Rafał znał doskonale ów wyraz twarzy zobojętniały, półsmutny, półsyderyczny i owo niby to tępe gapiostwo prostaka... Serce w nim uderzyło na widok zgarbionej figury w zgrzebny kitlu, w grubych butach, na widok twarzy szarej, zestarzałej, surowej i smutnej. Nie wytrzymał. Pchnął konia ostrogami przez szeroki rów, w młode zboże, pod wzgórek. Sadząc skokami, zaśpiewał przejmująco, z serca:

„Ledwie twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...“

Trepka wsadził głowę jeszcze bardziej w ramiona i wstrzymał konia. Patrzał z podejba. Nawet poznawszy już w oficerze towarzysza, nie zmienił wyrazu twarzy. Ukłonił mu się kapelusiną z wyrazem pokornej a chytrej grzeczności.

- Pan poseł nie poznaje, widzę, starych przyjaciół!
- Ale gdzież tam... ale gdzież tam... — mamrotał Trepka z uprzejmem, z uniżonem pochlebstwem.
- Przecie to widać...
- Krótki mam wzrok, nie mogę dojrzeć od razu.
- Na wzwady pan poseł wyjeżdżasz, siły narodowe z za żyta lustrujesz... Kto cię wie?... Z nieprzyjacielem może trzymasz...
- Cicho-no, cicho, mości Olbromski... kapitanie...
- Czemuż to cicho ma być porucznik Olbromski?
- Głośno krzykniesz, poruczniku, i pojedziesz na bystrem koniu... A mnie tu mogą powiesić... W tropie twoje przyjdzie na tę samą miedzę jużci ten nieprzyjaciel. Ja zaś nie mogę od niego uciec na bystrem koniu. Muszę, widzisz, pozostać.
- A przyjdzie ten nieprzyjaciel do ciebie, przyjdzie i to niezadługo.
- Widzisz — ha! Przyjdzie...
- Ależ cię przecie nie zjadzą!
- Zjeść nie zjadzą, ale z dymem puścić mogą dwór, gumno, chałupy...
- Wiecznie się strachasz o to, co być może...

— Wiecznie się stracham...

— Istne się z ciebie strachajło zrobiło, panie pośle!

— Bardzo mię za młodu, widzisz, straszli, to też na starość jakby znalazł. Nie jednegom stracha za życia widział, piękny wojaku... I taki teraz tchórz ze mnie.

— A toż nie doda ci ducha? Stary przyjacielu, patrzaj-no!

Z lasu wszystkimi, zda się, jego międzydrzewnymi przestworami wypływać poczęło wojsko siły odwodowej księcia. Piechota szła szybko, sfornym marszem w bród trawami łąk, w pas zbożami pól. Szeroką drogą migotliwie sunął wąż konnicy. Grały na słońcu barwy wiełorakie, a splótlszy się z kolorami pól, tworzyły obraz zachwycający. Trepka stał na koniu prawie na szczycie wzgórka i patrzał w owo cudnobarwne zdarzenie. Rafał na mocy starego przyzwyczajenia nie ważył się przerwać jego zadumy. Wspomniał sobie, jak to jesienią przed laty patrzali na inny pochód. Chciał wcisnąć między myśli przyjaciela słowo przypomnienia o tamtej chwili, słowo żywiącej otuchy. Trepka przeczuł niejako jego zamiar. Uśmiechnął się gorzko, gorzko, gorzko. Pokiwał głową... Zapytał nagle:

— To i Sandomierz oddacie, czy jak?

— Jakto oddamy?!—wrzasnął na niego grubiańsko młody. — Żeby kije z nieba leciały, żeby w kupę gruzów miało się zapaść całe miasto! Jednej cegły nie da im darmo Sokolnicki! Aby on nie da! Wziął garścią swoją, zdobył i garścią zatrzymał!

— Pewnie, że należałoby trzymać to to aż do skutku... Miejsce bogate. »Bram cztery ułomki, klasztów dziewięć i gdzieniegdzie domki...«

Rafała przeszył do szpiku kości gniew. Teraz poczuł, jak innym już jest człowiekiem, jak się wyzwolił z libertyńskich formułek myślenia tego dziwaka. Czuł, że ma wyobrażenie całości, kiedy ten weiąz się zajmuje ulubionym sobie ułamkiem. Walki, widziane pod murami Sandomierza, szturm, bombardowanie własnymi armatami starych kościołów, prace ziemne po zdobyciu miasta — wszystko to, jak wielki skarb duszy, ukazało mu się od razu. Zamilkł i razem z Trepką ruszył cwałem za oficerskim orszakiem, który zmierzał w stronę Olszyny.

— Czyż to do Olszyny jedziemy? — spytał po drodze.

— Pono. Spotkałem tu w polu konnego, który leciał do miasteczka po sprawunki. We dworze, u starego Cedry księżę dowódcą stanął kwaterą... No, chwilowo, bo *periculum in mora*. Obiad stary Cedro wydaje dla sztabu. Aby jeno między pieczystem a leguminą dyabli Schaurotha nie nadali w czarno-zółtym sosie! Powinieneś być na tej uczecie, mości poruczniku. Po pańsku występuje stary. Chce się pokazać, choć łydkie pod nim pewnie drżą, choć grubo ryzykuje...

— Jedziesz tam przecie?

— Jadę, jako domowy jegoności pana Cedry...

Spojrzał dawnemi, drwiącemi oczyma, zaśmiał się w głos rubasznie:

— Na miły Bóg! — oficer z ciebie najsroższego kalibru, Olbromski Rafał! Co za koń! co za statura! Wyglaucowali cię, wyszwarcowali... Nie byłeś dawniej taki szczwany... Daleko zajedziesz! No to i dobrze.

— A cóż waszmość myślisz? Obadwaj my z Krzysz-

tofem na ludzi wyszli. Świątem rządzimy! zaniast tu z wami wśród kąp nawozu rządy sprawować...

Ledwie jinię Krzysztofa padło, stary Trepka zmarszczył się i zmarniał w sobie. Stał się z niego w krótkiej chwili zgrzybiały safanduła. Jechał na swym wierzchowcu zgarbiony z obwiśleimi rękoma.

— Krzysztofa powiadasz?...

Machnął prętem w powietrzu raz, drugi. Wskazał nim coś w polu. Potem w drugiej stronie, a gdy odwrócił się ku towarzyszowi, ukazał mu twarz niemal zdziecinniąłą.

— Niema Krzysia... — wypowiedział zcicha, jak gdyby sekret żałosny.

— No, tu go niema, bo jest we świecie. Wojuje.

— Wojuje...

— Mieliście też od niego jakieś wieści?

— Pisał z Paryża listek jeden, a potem nic już, ani słowa. Przysłali tu gazetę francuską z wiadomością, że pułk jego w Hiszpanii. I tyle wiemy...

Wjechali w szeroką brzozową aleję, prowadzącą do dworu. Stare pnie, spodem czarne, wyżej śnieżno-białe, pręgowane, jak marmur, nasunęły się przed oczy, niby wierzeje gościnnie rozwarte, niby sienie. Prawie niepochwytny szum zwieszonych liści wieścił dumę o tem, czego nic nie wyjawi, krom niego, o uczuciach minionych. Ujechali już kilkaset kroków tą aleją w milczeniu.

Rafał obejrzał się poza siebie... Miał złudzenie, półzłudzenie, niejasną sensację cielesną, że zdala ktoś jeszcze pędzi na koniu w cwał...

Nie chciałby tego przed sobą wyznać, że ma na myśli Krzysztofa. Było mu przykro i obmierzle tem się

zajmować. Wylot alei, jakoby okno półokrągłe u góry, otwierał się w pola rozległe. Ciemniejąca w łanach wielkim płatem pszenica tworzyła tam obraz niezrównany. Zaczęli, chcąc nie chcąc, przebąkiwać o zbożu, o urodzajach, o deszczach i, rozprawiając, jak dwaj hreczko-sieje, sąsiadujący o miedzę, których nic zgoła oprócz urodzaju wsianego zboża nie obchodzi, wjechali na dziedziniec dworski. Jakże się zmienił! Pełen był koni pod siodłem wojennem, zlekka tylko odpopręgowanych, pełen żołnierzy, obiadujących po kątach z pośpiechem, pełen żołdackiego krzyku. Okna we dworze pootwierane, drzwi na ganek szeroko rozwarte... Słyszać było muzykę, śpiew, oklaski. Służba lokajska i żołnierze ordynansowi wbiegali i wybiegali ze dworu.

Obiad, naprędce podany dla księcia i jego świty, już się był skończył. Wódz z kilku generałami był w ogrodowej altanie, gdzie toczono jakąś naradę. Młodzi oficerowie napełnili wielki salon i przyległe pokoiki. Kiedy Trepka, prowadząc pod rękę Rafała, wchodził na ganek, ozwały się znowu tony starego pantaleonu. Pan poseł puścił towarzysza do salonu, a sam na palcach przeszedł sionkami wpoprzek dworu na taras, z którego zstępowało się do ogrodu. Odchodząc z pośpiechem, wskazywał giestami swój kostium arcy gospodarski i srodez zachlapane buty. Rafał wsunął się do salonu. Powiodł oczyma po zgromadzonych.

Jeden z młodszych oficerków grał. Panna Mery stała obok instrumentu. To samo pochylenie głowy, ten sam wyraz twarzy. Oczy przymknięte... Podniosła głowę i zaczęła śpiewać:

*»La nuit tomboit dans prairie,
L'Echo dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...«*

Nie było to śpiewanie podlotka, które był słyszał przed laty, lecz piękny głos młodej, zażywnej i silnej kobiety. Powiodła uroczemi oczyma po zgromadzeniu mężczyzn. Widać było radość życia, siłę serca i żądzę szczęścia we wzroku tym, słychać ją było w śpiewie. Ta pieśń skarzyła się przed całym pokrownym światem młodości, jakoby przed sądem przenikliwym, znającym istotę rzeczy i pełnym sprawiedliwości, na pustkę i smutek tego domu, na gorycz lat młodych a samotnych. Skarzyła się nie słowem, lecz dźwiękiem samym, szeregiem przedziwnych, muzyckich akcentów, a całe grono młodzieńcze słuchało jej w skupieniu ducha. Ani jeden ze słuchaczów nie został obojętny na te przejmujące skargi, na te samotne głosy i okrzyki. Ale oto coś zadrżało w melodyi tej piosenki, zakołysały się tony od najwyższego uniesienia... Rafał podniósł oczy i ujrzał wbite w siebie dwie brylantowe strzały oczu panny Mery. Uczuł z rozkoszą, że to jego właśnie wita i pozdrawia dawna piosenka tem najwyższem uniesieniem... Uśmiech radości, woniejący biask szczęścia kwitł na ustach śpicwaczki.

W chwilę potem zdarzyło się Rafałowi spojrzeć na prawo. Tam, wśród kilku najwykwintniejszych socyuszów księcia, siedział stary pan Cedro. Nie zmieniły go prawie lata ubiegłe. Ta sama piękna starcza twarz, ten sam wykwintny ruch głowy, ułożenie rąk i nóg. Siedział w fotelu z wdziękiem lekkiego dandysa, uśmiechal się tkliwie, lub łaskawie, sztywnie i foremnie trzymał korpus

i nogi. Spojrzenie, zarazem pobłażliwe i wyniosłe, padało na gości z pańskich oczu. Ale oto przy dźwiękach radosnych piosenki, gdy wszystkie westchnienia młodości jej szlakiem uleciały, stare wargi zaczęły się rozciągać wszerz, jak guma rozdartej piłki, nos zetknął się prawie ze śpiczastą brodą, powieki zwisły i nabiegły krewią. Nie drgnęły ręce, ozdobnie złożone na poręczach, nie poruszyły się skrzyżowane nogi, tylko z pod powiek zaczęły kapać na kolana łzy piołunowe, wielkie krople żałości. Nikt na nie uwagi nie zwrócił, prócz Rafała. Po skończeniu śpiewu rozległy się frenetyczne oklaski i proshy o nową piosenkę. Kiedy panna Mery, na pozór wzdragając się i wymawiając, szukała nut w tece, stary pan Cedro wysunął się z tłumu.

Szedł omackiem, grzecznie uśmiechnięty, nikogo nie widząc. Przemknął się wśród zgromadzonych z ukłonami na prawo i lewo, nie wiedzieć do kogo skierowanymi, i wyszedł na taras ogrodowy. Tam zatoczył się bezwładnie na ławkę. Podniósł oczy i spostrzegł siedzącego Trepkę.

— Ach, to waćpan!... — wysyczał ze wściekłością, z nienawiścią, przebijającą, jak pełnięcie nożem w serce.

— Jużci ja...

— Dziecko mi zabrałeś! Zgubiłeś mi mądrkowaniem syna!

— Uspokój się, panie, uspokój.

— Tylu ich tu przyjechało, tylu naszło! Pełen dom... Zdrowi, rumiani, weseli. A jego niemasz! Krzysia niema... Kazajem ich wszystkich godnie przyjąć na jego cześć, ale cóż mi z tego?... Krzysia niema...

— Przyjdzie i on.

Starzec podniósł oczy spłakane. Pokorne pytanie, jakoby ubogiego chłopa, który się doprasza łaski, słowa — odpowiedzi od moźnego dziedzica, od jaśnie pana, wypełzło z warg:

— Kiedyż przyjedzie?

— Przyjdzie taki czas, nadejdzie taki dzień, schyli się ku nam taka błogosławiona godzina, że przyjedzie niespodziewanie, czerstwy i wesół.

— Skądże to wiesz?

— Tylu ich idzie na wojnę i tylu wraca... Czemużby on, najlepszy z pomiędzy wszystkich, nie miał powrócić?

— Tyle wiesz! Jużem to sobie tysiąc tysięcy razy mówił i przegadywał po nocach, jużem w siebie stokroć wmawiał to wszystko. Czekam i czekam...

Słysząc, że ktoś z pokojów nadchodzi, zeszli z balkonu na ulicę ogrodową i wlekli się obaj, ramieniem o ramię oparci. Tuż za szpalerem i płotem z tarniny kołysał się ów łan pszeniczny, bardzo rozległy; wiatr już po nim ciemne smugi przeganiał, a po gałęziach brzóz wzduchał i smutne szумy przeciągał. Wypłokana od zlewy gliniasta ulica ogrodu była twarda i niemal sucha. Nogi obudwu idących stukały po niej, jak po deskach. Przyszedłszy do końca szpaleru, stary Cedro powiódł oczyma i ręką po widzialnych obszarach zboża, po drzewach sadu, których gałęzie gięły się już od owocowych zawiązków, i począł bezsilnie narzekać:

— Wszystko to jego, wszystko to miał... Dla niego rośnie to zboże, dla niego dojrzewają owoce, pachną kwiaty... Jego ta glina, ten wiatr, ten szum... Cała tu ziemia na niego czeka, dziedzina pradziadowska... Czegóż jeszcze chciał? Czego polecał szukać?..

— Pojechał szukać — mówił Trepka z uśmiechem dobrątliwym i nauczającym — ziemi innej, nie mojej ani twojej, tylko naszej, gminnej, gromadzkiej. Młodemu śni się ta wielka ziemia, która do nikogo nie należy, staremu śni się mała, która należy tylko do niego... Choćby też najmniejsza, byle dla niego tylko... Aż przyjdzie taki wiek w życiu człowieka, że go już żadna nie nęci.

— Tyś to go wywiódł z mojego domu temi prze-mądrzałemi głupstwami! tyś go podmówił do buntu! — nanowo zaczął użalać się Cedro.

— Nie jam go podmawiał, tylko ocknienie, prze-budzenie, siła żywota. Jam winien, żem go nie wstrzy-mał, to prawda. Aleim go nie wstrzymywałem, to wyznaję.

— Wiedziałem, żeś to ty sprawił! Ty, nie kto inny! Czemuś go nie związał słowami, skoro taki wpływ na niego sobie wyrobiliś? Gdybyż choć bił się tutaj, jak ci oto, którzy mój dom napełnili weselem... Ale gdzież on jest? co czyni?

— Nie wstrzymywałem, — mówił Trepka cicho, na-poły do słuchacza, a właściwie do siebie — bom nie mógł. Straciłem świadomość rzeczy. Nic już teraz nie wiem... Nic nie wiem! Zawiodły mię wszystkie lekar-stwa, wszystkie nadzieje rozbiły się i oszukały duszę. Widziałem spodlenie wszystkich instynktów, powolne znikanie zmysłu plemiennego bytu. Poczucie hańby zżarło mię całego. Wspomnij, jak z pruskich banków brali pie-niądze na ziemię, wiedząc, że ją zaprzedają na wieki. Niemiec drwił z nas czynami, instytucyami, pobudza-niem do rozpusty. Za pięćdziesiąt lat nogi-by polskiej w tych Prusiech Południowych nie było: chłopów-by zniemczyli szkołami, kulturą, szlachtę wysadzili z ziemi

licytacyami, miasta zalali przemysłem i handiem. Młodzież złajdaczala, gałgaństwo i głupota padły na cały naród, jak morowe powietrze... — zaczął szeptać staremu do ucha tak, żeby nikt nie słyszał.

— Co mi ty bajesz! co opowiadasz! Kłamstwa to twoje...

— A w tej Galicyi...

— Przestań!

— Trzeba było ratować. Honor plemienny za jaką-bądź cenę musiał się obudzić. Wolałbyim, żeby zamiast uprowadzenia Krzysztofa ucięto mi tę rękę, tę nogę, ale musiałem, przyjacielu, podmawiać, żeby szedł.

Zstępowali w dół, w najniższą część ogrodu, ramieniem o ramię oparci, ze zwieszonemi głowami, szepcąc do siebie wciąż starcze pogawędki — pociechy, zgrzybiali obadwaj, starzy i bezsilni od smutku.

— Na cóż mi się to wszystko zda w mojej niedoli?... — mamrotał Cedro.

— Musiało, co lepsze, ocknąć się i rzucić w krewawą kąpiel. Mógl-że to on spać w domu i władać kawałkiem ziemi? Przypomnij sobie jego duszę... Oi!, Krzysztof! Pomyśl-że tylko... On, Krzysztof!

SANDOMIERZ.

Rafał Olbomski zdołał dnia 9 czerwca w sam czas dotrzeć do Nadbrzezia i przeprawić się przez pokład na mostołodziach do Sandomierza. Nazajutrz rano cały most sprzątnięto, a baterię szanta przedmostowego ku Trześni zburzono ze szczeptem. Z natury swego stanowiska, jako adjutant trzeci generała Sokolnickiego, Rafał musiał ciągle przebiegać Sandomierz i jego cały obwód uzbrojony w najrozmaitszych kierunkach. Stary Sandomierz!... Znał go przecie od lat dziecięcych równie dobrze, równie szczegółowo jak ogród i gumno w Tarninach. Gnał tedy konno to na góry Pieprzowe, gdzie przy sypaniu okopów wyrzucano z ziemi urny staropogańskie ze słowiańskiego zgłiszcza, to na pola folwarku kapitułnego Kamienia; za chwilę co koń skoczy pędził z rozkazami w stronę zachodnią, do fortalicyów zamku, i dalej w stronę Rajeckiego folwarku na Krakówce, w stronę Chwałek i Strochecic, to znów ku Lenarczycom i Kobiernikom, by wkrótce rzucić pocztowemu cugle konia i na piechotę zdążyć już to ku baszcie nad Rybitwami, już ku posterunkom umocnionym za

klasztorem św. Jakóba, za kościołem św. Pawła, św. Józefa i św. Michała, czyli klasztorem Benedyktynek. Ów trójkąt, który tworzyły powyżej wymienione kościoły, złączony z miastem przepaścistymi wąwozami, stanowił punkt najbardziej umacniany. Nad ostatecznym ufortyfikowaniem tych miejsc pracował pod rozkazami generała dowódcy księże Gintułt. Przyrowadził on ze sobą do Sandomierza batalion ludzi, których w swoich przeważnie majątkach zgromadził z tamtej strony Wisły. Ludzie ci nie byli dotychczas uzbrojeni, ani umundurowani należycie, wzięto ich tak, jak stali, w wieśniaczych odzieniakach. Księże sam nimi dowodził, ale nie jako oficer, gdyż do wojska nie wstąpił, tylko jako cywilny inżynier i dozorca. Teraz przy umacnianiu Sandomierza »batalion« Gintułtowski osobliwie się przydał. Za jego to staraniem i nieprzerwaną saperską pracą wzniesiono szańce naokoło miasta, które stworzyły przednią straż obrony wewnętrznej. Kościoły i klasztory zamiejskie były wciagnięte do tej linii obronnej, a ich cmentarze, dzwonnice, wieże i mury do odporu umocowane. Parowy, stromo ścięte, stanowiły niezrównany systemat dróg krytych do komunikacji z szańcami świętego Jakóba, na górze Świętopawelskiej, świętego Józefa i benedyktyńskim. Szańce odpolne poza tymi kościołami i przedmieściem Opatowskim podsypano wysoko, a nadto, dla nadania im pozoru jeszcze bardziej strasznego, odziano w puste beczki, które przysypano ziemią. Stodoły folwarczków Psałterzyskich w tych stronach pourządzano do obrony w ten sposób, że wewnątrz nich wydźwignięto świetnie zamaskowane ziemne przedpiersia, które dawały możliwość uporczywej obrony. Podobnie wszystkie

klasztory były wewnątrz przemienione w warownie. W samem mieście kierował robotami generał Sokolnicki. Stary mur obwodowy dopełniał nieustannie, a wyłomy w nim nie dò naprawienia zastąpił palanką. Poza murem bito jeszcze palisady w spadek góry, wciągano na pozycje austriackie ośmnastofuntowe armaty.

Książę Gintułt osobliwą pieczę darzył jeden z klasztorów zamiejskich, a mianowicie kościół i klasztor świętego Jakóba. Wznosząc w tamtej stronie, od zamku aż po drogę opatowską, owe wysunięte *ouvrages extérieurs*, w czasie dozorowania swych chłopów, długie godziny trawił na kontemplacyi odwiecznych romańskich murów kościoła, jego ceglanych ścian, pokrytych sześćsetletnią patyną czasu. Rozkopując tak do głębi ziemię tych pagórków, pokrytą młodemi zbożami, gdzie drzewiej, przed wieki, na początku stało miasto Sandomierz, trafiało wciąż na ślady wałów, murowanych fos, resztki palisad. Może to były wały sypane przeciw Tatarom przez wójta sandomierskiego Witkona i wojewodę Dersława z Obręczny... Rydel kopacza odwalał zapadłe wejścia do lochów. W ich głębokości i mroku szarpały wzgórze kostne.

Były to jaskinie, w które przywiódła Tatarów mężna Halina, córka Piotra Krempy, i gdzie śmiercią zginęła dla ocalenia ojczystego miasta?... Ludzie sandomierscy oglądali ze czcią owe popioły zgasłych pokoleń, dumając sobie i zgadując nadaremnie, czyje też są. Któz bo mógł zgadnąć? Były to kości Jadźwingów, czy Tatarów, Litwy czy Rusi, Szwedów, czy Niemców?.. Nie było czasu na szanowanie podziemnych cmentarzysk. Sypano stare kości wraz z ziemią górną na nowe szańce...

Tylko książę Gintułt, po skończeniu dziennych robót, sam, w nocy, obwiązany sznurem, puszczał się częstokroć w owe podziemne chodniki. Znajdował szczególną rozkosz w dotykaniu się ręką, w obejmowaniu trwożliwą żrenicą sennego popiołu przeszłości. Łudził się dobro-wolnie, postępując w mroki podziemia, wiedziony przez ruchliwy krąg światła, przez bojaźliwą smugę pochodni, że przepatruje tajemne szlaki śmierci i bada przyszłe dzieje zgasłego człowieka... Rozkosz znajdował w tych złudach. Stawał się w głębi lochów sam dla siebie niezupełnie zrozumiały, był sam dla siebie napoły człowiekiem, półduchem i dochodził do stanu złudzenia utraty zmysłów. Za dnia, wśród najpilniejszej pracy, wsłuchiwał się bardzo ciekawie w pogwary ludku o tych lochach, w gadki o przejściach podziemnych, w legendy przysypane gruzem ciemnoty, zarosłe chwastem i darnią powszedniego dnia, podobnie jak same lochy. Zwolna wytworzyło się w jego sercu łaskawe przyzwolenie na prawdziwość światła, które tylekroć w ciemne noce wi-dzieli ludzie nad kościołem świętego Jakuba. Książę śmiał się dobrze, radośnie i szczerze, słuchając, jak to pułkownik szwedzki uciekał co tchu z klasztoru, ujrzałszy o północu światłość jarzącą, co wychodziła z okien, i usłyszałszy śpiew nadziemski czterdziestu sześciu Dominikanów z Sadokiem na czele, zamordowanego przed pięciu z góram secinami lat. Powiadał sobie wówczas w duchu, że przecie niemasz nic na tej ziemi sprawiedliwszego od wyroku baśni cudownej... Jakże głęboką, jak zrosłą z ziemią wydawała mu się powieść o wiecznym śpiewie, o wiekuistej wigilii nocnej w tej świątyńce, gdzie się modlili za życia wymordowani!...

Óriszałe mury dominikańskie poczęły promienić dla księcia przeczystą światłością, niematerialnym jaśnieniem, które otacza cnotę męstwa, honor przysięgi dobranej i grób męczeński. Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórka, między kopułką kaplicy - celi Jacka Odrowąża wyrósła w tym czasie jak gdyby żyła nierozerwalna.

Nieraz Rafał zdybał tak księcia, siedzącego pod przykopą, na wystającym kawałku żerdzi, w miejscu, gdzie w trzynastym wieku istniały winnice dominikańskie, zapatrzonego w uroczy portal północny, w ozdobne łuki poikoliste okien, we floresy frontonu. Nietajne mu też były zabiegi, żeby ten klasztor osłonić najbardziej zarówno od nieprzyjacielskich pocisków, jak i od możliwego zbombardowania z miasta. Najwyższe tu powysypywano odkosy ziemi po wzgórkach i najwyższej powznośszono koszokopy. Wszystko to działało się pod ogniem bombardowania i napadów, jak całodzienna kanonada 27 maja, siedmiogodzinna nocna z 4 na 5-ty czerwca, trzygodzinna popołudniowa 6-go czerwca. Po powrocie swoim z za Wisły, Rafał rzadziej widywał księcia. Przebywał wciąż przy generale. Obserwował dnia dwunasteego czerwca z kopuły kolegiackiego kościoła przebieg bitwy na Dąbrowie, we Wrzawach i pod Gorzycami — wysiadywał na dachu kolegium jezuickiego w dymnikach, tak dobrze sobie znanych, wypatrując stanowisko Austriaków pod Dębiną i cofanie się wojsk naszych pod Rachów. Czuwanie po nocach, dni na siodle bez pozywienia i chwili odpoczynku zmarnowały adjutanta. To też w nocy z 15 na 16 czerwca, kiedy toczyły się narady z przesyłanym parlamentarzem, postanowił wyspać

się należycie. Dopadł jakieś stanczyki w domu księży, stojącym w głębi podwórza. Całe to domostwo było spróchniałe i bardzo stare, to też mieszkańców dawno z niego uciekli. Olbromski rzucił się w ubraniu na łóżko napotkane i głośno zachrapał. Ale przed północą zbudził go wściekły łoskot. Przez otwarte okno widać było mnóstwo kul ognistych, puszczychonych na Sandomierz z Nadbrzezia, z Zarzykowic i poburzonych szańców. Kule te śmigały, jak race w dzień godowy, z hukiem pękały w powietrzu, miotając ogień na wsze strony. Napóź raz budzony oficer usłyszał tuż gdzieś za ścianą wrzaski na trwogę. Trzeba było wstać. Dźwigał się właśnie z łóżka, kiedy mu przed oczyma wybuchnął olbrzymi żagiel ognia. Pożar w podwórzu! Palił się jakiś śpichlerz, czy lamus o kilkanaście kroków od okna.

— Pana Saniewskiego lamus gore! — wrzeszczały oszalałe głosy.

Kiedy Rafał wybiegł z domostwa, już dach je okrywający stał w ogniu. Wiatr wionął i oto płomieniste jęzory musnęły dachy połaci domów w ulicy Panny Maryi. Stare, wyschłe, poczerniałe, powyginane, różnokształtne dachy zajmowały się jeden po drugim zcicha, posłusznie i uroczystie. Wszystkie ich załamania, okapy, wyglądy, dymniki i dziury widać było teraz, jak lica nieboszczyka szczególnie wyostrzone, wydatne i oczywiste. Tyle lat osłaniały skupione, ubogie życie ludzkie od słońca i wichrów! Teraz same, w jednej chwili wydane na ślip, ginęły od śmierci naglej i równie strasznej, jak ludzka. Potok ognia skakał z dachu na dach, przelewał się z jednej pochyłości na drugą. Gdzieś tylk mknął z podwórza człowiek struchłały. Gdzieś

wybuchał płacz i wnet nacichał, jakby przez ogień pożarty. Krzyk tam i sam, a po nim cisza śmiertelna, bardziej przeraźliwa od krzyku. Trzask w niej słychać wszechmocnego pożaru... Szelest płomieni, jakoby żamanie kości żywych przez obcęgi kata, jakoby czynienie wyroku tyrana. Rafałowi niewymowny żal serce w persiach zatargał. Dziecięce i młode lata spędził pod osłoną tych starych podsieni, tych wielkich, czarnych dachów, zrosłych w jedno, podobnych do siodeł i przełęczy górskich... Teraz oto przed jego oczyma wszystkie bezsilnie konały. Zdjął czapkę i gorzko, jak dziecko, wzdychał. Ale przecie ocknął się w mig.

Spojrzy, alisci pożar straszliwym zagonem sięga do kamienicy Saula Dziordziego Greka. Poskoczył w rynek. Ujrzał w pobliżu ratusza tłum żołnierzy polskich, wywłócących sikawki. Garstka mieszkańców w koszulach i portkach na bosaka żaziła po rynku, lamentując i rwąc włosy. W mgnieniu oka Rafał ich zaprzągł do roboty. Kazał przynieść drabiny i zarówno żołnierzy, jak łyków popędził na dach narożnego domostwa, zwanego Wójcikowszczyzną, z rozkazem odarcia go z gontów. Ściany poczęto lać wodą z sikawek, żeby nie puścić ognia w rynek. Teraz wszystek motłoch począł krzyczeć i powtarzać:

— Nie puścić ognia w rynek!

— Lać ściany! Rąbać wszystkie chlewy i stajnie od Wójcikowszczyzny!

Zatrzeszczały pod siekierami stare parkany, daszki i przyciesie, w ziemię wrosłe. Cała już połać na wzgórzu wraz z tyłami gorzała, jak żywy stos. Perzyna stamtąd poszła, jak śnieg. Żar straszny. Granaty poczną bić coraz gęściej w płomienie. Na ludzi padła wraz z tą pe-

rzyną i trzaskiem brandkugłów trwoga śmiertelna, po-
płoch paniczny. Mieszczanie uciekali od własnych domów,
ode drzwi mieszkań, z rąk żołnierzy, chroniąc się do
piwnic i murowanych kościołów. A i sami żołnierze
chyłkiem pomykali za mury. Opuszczony od wszystkich
Rafał zaniechał ratunku. Idąc w kierunku kolegiaty,
usłyszał nagle szczególny wśród tego zgiełku i trzasku
dźwięk. Przystał, leniwie pytając siebie: co też to być
może?... Nierychło pojął, że stary zegar, stracony kulami
wraz ze szczytem wieży kolegiackiej, leciał przez po-
wietrze. Posępny był rumor śmierci tego miernika czasu.
Dzwoniły przez chwilę jego rozsypane koła po miedzia-
nym dachu kościelnym, charczały i klekotały rozbite
sprzęyny i wagi, aż w powszechnej ruinie zapadły w ni-
cość. Przez kopułę kolegiaty dym począł buchać z gra-
natów, które do kruchty i w środek nawy popadały.
Szeroka łuna rozpostarła się nad plebaniami świętego
Pawła, które stanęły w ogniu, nad Krakowskim Przed-
mieściem, gdzie płonęły rzędy podmiejskich chałupek,
nad folwarkiem klasztoru Panien Benedyktynek, nad
świeżo wystawionym folwarkiem miejskim.

Rozlegał się co chwila krzyk, że gore browar na
Czwartaku po-jezuickim, że pali się płomieniem cały
folwark na przedmieściu Zawichostskiem za sadzawką
benedyktyńską, że płonie wielka szopa cegielni kapi-
tułnej...

Widno się zrobiło na górze sandomierskiej, jak
w biały dzień. W dali, pod łuną sterczały czarne widma
spalonego w pierwszym szturmie kościoła Reformatów
i czerniały popieliska świętego Wojciecha. Dymy białymi
zwojami osłoniły miasto i poczęły magać się ponad

czubami kościołów. Ludzie z rynków, z uliczek, z miejscowości, z powierzchni ziemskiej poznali. Wchłonęły ich głębokie piwnice, lochy i chodniki, podziemne miasto trwogi.

Była już blisko pierwsza po północy, kiedy ozwały się armaty austriackie na lewym brzegu Wisły, jednocześnie z trzech stron. Olbromski poszedł z rynku w parów północny. Wiedział, że tam znajdzie swego dowódcę. Istotnie Sokolnicki wydawał w tem miejscu rozkazy. W chwili, gdy Rafał zbliżał się, ryknęły z zamku i od bramy Krakowskiej ośmnastotuntowe działa, zdobyte na Austriakach, a teraz wymierzone w ich kolumny, idące Jagiellońską drogą na baterię drugą i trzecią, czyli na zamek i bramę. Rafał otrzymał rozkaz przyniesienia wiadomości z baterii czwartej, to jest od kościoła świętego Pawła.

Na przecięciu parowów spotkał dwie kompanie grenadyerskie, pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, pędzące w cwał na wzgórzu Świętopawelskie. Pobiegł z nimi i trafił w wir najzacieklejszej bitwy. Kolumna nieprzyjacielska, którą odepuchnięto od wzgórza *Salve Regina*, przeszła rozdrożem Piszczałki pod narożniki oszańcowanego kościoła świętego Pawła. Szef batalionu Białkowski z dwiema kompaniami pułku dwunastego wytrzymał tam atak, broniąc się zaciekle. Z prawego boku baterii, na wale opalisadowanym biły armaty, kierowane przez porucznika Bilskiego i podporucznika Tykla. Ale już jeden z granatników został zdobyty i zagwoźdzony, palisady narożnika wyrąbane siekierami, kanonierowie wykłoci bagnetem, a cała trzecia i czwarta kolumna austriacka wdzierala się na nasypy. Grenadyerowie Weyssenhoffa

uszykowali się w kolumnę na kościelnym cmentarzu. Z cicha otwarli bramę. Zwarty ich zastęp wyszedł pod wyłom i czekał tam z nastawionym bagnetem. Ledwie piechury austriackie zdążyły rzucić okiem na wnętrze szańca, grenadyerowie rzucili się na nich z zacieklem mśtwem. Powstała mordercza bitwa na nasypach i w fosach. Z razu umiejscowiona w wyłomie baterii czwartej, stopniowo rozciągnęła się w obiedwie strony za kościół świętego Jakuba i aż do klasztoru Benedyktynów. Trzy silne kolumny austriackie, a więc jakieś pięć tysięcy ludzi, spitych gorzałką, kilkakroć już dopadały tego ostatniego klasztoru, aż wreszcie zdobyły go wraz z czterema armatami.

Folwarki, szopy, stodoły, chaty palące się naokoło miasta, pożar olbrzymi w śródmieściu, dawały widzieć jak na dłoni wszystko, co się dzieje.

Rafał pracował wraz z innymi oficerami przy armatach baterii czwartej aż do momentu zupełnego odepchnięcia napadu. Widząc, że pozycja na teraz jest bezpieczna, skierował się wielkimi krokami w wąwóz świętego Jakuba, ażeby generałowi zdać sprawę. Gdy przebiegał obok kościoła, ktoś go zwołał po imieniu. To książę Gintułt stał przy portalu i kiwał na niego ręką. Bujne płomienie, buchające z miasta, oświetlały kościół. Cień od figury Gintułta, ruchomy, olbrzymi i długi, płynął po całej olbrzymiej ścianie, padał na staję młodego jęczmienia, który tuż za murem bujnie się plenił. Wewnątrz kościoła stali zaczajeni chłopi Gintułta, skrajając gwery austriackie, nabite austriackimi ładunkami, niedawno wydobytymi z ratusza.

-- Dokąd idziesz? — krzyknął książę.

- Do generała.
- Z dobrą wieścią?
- Z dobrą.
- Pamiętaj, pamiętaj, żeby mi świętego Jakóba szanował!
- Cóż ja mogę...
- Pamiętaj, pamiętaj!...

Rafał, nie słuchając dalej, pobiegł w parów, skręcił na lewo i dążył w górę między pachnącymi ogrodami, między domkami, przyczepionymi do góry, jak gniazda jaskółcze. Znalazi generała przy baterii głównej. Sokolnicki wydał właśnie rozkaz:

- Bić w klasztor Benedyktynek na wyłom!

Wielkie armaty wałowe poczęły miotać kule w klasztor i ogród kościelny, w mury cmentarza i dzwonnice, zdobyte przez Austryaków. W tej samej chwili nadbiegli oficerowie przyboczni z doniesieniem, że silne kolumny atakują miasto od strony Zawichosta, że szтурmują całą przestrzeń od murów klasztornych Maryi Magdaleny aż do zamku, że ciągną zarówno samem wybrzeżem Wisły, jak i szczytem góra Pieprzowych.

Zaledwie Rafał wybiegł z parowu na jaśnie, generał obcesowo zapytał:

- Bateria czwarta?
- Trzyma się.
- Co tam?
- Oficerowie rychtują działa i strzelają, bo kanonierów wybito. Pułkownik sam pracuje, twarz ma spaloną od prochu.
- Święty Jakób?
- Nasz.

— Czy obiegany?

— W tej chwili jeszcze nie. Ale z zachodniej strony lada chwila...

— Biegnij tam i zachęć do wytrwania! To klucz naszych wąwozów. Dasz mi znać, ale dopiero w takiej chwili, gdyby się nie mogli żadną miarą utrzymać. Pomocy im dać nie mogę, ani jednego człowieka. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Gdyby się żadną miarą utrzymać nie mogli niechaj wszyscy uchodzą wraz, co do nogi, a ja ruderę natychmiast zburzę ze szczytem i Austryaków pod nią pochowam.

— Świętego Jakóba! — zawała Rafał, przypomniawszy sobie zlecenie książęce.

Ale generał już go nie słuchał. Cały był pochłonięty ekspedycją kapitana Czajkowskiego na czele kompanii trzeciego pułku dla odebrania ogrodów i murów Panien Benedyktynek, kapitana Szymanieckiego na czele pięćdziesięciu ochotników dla zdobycia karczmy za bramą Opatowską i adjutanta swego, Jordana, ze stu ludźmi na baterię szóstą i siódową.

Przybiegły na miejsce wskazane, Rafał zastał już wśród obrońców zamieszanie. Piechota austryacka,

łszy się po okrągłym pagórkiku od strony Wisły i starej Krakowskiej bramy murowanej, usiłowała zdobyć szańce, jeszcze przez generała Egermana sypane. Kompania pułku dwunastego, ukryta za nasypem, biła się już z napastnikami na bagnety. Niewyćwiczeni chłopi Gintulta, poumieszczani w oknach i korytarzach klasztoru, na poddaszach i w dymnikach, na wieży i za murem, strzelali, ile wlażło.

Sam księże, nie mając żadnej broni, z laską w ręku przechadzał się między tłumem, udzielając rad i wskazówek nietylko żołnierzom, ale i oficerom. Ruchy jego były zgorączkowane, słowa gwałtowne i nieopatrzone. Wchodził w środek szeregów, krzyczał, łajał, rozkazywał. Kiedy Olbromski przebiegał obwód umociony w poszukiwaniu dowódcy oddziału, któremuby zakomunikował rozkazy generała, jakiś oficer pociągnął go za połę i, wskazując księcia, mówił:

— Czy nie mógłbyś, panie adjutancie, zabrać ze sobą tego Don Kichota?

— Równie dobrze waćpan możesz go zabrać, gdzie wola...

— Łazi tu i rozporządza się, jak ekonom. Jeszcze mu kto przez omyłkę w łeb strzeli.

— Gdzie ja go wezmę?

— Zamknij go w kapiicy św. Jacka.

— To go sobie waćpan zamykaj!

Najbardziej napastowany był wysunięty narożnik szańczyka. Żołnierze austriaccy wdarli się już nań masą, postrącali puste beczki i powyrywali pale. Garstka żołnierzy polskich zmagała się z nimi ze wszech sił, ale nie była zdolna odtrącić naporu masy. Oficerowie wiedzieli, że tego miejsca nie utrzymają bez pomocy.

Tymczasem adjutant generała przyniósł im wiadomość, że pomocy nie otrzymają. Księże Gintułt skoczył w stracony wyłom i podniecał żołnierzy krzykiem do oporu. Tak pchając ich pięściami do czynu i faktycznie dowodząc, zagradał drogę. Widząc, że spracowani żołnierze nie są już zdolni dotrzymywać placu, chwycił z ziemi karabin i w gronie kilkunastu wołyżerów po-

skoczył w fatalny kąt. Zwarli się tam bagnetem z piechurami Schöcklera. Z początku cofnięto się przed ich wilczymi susami, ale chwilę trwała niepewność. Gintuł pośliznął się na ruchomych glinach i runął na twarz w rów za wałem. W mgnieniu oka rzuciło się na niego z dziesięciu chłopa, żeby go żywcem pojmać. Ale się nie dał. Wstał w błocie rowu na kolana i gołemi rękoma zaczął się szarpać z pijanem żołdactwem. Krzyczał o ratunek, widząc, że kilku żołnierzy, co mu na pomoc skoczyli, broni się pod nasypem. Ale i tamci wnet zostali przez tłum obezwładnieni. Wtedy opanowała go śmiertelna podnietka. Huknął pierwszego z brzegu draba między oczy, w piersi drugiego. Targnął się z kupy całą siłą. Nie dał rady. Powtórnie runął w błoto rowu, na wznak, czując, że traci siły. Plunął w pysk najbliższemu, który go kadłubem swoim całkowicie przywalił. Charknął mu w ślepie:

— Prędzej morduj, chamie!

Ale oto ów żołdak garścią zasłania mu usta. Coś do niego szepce, coś sekretnie gada. Jąka się, jąka... Książę otwarł oczy. Nie może pochwycić tchu...

— Cichaj... cichaj... jaśnie panie... — szepce ów żołdak austriacki. — Nie waż się ruszać!

Gintuł przymknął oczy. Pękały mu zduszone piersi. Piorunem leciała myśl, szukając miejsca, czasu, wypadków, kiedy on widział tę gębę, słyszał ten głos. Znalazła wreszcie...

— Nie inaczej... Piotra Olbromskiego sekundant... cha-cha...

Naokoło szczęk karabinów, wrzask, tupot nóg... Depią po nich, leżących w rowie, walą się w jamę zdob

bytą. W szańcu krzyk, zgiełk, strzały, łomot pustych beczek, kamieni, padanie gruzu.

— Ktoś ty — wyjącał książe.

— Cichaj!

Mijały tak minuty długie, jak stulecia. W pewnej chwili, wysłuchawszy, że główna masa wojska wtargnęła do wnętrza szańca, Michcik dźwignął się z ziemi, obejrzał wokoło i jednym szarpięciem wywłókił księcia z rowu. Chyżym krokiem, nie nagabywani przez żołdaków, którzy pędzili na zdobycie szańca, pobiegli, poskoczyli obaj fosą zachodnią aż do końca murów klasztornych. Tam pochwyceni zostali przez chłopów Gintulta, zaczajonych w poprzecznym parowie. Wnet byli w ich tłumie. Książę dał się poznać i niezwłocznie zeszedł z Micheikiem na dno wąwozu. Już w ten wąwóz z obwodu murów świętego Jakuba wywalał się tłum żołnierzy i chłopów pod parciem zdobywczej kolumny austriackiej. Nadaremnie usiłowali przedostać się do kościoła. Wir masz ludzkiej rozbitej i pędzonej, odepchnął ich w głąb rozpadliny.

Stamtąd słyszeli, co się dzieje... Oto środkiem tłumu biegł z gołą szpadą oficer komenderujący i szykował lud żołnierski w kolumnę, których weszła w obręb baterii czwartej świętego Pawła. Oficerowie młodsi, stosownie do rozkazu, opróżniali teraz mury klasztoru świętego Jakuba. Jednego z nich książe zaczepił niezwłocznie w sposób ostry i wyzywający: czemu to zamiast ludzi pędzić na obronę starej świątyni, on ich właśnie stamtąd z takim mestwem wywólczy? Oficer spojrzał na niego z góry i mruknął, żeby się odczepić:

— Kamień na kamieniu za godzinę z tych murów nie pozostanie. Jakże mam ludzi w nich trzymać!

— Czemuż to ma z tych murów kamień na kamieniu nie pozostać?

— Bo będą z naszych baterii armatami zdruzgotane. Wzięły klasztor Austryaki, ale w nim zginą.

Książę, nie słuchając dłużej, pobiegł pędem ku górze. Michcik dążył za nim. Gdy tak Gintułt wbiegał po gliniastych stopniach, miał chwilę samowiedzy, że już raz spełniał coś podobnego, że fatalność nieunikniona czeka na niego u szczytu tej góry. Wiedział, że źle czyni sobie, czuł gorzki żal, że biedz musi... Ale gniew nie dał mu stanąć. Zwalany błotem, bez czapki, z rozwianym włosem mijał baterię. Ludzie, stojący w milczeniu u armat i strzelnic, zwierzali sobie myśl, że musi być bardzo źle, że to, widać, zwiastun nieszczęścia. Książę dopadł miejsca generalskiego w tej właśnie chwili, kiedy wydane zostały rozkazy zburzenia starego kościoła, żeby z niego nogą austriacką w wąwoź nie zeszła.

Kanonierowie wyrychtowali działa na łożach. Z zapalonymi lontami czekali na komendę ogniomistrzów. Sokolnicki stał bez ruchu z lunetą przy oczach i lustrował jeszcze kościół. Świątynia stała przed nim w łunie, blasku ognistym, zgrzybiała, straszna, jakoby grobowiec, na który niemasz dość potężnej siły, któraby go tknąć mogła. Oto przybiegły zdyszany adjutant Rafał Olbromski i zdawał sprawę, że wszystka siła wyszła z murów świętego Jakóba, że już jest w baterii »numer czwarty«, że tam ledwie i tych sił połączonych starczy do obrony, że opuszczone mury nieprzyjaciel zapełnił, że ciągnie działa w obręb klasztoru, aby stamtąd bić w Sandomierz. Generał sknął głową i złożył lunetę. Gintułt stanął przed nim.

— Czego? — krzyknął Sokolnicki.

— Święty Jakób ma być zburzony?

— Kto waści wzywał do mnie?

— Nikt mnie nie wzywał.

— A więc?...

— Przychodzę zapytać się...

— Pal! — rzekł Sokolnicki, odtrącając natręta.

Nim komenda została powtórzona, Gintułt schwycał generała za rękę, za ramię... Błagał go z krzykiem:

— Patrz! Świeci się cała...

Rozległ się pierwszy strzał.

-- Wstrzymaj rozkaz, generale! Zbierz wszystkie siły, uderz na tę pozycję, jeszcze ją wydrzesz!

— Nie mam sił żadnych... — mruknął generał, oszołomiony napaścią.

— Masz pięć tysięcy ludzi!

— Idź precz, człowieku!

Huknął strzał drugi i trzeci.

— Święte popioły rujnujesz i depcesz... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule! Patrz!

— Widzę nie gorzej od waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszałeś?

— Nie zburzysz!

Nowe rozległy się strzały. Gintułt chwycił Sokolnickiego za piersi, krzycząc, żeby kazał zaprzestać. Oficerowie przyboczni oderwali go siłą i odepchnęli. Wtedy wściekły bezrozumnej skoczył ku armatom, wydał z rąk kanoniera lont zapalony i cisnął go na ziemię. Oniemiały żołnierz stał bez ruchu. Książę przypadł do drugiego... Ale oto oficer sekcyjny pchnął go szpadą w piersi. Żołnierze odtrącili rozszalałego wyciorami. Jękiły armaty od strzałów.

— Żołnierze! -- krzyczał Gintult, leżący na ziemi -- nie słuchajcie tego rozkazu! Żołnierze, żołnierze...

Huk wystrzałów był mu odpowiedzią. Wtedy książę zebrał ostatek sił i zwołał z całej mocy cielesnej i ze wszystkiej mocy ducha:

— Do mnie, dzieci wdowy!

Rafał Olbromski usłyszał ten okrzyk, jak trzask piorunu. Straszna trwoga włosy mu zjeżyła na głowie. Ujrzał w duszy swej moc przysięgi na ten okrzyk i pętle jej czarodziejstwa uczuł na sobie. Bez tchu, z bielmem na oczach wyrwał pałasz z pochwy i przyskoczył do księcia. Ten spojrzał na niego półmartwemi oczyma i rozkazał:

— Wydrzyj im lonty i zgaś! Nie daj świętych popiołów!

Rafał rzucił się na kanoniera i wyrwał mu lont z ręki. Rzucił się na drugiego i wyrwał mu lont z ręki. Skoczył ku trzeciemu, ale w tej chwili runął na ziemię, powalony ciosami szabel i pięści.

Kiedy po jakimś czasie przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży pod murem, w wązkiej uliczce, która prowadziła na sandomierski rynek. Obok niego leżał skrwawiony książę. Kilku żołnierzy przebiegło tamtędy. Dał się słyszeć łoskot strzałów karabinowych, trzask dalekiego pożaru... Ktoś podłożył ręce pod głowę Rafała, dźwignął go z ziemi i posadził na kamieniu. Schyliła się nad nim twarz jednego z kolegów. Człowiek ten szepce z pośpiechem:

— Uchodź stąd! Skryj się co tchu! Za chwilę będziesz rozstrzelany, jeśli nie ujdziesz. Już cię szukają... Umykaj!

Rafał zrozumiał tę radę. Powiodł oczyma po ziemi. To książę Gintułt... Nad nim pochyla się i twarz mu wodą ocierą żołnierz austriacki. Cóż to ma znaczyć?... Po chwili ów żołnierz bierze księcia na bary, zadaje go sobie na plecy, jego samego ciągnie za rękaw. Idą wraz, biegna... Pożar przed nimi. Olbrzymie zgłiszcza rodzą biały dym i lotne perzyny... Idą, jak we śnie, między domy spalone już do przyciesi, między stosy główni kopiących. Z gór Pieprzowych biją w miasto armaty, z za Wisły padają wciąż brandkugle, z pól sandomierskich puszczone świszczą nad miastem pociski. Wokoło nigdzie żywego człowieka... Rafał, a za nim żołnierz, niosący księcia, biegna w podskokach, rooglądając się, lustrując miejsce. Zawrócili w jakiś brukowski dziedziniec, czy na cmentarz kościelny, którego po spaleniu okolicznych budowli nie było sposobu rozpoznać. Przyszli naoślep do okrągłego ogrójca, czy kostnicy w głębi długiego podwórza. Pchnęli drzwi, zowane na zardzewiałą klamkę, i po schodach napoły zburzonych zbiegli w głąb ciemnego lochu. Ujrzeli w podziemiu tem skupionych ludzi. Kobiety, siedzące w kucki nad kołyskami, powitały ich krzykiem przerżenia, dzieci kryły się po kątach. Michcik dał im znak ręką, żeby milczały. Rozejrzawszy się w mroku, ujrzał dalszy ciąg tego podziemnego korytarza. Tam poszli. Zagradzały im drogę kupy kamienia, zwalonego ze sklepień. Szli chyłkiem przez duszne otwory, przez szerokie jaskinie, przez bramy i ciasne korytarze, w gęstym mroku. Aż oto w jednym miejscu przyjmie ich światło! Zimne, czystsze powietrze... Ujrzeli w górze sklepienia zakratowane okienko. Strudzony żołnierz złożył księcia na

ziemi. Ściągnął ze siebie zwinięty płaszcz i rzucił go na mokre pokłady gliny, odpasał broń... Gintułta ułożył na płaszczu, Rafała obok. Sam usiadł w kącie.

Książę zwolna przychodził do siebie. Ciężko dyszał i kaszlał, bezsilnie rzęzał. Olbromski rozejrzał się wokoło. Zrazu widział tylko szarą, jakby posiwałą gęstwinę mroku. Ze szpary okiennej padała jednolita smuga półblasku, w dole rozpraszała się i nicestwiała. Ale gdy oczy przywykły do mroku, dojrzał w głębi jakoby wzgórze szare, jakoby kopiec pochyły...

Wstał ze swego miejsca i podszedł bliżej. Wielka w głębi pieczara była zawalona kościami ludzktimi. Nikłe światło dawało widzieć czoła czaszek i kości policzków. Po ustach uśmiechniętych bolesnie wiodło nici półjasne, ukazywało skurczone palce i bojowo wyciągnięte piszczele rąk. Zadrżały przychodzień, bo mu się zdało, że góra kości śmieje się z niego w ciszy...

NAROŻNA IZBA.

W nocy 30 czerwca, po zupełnym opuszczeniu Sandomierza przez Austryaków, którzy go na mocy kapitulacyi 19 czerwca posiedli, Rafał Olbromski, książę Gintułt i żołnierz Michcik cichaczem wymknęli się z miasta. Właśnie mieli je zająć kozacy, przeprawiający się na łodziach z za Wisły. Michcik, przebrany w mundur ułana Dziewanowskiego, zdobył gdzieś w mieście konia-chabetę i wystarał się o lepszego dla Rafała. Ułański płaszcz, związany między kulbakami koni, służył za łoże dla ciężko chorego księcia. Wyjeżdżali nad ranem przez Krakowską bramę. Dość już było światła, żeby Rafał mógł dojrzeć, co się stało z miastem. Ani śladu palisad! Wszystko zrównane z ziemią i spalone na stosach. Doły i rowy, pracowicie pokopane, zawalone, szańców ani śladu. Przez chwilę czuł w sobie gniew, gniew najbardziej ludzki, na widok ogromnej pracy, zniweczonej bez śladu. Ale zmiażdżył go w sobie młotem potężnej myсли:

— Teraz do Tarnin!

W skok zjechali z góry. W mieście bezpańskiem, bezbronnem i spalonem nikt ich tej nocy o hasło nie

pytał. Zorza ranna, szerząca się nad rozdrożem Wisły, dawała widzieć zgliszczą wszędzy, ziemię zjeżdżoną armatami, stratowane zboża. Pomknęli ku Samborcowi co pary w koniach, żeby przed jasnym dniem wjechać między pola, w wąwozy. Słońce wschodziło, kiedy za Goryczanami wzięli się na prawo w wąwoziki i wjechali w mylne i wązkie drogi. W dali, w dali na wzgórzu widać było Tarniny. Konie jeźdźców weszły w kolej i ocierały się bokami. Wyżej przytroczyli płaszcz i podnieśli chorego. Twarz miał koloru ziemi, oczy szkliste. Słowa bez związku snuły się w jego poczerniałych wargach. Rafał marzył, jak o szczęściu, żeby nareszcie, bez szwanku dopaść do domu. W Sandomierzu nie było gdzie trzymać rannego. Szpitale pełne były oficerów i żołnierzy, w prywatnych domach panowała nędza i trwoga. Przytgnęło zresztą do nich obudwu jakieś echo podejrzenia, które towarzyszyło każdemu ich krokowi. W ciągu straszliwych dni kapitulacyi, wyjścia sił polskich w stronę Zawichostu i panowania austriackiego w mieście, Rafał zgłębiał swoje położenie. Jakże się to stało, że z oficera pełnego nadziei, stojącego u szczytu powodzenia, przestoczył się niemal w zdraję, w podkomendnego, który niweczy samowolnie rozkazy swego generała? Jakże się to stać mogło, że, zamiast krzyża zasługi, zarobił sobie dobrowolnie na sąd polowy i prawdopodobnie na haniebną śmierć? Sam to uczynił, o dziwo... Wraca oto znowu w progi domowe nie jak zwycięzca i bohater, o czem tyle lat marzył, lecz jako wymiędzany z list pułkowych... Sam to uczynił... Myślał o tem, patrząc na zboża rodzinne, falujące jak daleko oko sięgnie, na niwy sandomierskiej pszenicy, czarne, zroszone... Skowrończy

chór dzwonił pod niebem... Mgły poranne wstawały z parowów.

Za Chóbrzanami wzięli się w lewo ku Koprzywnicy. Z prawej i lewej strony drogi zboża były pogniecione, wbite w ziemię przez pułki konnicy, idącej pod Połaniec. Z nadzwyczajną pieczęlowitością jeźdzy zbadali lasek sosnowy na wzgórzu, czy w nim aby nie czai się patrol austriacki. Ale las był pusty, pełen tylko woni żywicznej, błękitnej mgły i poświstu zieb. Co siły w koniach, zjechali w dolinę Koprzywianki i zbliżyli się do miejsca. Ogród rodzinny przed oczyma Rafała! Cały w gęstym obłoku... Środkiem jego biegnie w dół, po zboczu góry aleja wiśni łutówek. Wszystka rubinowa od niezmiernej masy owocu, wszystka skąpana w barwie, nad wszelkie słowo uroczej. Wilgi wykrzykują w gęstwinach starych wiśni o spękanej korze, o liściu miękkim i miłym, jak włosy kobiece, sroki i wrony na szczytach drzew wyjadają już pracowicie od wczesnego rana, nim ludzie na dobre się zbudzą, niezrównany owoc. Cień jeszcze w sadzie, czad od tysiąca nocnych zapachów, mrok pod okapami wielkich jabłonek, przy pniach grusz, których owoce już ciągną gałęzie ku ziemi. Chmiel dziki wyrósł bujnie, nieznany oczom Rafała dziwaczny przybysz, rozwlókł się po zmurszałych balasach płotu i zarzuca nici swe na gałęzie sąsiedniej jodły. Dzikie drzewa wyrosły na podziw. Młody modrzew buja wierzchołkiem w lazurze nieba, a lśniące liście klonu, ciemne liście włojskiego orzecha poranny wiatr przegina. Z głębi, z rozdroju zapachniały grzędy truskawek. Tam, jeszcze dalej, gęstwina malin nieprzebyta, wielki jałowiec, urwisko i czub starego brzostu...

Szybko wjechali po wzgórzu, obok dwu wypróchniałych siostrzyc-wierzb na dziedziniec. Już w ganku siedział na drewnianym zydelku stary pan Olbromski w swej wyszarzanej bekieszy i odwiecznej rogatywce. Ujrzał znagłą jeźdźców, zerwał się na równe nogi z najoczywistszym zamiarem wykonania przezornej reiterady. Ale już było za późno. Zstępował tedy ze stopni z brwią namarszczoną, zły i srogi. Czapkę na głowie ręką miętosił, niby to z gotowością do ukłonu. Piorunem oka przesywał przybyszów. Ale naraz w zgrzybiałej, jakoby pleśnią pokrytej twarzy coś błysnie... Kurcz stuli usta... Szlocha starzec na piersi synowskiej, jak dziecko...

Krzyk powstał w całym domu. Poczęły wychylać się kobiece figury, wyległa służba. Oto matka... Staruszka, babinka, ledwie ją można poznać... Twarz cała w zmarszczkach i fałdach, oczy wypełzłe ledwie patrzą. Zofka! Ogromna kobieta, napół ubrana, przy nadziei w jakim ósmym miesiącu.

Wszyscy ledwie mieli czas ochłonąć z uniesienia na widok Rafała, a już w zdumieniu słuchali wieści, że mają dać gościnę rannemu księciu Gintułtowi. Gwałt powstał w całym domu, bieganie, znoszenie pościeli do izby narożnej, niegdyś Rafałowej, wołanie służby i rwetes nie do opisania. Na dworze przy koniach, za progiem został jeno sam Michcik. Odziany w mundur ułana, zabitego na sandomierskim placu, wyglądał jak stary wiarus. Oczy jego niespokojnie oblatywały okolicę, pola, wąwozy. Księcia wniesiono do izdebki i ułożono na czystej, wysoko zasianej pościeli. Otwarte okno wpuściło do stancji woń różaną. On leżał z przymkniętymi oczyma,

napół przytomny, patrzący w jeden kąt. Czoło miał jednostajnie, nieodmiennie zmarszczone, jakby nad tą samą wciąż myślą głęboko, głęboko się biedził. Dawnie golony, siwiejący zarost oblókł wargi, policzki, podbródek i uczynił z niego starca.

Wszyscy wyszli w nadzieję, że chory będzie spał. Chciano niby obmyślić dla tak wielkiego gościa posiłek jak najlepszy, najbardziej leczniczy; chciano powziąć wiadomość o wszystkiem naraz, a w gruncie rzeczy usiłowanego tylko bez przeskody patrzeć w Rafała. Staruszko-wie obstąpili syna z dwu stron, zagarnęli pod światło okna. Wycierają do sucha oczy, żeby jak najlepiej widać, nastawiają ogłuchłe uszy, żeby zaś czego ze słów nie uronić... Drepcą na miejscu, podglądając...

Tymczasem Zofka minęła powtórnie w sposób sekretny sień, prowadzącą do izby rannego. Uchyliła drzwi, zajrzała przez szczelinkę. Leżał tak samo ze zmarszczonem czołem, z zagryzioną wargą, wszystek w jedną jakąś myśl okuty, jak w kajdany. Wsunęła się za drzwi bez szelestu, wtuliła w kąt wedle pieca. Patrzy weń, patrzy, napatrzyć się nie może... Przed rokiem wydali ją za mąż za konkurenta, za przyjezdnego kawalera, za sąsiada, który stanowił dla niej partyę. Myśli sobie teraz o tem. Była narzeczoną, uszyli jej wyprawę, sprawili huczne wesele z muzyką i tańcami, był ślub, ociepiny, przenosiny. Wszystko, jak sen. Teraz jest w ciąży... I dopiero w takiej chwili zjawia się przed nią jej »książę«... Tenże to jest człowiek, którego we snach i radosnych jawach dziewczycznych widywała? Toż to jest marzenie jej spełnione? Książę leży w tej izbie, gdzie tylekroć o nim po nocach śniła.

Czemuż stało się tak właśnie, a nie inaczej?...

Wtem struchlała ze wstydu! Zmarszczki żelazne na jego czole zaczęły się rozchodzić, rozpływać, jak chmury od łagodnego wiatru pod słońcem. Uśmiech, niby jutrzenka daleka, zajaśniał na ustach i twarz rozwidnił. Tylko oczy zostały szkliste i nic nie widzące. W całym obliczu odbiło się ukojenie, spłynęła na nie łaska ciszy i błogosławiony chryzmat pociechy. Zgrabiące, bezwładnie ręce zsuwają się ku sobie, palce jednej dłoni zaplątają bez sił na palce drugiej... Obiedwie przycisną piersi, ciężko dyszące. Usta szepcą wyrazy, które w ucho Zofki padają wyraźnie, jasno, kwieciście. Zda się jej przez chwilę, że rozumie wszystko, co szeptają do siebie te wargi, że to już dawno słyszała, że wie doskonale...

Powtórzył te słowa, powtórzył drugi raz i jeszcze:

*»ad Rosam per Crucem,
ad Crucem per Rosam!*

*In ea, in eis
gemmatus resurgam...«*

Przytuliła się do ściany i przemieniła w cień nic nie wiedzący, a przecie wierny aż do ostatniego kroku...

Wtem poza domem rozległ się przeraźliwy krzyk. Zofka buchnęła we drzwi. Rafał biegł na dwór, wdziewając po drodze czapkę i zapinając rzemienne pasy uzbrojenia. Michcik wskazywał w oddali, po drugiej stronie rozdrożu Koprzywianki austryacką konnicę i piechotę, które wolno zmierzały w tę stronę. Skoczyli obadwaj do koni. Ale zarówno koń Rafała, jak Michcika, był zgrzany, robił bokami i dymił się jeszcze z trudu. Stary Olbromski dreptał za synem, przynaglając go do

pośpiechu. Oczy starca padły na zbiedzone konie obudwu jeźdźców. Coś począł krzyczeć... Pobiegł nagle ku stajni, rozkazując:

— Michcik! Michcik! Dawaj tu szkapy... Żywo!

Obadwaj z Rafałem pośpieszyli za starcem. On tymczasem trzęsącemi się rękoma rozwarł drzwi stajenne takim ruchem, jakby ze siebie wyrywał wnętrzności. Wołał:

— Wałacha gniadego pod panicza! Sobie tę siwą klacz zabieraj! Żywo! Nie stój! Tyś to mi syna Piotra zratował... Przepinaj siodło... Żywo! już ich widać...

Michcik okiełznał przepyszne konie, wyhodowane pod pańskiem okiem, w ciemności, wypielęgnowane na chlebie i owsie, a chabety, na których przybyli, wprowadził w grudze. Rafał zapinał popręgi. Za chwilę siedzieli w siodłach.

Wparli ostrogi w boki biegunów.

— Michcik! — krzyczy jeszcze starzec: — Bóg-że ci zapłacić... Broń mi chłopca!...

Usłyszeli za sobą dziadowskie łkanie, ujrzelii wyciągnięte z ganku ręce.

Wypadli z podwórza olbrzymimi susami w wąwozik kole cmentarza, stamtąd na płaszczyznę i w zielone, jasne, szerokie pola. Ku Klimontowu! W konie! Lecą, jak ów ranny wicher na skrzydłach wiatronogich koni, ścigani dalekim krzykiem austryackim... Aby jeno do lasów góreckich! aby jeno do lasów!

POD ŁYSICĄ.

Po stracie miejsca przy boku generała Sokolnickiego wskutek zajść podczas szturmu Sandomierza, Rafał powrócił, jak niepyszny, do swego pułku i na dawne miejsce. Tylko dzięki szybkości wypadków, jak kapitulacja i wymarsz załogi sandomierskiej do Puław, udało mu się wyjść niepostrzeżenie z całej afery bez sądu, degradacyi i gorszych następstw.

W dniu 4-ym lipca, kiedy wszystkie siły polskie wyruszyły z Radomia na południe w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, Olbromski na czele kilkudziesięciu ułanów ze swego szwadronu szedł na szpicy przedniej straży kawaleryjskiej w Świętokrzyskie góry od strony Kunowa. Minął szybko Bodzentyn, przez który dopiero co przeciągnęła znaczna siła austriacka, i wkroczył ostrożnie w lasy. Zrazu wziął się na prawo przez wieś Psary, ażeby uniknąć głównego gościńca, gdzie mógł łatwo zetknąć się z maruderami Mondeta. Chłopi okoliczni zawiadomili go, że wojsko austriackie poszło gościńcem i, że zabiegając mu drogę z poza góry Strawczanej, tem łatwiej może się zetknąć z siłami i być za-

skoczonym w lesie. Ruszył tedy wolnym gościńcem wprost na Wzorki i Świętą Katarzynę.

Mący letni deszczyczek-kapuśniaczek. Chłodne łąki w smugach i gozdach leśnych jeszcze nie były pokoszone całkowicie. Dopiero gdzieniegdzie pachniało siano przewidłe. Jeszcze się słyszały po łąkach najczarowniejsze leśne smółki, kosaćce, jaskółki i koniczyny. Śniade dymy rzadkich, dzystych obłoków wałęsały się nizko po lasach, po łańcuchu gór, po puszczy zbójeckiej. Łysica rozwinęła przed jadącym oddziałkiem żołnierzy swoją granatową delię, utkaną jasnemi kępami buków. Tam i sam wzbijały się ku górze powłoczyste smugi chmur, jakoby dech żywego, idący w niebo ze świętych buków. Ciągnęły się blisko mokre tumany między konarami przedawnych jodeł, ukazując zdumionym oczom ich tytaniczne kolumny i rozpostarty ponad niemi czarny strop z koron wielkolasu. Im bardziej się zbliżali do góry, tem bardziej pachniała knieja. Stanęła przed oczyma jej glebia wewnętrzna, jej gleba dziwna pełna wypłókanych kamików, porosłych rdzą, rudzinną i zielonkowatą pleśnią, jej pochyła górska ziemia, którą we władzę wzięły olbrzymie korzenie. Naokoło stanęły odziemki jodłowe, pokryte barwą przyćmionego srebra. Z północnej strony zwisły na każdym kożuchy mchów twardych i suchych o barwie jaspisu, kosmate i potargane brody a kłaki. W wilgotnym wietrze zachodnim zagrały szerokie igły, spławów, rozkołyzały się chwianiem rytmicznem, poczęły przeginać ogromne piętra gałęzi, a szyszki wzniezione do góry wylały tajemnicę swej woni. Zięby po gęstwinach poświstyszywały...

Oddziałek konny wyminał leśnictwo na Wzorkach,

wioskę tejże nazwy leśną, zbudowaną w głębi puszczy, siedlisko ludzi krzepkich, jak jodły, i twardych jak buki. Grunt był ku górze coraz twardszy, złożony z krwawego, łamliwego kamika. Ukazał się w ciemnicy jodłowej wyniosły, czworogroniasty słup wieży klasztoru i białe jego mury. Tuż za kuźnią i za gospodą klasztorną był wysoki parkan ogrodu. Olbromski zaczął za murowanicą oberży i kuźni, stojącemi naprzeciwko siebie, część swego oddziału i podzielił go na dwie partye. Jednej kazał iść dalej drogą aż przed kościołek, a sam na czele drugiej postanowił zbadać niepostrzeżenie dziedzinę klasztorne, czy w nich niema Austryaków. Zsiadł z konia i to samo kazał uczynić dziesiątkowi jeźdźców. Jedenasty został przy koniach ukryty za oberżą. Na dany znak przez trębacza miał z koimi w las uciekać na lewo, aż do wskazanej polanki. Rafał na czele swoich przeskoczył przez wysoki z daszkiem parkan tuż za oberżą i znalazł się w ogrodzie. Gdy tam wszedł, opuściła go chęć patrolowania, badania, poszukiwań... Stanął w cichej altanie z dzikich drzew na końcu ogrodu i na chwilę dał wolność duszy. Ujrzał jak gdyby dzieciństwo swoje, śnił o sobie widomy na jawie sen. Był tu w tym ogrodzie małym dzieckiem, a wszystko, wszystko doskonale zapamiętał... Strumień świętego Franciszka, który jest głównym rodzicem Czarnej Nidy, biegnie przez ogród z gwałtem swych małych wód, z siłą i gniewem małych pian. Tam oto spada srebrzystym snopem z drewnianej rynny, wprawionej w ogrodowy mur, tu dudni, jak gdyby wpadał w głębinę pustej stągni, tam z szelistem i szemraniem biegnie przez ogród pod białymi mostkami, pomiędzy korzenie śliwin i gruszu, które słodkie jego

wody wypijają. Dopadł drugiego muru i znowu ujęty w rynnę, wyciosaną w półpniu świerkowym, puszczyony został na wolność.

Z pomiędzy drzew, w wylotach owocowych alejek widniały białe mury. To, co niegdyś tak uderzyło wyobraźnię dziesięcą niezwykłością swoją, uderzało i dziś z tą samą siłą...

Klasztor! Z podziwem, zdumieniem i dawnym lękiem patrzał na owo ziszczone wspomnienie dzieciństwa. Te same szare skarpy rozkraczone, wyrażające niesłyshany wysił, moc, chłopskie podsadzanie się ze wszej potęgi. Te same kamienie, co od zwietrzenia już to stały się czarne i okryte rdzą, jak żelazo, już, zlawowane, powlekły się białą, niezniszczalną polewą i stały podobne do kafla wiecznotrwałego. Nad skarpami ściany zimne i wysokie, z małemi pod dachem oknami. Zła myśl nieci uśmiech, kiedy się duma mimowoli nad owym celem, który kazał okienka zakonic umieszczać tak wysoko. Zła myśl przewija się i, sama siebie za-wstydzając, chykiem wbiega kędyś w gęste zastępy owocowych drzew, między rabaty kwiatowe, gdzie wysmukłe lilie o strzępiastych i rozprysłych płatkach kielichów, o brunatnych pylnikach i lepkim, żółtawym soku, wylewają odór czystości. Plamy wilgotne w naróżnikach muru, niby cień wiecznie obecny czyha na białość wapiennych ścian, podobnie, jak szyderstwo czyha na zachwyt, podobnie, jak tłusta drwina czyha na dziewiczość uniesienia. Blaszane rynny przy dachu, przyrząd tak niezwykły w tych stronach... Albowiem w tych stronach nieznane jest jeszcze nic, coby było wymysłem ku udogodnieniu życia. Wszystko tu jest

jeszcze, jak za Chrobrego króla, jak za króla Krzywoustego, albo Mnicha. Pierwszy tu cbrąz domu murowanego z kamienia przyniosły mniszki za Bodzanty, kościoelnego księcia i łowcy, miłośnika tych puszczy dzikich. Drogę, która w te miejsca prowadzi, mniszkom należy zawdzięczyć i cudny sad w dzikim boru, na kamienistym, zimnym gruncie. Im należy zawdzięczyć okrzesanie wioskowego ludu po siołach, tępienie przez szceregi wieków świętokrzyskiego zbójectwa, im założenie pierwszych sadów przy leśnych izbach, uprawę warzyw po lechach, naukę tkania szmat z wełny i haftowania Inianych chust.

Żołnierze przebiegli prędko ogród i wydostali się na obszerny dziedziniec. Stajnie klasztorne i podwórza były puste, ale wzduż płotu znać było ślady popasu konnicy. Na środku jeszcze się tliły ogniska obozowe. Schwytali w stajni parobka i powzięli szybką wiadomość, że w nocy, nad samym rankiem stało w klasztorze wojsko niemieckie piesze i konne, że oficerowie kazali sobie dać jeść w refektarzu, a potem wszystko poszło ku Kielcom, ino gdzieś po drodze tego strzelały.

Zbadawszy wszystko dokładnie, Rafał poszedł na spotkanie drugiej połowy swych sił, która miała czekać przed kościołem. Zmierzał przez wirydarzyk między murem odpolnym a ścianą kościoła. Gruszki tam rosły, osłonięte od wiatru, i wygrzewały się w cieple zacisza. Biała brzoza uderzała długimi splotami gałęzi w żelazne pręty kościoelnego okienka. A okienko, okienko... Wydłubane w murze niewiarogodnej grubości, półokrągłe u góry, zaplecione tarciną kraty. Istna strzelnicza przeciwko Jadźwingom...

Nagle wspomnienie oblało duszę... Toż przez to okienko wdarł się ciemną nocą złodziej-świętokeradca, kraty porozginał i wyrwał, złupał nożem spróchniałą szafkę cyboryum i ukradł kielich złoty. Drżą jeszcze w uszach straszliwe sylaby słów kapelana, kiedy w niedzielny dzień stoi na nizkiej ambonie i opowiada ludowi z górskich wsi o tem, co się stało w świątyni. Błady, ze zwieszoną na piersi głową, usta sobie stula zakrywa... A stula mu w ręku drży.

Lud wszystek wzducha i szlocha. Gdy księżyna wskazał z drżeniem na okno i wylemane kraty, wszyskie się oczy na to okno obrócią, wybladłe milczenie zalega ciżbę. Oto rozwija sukienkę kielicha i pokazuje, że święte komunikanty złodziej w nią zawiązał i na ołtarzu pożucił. Wtedy ów jęk i trwoga...

Lud pada na twarz i boi się wszystek, a grube mury kościoła w posadach swoich drżą. Któzby się zdziwił, ktożby wyrzekał, gdyby sklepienie zwaliło się wówczas i wieża leżących przytłukła? A później a później... Kapelan po mszy wynosi monstrancję i intonuje pieśń, a sam przez świętą Hostię patrzy w tłum. Jest głuchoniema wiara w tym tłumie, że w takiej chwili kapelan wszystkie zbrodnie ludzkie widzi jak na dłoni. Ale milczy, milczy aż do grobu. Widzi **eto** w tej chwili człowieka, co kraty wyłamał i święte komunikanty w sukience od kielicha rzucił, widzi go jasno przed sobą, ale palcem wskazać nie może...

Serce struchłatego dziecka łomoce pod mundurem ułana i niewymowna trwoga żelaznymi obęgiąściaka piersi, gdy wchodzą tłem szumnym w progi kościoła. Jakże wydaje się nizki i mały! jakże ubogi

i ciasny! Wszystko w nim z grubąśnego kamienia, mur wszędzie prostacki, krzywy.

Przy wejściu kropielnica, wydłubana w głazie kwarcytu. W głębi, pod amboną, pomnik rycerza śpiącego w zbroi, wykuty przed wiekami w pięknym, włoskim marmurze, a teraz poczciwie i pracowicie zabielony wapnem i zabieliany rok rocznie z troskliwością na każde godne święta.

W miejscu szumnego napisu pod leżącą postacią rycerza znać w wapnie wgłębiania liter, co żadną miarą nie dały się zabielić... *Sic transit gloria mundi...*

W ołtarzu wyzłociony posązek świętej Katarzyny, która trzyma w ręce koło swego męczeństwa i królewski miecz. Tak jej niegdyś tego złotego miecza zdrościły dziecięce oczy!...

Nad ołtarzem znowu dwa okienka — strzelnice Fioletowy smętek osiadł na starych, czerniających obrazach. Słyszać w ciszy jakowyś szept... Jest to może ćwierkanie piskląt w gniazdach jaskółczych, a może szelest owej brzozy, co o kraty kościelne włosy swe zielone czesze.

Żołnierze poklekali w środku kościoła, oficer siadł w ławce i zatonął w marzeniu, we wspomnieniach. Podniósł oczy — i drgnął. W szerokiem oknie weneckiego kształtu, które z tajemniczych korytarzów klasztornych na kościół wychodzi, ujrzał trzy cienie. Główy obramowane w kwadraty kwefów zakonnych, w białe z zewnątrz załamanie kornetów okryte ciemnym sukнем... Na piersiach złożone ręce. Oczy nieruchomo... Bolesne, starcze, żółte twarze, jakoby widm z za świata...

Wstał ze swego miejsca i szybko wyszedł z kościoła. Rozkosz mu sprawiało dzwonienie szabli i ostróg, przepych ubioru wojennego w przeciwieństwie do zakonnej szarzyzny i nędzy. Prędko zbiegł po szerokich stopniach między istnemi skałami białych podstaw wieży. Dał rozkaz do wsiadania i sam skoczył na siodło.

— Teraz — marzył — do Wyrw... Do wujaszka Nardzewskiego w gościnę, a potem dalej, na południe...

Pędząc na przedzie, powtarzał sobie ze ścisniętymi zębami wciąż jedno słowo, jak hasło:

— Jaz! Jaz!...

Skokiem wylecieli na gościniec z lasu Łysicy, na pierwsze wzgórze. Ale zaledwie Rafał rzucił okiem w nizinę, zdarł konia i stanął w miejscu, jak skamieniały. Z Wyrw wznoszą się w niebo słupy czarnego dymu! Dworu nie widać, dworu wcale niema, stodół niema... Czerwone zgłiszczę pełga kiedy niekiedy w tem miejscu między czarnemi koronami drzew. Oddział popędził przez pastwiska, przez łąki, przez płoty i wąwozy, co pary w koniach. Przypadli, jak wichura do wsi, w opłotki, na dziedziniec. Wszędzie pustka. Ani jednego człowieka. Ze dworu została tylko kupa zgłiszcz, przyciesi opalonych, twardych głowni modrzewiowych i czarne rumowia piecowisk. W całej dziedzinie tylko murowany lamus ocalał. Ułany wpadły do wnętrza. Słychać było stamtąd ich krzyk. Rafał poskoczył za nimi. Zatoczył się, jak pijany... Ujrzał Nardzewskiego na ziemi w krwawej kałuży, porąbanego szablami tak straszliwie, że z niego tylko ślad człowieka pozostał. Twarz była zmasakrowana, ra-

miona, piersi i ręce pocięte. Ale naokół w pustych sasiekach, na grubych dylach podłogi, przed progiem i za progiem, stały czarne strugi krwi. Stary szlachcic nie za darmo sprzedał swe życie. Rafał przypadł ku niemu ze szlochaniem. Kazał go dźwignąć żołnierzom i wynieść na dwór. Trup już był ostygły. W ręce ścisnął jeszcze swój cudnie dziwerowany pistolet. Żołnierze przetrząśli lamus. Jeden z nich spostrzegł drabinę, wciągniętą pod dach na wiązanie krokwi. Wypatrzyono siedzącego w dymniku człowieka. Ściągnięty na dół, stawiony został przed oblicze oficera. Był to stary Nardzewskiego strzelec, Kacper. Długo się z podejrzliwie przyglądał żołnierzom i oficerowi. Milczał zawzięcie.

— Co się tu stało? — krzyczał nań Olbromski.

— Pana zabili.

— Kto zabił?

— Wojsko.

— Jakie wojsko?

— Niemce.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Przyszły od świętej Katarzyny.

Napchało ich się pełne podwórze, pełny dwór.

— Konnica, czy piechota?

— Była konnica, była i piechota.

— Jak się to stało?

— Kazały wielmożnemu panu, żeby natychmiast śpichlerz otwierał, stodoły to samo, żeby im od śpiżarni klucze dawał! Zarazem poznał, że źle. Pan na mnie kiwnął palcem i raz, dwa kazał przez zęby, żebym leciał we wieś po chłopach. Niech mi, pada, kto

żyje, idzie na pomoc z cepami, z widłami, z siekierą. Ja we drzwi, a tu, słyszę, tych oficerów pan skłał, zmaścił słowem i kazał im, żeby natychmiast precz szły ze dwora!

— Poszli?

— Ale!... poszli! Jakem od sołtysa przez sadek do dworu przyleciał, to już szły na niego ze siablami. Pan wielmożny już wtedy w swoja najgorszą złość weszedł. Uskoczył do malej stancyi i drzwi za sobą zaparł. Dopiero łap za pistolety, za dubeltówkę i przez sadek do lamusa. Mnie kazał wynieść torby z prochem to samo do onego. Wszystkie te oficery za nami! Zatrzaśliśmy drzwi... Pan mi powiada: — Leż w dymnik i bij z góry! Poszedłem i układłem ta nie jednego. Tymczasem drzwi wywaliły. Nie miał się chudziak kady oprzeć...

— Toś go nie mógł bronić, łajdaku!

— Dy ja go bronił, chyla włazło...

— A wieś?

— Wyszły chłopy z chałup, nawet niektóre leciały obces, ale jak do nich wycelowali rzędem, skryły się, psubraty, po zapłociu, a potem w nogi. Ja tu spojrzę bez dziurę w dachu: — dym! Stodoły się pala, ze dwora dym wali! Jezusie, Marya... Ino tego śpichlerza nie mogły podkurzyć... Jak już pan nie zipał, powywłoczyli trupy swoich kamratów za próg, zakopali w dół i poszli ku Kielcom.

— Gdzie leżą?

— Wszystkich za lamusem pogrzebli.

Rafał bezmyślnie poszedł w tę stronę. Ujrzał przed sobą ziemię świeżo narzuconą, wysoki okrągły kopiec.

W GRUZACH.

Zadaniem partyi ułanów pod wodzą kapitana Fi-jałkowskiego, idącej pod Calatayud i Saragosę w drugiej połowie grudnia 1809 roku, było zniszczenie band gerylasów w Aragonii. Partyzant Porlier, zwany Marquesito, przeciął był wszystkie drogi i przesmyki pirenejskie, tamował komunikację wojsk francuskich, przejmował pocztę i unicestwiał wszelkie dostawy. Młody Cedro, który do tej wyprawy należał, ciekawie zdążył ku starej Saldubie. Okolice z północnej strony Burviedro lubił wspominać, jak rodzinne. Piękne w tych wąwozach przeżył czasy. I teraz, w deszcz, wśród wiatru i okrutnej słoły, szedł wesoło, jak niegdyś. Najbliższym celem marszu była już Saragosa. Wyglądał jej z załamań drogi, wlepiął oczy we mgłę. Wreszcie stary Gajkoś mruknął z drugiego szeregu:

— Widać już, widać tamtą juchę.

— Doprawdy? A czegoż to, stary, tak nią nie wierasz?

— Jucha to jest, panie podporuczniku! Ile tam naszego narodu zepsuły za pierwszego oblężenia! Ile tam żółtego kołnierza ziemia zeżarła, a teraz woda gnoi.

— No, i Hiszpanów niemało!

— A co mnie Hiszpanie! Mało ich to? Naszych garsteczka. Gdzie jednego ubędzie, tam ci już dziura na zawsze. Czemże to ją zatkać? Ich kupa zginie, zaraz druga kupa w to miejsce wyrasta.

Po chwili dodał tajemniczym szeptem:

— Paniczu, mnie się widzi, że ja wykrył prawdę.

— No?

— Ony, choć to i chrześcijanie są i katoliki prawowierne, ale nie może inaczej być, tylko, musi, to są Żydzi chrzczone.

— Cóż ty pleciesz?

— Sprawiedliwie! Nieraz ja już trupy ich rewidował na placu. Jużci tegom nie napotkai, żeby były oczywiste Żydzi, bo już snadź za ojców wychrzczone. Dawne wychrzty, jednem słowem. Nawet mi jeden Francuzina z woltyżerów w Toledo gwarzył, jak to tam z nimi było, tylko żem nie mógł wszystkiego wyrozumieć, bo prędko klapał. Skądby zaś tyle tych gerylasów być mogło, żeby się z Żydów nie wywodziły?

Od Xalonu popędzili na wschód pampeluńską drogą, pragnąc zobaczyć, co też się stało? W dolinie nad Ebreim, między oliwami, w pustych niegdyś domach widać już było mieszkańców. Za klasztorem otwarł się przed nimi widok, bo wcalej prawie dolinie drzewa były wycięte. Pniaki tylko stercały. Dopiero na podgórzach z tej i tamtej strony rzeki szarpały liście. Już przed zamczyskiem inkwizycyi dopadli robót ziemnych, wpoprzek przecinających drogę, co prowadzi do kościoła Kapucynów. Te niezmierne prace teraz były już puste i porzucone. Gdzieś niegdyż tylko po nich

wałęsał się szyldwach francuski. Wzięli się w góre i przez pola, skacząc wpoprzek rowów, dosięgli Huerby. Był na niej w jednym miejscu rzucony w górze most. Tedy wydostali się na drogę do Belchite, prowadzącą wprost do bramy Engracia. W zdumieniu i bojaźni cały oddział stawał bez rozkazu. Droga ta, jak wszystkie inne, jak droga z Monte Torrero do świętego Józefa i jak szosa walencka, była po trzykroć przerznięta paralelami, nieprzerwanie idącemi aż ponad Ebro. Stojąc na górze, widzieli olbrzymie prace obleżnicze francuskie. Naprost przed sobą mieli szańce przedmostowe na Huerbie, które zakrywały cały dalszy widok. Na prawej ręce, dookoła klasztoru świętego Józefa, rysowały się zazębienia, gzyzaki, waryackie, napożór, poplątania linii aproszów, podobne do znaków przebiegu gorączki na karcie historyi choroby. Jedna linia tych przykopów biegła w dół, stosując się prawie do zagięcia Huerby, druga szła do niej równolegle, później wypaczała się w rozciągnięte, rozszalałe zęby, przeskoczyła Huerbę i straszliwym znakiem ryła się w złotodajnych niwach na wschodzie, aż pod sam klasztor świętej Moniki. Gdzie oko padło, widać było drogi kryte, szlaki koszokopów, zagłówki, ganki narożne... Dalej jeszcze sięgała linia drugiej równoległej, niezbyt gzyzakowata, zakończona baterią, z której sześć armat biło swego czasu na most i przedmieścia zarzeczne. Podobną figurę krętych rowów i powyginanych nasypów przedstawiały za rzeką Ebro roboty ziemne od wchodu przedmieścia. Wszystko to leżało teraz zaniedbanem pustkowiem, mokło na deszczu jesiennym. Cała ta ziemia była jeszcze żółta, wywrócona

trzewiami do góry. Dumne klasztoru przysiadły. Ze świętego Józefa zostały jeno baszty i dziurawe ściany...

Ułani w milczeniu szli górą na wschód aż do samej rzeki. Dopiero tamtędy wjechali w miasto. Widok, który ich spotkał, gdy wpuszczeni przez szyld-wachów francuskich zbliżyli się do bramy *de Sol*, przeszedł wszystko, co sobie mogli wyobrazić. Ziemia zryta przez forty obronne hiszpańskie za klasztorem świętego Augustyna, porwana w strzępy przez zdradzieckie ich fugasy, odlupane przez kule armatnie powleczenia z cegły, domy spalone, straszne pustki mieszkańców, od których oderwały się frontowe ściany, sufity zwisłe ponad pustką pokojów, dachy zakleszczone... Mijając uniwersytet, widzieli ogromne wyłomy w murach biblioteki, spowodowane przez wybuchy min prochowych. Przez te kanały i pęknięcia murów wywalała się na ulicę rzeka książek. Ulica Cocco była od min i kontrmin porwana. Ułani jechali groźnym zastępem z czapkami na ucho, ze zmarszczoną brwią. Kiedy przybyli przed wylot ulicy Engracia, kapitan Fijałkowski, pod pozorem trudności przebycia terenu i pod pozorem konieczności rozpytania się o rezydencję komendanta placu, kazał oddziałowi stanąć. W gruncie rzeczy chciał się pospołu z towarzyszami przypatrzyć.

Ulica Engracia — znikła. Na jej miejscu wznosiły się góry fantastyczne, coś jakby widok z wyżyny lodowca Rodanu na łańcuchy Alp berneńskich. Klasztor Franciszkanów, roztrzęsiony minami, które cały obszar jego posiadłości aż poza ogrody, aż do klasztoru świętego Tomasza i z drugiej strony do kościoła San Diego objęły strasznem ramieniem, leżał wyrwany z węglów,

zepchnięty z przyciesi, zdruzgotany na szczapy i drzazgi. Szpital obłąkanych, klasztor Panien Jerozolimskich i wszystkie domy dzielnicy aż do uliczki Recogidas stanowiły nieprzejrzane zwalisko. Tu i ówdzie sterczała jeszcze samotna ściana. Tkwili w niej belki, wisiały okna, resztki drzwi... Gdzieś gdzie wznosiły się niewymownie posępne skupienia murów z których narożniki wyrwano minami. Trudno było odgadnąć, do czego służyły ich węgły i sklepienia. Stały teraz przed oczyma jak trupy gnijące. Z całej tej otchłani zniszczenia biła woń trupów, których nikt nie pogrzebał. Rozłożone wupały letnie wznosiły teraz z gruzów powitanie i cześć zwycięzcom.

Cedro wykręcił się na siodle, o bok wsparł rękę i patrzał w zwaliska. Nie przychodziła mu do głowy никакą myśl. Ani jedno wspomnienie nie wałęsało się w pamięci. Trzymał go w żelaznych klubach fizyczny zachwyt. Osłupiałem oczyma włókł się z miejsca na miejsce, utwierdzając w sobie pewność, że to jednak spełnione zostało z potęgą. Wywalili z gruntu tyle mury, jak klasztor franciszkański! Rozsypali w drobny pył głązy, złożone przed wiekami! Strzaskali to, co przetrwało wszystkich emirów maurytańskich, wszystkich *justiszów* i królów Kastylii! Zmiażdżyli dumę Aragonów. Urok potęgi zniszczenia, piękno okrutnej władzy powiało ku niemu z tej dzikiej pustyni. Wojenna duma podzwignęła się w nim na widok leżących gma-chów.

— Upokorzyłaś się, Saragoso... — pomyślał w gęb. siebie. — Złożyłaś broń u nogi obcych przychodniów. Nie stoisz wreszcie przed oczyma ze starodawnym

krzykiem wolności — *avi fuerza!* — z hasłem odwiecznych, a niezliczonych rokoszów twoich. Niezwyciężona, *siempre eroica* — spodlałaś i ty! Leżysz nareszcie w gruzach, a gardziel twoja w pętlicy...

Wysłany po rozkazy *maréchal des logis* wrócił z rozkazem udania się na kwaterę do skasowanego klasztoru świętego Tomasza. Oddział ruszył tam niezwłocznie i rozłożył się po pańsku w obszernych refektarzach i licznych celach. Wyborowe stajnie pomieszczyły wszystkie konie. Oficerowie i żołnierze poszli wnet spać, od tylu czasów po raz pierwszy bezpiecznie i spokojnie.

O zmroku Cedro nabił swe pistolety, wysoko przypiął szabłę i sam jeden poszedł w miasto. Bił deszcz, wicher ze świstem i wyciem leciał ulicami. Bramy były pozamykane, sienie puste. Tylko gdzieś przesuwał się człowiek, z uszami i oczyma zawinięty w opończę. Biały płaszcz, który był Krzysztof przypadkowo zarzucił, zwracał uwagę tych nielicznych przechodniów. Ten i ów z nich stanął w biegu i wiódł oczyma białą postać. Charczące słowo, jakoby zgrzyt ostrza puginału, który z pochwą wyciągnąć się nie da dla zakrzepiej na nim w rdzę krwi — goniło go wskroś mroku:

— *Carajo!*

Ułan nie zwracał na te głosy uwagi i nie raczył skierować głowy, by dostrzедz, kto nań w ciemności szczeeka.

Szedł, zawinięty w swój płaszcz, zadumaný. Widział w marzeniu Olszynę i Stokłosy, dom rodzinny, ojca, Mery i Trepkę. Przywiózł im gościa z dalekiego

Południa. Widział Mery i nieznajomą doncellę, jak rozmawiają w dzień letni pod cieniem wielkich brzóz, których długie korytarze wychodzą w pola zbożowe, w łany żywiące. Azali spodoba się jej kraj północny, azali powita sercem życzliwem ubogi rozdół Wisłoki? Przyjmiesz-że go sercem, dziecię Aragonii? Zrozumiesz-że szept pól żytnich, szelest pożółkłych zagonów owsianych, szum tamecznego lasu i plusk cichy tamtejszej wody? Pojmie-ż ona sennej a mglistej równiny wymowę? Przyniesie między tamtych ludzi ogień i niezłomną dumę, złączy duszę swoją rozpaloną i wzniósłą z ciszą i spokojnością słowiańską. Ona to będzie zarówno i zapałem pod strzechą olszańską! Widział chwilę powitania, prowadził z Trepką rozkoszne spory o tego gościa nowego w Stokłosach. Cha-cha! przewidziałeś dobrze, stary polityku... Przywiozę ci niespodziankę z obcych krajów. Konne polowania z chartami... Pędził w marzeniu polem jesiennem obok niej, słyszał wiatr ścigający się z lotnymi końmi. O, przezroczyste, niezaglębione oczy! o róże jasne tamtej nocy!

Szedł obskoczony przez marzenia, napoły wiedząc, że zdąża ku miejscu, które był zdobywał półtora roku temu. Wszedł w uliczki, pod prostym kątem załamujące się w kierunku klasztoru Franciszkanów. Minął jedną z nich, drugą i wstąpił w trzecią. Nigdzie tu światła nie było, nigdzie śladu ludzkiego życia. Krzysztof tak doskonale poznał odległość od rogu tej ulicy do wejścia w ciemną sień domu w dniu bitwy, że teraz wyczuł ją nieświadomie. Musiał wyciągać ręce, pragnąc dotknąć murów po przeciwległej stronie ulicy. Ale kiedy zaczął iść w tamtym kierunku, potknął się

i uderzył piersiami, kolanem i wreszcie czołem o gruzy. Chropawe, bezkształtne bryły i złomy muru, kupy cegieł otoczyły go ze wszech stron. Dotykał rękoma zwalisk oślizganych od deszczu i mokrych żwirów. Nogi jego wykręcały się w ostrych zębach kamieni, jakby schwytane w żelaza, kolana tłukły się i zbiały o nastawione urwiska. Wstępował coraz wyżej na góre zrujnowaną, na poszarpane zburzyszcze. Szedł zrazu naprzód, potem na prawo i, mocując się z gruzami, lazł jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zapadał w doły, wpełzał na strącone mury, zlatywał w szczeliny, padał na twarz w głębokie jamy, aż wreszcie obszedł w różnych kierunkach tę dzielnicę całą, do Cocco. Wtedy, spracowany ciałem i duchem, zwalił się między kamienie, powiedziawszy sobie, że nic tu już niema. Spadła nań zupełna, dawniejsza obojętność. Czuł tylko spracowanie się ciała i duszy, znużenie i odrażę. Zrzadka rozlegał się w nim śmiech rozeznanego, śmiech nieznośny i przeklęty. Któź wie, myślał obojętnie, leżąc bez ruchu na osypiskach wapnia, może tu ona gdzieś pode mną gniye? Może, gdyby rękoma piach ten rozgrzebać, trafiłoby się na jcy zmiażdżonego trupa. Deszcz spływa między skruszone cegły, między zzieleniały piaskowiec. Kapie brudna woda w jej oczy, rozwarte od wielkiego przerażenia... Zatopiony w sobie, nie czuł siekającego deszczu, nie słyszał wycia wiatru. Ale oto uderzyły go szczególnie dźwięki. Zbudził się jak ze snu twardego. Czuł wstrząsienie ziemi, na której leżał, jakoby dreszcz gruzów i zwalisk. Leniwie podniósł głowę. W pobliżu, gdzieś obok, za urwiskiem ścian słychać było ciężkie łomotanie żelaznych drągów i ciosy kilofa. Krzysztof

słuchał tego przez czas pewien, a później zapomniał, że się rozlegają. Przyszedł do wniosku, że to nędnicy, obdzierający trupy, rozkopują zwaliska — i na tem po-przestał. Leżał tak samo.

Tymczasem ciężkie kroki, szczećk drąga i szepty rozmowy poczęły zbliżać się w jego stronę. Wtedy gniew go dźwignął z ziemi. W nieprzejrzanym mroku nocy zamajaczyło kilka ciemnych figur. Krzysztof wy-ciągnął z za pasa pistolet, odwrócił go i czekał znieruchomiały.

Ludzie nocni szli wolno, zgrzytając po kamieniach podkutemi podeszwami. Poznał z rozległości łoskotu, że jest ich co najmniej pięciu w obrębie zwalisk. W kupie szło trzech. Dojrzałszy, widać, jego płaszcz, stanęli. Wszczęła się cisza. Wicher tylko kwi-çał, latając po złomach. Wtem prędki błysk ślepej latarni, jak gzygak piorunu, padł na figurę Cedry. Wtedy on podniósł pistolet i rzekł spokojnie po francusku:

— Kto tu jest?

Milczenie.

Po chwili drugi, pośpieszny błysk latarni obleciał przestrzeń za Krzysztofem, z prawej strony i z lewej, jakoby gończy pies, szukający, czy są poplecznicy. Jednocześnie ciemne figury rozpierzchły się i rozpływły w mroku w ten sposób, że białą figurę ułana oszczyły ze wszech stron. On wziął na cel pierwszy z brzegu czarny cień, który zdołał uchwycić oczyma. Parękroć razy sprawdził kierunek i szarpnął cyngiel. Echo strzału runęło w rozwalone mury, jak pocisk armatni. Cedro wyrwał drugi pistolet z za pasa. W lewą

garść ujął szabłę. Słyszał obok siebie i za sobą skoki po jękiących kamieniach. Żelazny drąg dosiągnął go i wymacał. Wtedy, odwróciwszy się, Cedro nagle strzelił, przystawiwszy lufę niemal do piersi człowieka, który go chwytał rękoma. Tamten runął na wznak z jękiem śmiertelnym. Krzysztof skoczył przez niego, tnąc szabłą, którą w prawą dłoń chwycił, na prawo, na lewo, w tył i naprzód. Nogi jego wyłamywały się i spadały z kamieni. Walił się na kolana, na ręce, zrywał i odskakiwał od wrogów, którzy go dosięgali. Gruzy, po których uciekał, nie miały końca. Stał się z nich straszliwy labirynt zaułków, ścian, izb i dołów! W jednym z takich Cedro stanął. Czuł po zmienionym głosie wiatru, że się znajduje w ruinach jakiegoś domu. Oparty plecami o resztkę komina, czatował na napastników.

Przyszło z nich dwu w to miejsce i zaświeciли mu wprost w ślepie latarnią. Przez jedno mgnienie żrenicy widziały straszliwe ich twarze. Skoczył susem na obu i ciął oślep pałaszem ze wszystkich sił, czując, że nadeszła okrutna godzina. Ramię jego miotało piorunowe ciosy, krzyżowe i sztychem. Tamci bili weń drągami z góry, żeby od jednego ciosu łeb mu rozważyć. Jeden z nich wrzasnął przeraźliwie i ustał w walce, ale drugi zadawał razy okropne. Krzysztof czuł jego chrząpliwy oddech i odór jego ciała. Idąc za głosem, skoczył na niego tygrysim rzutem, chcąc zadać cios w piersi. Obadwaj runęli na ziemię. Na śmierć dusząc się rękoma i zmagając, tarzali się po kamieniach. Raz Krzysztof był na wierzchu, drugi raz tamten. Główy ich prały w głązy, żeby wszczepiały się w ubrania,

targając je kęsami, ręce, jak żelazne kły, szukały na wzajem gardzieli. Hiszpan był chłop gruby i żelaznej mocy, to też Cedro nie mógł mu sprostać. Ratowała go zwinność i młodość. Wyrywał się co chwila, wyślizgał z okrutnych objęć, rzucał od nowa do gardła ruchami przedszymi od myśli. Bronił się wciąż, szaleenie napadając. Czuł jednak, że nie da rady. Śmiertelny pot go oblał.

Rozpacz rozdarła mózg. Przez mglnienie oka decydował: — wyrwać się i uciekać co sił! Targnął się, wygiął w krzyżu i oderwał. Ale tamten poczuł jego niemoc. Klęczeli teraz obaj na ziemi z twarzą przy twarzy i chwilę czekali na śmierć słabszego. Hiszpan nabrął w piersi tchu i rzucił się pierwszy na Cedrę od razu całym ciałem. Rękoma chciwemi dosiągł jego szyi. W tym to momencie, tarzając się w konwulsyach, zlecieli obaj w jakąś wązką czeluść. Toczyli się po stromych schodach, dusząc się i żrąc wzajem. Na dnie, gdzie przeraźliwy fetor trupów stał nieruchomo, Krzysztof wydał się z rąk zbira. Odruchem, czuciem świeżego tchu, trafił w czeluść schodów i we dwu, trzech susach dopadł powietrza. W tej samej chwili schylił się i porwał z ziemi olbrzymią bryłę, którą stopami potrącił, a kolanem poznał, jako ruchomą. Wzniósł ją oburącz ponad głowę, siłą nie swoją, lecz jakoby sześciu ludzi, i z chichotem szczęścia od jednego zamału cisnął nieomylnie w otwór schodowy. Usłyszał westchnienie — śmierć, stęknięcie, koniec, urwany szloch. Wtedy drugą bryłę w to samo miejsce, trzecią, czwartą! Szukał po ziemi coraz większych, nieudźwignionych i nadludzką, oszalałą siłą miotał je z wściekłym po-

śpiechem w czarny otwór. Widział teraz ów otwór oczyma, jakoby w biały dzień. Nie miał zgoła wiadomości o tem, gdzie jest i co robi. Rypał nagiemi rękoma przemokłe skiby muru i walił je w dół wciąż, bez końca, spychał rozපekłe gruzy kolana mi.

POSTERUNEK.

W ciągu zimy kompania kapitana Fijałkowskiego czyniła wielokrotne wyprawy z Saragosy. Zazwyczaj kapitan zostawał w mieście z częścią oddziału, a na wyprawę szła partya pod wodzą porucznika, albo jednego z dwu podporuczników. Czasami znowu kompania dzieliła się na kilka części, nad którymi brali dowództwo obsługujący ją czterej wachmistrze, wachmistrz starszy, ośmio kaprali, a nawet dwaj trębaci. Tym sposobem pilnowano dróg, prowadzących z gór do Saragosy.

Jedne z tych małych partyi chadzały drogą pampełuńską i dolinami do niej przyległemi, inne wzdłuż rzeki Gallego, jeszcze inne na wschód południowy drogą walencką, ku sinemu morzu, na Fuentes de Ebro, przecinając kanał królewski na la Puebla de Hijar, na San Per, do Alcaniz i stamtąd aż pod Monroyo. Wracali z tych wypraw poranieni, zestrzelani nieraz potężnie od gerylasów, zbici na siodłach, zniszczeni od wichru i deszczu. Krzysztof Cedro przez czas dosyć długi nie brał udziału w akcyi ze względu na fatalny

stan zdrowia. Kości miał potłuczone, płuca i wątrobę jakby odbite drągami.

Był dręczony od smutków i trosk. Łaził po Saragosie w samotności zupełnej, żył i zapamiętały. Kiedy go towarzysze dawnych wýpraw i zabaw rycerskich pytali, co z sobą wyrabia i czemu się dziwaczy, mówił im krótko a węzłowato, jako jest kuszony od dyabła i że zmaga się z nim w opustoszałych kościołach, w ruinach klasztorów i w gruzach ludzkich domów. Na wiosnę, pierwszych dni marca, gdy w zwaliskach puściły się trawy, a radosny krzew zdrzewi-strącza-wistaryi, barwę nieba południowego wsyszący w gruzły i torebki swych kwiatów, osłaniać począł zręby murów, przerzucać przez nie ręce swoje, gdy z ziemi pełnej trupów, poduszonych w piwnicach, zgasłych z morowej zarazy, trysnęły bujne różgi drzewa miłosnego cercis, gdy wybijały niesłychane kępy fiolków, hyacyntów o tysiącu barw, lilii i tulipanów, Krzysztof ocknął się, zażądał wyznaczenia do czynu i na czele podjazdu uszedł w góry. Miał pod sobą jego wachmistrzowską mość Gajkosia i dwudziestu chłopa. Wskazano mu kierunek zgoła nowy. Mieli dotrzeć aż do przesmyków górskich, wiodących w stronę francuską, pod Valée d'Aran w środkowych Pireneach. Przeszcza te ogarnione były przez siły powstańcze. Należało je wyследzić, zbadać i, jeśli to możliwe, drogi oczyścić. Szli z początku wielkimi marszami wprost na północ, do Monzon, następnie do Barbastro. Trzeciego dnia znaleźli się już w bezdrożach górskich około Puente Montagnana ponad rzeczką Noguera, dopływem Ebra z północy. Skończyły się poszarpane grzbiety pagór-

ków wapiennych, osypiska gipsu, płone ławy i wyniosłości, przesiąkłe solą. Wązkie *barrancos*, szczeliny tak puste, że nie było w nich drzewa, krzaka, kępy ziela, wzniosły się w górę na płaskowzgórzu kraju Sobrarbe, między górnym biegiem rzeki Cinca i Noguera. Do sięgli tu wiatru i nawału chmur. Odetchnęli zimnem, ale wilgotniejszem powietrzem.

W wąwozach, które minęli, w owych ciasnych przepaściach, wązkich od osypisk zwątlałej skały, było cicho i duszno. Wiatr tam nie dolatał, martwe powietrze stało nieruchomo, jak w zapartej izbie. W górzystej krainie, na którą teraz wstępili, częściej trafiało się ludzkie mieszkanie. Były to przeważnie chaty pasterskie z lasującego się kamienia, połączone z zagrodami dla kóz i krów. Kiedy niekiedy trafiały się domostwa okazałsze przemytników zawodowych, ludzi górskich.

Tam i sam, w miejscowości najbardziej dogodnych do uprawy ogrodu, warzyw i pola, widać było gruzy osad i folwarków maurytańskich, od chwili wygnania przed wiekami morysków tak już pokryte bluszczami i trawą, że trudno je było odróżnić od zburzonych siedlisk hidalgów-rozbójników. Ułani nie spotykali w tych stronach ludzi na swej drodze. Długo nieraz musieli czatować, nim zdołali pojmać w chacie mieszkańców i wydobyć od niego zeznanie. Jedni z tych jeńców niewielicznych byli zakamieniali, nieprzystępni i niezdobyci w uporze swoim, zupełnie jak góry Pirenejskie; woleli konąć w męczarniach, niż wyznać słowo o miejscu pobytu bandy powstańczej; woleli dać się spalić na wolnym ogniu, niż wyjaśnić, gdzie się zakręca albo

rozwidla drożyna, po której dążono. Trafiali się jednak i ludzie łakomi na grosz, albo jowialni i dobroduszni, za niuch dobrej tabaki wyjawiający wieść pożądaną, najczęściej zresztą niedołężnie wymyoloną, niepotrzebną, albo fałszywą. Trafiali się politycy trzeźwi i przewidywacze nieomylni, zawsze uznający siłę i władzę tego, kto jej posiada najwięcej. Byli i podli zdrajcy. Ci przychodzili sami, niewzywani chykiem, w godzinie nocy i mroku, wiedli niedostępnnymi szlakami i wydawali na śmierć bezpiecznie śpiących rodaków. W godzinie nocy i mroku brali za to zapłatę i znikali w szczelinach górskich.

Nieścigłym inkwizytorem i badaczem co się zowie, był Gajkoś. Umiał tak zadawać pytania i tak je popierać argumentami, że niezwłocznie okazywało się, co zacz jest człowiek. Po dwu, trzech »sposobach« już było wiadomo, czy należy kawalera ogieniaszkiem przypiec, czyli też ze słowiańską gościnnością uczestowawać hiszpańskiem winem. Gajkoś władał nawet językiem, wprawdzie nie hiszpańskim, ale z inkwizytorsko-aragońskim. Jego bełkot, rzecz dziwna, był zrozumiały dla jeńców wszelkiego usposobienia charakteru i temperamentu, jak powszechnie wiadomy kodeks. Wyprawami dowodził sam Krzysztof. Chodzili najczęściej gęsiego, jeden za drugim, zestrachane konie ciągnąc za uzdy po zupełnych bezdrożach, upłazami, gdzie sypki miał leciać z pod stopy w głucho przepaście. Skradali się przy blasku księżyca i w najciemniejsze noce, czynili napaści rankami i z wieczora na obozy i wędrownie partye.

Po długich trudach całej niemal wiosny udało

się Krzysztofowi odegnać bandy od przesmyków i szlaków górskich, otworzyć łańcuch kresów pocztowych przez góry dla armii generała Suchet'a. Nareszcie oddziałek uwolniony został z tych miejsc dyabelskich i otrzymał rozkaz przywrócenia komunikacyi, również przez gerylasów przeciętej, z załogami francuskiemi na południu, w łańcuchach iberyjskich, za Ebrem. Prawie tedy z Valée d'Aran poszli na południe, na Leridę, doliną rzeki Serge de Mequinenzy. Tu dłuższy czas wśród wojsk francuskich wytchnąwszy, pomaszerowali nową drogą, którą generał Suchet budował właśnie, w celu oblężenia Tortozy. Szybkimi marszami weszli w dolinę rzeki Algas, a stamtąd, idąc wciąż górami, minęli Monroyo. Celem ich drogi była Morella, forteczka w górach, gdzie z dwiema secinami ludzi bronił się przed zbuntowaną okolicą kapitan Wyganowski. Krzysztof miał przełamać niemałe trudności, nim się ku zamczkowi Morelli zbliżyć zdołał. Wsie, fermы, folwarki okoliczne, jak oto: Bellestar, Chiva, Rosel, Trayguera, Tordelella, Mata, Herbes itd., były zbuntowane i w stanie wojny. Oddziałek ułański musiał się zwijać, jak skorpion, otoczony żarzewiem, żeby nie uledz doszczętnemu zduszeniu przez wielkie siły. Prawie tedy nie sypiali w ciągłym marszu. Od miejsca do miejsca lecieli zazwyczaj galopem, żeby napadać niespodzianie i nie dać się gerylasom spostrzедz, ilu ich jest naprawdę.

Nareszcie, po długich jazdach naprzód i w tył, jednego dnia o zmroku dosięgli bram Morelli. Radość to była istotna, kiedy ujrzały się w towarzystwie dwustu piechurów z nad Wisły i pod tkliwą strażą ich

karabinów. Cedro powitał Wyganowskiego, jak rodzonego brata. Kapitan był jeszcze bardziej zawiędły, niż w Saragosie.

Twarz jego w marszach i na wietrze zczerniała i zeszła. Wydatne kości policzków i szczek nadawały jej wyraz grozy i surowości nieubiąganej.

Uśmiech anielskiego uradowania, który na ustach zmartwychwstał na widok młodego Cedry, był czemś nad wyraz dziwnem i niespodziewanem w tej twarzy srogiej. Podobnie w sposób niezwykły brzmiał głos jego, gdy przyszło witać i rozmieszczać przybyszów. Ale za chwilę już postawa i brzmienie głosu wróciły do dawnej sztywności.

Kapitan Wyganowski zajmował w zamku Morelli małą izbę narożną z oknami, wychodzącemi we dwie strony świata. Widać było stamtąd miasteczko, u stóp góry rozłożone, i drogi do niego prowadzące. Kapitan miał tu łóżko, stoliczek i dwa krzesła. Kazał zaraz wnieść do tej izby drugą pościel i zaczął gościć młodkosa. Krzątał się po kątach, przygotowując strawę, wycierał szklanki, znosił jakieś przybory. Cedro przypatrywał mu się z pod oka, leżąc na tapczanie.

Wyganowski rzekł:

— Ktoś mi tu mówił, tify! na psa urok, że cię w potyczce ubili. Na szczęście kłamstwo.

— Niezupełnie. Było mi trzy ćwierci do śmierci.

— No, żartuj zdrów! Wyglądasz, jak koń andaluzyjski, dobrze pasiony kukurydzą.

— Kula mię durch przeszła.

— Kula — to głupstwo. To jakby cię febryczny dreszcz przeszedł.

— Nie radzę takich dreszczów...

— Miałem ja je w sobie.

— Co? Dreszcze?

— Co to gadać! Wiesz ty? — rzekł nagle, zwracając się twarzą do słuchacza: — ja już nie mogę wytrzymać!

— Czego?

— Tego życia.

— Cóż znowu za sentymentalizm!

— Mówię, jak żołnierz żołnierzowi, na honor ci niesplamiony przysięgam, że śnierć-by mi była milsza...

— Dlaczego?

— Życie mi tu zmierzło do cna — oto dlaczego!

— Ależ dlaczego?

— Nie mogę wytrzymać tej służby. Nie mogę! Zarzuciło mię to, zadusiło. Ja nie pote do wojska poszedł, żeby hiszpańskich chłopów żywcem palić, wsiecałe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierać ogniem i mieczem. Szczerze ci mówię, że duszą jestem po ich stronie.

— To źle!

— To też dwa lata temu zażądałem dymisji. Jak poszła moja prośba, tak do tej pory nie wraca. Cesarz wojuje w Austryi, siedzi w Paryżu, a dla mnie abszytu jak niema tak niema. Tymczasem muszę przeciw sumieniu, przeciw własnemu pałaszowi służyć. Biję się z samym sobą, wojuję ze swoim własnym rozumem. Sto tysięcy razy szedłem oślep na zginienie, żeby raz nie być już podły ludzkim pachołkiem!... To mię omija! Teraz już dłużej nie mogę!

— Czy kapitan chcesz wracać do kraju?

Wyganowski prędko przełknął powietrze.

— Czy ja do kraju?... Tak, ja... do kraju... — wyszeptał suchemi wargami.

Wszedł oficer służbowy z raportem o rozmieszczeniu w zamku koni ułańskich. Wyganowski rozmarwiał z nim już głosem tak ostrym, nieubłaganym i twarzonym, jakby to innego człowieka był dźwięk mowy. Po załatwieniu formalności i wyjściu oficera wrócił do poprzedniego wątku:

— Spadłeś mi, jak z nieba! Sam nawet nie wiesz, jak wielką móglbyś mi oddać usługę.

— Jestem gotów do każdej.

— Ba! Jeśli się zdarzy, że pojedziesz stąd w stronę właściwą. Jaka jest dalsza twoja marszruta?

— Mam przejść drogę do Tortozy, dać wieść o sobie i innych po drodze załogach. Potem wracam do Saragosy i do pułku.

— Do Tortozy, do sztabu Suchet'a!... — wołał z radością Wyganowski.

— O cóż idzie?

— Bracie! Przecież tam może być dla mnie od dawien dawna dymisja i leży w jakiej kancelarii. Komunikacye nasze z Francją były tak długo zerwane... Mówiąc, że kresy pocztowe zostały dzięki twoim staraniom nawiązane... Może właśnie nadeszła.

— W takim razie ruszam jutro.

Wyganowski rozpostarł ramiona i zaśmiał się w głoś, jak dziecko. Ale za chwilę był już sobą.

— Żartujesz, braciszku! Gdzieżbym cię mógl stąd puścić bez wypoczynku.

— Jutro jadę. Byłem się dziś wyspał z żołnierzami. Konie wytchną...

Mówił to już prawie we śnie pogranżony, choć widział jeszcze Wyganowskiego twarz bladą. Spał, jak kłoda, aż do południa następnego dnia. Obudził go straszliwy upał lipcowy, buchający do izby oknami. Cedro siadł na posłaniu rzeźki i zdrów, silny, rzeczywiście, jak andaluzyjski rumak. Z rozkoszą myślał o przygodach, które go czekają jutro, pojutrze, nim się do Tortozy przedostać potrafi. Wszedł Wyganowski. Już we drzwiach mówił:

— No, ale ten twój Gajkoś! Jabym go, szelmę, pierwszego przypiekać kazał. Jeżeli to prawda, eo on tam moim Wickom rozpowiada...

— Cóż takiego? — śmiała się Krzysztof.

— Wyszedłem na lustrację zamku i zastałem już wszystkich przy butlach. Pyszne rzeczy, bo nie oni jego, lecz on ich podejmuje: ma on ze sobą przednič wino.

— O, to wiadomo...

— Minę ma, jak byk, przeznaczony na arenę w Burgos. Takiego kwiatka jużem dawno między naszymi nie widział. Siedzi sam wśród moich piechurów, ssie dym z cybuchą, kiedy niekiedy pociągając tęgie łyki z kubka, a właściwie z półkwarcia. Gdy zaczyna mówić, dym cedzi mu się przez wiechy wąsów i okrąża czerwony nochal. A zakwitł mu różnobarwnie na drogich winach — ani słowa.

— Życie mi uratował.

— Gdzie?

— Pod Burviedro. Byłem stratowany na śmierć.

Honia mojego złapał w biegu, gdym przestrzelony zleciał z siodła...

— Przeklęte wszystkie te bitwy, te wsie i miasta! — krzyknął Wyganowski, chodząc po izbie. — Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczów, morderców, a przecież ich szczędzę i cenie bo ci najlepiej umieją... Najpewniej ci właśnie wywiodą z nieszczęścia, w razie obskoczenia. Co my tu robimy do pioruna! Ty dług o tu jeszcze myślisz przebywać?

— Dopóki mi nie każą iść gdzieindziej. To chyba jasne. Może się przecie wojska skończy.

— Ta wojna nigdy się nie skończy. Jestem żołnierzem od tylu lat, więc wiem, jaką wojnę można skończyć i kiedy. Napoleon nie cofnie przecie oręza przed gerylasami, boby całą swoją sławę postradał, a pobić ten lud — bajki wierutne! Przeszedłem z tą szpadą niemało świata, widziałem ludy walczące. Nie można ich pobić, bo mają za sobą racyę i entuzjazm. To mówiłem w oczy wszystkim moim zwierzchnikom, kiedym uzasadniał żądanie dymisyi.

— Możnaby z równą słusznością dowodzić, że wcale racyi nie mają.

— A to ciekawe!

— Więc tak nadzwyczajnie powinni bronić inkwizycyi, nietykalności praw feudałów, dóbr klasztornych i tej dynastyi Burbońskiej! Toż przeciwko tej samej dynastyi bronili się Aragon, Katalonia i Walencja zębami i pazurami sto lat temu, w wojnie o następstwo hiszpańskie. Jak dziś gwałtem chcą mieć nad sobą Ferdynanda VII, czy Karola IV, obu Burbonów, tak wów-

czas na gwałt chciało im się Karola, Austryaka, przeciwko Burbonom. Ciemny naród. Myśmy takie idee kilkaset lat temu przeżyły. Ktoby się u nas chciał bić z duszy za takie czy inne następstwo? Pomyśl tylko...

— A ty się za kogo bijesz? — zadrawił krwawo kapitan.

Cedro przyskoczył do niego z okrzykiem:

— Ja się biję z duszy za kraj!

— No, powiadaj-że sobie w dalszym ciągu tę dewizę przed sobą i Panem Bogiem. Ja już nie chcę. Ja idę.

Po chwili mówił z wypiekami na twarzy:

— Taki plan uknułem dzisiejszej nocy. Kiedy stąd będziesz ze swymi ludźmi wychodził, dam ci przewodnika, Hiszpana. Zrobi mu się mundur podobny do waszego, żeby go zaś nie poznali rodacy. Dam mu swego konia. Powiedzie was pewnym, najbliższym i zupełnie bezpiecznym szlakiem do Tortozy.

— Cóż to za człowiek? Zeby mię tylko nie sprzedawał za jakie srebrniki. Bom widział już takich między nimi, co się to Francuzów trzymają dla zysku, ale zarazem i od swoich radzi biorą.

— Człowiek najpewniejszy! Główą ci za niego ręczę. Doświadczylem jego wierności w stu okazyach. Hiszpan to prawdziwy, ale szalawiła i wolnomysłnik. Stąd ma pasyę do Francuzów. Wierzy, że z pomocą francuską przedzej w kraju zakwitną urządzenia nowoczesne. Nie myśl, żeby to był płatny zdrajca. Mówię, że to Hiszpan, ale ma kulturę wyższą, więc go faniątym chłopów, mnichów i przemytników nie zadawala. Doświadczyle ode mnie wielekość dobrodziejstw. Nie

jedno życie ode mnie wyprosił. Całym miasteczkom całym wsiom na jego słowo przepuszczałem. Chce mi się teraz wielką przysługą odwdzięczyć. Dasz mu w ręce dymisję, jeśli nadeszła, — i nic więcej. On mi ją przyniesie.

Mówiąc to, wsparł ręce na ramionach Cedry i uśmiechał się z głębi duszy.

— Dobrze — powiedział Krzysztof: — spełnię to wszystko. A jakże myślisz stąd się wydostać? Boć sam jeden nie wyjdiesz, a oddział, ile wiem, musi tu jeszcze długo wartować, aż do rozkazu.

— Tak, aż do rozkazu. Ten sam człowiek, don José, wywiedzie i mnie. Ma on już dla nas obudwu przygotowane paszporty generałów hiszpańskich Villa-campy i Barsoncourta na przejście do Tortozy. Zwierzętem mu się z calej duszy swojej. Pojął mnie, jak brat rodzony.

— Ha, skoro tak, to dawaj go żywo. Dziś na noc idę.

— Co znowu? — wzdragał się Wyganowski obłudnie.

— Chcę i ja być coś wart w twoich oczach. Dobrzejm się swego czasu przespał u Panien Jerozolimskich pod strażą tej szpady.

— Chodź ze mną do kraju... — zagadnął cicho Wyganowski.

— Nigdy! Wołaj tego człowieka.

Kapitan skinął głową i wyszedł. Cedro udał się do swoich ludzi z rozkazami:

— Konie tego paść, zbroje trzymać w pogotowiu, o zmroku marsz — marsz!

Westchnęli jeno posępnie i --- bywaj! do koni.

Nad wieczorem tego dnia zjawił się Hiszpan. Był wysoki, zwinnny i silny. Mówił nieźle po francusku. Cedro wszczęł z nim rozmowę i badał go pilnie oczyma. Nie ufając sobie, powiodł go do Gajkosia i po polsku powiedział wachmistrzowi, kto to jest i co ma za misyę. Gajkoś go »uważał« z pod oka, nim począł rozmawiać. Nie przyszedł jednak do złych wniosków. Rzekł tylko, że chłop musi być silny, więc go trza mieć między kciuki i na oku.

Don José wdziałał mundur jednego z ułanów, a tamten został w ubiorze stajennym. Ciemnym wieczorem ruszyli za bramę. Na odjeździe Wyganowski prosił na wszystko Krzysztofa, żeby nań czekał w Tortozie, jeśli dymisya nadeszła. Cedro przyrzekł.

D Y M I S Y A.

Kilka dni już Krzysztof oczekiwał w Tortozie na przybycie Wyganowskiego. Dymisya, która leżała w kancelarii generała Chłopickiego, wręczona została Hiszpanowi, a ten, przebrany w ludowe suknie, poniósł ją natychmiast do Morelli. Cedro pod różnymi pozorami, jak leczenie koni, reparacye siodeł i t. d., przedłużał swój pobyt w okopach generała Suchet'a. Ale dzień naznaczony mu do wymarszu zbliżała się szybko. Z wyżyn La Roqueta widać było miasteczko Tortozę, rozłożone na samym brzegu rzeki Ebro. Tuż za niem ciągnął się łańcuch gór skalistych, jałowych i wysokich. W pobliżu klasztoru Jezuitów, gdzie stał batalion trzeci polski i batalion pułku sto piętnastego, widać było szańce francuskie, otaczające miasto. Dokoła rozciągał się pas nieużytków, z którym dziwnie harmonizował widok zamku w środku miasta, widok silnie obmurowanego fortu de las Tenaxas, oraz bram: Mostowej, del Rastro, i posepnych bastyonów: świętego Jana, świętego Krzyża, karmelickiego i t. d. Daleko na wschód wysuwał się stary fort d'Orléans. W tamtej

stronie, za rzeką, stały dwa bataliony polskie pułku drugiego, dokąd powinienny był skierować swe kroki Wyganowski dla zameldowania się po przybyciu. To też Cedro codziennie jeździł w tę stronę, wymijając paralele, idące ze wschodu po obudwu stronach rzeki. Piątego dnia pobytu swego pod Tortozą, zrana, kiedy spał w kwaterze polnej przyjaciela Rybałtowskiego na la Roquette, zbudzono go nagle wieścią, że Wyganowski przybył. Cedro porwał się z pościeli i co przedzej począł wdziewać odzienie. Ale ten, co mu wiadomość przyniósł, dorzucił:

— Przybył kapitan Wyganowski, ale go ktoś pod obozem drugiego pułku zamordował.

Krzysztof skoczył, jak pchnięty nożem. Oniemiał. Upadł na posłanie swe i leżał bez ruchu, słuchając rozmów, przypuszczeń, wniosków.

Nierychło, jak przez sen, włożył mundur, przypasał szabłę, zarzucił płaszcz i pojechał za Ebro. W pobliżu obozu pułku drugiego zobaczył kilku żołnierzy wśród pola. Po wzgórkach wieszały się tutaj zarośla agawy i dzikie krzewy krępli. W dali stały nagie, spękane góry. Już się upał sierpnioowego dnia zaczął. Słońce przepalało nawskroś żółte piaski nadrzecza, ogniem trawiło usychające pod skałami rośliny. Na błyszczącym piasku leżał nagi zupełnie Wyganowskiego trup.

Gdy Cedro skoczył z konia i przypadł ku niemu, ujrzał dwa ciosy sztyletu, czy noża, zadane w serce na wylot, ręką nieomylną. Morderca zdarł z ofiary swojej suknie hiszpańskie i rzucił je niedaleko, między krzewy. Czynił to w takim widocznie pośpiechu, że

ściągnąwszy koszulę przez głowę, zostawił ręce trupa wyprostowane w górę. Te nagie ręce bezbronne i bezsilne, ciśnięte równolegle jedna do drugiej wzdłuż głowy, zdały się wołać na Krzysztofa z ziemi. Roje moskitów, much i drobnych, ledwie widzialnych robaczków szaro-zielonych, z brzękiem krążyły już nad zwłokami, wpijały się w zaschlą krew rany. Słońce płomienne już wydobywało zaczęło z trupa woń śmierci

Ten i ów z wiarusów zakopcił fajkę i splunął. Pomedytowali, pogwarzyli o dziwnem zdarzeniu i odeszli. Cedro został sam. Przy głowie zmarłego leżał głaz. Ułan siadł na nim, łokcie sparł na kolanaach, głowę na dloniach i patrzał w twarz przyjaciela. Czasami jego oczy wałęsały się to tu, to tam. Wyschły piach, sypki i lotny, przepalony na łokieć, zdeptany obcasami nóg, które się prężyły śmiertelnie. Tu walczyli ze sobą. Tu go napadł niespodzianie. Tu mu cios zadał. Tu go włóki, żeby pohańbić przed oczyma całego wojska. Tu z niego zdzierał szmaty pokoju...

— Don José... — wyszeptały usta.

Serce załomotało, jak jastrząb zgłodzony i straszliwy. Gniew pognął krew. Ale zwolna ją uciszyła gorycz myśli. Zamknęło się serce i dusza znowu stanęła przed obliczem tego trupa. Niewymowny upał przepalał ciało, że było gorące, jak ów piasek pod stopami. Trup cuchnął.

Krzysztof wstał i wielkimi kroki poszedł w stronę obozowiska pułku drugiego. Stanąwszy tam, znalazł bataliony, szykujące się do bitwy. Wyszedł przed front i gromkim głosem zwrócił się do oficerów i żołnierzy,

żeby pomścili śmierć towarzysza i żeby poszli pogrześć jego nagi trup. Wołał:

— Już go słońce żre, żołnierz, już go porwało w pazury. Leży sam jeden przed wami wszystkimi, a nad nim słońce niezbłagane. Nie zlituje się nad nim słońce i ognia swego nie przygasí. Piach pod nim płońie od żaru. Krew się już wzdyma i skórę rozsadza. Komar i mucha ssie jego krew sprawiedliwą. Idźcież mu dół wykopać, żołnierzowi żołnierz! Cześć mu bratnią oddajcie!

Z szeregów odpowiedział mu głos:

— Cześć mu sami oddaj. I dół mu sam wykop. Już on nie żołnierz i nie towarzysz. Przypatrz się dobrze. Całymi batalionami idziemy w bitwę tej godziny, a on dla siebie jednego zwolnienie wyprosił. Sprawiedliwie mu uczynił los! Niechaj gnieje pude skwarem.

Uderzyły bębny. Bataliony, wykręciwszy się sekcyami w prawo, twardym krokiem poszły wraz, w kierunku fortu orleańskiego. Widać było wielki ich, żelazny szyk, błysk karabinów. Wkrótce ich pył drogi i kurzawa dymu zasłoniła.

Krzysztof wrócił do przyjaciela. Wyciągnął z pochwy szabłę swą i koniec jej twarde zanurzył w głębokość rany, zadanej sztyletem. Siadł na kamieniu i gadał do trupa:

— Taki to jest nasz Roncevalles, towarzyszu...

Nadszedł czas, że wstał z miejsca i począł wygrzebywać w lotnym piasku dół grobowy. Z razu nagiem rękoma, potem znalezionym ułamkiem czerepa granatu. Tego się zgrzał, dobrze spracował, nim nad

wieczorem wybrał dół na chłopa. Złożył tam zwłoki. Wyciągnięte ręce skrzyżował na piersiach. Zasypał towarzysza gorącą hiszpańską ziemią, śpiewając sobie i jemu pieśń pożegnalną, pieśń bez wyrazów, pieśń samotną.

D O M.

W urzędzie regentowskim kieleckim od dawien dawna leżał złożony testament szlachcica Nardzewskiego. Według brzmienia tego aktu, dziedzic Wyrw całe ruchome i nieruchomości mienie swoje zapisywał na własność siostrzeńcowi swemu, Olbromskiemu.

Skończyła się wojna krajowa roku dziewiątego, i ułan w mizernym stopniu porucznika miał z Krukowa powracać na leże ze swym pułkiem. Aliści kolega Jarzymski, który w Kieleckiem jakimś dobrami administrował, zetknąwszy się z nim, obwieścił mu radosną nowinę. Rafał co przedzej wziął z wojska dymisję i pośpieszył do Kielc. Urzędowe otwarcie testamentu ziściło wszystkie jego nadzieje. Był samowładnym dziedzicem. Wiedział o tem wprawdzie, że z folwarku została tylko ziemia niezaorana i trocha płotów, że chłopi, uwolnieni z pańszczyny, nie podtrzymają już teraz najmizerniejszego bytu... Mimo to ochotnie pośpieszył na miejsce. A gdy raz wkroczył w te góry, to już i został.

W tym czasie do Tarnin sprowadził się mąż Zofki

i łapczywie objął gospodarstwo, niby to chwilowo, niby to dla ulżenia staremu. Rafał przeczuwał, że tylko ze srogimi walkami mógłby nową rodzinę z Tarnin wyasadzić. To też usiłował wydobyć jedynie stamtąd, co można, i nie kwapił się do domu.

W Wyrwach początkowo mieszkał w czworaku, który po drugiej stronie sadzawki ocalał z austriackiej pożyczgi. Wyporządził sobie w końcu tego domostwa stacyjkę i dwie zimy przepędził w niej znośnie. Wszystek teraz poszedł w myśliwstwo. Strzelec Kacper i Michcik, którego z wojska do Wyrw zabrał, stanowili dwór: Kacper jako strzelec, a Michcik jako kucharz, szatny i doradca. W rok po osiedleniu się już Rafał wzniósł stodoły o murowanych słupach, gontem kryte, wysokie, odbudował stajnie, obory i do porządku przywiódł śpiczlerz. Następnego roku ufundował nową groblę z upustem na palach bitych i odrestaurował młyn, a wreszcie od wiosny trzeciego roku budował dla siebie dom.

Domek był z modrzewia i wielkiej jodły. Oddawna wszystek sprzęt zwoził zimową porą z Łysicy, Bukowej i Strawczanej góry olbrzymie tramy modrzewia, buku i jodły.

Obrobione z nich przyciesi i belki schły w porze letniej pod osobną wystawą. Z Klonowa zwieziono jędrne gonty, w Bodzentynie stolarz dopasowywał już okna i drzwi. Przez całe lato słychać było żoskot siekier, a już w lipcu zrąb dworu z wiązaniem belek, krokwi i łat bielił się na okolicę. Rafał przeżył duszą całe to budowanie. Sam każde z drzew, czasu wypraw myśliwskich, obejrzał i wybrał na górnach. Był przy

ściąganiu go z wyżyny na chłopskich barkach, przy zwożeniu pod wystawę na rozworach. Był przy rozpłataniu każdej belki, przy oddzieleniu północnej jej części od twardzizny południowej, każdy cios topora widaćł, każdy sęk, rdzeń i wypaść pomacał ręką. Całe dni wiosny i początku lata przepędzał wśród traczów i cieślów. Przywykł do tego, żeby mu się nogi płatały w miękkich i cienkich wstążkach heblowin, żeby ucho chwytało szelest odciosanego toporem oszastu, ślizką melodyę hebla, dzwonienie dłóta w jądro rdzenia modrzewiowego. Nie było przyciesi, którejby nie zbadał do dna rachunkiem, okiem i ręką. Gdy ściany z niezmiernych pniów wyrastały, cieszył się, jak dziecko. Nowe życie zakładał tu sobie, mocne ściany na kamieniem murowanym fundowały, zwierał zrąb mocnymi belkami i niewzruszonym stragarzem na moc, na siłę przeciwko wiatrowi i wszystkiej burzy. Sam rok i napis na tym stragarzu wydłużał. Nareszcie wyniosły dach z kupy rozrzuconych gontów i lat zaczął wyrastać. Jednocześnie z tą budową domu prowadzony był forsownie karczunek nieużytków, wydzieranie jałowców i wynoszenie kamieni. Coś z dążeń brata Piotra, nie tyle działaniem przykładu na rozum i wolę, ile mocą nieświadomego dziedzictwa, przylgnęło do młodego rolnika. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni kurzyły się w obszarach tak zwanych odpadków, po zboczach górskich kupy wydartego z ziemi jałowcu, który palono wraz z pniakami jodeł. Osvobodzeni z niewoli, ale ubodzy zarobnicy darli z ziemi korzenie wielkich pniaków po świerkach, jodłach i bukach, które tam niegdyś szumiły. Wielkie wykroty, obwieszone kamie-

niami kwarcu, oplecionymi przez niezliczone korzenie, sterczały na każdej szerokości. Doły pod nimi zawałano ziemią i równano pracowicie. Dzieci i wyrostki zbierały niezliczone masy kamienia i wynosiły na przydrożne kamionki. Gleba tam była kamienista. Okrągły, siwy, twardy głąz leżał nietylko na powierzchni, ale i pod cienką warstwą ziemi rodzajnej, którą okrywała trawa, mech, kwiątek leśny. Łysy jego czerep wyglądał z gruntu, gdziekolwiek rzucić było okiem, gdzie stąpnąć nogą. Kiedy poruszono glebę falistą po wykrotach, starganą kilofami w góry i doły, kamienie zdały się wyłazić gronami, wyłuskiwać się, jak orzechy, rodzić w oczach i mnożyć, jak niezliczony owad. Pług, puszczyony pierwszy raz w nowinę, zgrzytał, skwierczał, wił się i prawdziwie walczył. Rwał korzenie, przecinał nadgniłe kije i rozrywał odwieczne legowiska głazów. Pierwsze skiby były krzywe, tam płytkie, tu sięgające za głęboko, aż do podgleby skalistej, rzucane w prawo i lewo. Ziemia nie dawała swego dziewczystwa za darmo. Trzeba było rozedrzeć jej zrosłą caliznę, wyrwać tysiączne spojenia, rozplatać żyły, wyorać oporny kamień i z niemałym bólem krzyża odnieść daleko.

Nadeszło lato dwunastego roku.

Rafał w tym czasie, po zjęciu żyta, ku końcowi lipca, najusilniej karczował nowinę. Jeszcze stały płożącymi pasami owsy po polach. Był po starym lesie wielki szmat ziemi, otaczający szerokiem ramieniem rozdół łąk, przez które płynęła rzeka. Niwa ta służyła aż dotąd za pastwisko. Wyrosły już na dawnych porębach nowe chrósty i młody lasanek, przeważnie liścia-

sty. Obok pniaka świętego wysoko, który oblazł z kory, zbielał, jak kość, stwardniał i wysechł, można tam było spotkać gaje leszczynowe, zwarte ostupy grabiny z buczyną, młode dąbki, lśniące, jak spasione żrebce, najcudniejsze gęstwiny iście dzikich krzewów, kolczastych tarnin, które w drzewa porosły, tępich sumaków, dzikich gruszek, głogów i jeżyn. W dawnych, zarosłych wykrotach, gdzie teraz gnieździła się wilgoć najdłużej, powystrzelały olbrzymie łodygi kwiatów, dudy łopianów, niezdobyte barykady dzikich malin i wielkich ostów. Cały ów »stary las« kopcił się teraz od ognisk przyduszanych nowemi wciąż warstwami gałęzi, badyłów, pniaków i korzeni. Ludzie w chłodku, przejętym od drobnego dżdżu, pracowali chętnie i żywo. Każdy rad był brać udział w tem dziwowisku, jakie miał przed oczyma. Nie będzie już starego lasu! Już po poziomki, po czarną jagodę, maliny, dziady, orzechy nie pójdzieś w stary las, nie bój się!

Rafał zakładał sobie wiele na uprawie tego łanu. Miał zamiar siać z wiosną owies i paść nim stadninę, którą w myśli stale powiększał. Właśnie, siedząc na pniaku, ćmił z małej, glinianej fajeczkę *tiutun* i rozmyślał o przyszłem stadzie. Zlekka przemókł od kołnierza i pleców, więc się zagrzewał fajeczką, wesołemi myślami i skurczeniem postawy. Dymy z ognisk wałęsały się przez pola już przetrzebione i niosły woń jałowcową po pierwszych skibach. Michcik, pracujący w pobliżu na równi z najemnikami, odchrząknął, wyprostował się... Coś mamrotał.

— Co gadasz? — spytał porucznik, nie wypuszczając z zębów fajeczkę.

Melduję...

- Cóż meldujesz, stary Austryaku?
- Me... melduję... jako gość je... jedzie.
- Wściekłeś się, czy co? Do mnie gość jedzie?
- Widać ano, że z góry gość jedzie...
- Prawda! Ktoś jedzie. Bryka w trzy konie...
- Bryka nie... nie tutejsza... Bryka jak się patrzy... kra-kra-kowska...
- Prawda! Bryka krakowska... Konie wspaniałe...

Z góry, po wertepach drogi, po wybojach i kamieniach ostrożnie zjeżdżała zaprzęg solidny. Zdala widać było, że wysoko schlastany jest błotem. Para rosnących koni szła w dyszlu. Trzeci na przyprzążkę podreptywał luźno. W siedzeniu owinięty w burkę jechał podróżny. Rafał nie spuszczał go z oka. W pewnej chwili zakrzyknął:

— Ejże, Michcik, ejże! Czy to tylko nie pan Cedro do nas jedzie?

— Nie mogę odpowiedzieć, jako żem nigdy takiego pana Cedra na oczy nie uświadeczył.

— Ejże, Michcik!

Zbliżyła się bryka o staje, o dwa. Rafał stanął na pniaku. Podróżny, ujrzałszy go, przyłożył szkła do oczu. Już teraz Olbromski nie wątpił. Jakże nie huknie ku niemu z całej piersi:

— Krzysztof! Krzysztof!

Podbiegli ku sobie i padli wzajem w ramiona bez słów.

Za chwilę Rafał siedział z przyjacielem na bryce, zdążając do dworu w Wyrwach. Michcikowi kazał wleźć na koziel. Nie mógł się napatrzyć na Cedrę, który

z wysmukłego młodziana stał się mężczyzną muskularnym, o bujnym wąsie, zadartym w góre, o ruchach porywczych, żołnierskich. Zaledwie z miejsca ruszyli, Rafał zaczął pytać:

— Skądże w tej chwili jedziesz, braciszku?

— Z domu.

— A dawnos wrócił?

— Już w marcu pułk nasz przelaził przez Pirenejskie góry. Z Francji wyprzedziłem go dyliżansem...

— Kiedyżeś do Olszyny przybył?

— Dopiero w czerwcu.

— Przez cały czas przy ojcu byłeś?

— Aż do tej chwili. Ledwem się oto wydarł.

— Ależ wałacha masz, niech go pioruny! Cóż za koń! — nie mógł Rafał powstrzymać okrzyku, patrząc na żrebcę, idącego przy koniach na przyprążkę.

— Iberyjczyk... a jeszcze w Olszynie go paśli — skromnie wtrącił Cedro.

— Ależ koń!

— Musiałem dobrego konia wziąć na tak wielką wyprawę.

— Na jakąż to znowu wielką wyprawę?

Krzysztof popatrzał na niego z ukosa i rzekł:

— Na wielką wojnę.

— A no tak, rozumie się... — poprawił się Rafał. — Ja bo siedzę tak na uboczu...

— Rzeczywiście, tak się zaszyłeś, żem ledwo się dopytał.

— To ty idziesz znowu?

— Kpisz, bracie, czy o drogę pytasz? Już w końcu czerwca nasz piąty korpus przeszedł granicę.

— O niczem nie wiem. Siedzę tu, mówię ci, za górami, za lasami, ludzi prawie nie widzę... skądże mam?...

— To też po ciebie umyślnie zajechałem. Potężniem zboczył z radomskiego traktu.

— Bardzo... bardzo się cieszę... — nieszczerze mruczał Olbromski. — A jakże myślisz dalej? kiedy i dokąd ciągnąć?

— Jutro, rozumie się, w kierunku Puław na Lublin. Nasze wojska, jakem się w Kielcach dowiedział, poszły z Serocka, z Pułtuska na Łomżę i Augustów pod Mir. Ale gdzie nasz pułk siódmy być może, ani wiem. Ty się dziś zbierzesz?

— Ja?! — krzyknął Rafał. — Czyś oszalał? Parzaj-że, co ja tu mam do roboty! Dom stawiam!

— Dom stawiasz! — wybuchnął Cedro śmiechem tak wesołym i hu cznym, że Rafała aż złość wzięła. Zarazem jednak wstyd go ogarnął.

— No, cóż ty myślisz! — zaperzył się — objałem ziemię, muszę się raz wreszcie jąć pracy. Wiecznie będę bąki zbijał?

— Pracy sięimasz, kiedy na wielką wojnę wszyscy idziemy? Siedmdziesiąt tysięcy naszych wyruszyło...

Olbromski mało nie płakał. Naraz go objął żal niewysłowiony tych nowin, pól, płotów... Spojrzał na dom, biejący w oddali, między rozłożystymi drzewami.

— Kiedyż to ty chcesz jechać? — zawałał.

— Jak się tylko zbierzesz. Choćby jutro.

— Kiedy ja się zbiorę!.. Ależ ja nie mam...

— Czego nie masz?

— Koni... — mruknął wymijająco.

— Możnaby wziąć Samo... Samosikę... — wmieszał

się do rozmowy Michcik, czyniąc na koźle foremny półzwrot w tył.

— Milcz, głupi! Sobie bierz Samosiłka.

— Według... według rozkazu.

— Któż to jest? Twój koniuszy? — spytał Cedro.

— To jest taki Michcik, jeszcze brata Piotra famulus.

— To Michcik... — rzekł Cedro z uszanowaniem. — Słyszałem o tobie, bracie, dużo dobrego... — zwrócił się do żołnierza. — Pójdiesz i ty na wojnę?

— Skoro panicz...

— A cóżeś to w tych czasach porabiał?

— W austriackich glidach, przeciwko nam służył! — wrącił Rafał, przejęty nagłą złością do Michcika.

— Do dyabła! — mruknął Cedro.

— Dopraszam się łaski pana porucznika... — począł bełkotać żołnierz — sześć razy dezer... desertero... Kije brałem trzy razy, w kajdanach... pod sądem bywałem... Nie udało mi się do swoich dostać.

— Przeszedł na polską stronę dopiero pod Sandomierzem... — dodał Olbromski. — Teraz u mnie na folwarku burmistrzuje.

— Toś, Michcik, i strony swoje zdradził dla tego panicza?

— Trza było, bo karczunku tu dużo, a pan młody.

— No, i podoba ci się w tych górach?

— Niczego. Miejsce dosyć wesołe, ino...

— Ino co?

— Ino piáchu, jak się patrzy, mało.

— Piachu mało?

— Kamienia dużo, a piáchu, po prawdzie, mało.

— Więc ze mną na wielką wojnę obaj idzieli się! — rzekł nagle Cedro, zmieniając przedmiot rozmowy. — Wielka to będzie wojna. Wojna nad wojskami.

— Już ci ja, według rozkazu pana porucznika... Jako że i *Samosiłka* pan mi przyobiecał pod siodło...

Rafał milczał posepnie. W pewnej chwili rzekł, nie patrząc na towarzysza:

— Idę i ja... do pioruna!

Już dom był blisko. I cdwie wysiedli, udali się zaraz do stajni oglądać konie i wybierać dla Rafała wierzchowca.

SŁOWO HONORU.

W okolicach Orszy, w połowie sierpnia, korpus pod rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego złączył się z wielką armią.

Tam odbyła się rewia powszechna. Cedro i Rafał Olbromski spodziewali się ujrzeć cesarza. Ujrzeli go też w samej rzeczy. We mgle wietrznego ranka dostrzegli stojącego nieruchomo daleko, daleko, na urwistym brzegu. Za nim błyszczały barwami mundurów sztab i wyprężone, połyskliwe gwardye konne. Wojska, defilujące równiną w dole, ujrzawszy szarą kapotę i trójgraniasty kapelusz bez ozdób, wznosiły jednolite okrzyki, podobne do salw działobitni. Mijały pułki francuskie, holenderskie, włoskie, niemieckie, polskie... Wszystkie oczy skierowane były na ową niską, krępu postać szarego człowieka z ramionami wzniesionymi ku górze. Krzysztof Cedro nie spuszczał z niego wlepionych oczu. Widział oto spełniony na jenie swojego życia wielki sen. Dotrzymał cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najsłabszemu ze swych żołnierzy, konającemu w polu kalece. Dla tego jednego słowa wielkie

pułki złączył, umundurował, wyżywił i poruszył. Sprzągł ze sobą obce narody... Cofnął się sztab. Podano bułanego araba. Cesarz siadł nań i zjechał ze wzgórza. Gwardye szły przed nim, świta za nim, i znowu gwardye. Pułki defilujące zatrzymały się na równinie, wyciągnęły w linie, kwadraty, podłużne kolumny. Jechał wolno przed wyprostowanymi frontami, wiodąc oczyma po liniach ludzkich, jakoby po nasypach martwej ziemi, po palisadach z drzewa, po rowach z kamienia. Twarz jego była zimna i obojętnie ponura, jak złom głązu. Spojrzenie oczu mijało twarze po twarzach, szło po spojrzeniach tysięcy, jako po martwym szlaku. Oczy straszliwe, w których gromady ludzkie przyuczone zostały widzieć jeno radość i gniew, były w tej chwili никакie, obojętne, zasłonione olbrzymią myślą dalekich.

Ręka pociągnęła cugle konia i jakiś rozkaz padł z ust. Wstrzymał się cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgnięte. Przez chwilę coś zamigotało w twardych żrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chinurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny półsmutny uśmiech spłynął po granitowem obliczu...

K O N I E C.

